

Damien Broderick

CZARNY GRONIAŁ





Damien Broderick

CZARNY

GRAAL

The Black Grail

tłumaczyli

Danuta Korziuk i Radosław Kot

część pierwsza

ŻYCIE

Racjonalizm, jako rozumne i ponadosobowe kryterium prawdy, ma wartość najwyższą nie tylko w wiekach, które uznają jego przewagę, lecz także, a nawet przede wszystkim, w tych nieszczęsnych czasach, kiedy jest lekceważony i odrzucany jako próżne jedynie marzenie tych ludzi, którym nie dostaje męstwa, by zabić, w sytuacji, gdy nie mogą między sobą dojść do zgody.

Bertrand Russell

Wiele wskazuje na to, że nauki społeczne mają rację, twierdząc, że walka z takimi zjawiskami jak kazirodtwo, uzależnienia, przestępczość i zachowania agresywne jest i pozostanie kwestią nieustannie powracającą.

Ernst Kris

Darkbloom spytał mnie pewnego razu, jakim jestem zwierzęciem.

- Zwierzęciem? - spojrzałem na niego w osłupieniu.

- W każdym z nas istnieje jeszcze jakieś drugie stworzenie - powiedział z tym przyprawiającym mnie o wściekłość błogim uśmiechem, który sprawiał zwykle, że miałem ochotę uderzyć go w twarz. Miałem wtedy dziesięć lat.

- To ono kieruje naszymi krokami, towarzyszy nam zawsze, chociaż nie zwracamy na nie uwagi. Można je zastraszyć, obłaskawić, można uczynić je przyjaznym. Pytam cię zatem raz jeszcze, Xarafie, jakim jesteś zwierzęciem?

- Nie jestem zwierzęciem - odpowiedziałem z gniewem. Odsunąłem się od jego śmierdzącego ziołami i tłuszczem skromnego ogniska. Słońce nie zaszło jeszcze, lecz od lodowca naciągnął przenikliwy wiatr. Poklepałem się po bicepsach. - Ty głupcze, ty stary głupcze i ludzka szkarado, ja jestem wojownikiem.

- Właśnie, coraz więcej zdaje się na to wskazywać - powiedział z westchnieniem. -

Czy ma to oznaczać, że darmo traciłem z tobą czas, chłopcze? Powinienem, jak widzę, usunąć się już i zasnąć w jakiejś dziurze w ziemi.

Słońce było zimne, chociaż świeciło bardzo jaskrawo sponad szczytów, kładąc długie cienie i zamazując mi spojrzenie.

- Jak to możliwe, by człowiek był zwierzęciem? - upierałem się, mrużąc oczy i spoglądając na Darkblooma. - W tym jest sprzeczność.

To rozśmieszyło szamana.

- No, przynajmniej moje wskazówki, jak myśleć logicznie, nie pozostały bez śladu -

szturchnął mnie w ramię. - Myślę, że jesteś chyba głupiutkim, niezdarnym niedźwiadkiem, Xarafie. - Podniósł się i odszedł do swojego nędznego szałasu, zostawiając mnie gryzącego wargę w zdziwieniu, jak to raz jeszcze udało mu się obrazić mnie i dostarczyć mi udręki, a mimo to teraz, gdy poszedł, brakowało mi jego towarzystwa.

Nie był to jednak koniec wysnuwania przez niego niezrozumianych paradoksów.

- Jaką częścią odzieży jesteś, mały wojowniku? - spytał mnie znacznie później, zaraz po tym, gdy odkrył przede mną gorzkie prawa Otwartej Ręki.

- Częścią odzieży? - zaniemówiłem z oburzenia.

- Człowiek nie jest szatą. Człowiek jest członkiem plemienia.

- A jaką potrawą, Xarafie? Jakim napojem, jakim iiii, luk Im i mmmmmii, jakim marzeniem? Kiwając się sennie nad swym ogniskiem, zadawał te pytania, mnie, wojownikowi, którego obezwładnił swym pięknym podstępem.

Jakim snem byłem.

Nieuczciwe i niepotrzebne było to pytanie. To on właśnie umieścił wiele snów w mojej głowie, zupełnie jak nie do końca wysiedziane jaja jakiegoś ptaka, porzucone w samotnym gnieździe. Podrzucił mi je, bym ogrzewał je swoim życiem.

Ptak nie był jednak zwierzęciem, którym chciałem być ja, tyle wiedziałem, gdy znów rozpoczął swe zgadywanki. Byłem czymś silniejszym, mocniejszym, zwinniejszym i żarłoczniejszym, czymś bardziej przebiegłym niż jakiś tam ptak. (Orzęsem był, oczywiście, okrzyk bojowy, lecz powiedziałem, że Otwarta Ręka; spojrzał na mnie z ciężkim wyrzutem, nie dał się oszukać).

Nie było jednak mowy, bym nazwał swój sen, chociaż jeden z „jego” snów był następujący:

W miejscu oślepiająco błyszczącym jak dyskretne wnętrze drogiego kamienia bucha światłość z kaganków wykutych ze spatynowej miedzi. W centrum pomieszczenia, w wysłanej złotymi i szmaragdowymi poduszkami niszy w rozwartych szczękach czarnej kamiennej czaszki, na łożu obłożonym kością słoniową, siedzi mężczyzna podobny do wstrętnej, przycupniętej ropuchy o bladym, obwisłym cielsku. Z głębokich oczodołów czaszki patrzy na mnie wyzywająco para straszliwych wojowników. Ich skóra jest matowozielona, nieludzka, pokryta gadzimi łuskami. W otwartych ustach błyskają oślinione kły. Patrzę na nich ze strachem, i z trudem zmuszam się, by zwrócić wzrok na ową okropną kreaturę, której obaj strzegą. Postać jest nieruchoma. Jej pomarszczone cielsko przygniata piękną kobietę o ściętych wstrętem rysach. Prawa, ciężka od klejnotów ręka ściska jej białe, obnażone udo.

Najgorsze jest to, że znam tę kobietę. To współtowarzyszka moich snów.

Płomienie kaganków porusza jakiś niewyczuwalny wiatr. Prócz tego, i migoczącego blasku cieni, nic się nie porusza. Złapany w potrzask snu, sprężający do skoku sparaliżowane ciało, mogę tylko obserwować moją utraconą miłość, odczuwając rozpacz wręcz fizyczną, zupełnie jakby razem z nią odchodziła część mnie samego.

Kiedy to piękne dziecko śniło mi się po raz pierwszy, gdy po raz pierwszy ujrzałem jej zielone jak błysk wschodzącego słońca oczy, jej cudownie gładkie, bladozłote ciało, wyszedłem właśnie z niemowlęctwa, mogłem mieć dwa lub trzy lata. Jej obraz wypływał

nieustannie na powierzchnię ogłupiałych rozlewisk mojego snu przez wszystkie następne lata.

Była najzupełniej realna, chociaż wcale nie znałem jej imienia.

Wydawało mi się, że rozmawiamy. Najpierw były to tylko próby, zwykle daremne, potem jednak zaowocowały one naszym językiem, którego nigdy poza tym nie słyszałem, a którym posługiwaliśmy się w końcu całkiem płynnie.

Kiedy miałem sześć lat, budowaliśmy we dwoje na naszym przylądku snów fortece i studnie z gliny i piasku. Mając lat osiem, wspinałem się z nią na nieznane drzewa, ścigając jej postać po zamaskowanych liśćmi konarach, a jej kolana były tak samo poobijane i w strupach jak moje własne.

W naszym sekretnym świecie nigdy nie było zimno. Nikomu o niej nie opowiadałem, nawet Darkbloomowi.

W latach kiedy chłopcy ganiają razem w bandach jak zachrypnięte małpy, pogardzając dziewczętami i dochowując swoistej wierności jedynie sobie, ja dochowałem wierności jej i wędrowałem z nią przez, długie, mroźne, i zimowe noce. Trwało to tak długo, aż, nawet i ta słabnąca z wolna wierność została zwyciężona przez nowe potrzeby mojego silnego, żyłastego ciała. Buńczuczność wieku młodzieńczego przyniosła mi pogardę dla marzeń i rzeczy subtelnych; razem ze wstrętymi pryszczami i tłuszczącymi się dziobami na mojej śniadej skórze.

Wyrzuciłem ją zatem z moich snów, kiedy tylko na moim podbródku i w kroczu pokazały się pierwsze ciemne włosy, a moja męskość zaczęła pośpiesznie dojrzewać.

Wykopałem ją i zacząłem zapraszać do siebie piersiaste dziewczuchy klanów i nieśmiałe posiniaczone sztuki z miast, uczyłem umizgać się do nich, tarmosić się z nimi w chacie młodych mężczyzn.

Moi bracia tracili energię na hałaśliwe kpiny, szyderstwa, rywalizację: walki na kościane noże, które zdzierały skórę i wbijały się w ciało i mogły nawet pozbawić oka, jeśli nie byłeś dość szybki; karkołomne gonitwy szlakami wydeptanej wzdłuż zimowych koryt rzek trawy. Próbowałem tych zapasów niby na równi z nimi, lecz zawsze w granicach rozsądku. I to rozsądek powiedział mi, że w życiu można znaleźć więcej treści, niż pokrywające całe ciało potem, hałaśliwe przepychanki bawiących się samców. Tak więc na jakiś czas straciłem ją, została wyrugowana z moich snów - urocze dziecko, które towarzyszyło mojemu rozwojowi aż do chwili, gdy znalazłem się na progu dojrzałości.

Wraz z jej odejściem zmaląłem, spospoliciałem i pozbawiony zostałem steru (choć to porównanie nie byłoby zbyt czytelne w mojej górzystej ojczyźnie), i trwało tak, dopóki mój mentor Darkbloom nie wprowadził jej z powrotem w mój sen, w ulotną chwilę tuż przed przebudzeniem w rzeczywistość.

Mój ojciec, jak domyśliłem się tego w późnym dzieciństwie, uważał mnie raczej za bękartą, a nie za prawego potomka jego wojowniczego rodu.

Byłby zgładził mnie najprawdopodobniej zaraz po urodzeniu (własnym mieczem lub, co bardziej możliwe, złamałby mi kark), gdyby nie tyle głośnych „ochów” i „achów” ze strony wszystkich jego rozgdakanych żon, które zajrzawszy w becik bez trudu dojrzały w ciemnej, spłaszczonej twarzy rozwrzeszczanego noworodka zaczątki czy raczej obietnice nosa, ust i szczęk, które miały ujawnić swoje istnienie w wieku młodzieńczym, stając się komiczną parodią sokolich rysów ojca.

Nie trzeba było długo się zastanawiać, by stwierdzić, że rozdrażnienie i niepokój mego ojca nie były niczym dziwnym. Zdrada małżeńska nie była w naszej społeczności czymś kompletnie nie znanym, a kiedy mężczyzna miał wiele żon, jak mój ojciec...

Niemniej jego podejrzania w kwestii prawości mego pochodzenia były o tyle dziwne, że człowieka najbardziej podejrzanego, chudego, obcego kapłana, ojciec wykastrował

własnoręcznie swym własnym myśliwskim nożem zaraz nazajutrz po jego przybyciu do obozu.

Moja matka miała wiele trudności z udowodnieniem swej wobec ojca lojalności (choć nikt nie wiedział, jakim sposobem wykastrowany szaman miałby odzyskać swoją męskość), ponieważ prawie każdą wolną chwilę spędzała w brudnym szałasie Darkblooma, rozłożonym na skraju obozu. Tam, odizolowana od chłodnego, zimą trudnego do zniesienia klimatu, leżała w transie, szczyrzyła zęby, śniąc halucynacje wywołane narkotycznym działaniem ziół szamana.

Przesądni (czyli wszyscy) trzymali się od tego miejsca na dystans, obawiając się czarów. Tłumaczyli swe tchórzostwo świadomą ostrożnością. Mimo to zdarzało się jednak, że co pewien czas przybiegała do ogniska jakaś wiedźma z płonącymi policzkami i wiadomością, że w tej właśnie chwili obcy szaman leży wyprężony na nieprzytomnym ciele nieświadomej niczego mojej matki.

To gadanie musiało dotrzeć do mojego ojca w wersji przekręconej i mniej ognistej, inaczej Darkbloom z pewnością straciłby życie tak, jak wcześniej stracił jaja.

Potem jednak, gdy opieka Darkblooma nade mną już trochę trwała, dowiedziałem się, że pogłoski te nie były całkowicie bezpodstawne.

Szaman, rzeczywiście, odegrał pewną rolę w narodzeniu przez moją matkę nowego członka plemienia. Oczywiście, owo nędzne plemię wyobrażało to sobie na poziomie ciemnego i zazdrosnego męża. Ja tymczasem przywarowałem w łonie mojej matki jak wodna jaszczurka, podczas gdy jego czary śledziły mój wzrost, docierały do moich nieukształtowanych jeszcze organów. Magia jego przebijała się przez rosnący brzuch mojej matki jak lekkie bicie w bęben i uderzała we mnie.

Mamrotała z cicha do mojego wewnętrznego ucha w językach obcych mojemu ludowi.

Malowała wewnątrz mojej głowy obrazy.

W tajemniczy sposób wspomagała mój rozwój.

W ten prosty sposób magia Darkblooma uczyniła mnie synem chrzestnym...

Oczywiście, że się waham. Lecz jak lepiej to wyrazić?... boga.

*

Na przekór zamiłowaniu mego ojca do masakry, zhańbiłem się, jak można określić, przyjęciem obcej wiary. Opierała się ona na żarliwym uznaniu Drogi Bez Przemocy -

Otwartej Ręki. Hańbą i trudnym do przyjęcia wstrząsem dla mojego ojca stała się wiadomość, że złożyłem przysięgę, iż nigdy nie zabiorę ludzkiego życia. Kiedy z kolei złamałem ten ślub, a dokonało się to dla zadowolenia ojca mego ciała, jakim mętny i żaloszny zmysł we mnie stwierdził, że mimo wszystko zdradziłem naczelną zasadę mojej rodziny i siebie samego zarazem. A jednak, ścięcie tej szyderczej ludzkiej głowy przyprawiło mnie o mdłości i wzburzyło, doprowadzając do stanu bliskiego delirium.

Paskudne jest wspomnienie tego dnia...

... klaskanie rzemienia o skórę, moje zawzięte wrzaski i urągania, grzmot kopyt baluchitherium (wspaniałych, olbrzymich zwierząt z miocenu, odtworzonych genetycznie z Czarnego Czasu, dokąd nigdy więcej się nie udam), suchy tuman pyłu w oczach i w gardle.

Powietrze mnie przytłacza. Czuję to przez gęstą ślinę, krew tętniącą wściekle w mych ukutanych uszach. Cały, pełen entuzjazmu świat spoczywa na moich barkach, złożony tam jakby przez panteon bogów, którzy na ten czas wstrzymali oddech. Ponad odległymi górami i całą rozległą doliną unoszą się wielkie zwały śniegowych chmur. Z nich właśnie na to wszystko - brzęk i szczykanie naszych kiepskich metalowych ostrzy, kamienie wyrzucane spod krzeszących iskry kopyt, gardła otwarte w furii i bólu, bluzgającą krew, moich wojowników nacierających ostro na cofających się złodziei Rokhmuna - ociążałe niebiosy wysypały w kielich doliny ofiarę delikatnych płatków bieli.

Czego najbardziej pragnąłem pośród tej cudownej rzezi... Móc podzielać sprawiedliwe odczucie moich ludzi, dla których to, że ostrza rozpruwały ciała, że ich towarzysze i ich wrogowie ślaniali się i spadali z wierzchowców z wytrzeszczonymi oczami i pianą na ustach, było tak oczywiste, jak powietrze, którym oddychali.

W wirze walki wręcz zwlekałem, zdrętwiały od wycia; mój nieskalany miecz uderzał mnie pochwą po plecach. Prawo i obowiązek. Odwaga i waleczność. Prawda.

I ludzie. Hałaśliwi, oblepieni śniegiem, zadający pchnięcia i uderzający. Członkowie bandy Rokhmuna umierający po dwóch, po trzech za każdego mojego. I moje własne futro, także we krwi i nieczystościach.

Moment wcześniej pył zatamował mi oddech.

W śliskim błocie zawrzało, gdy nasze ogromne wierzchowce zaczęły wierzgać śniegiem. Śmierdzące mułem zwierzę przedarło się właśnie i nacierało po mojej prawej ręce.

Usłyszałem złodziejski okrzyk bojowy wyrzeczany mi prawie do ucha i ślina czy płatki śniegu uderzyły mnie w twarz.

Przeniknął mnie wtedy lodowaty wiatr.

Mój miecz był już w mojej dłoni, wyzwolony, ryczący.

Wystarczająco dobrze wiedziałem, jak go użyć.

Nie ode mnie już zależało, że sprzeczne było to ze ślubem.

Cofnął się szydarczy Rokhmun. Nasze wierzchowce były potężne i powolne. On zawrócił swoją bestię. Mój miecz wszedł w szyję zwierzęcia. Baluchitherium o wzroście trzech ludzi stanęło dęba w panice i bólu. Ryknęło, wierzgając niecelnie. Potknęło się.

Bandyta wyjąc poleciał w błoto, między stąpające ciężko i wielkie jak pnie kończyny. Przez całą rozmazaną biel krew siknęła wzdłuż mego dziewiczego miecza. Poczułem, że moja płwocina ma smak krwi. Ucisk w głowie rytmicznie dawał o sobie znać uderzaniem od wewnątrz w nasadę nosa, metal jakby dźwięczał pod językiem, mózg ogarnęło oglupienie.

Odlatywałem, oddalałem się od tego wszystkiego.

Ale złość i szum w mojej głowie skierowały obcasy moich butów ku bokom bestii.

Zaciemniająca zasłona śniegu była coraz gęstsza.

W pewnej chwili stało się jasne, że wszyscy Rokhmunowie zostali załatwieni - z wyjątkiem wodza. Czterech moich wojowników przepadło - nieżywych lub okaleczonych.

Wytrzeszczałem wokół oczy, kręcąc się na wszystkie strony. W tym samym momencie intruz zorientował się, jak sprawy stoją, i ruszył w panice poganiając wierzchowca, znikając w tumanie wirującej bieli.

Tak, czterech było straconych, reszta sponiewierana i wyczerpana. Byłem jedynym zdolnym jeszcze do pogoni. Zmierzyłem w przyływie wstydu cenę, za którą moje zasoby sił

zostały zachowane.

- Wracać! - zawołałem do moich. Głos zaginął w wichrze. Szarpnąłem gwałtownie cugle mojego zwierzaka, przykładając usta do ucha Yharugha. Płatki śniegu topniały na jego zapaskudzonej brodzie. Bał się mnie, ale rzucone z ukosa spojrzenie, które mi rzucił, zyskało moją aprobatę. - Zanieś nasze zwycięstwo do obozu - powiedziałem klepiąc jego uzbrojone ramię. - Powiedz Golanowi, że przyniosę mu trofeum.

Yharugh nic nie powiedział. Nikt z nich się nie odezwał. Schowałem mój zakrwawiony miecz do pochwy. Odjechałem od tych przemoczonych, zmęczonych wojowników. Było zimno, wilgotno, światło prawie znikło, lecz ja twardo trzymałem się swego, tropiąc człowieka, którego nagle, z całego serca, zapragnąłem zabić.

Do dziś pamiętam dokładnie uderzenie, które wstrząsnęło moim ramieniem, moim napiętym ciałem, całą cnotę opanowania, którą z takim trudem wpoił mi Darkbloom wspólnie z równowagą - stracone w tym jednym haniebnym momencie; krew skapującą coraz rzadszymi kroplami w miarę, jak słabł puls.

Wirująca nawałnica śniegu, jego biel zmieszana z czernią błota i czerwienią krwi.

Zeskoczyłem z wysokiego siodła, krzycząc nieopanowanie z radości i podniosłem to, co było jeszcze

przed chwilą klątką dla ducha, a teraz stało się plugawym zeń szyderstwem.

Schwyciłem zatłuszczone włosy i zakołysałem zdobyczą w powietrzu. Głowa ważyła tak mało, że z łatwością trzymałem ją podnosząc ramię, podczas gdy krzyczały we mnie emocje, do których nie chciałem się przyznać. Szczrzyłem zęby, śmiejąc się głośno. Wrzeszczałem z niezdrowej radości, wymachując moim pierwszym trofeum, nie było jednak nikogo, kto byłby świadkiem mojego triumfu. Przywiązałem splecione w warkocz włosy mego trofeum do pasa i popędziłem monstrualne, ciężko stąpające baluchitherium z powrotem do zaśnieżonego namiotu mego ojca.

I przyszło zatracenie.

I zapadłem się w nieskończoność.

*

Zdaję sobie sprawę z tego, że moje słowa trudne są do zrozumienia, nie wspominając już o uwierzeniu w nie. Spokojnie. Objasnię metodę tego szaleństwa po kolei, okrężną drogą.

Tu, gdzie teraz jestem, ludzie nie uznają morderstwa. Sprawia to, że czuję się jak ktoś zbłąkany we śnie.

Nie aprobują oni zabójstwa innego człowieka z zemsty, dla korzyści czy dla kaprysu.

Swe spory rozstrzygają metodami, jakie poznałem kiedyś za sprawą mojego nauczyciela, wyobrażając sobie wówczas, że to on je wymyślił. Nigdy, ani przez moment, nie wierzyłem tym opowieściom, które snuł przede mną Darkbloom, gdy byłem niespokojny, niesforny, rozdrażniony ćwiczeniami.

Wpatrywał się w swoje puste wnętrze i opowiadał mi historie, które tam zobaczył.

Jego zadumane, pełne tęsknoty fantazje z innego świata.

Skąd mogłem wiedzieć, że jego dziwne opowieści mówiły prawdę? Czy naprawdę można żyć bez zaszczytów zwycięstwa i ran?

Miałem zwyczaj drażnić biednego Darkblooma, okazując mu lekceważenie. Widzę teraz, że miał rację, lecz jak dotąd nie silę się specjalnie na zrozumienie, jak do tego doszło.

Oni znają pasję i żądzę, tak jak mężczyźni i kobiety (i naśladowujące ich w tym dzieci) z mego własnego plemienia i z plemienia wrogów.

Jak radzą sobie bez zabijania?

Oni panują nad sobą.

Wierzcie lub nie, lecz to jest jedyna odpowiedź.

Powstrzymują swoje języki. Ustępują sobie. Zgadniają się ze sobą. Nie przywiązują wagi do ofiarowywanych im darów. Jakimś sposobem potrafią uporać się ze swymi najsilniejszymi popędami, nie gubiąc się w pełnej zgiełku, monotonnego zawrota, krwi zawirusze, która prowadzi do ruiny. Często sprawiali na mnie wrażenie ludzi niepełnych, niezdecydowanych. Innym jednak razem, gdy obserwowałem ich chłodną powściągliwość, przerażało mnie ich męstwo.

Niewątpliwie, wymaga to odwagi, by zaufać obcym, których nigdy dotąd się nie spotkało. Ci ludzie jednak nie zwlekają z tym ani chwili, o ile mogą być czegoś wobec nich do końca pewien.

Powierzają swe życie nawet tym, których imiona są dla nich tajemnicą. A któż, poza twoim własnym namiotem, godzien jest zaufania? Jak można ocenić zamiary człowieka, którego sposoby postępowania mogą być tak obce, jak sposób bycia gada oceniany z punktu widzenia kota? Lub tak złowieszcze i niebezpieczne, jak twoje własne odbicie w kałuży.

Kałuże lub lustro, pokazują ci twoją własną twarz, lecz odwracają jej obraz. Pokazał mi to Darkbloom, gdy byłem jeszcze bardzo mały (mam na myśli kałużę; nie mieliśmy dóbr tak wymyślnych jak lustra w naszym prymitywnym plemieniu). Do dzisiejszego dnia zachowałem w pamięci to przerażenie, które przyszło wraz z pojęciem sprawy.

I tutaj, jak wszędzie, są przestępcy. Czy nieskorzy do zabijania? Myślę, że byliby do tego zdolni. Nie wiem, co wstrzymuje ich rękę. Czy jest to jedynie strach przed konsekwencjami, gdyby zostali pochwyteni? Nawet psy, nawet ujadające ciągle kundle, są tutaj wyższe ponad to duchem.

Przyznać jednak trzeba, że przestępcy są nadzwyczaj niechętni mordowaniu.

Co do reszty - rządzą się obyczajem i prawem, chociaż istnieją pewne wyjątki.

Przestępcy, prawdziwi niegodziwcy, poskramiani są przez Państwo i zgodnie z prawem traceni. Zdarza się to jednak rzadko.

Dozwolone są akcje zbrojne przeciwko zdeklarowanemu wrogowi, chociaż na małą, ograniczoną skalę. Istnieje zatem samoobrona, którą zajmuje się cywilna policja.

Istnieją tu liczne kroniki wypełniające całe księgi. Oto jacy oni są. Lubią odwoływać się do kronik, zanim zrobią coś nieodwracalnego. Tak zatem spontaniczne zabijanie jest wykluczone. Nie znajdują w tym czynie przyjemności. Rozmyślnie zadawanie śmierci zawsze wywołuje długie dyskusje, rozważania, całą debatę etyczną. Zdumiewające. Czuję się, jakbym znalazł się między subtelnymi w odczuciach lunatykami tworzącymi całą nację.

Ta skłonność do delikatności nie jest sama w sobie zupełnie mi obca. Jak mówiłem, Darkbloom dość długo wpajał mi takie dziwaczne pojęcia. Nigdy jednak nie spodziewałem się zobaczyć ich wprowadzonych w praktykę na aż taką skalę.

Uświadomiłem sobie teraz, jak karygodne jest moje rzucające się tutaj w oczy dziwactwo.

Człowiek czy bóg, który kształcił mnie i wprowadził do pełnych kłótni namiotów i szałasów mego ludu, żywił podobne przekonania o świętości życia; Darkbloom żywił obsesję na tym tle większą

nawet, niż ci ludzie. Tym silniej odczuwał zapewne kontrast, biorąc pod uwagę, między jakimi ludźmi przyszło mu żyć. Teraz widzę i rozumiem jego filozofię, z którą zresztą nigdy się nie krył - otwarte ręce. Ręce wolne od broni.

Jakże inaczej to czułem, gdy po raz pierwszy twierdził o niegodziwości morderstwa, o grzeszności zawartej w grabieży, o niesprawiedliwości nieprzemyślanych, krwawych wypraw plemienia mego ojca na ubogie gospodarstwa ludzi mieszkających w naszym sąsiedztwie. Był

to szok, pełen fascynacji i oburzenia.

Kiedyś miałem sen, po którym zamęczałem Darkbloom, gdyż napełniły mnie te wizje osobliwym niepokojem.

- Czy możliwym jest wiarygodne wytłumaczenie obrazów widzianych we śnie?

- Tak jak wiejski szaman czyta z wnętrzości kurczaków i jagniąt? Chyba nie.

- Nie, tak jak interpretują runy ci, którzy to znają.

Zmierzył mi włosy, ja jednak odepchnąłem jego rękę.

- Opowiedz mi swój sen, mały Xarafie, a zobaczymy, co da się z nim zrobić.

- Opuszczałem się z wielkiej wysokości. Była noc i wokół mojej twarzy fruwały świetliki.

Opuszczałem się po dziwnie zbudowanej palisadzie; czymś podobnym do zapór, jakie stawiają plugawi ludzie z miast, by ochronić swe zbiory przed naszymi kozami.

Ogrodzenie zrobione było z prętów łączonych plecionką w małe czworokąty, powiązane razem w wielkie bloki. Nie nadawało się to dobrze do wspinaczki i miałem sporo kłopotu ze znajdowaniem oparcia dla stóp. Mimo to ześlizgiwałem się lekko jak ptak, moja koszula łopotała, owijając się wokół torsu. W rękę trzymałem wielką gałąź, która podobna była do małego drzewa, pokrytego czerwonymi liśćmi, rozłożystego, o wielu gałęziach. Liście te były błyszczące jak na czereśni. Kiedy zszedłem, miałem jedno takie drzewo, potem dwa, potem znowu jedno. Doszedłem do końca tej palisady, i dolne liście zwiędły. W ogrodzie stał

wysoki mężczyzna. Obcy, pomyślałem, wydawało mi się jednak, że go znam. Wyczesywał

grabiami pęki włosów spomiędzy gałęzi drzewa podobnego do mojego. Zbliżyłem się do niego i spytałem, czy drzewa tego rodzaju mogłyby zostać przesadzone i do mojego ogrodu.

On uściskał mnie po bratersku, lecz ja mu się wyrwałem. Upierał się, że wolno się tak witać, i obiecał mi pokazać zaprowadzane w innym ogrodzie uprawy. Było to jego żądanie raczej, którego, chociaż pogodziłem się z jego przewagą, nie mógłbym ścierpieć.

Tu zamilkłem, zakłopotany.

- Pokazał ci uprawy? - spytał wreszcie Darkbloom.

- Nie pamiętam...

Popatrzył na mnie.

- Czy to wilgoć obudziła cię z tego snu?

Zamrugalem, potem zrozumiałem, o co mu chodzi.

Rozśmieszyło mnie to.

- Nie, stary głupcze. To nie był „taki” sen. A on nie był dziewczyną.

- Czy ty i twój kuzyn Yharugh nie bawiliście się kiedyś właśnie w coś takiego?

Teraz wpadłem w złość.

- Wszystko potrafisz zapaskudzić. To nie był taki sen. Pragnąłem go zabić - znów zamrugalem, przypomniawszy sobie, że tego szczegółu dotąd nie ujawniłem.

- Aha - kiwając mądrze głową, Darkbloom dorzucił do nędznego ogniska gruby patyk.

- Kim wobec tego był ten młody człowiek?

- Myślę, że był to mój wróg - odpowiedziałem bardzo niskim głosem. - Ktoś, kogo z całego serca pragnę zabić.

Darkbloom wstał, ciasno otulił się obdartym płaszczem. Przechadzał się majestatycznie, wygrażając ze złością nocy i gapiąc się bezmyślnie w jasne gwiazdy, podobny w cieniu swego szałasu do innego, jeszcze głębszego cienia. Kiedy dotarł do mnie z tej ciemności jego głos, był tak obcy i bardziej srogi, niż wszystko, co dotąd słyszałem.

- Tak, Xarafie. To był twój wróg. To był twój brat. To był ten obcy, którego z całego serca pragnąłeś zabić. Musisz jednak ujarzmić go w inny sposób i w innym sensie. Zrzuci on swoje gorące liście z nieba i przepali twój ogród, a tobie przyjdzie poniechać odwetu.

Nagle, bez żadnego szmeru zdradzającego poruszenie, stanął tuż przy mnie, a jego śmierdzący zepsutymi zębami oddech napełnił moje nozdrza.

- Słyszysz mnie, Xarafie? Musisz przysiąc, znowu przysiąc, raz jeszcze przysiąc na łono twojej matki i na członek twego ojca, że nie porzucisz zasad Otwartej Ręki.

Jego dłoń ścisnęła moje ramię z zawziętością.

- Przysięgnij raz jeszcze, Xarafie. Przysięgnij, mówię!

Miałem trzynaście czy czternaście lat i drżałem przerażony i zachwycony, oczarowany jego moralną wrażliwością.

Wątpię, oczywiście, czy słuchałbym jego rad aż tak długo, gdyby nie pokazał mi jednocześnie w nie kończących się, bolesnych i radosnych lekcjach, jak zbijać z nóg każdego, kto by na mnie krzywo spojrział.

Tak. Paradoks racjonalnego pacyfizmu.

Dla mego ojca, rzecz jasna, idee takie były przeklęte i nie do przyjęcia. Był

kompletnie niezdolny wyobrazić sobie słuszność konceptu nie stosowania gwałtu. Nie mieściło się to w jego wielkiej, niedźwiedziojatej, rozpalonej głowie.

Dla niego moje odstępstwo od zwyczaju było niezrozumiałe.

A to oznaczało dlań tragedię, może nawet myślał o tym jak o przestępstwie. A może, co jest całkiem możliwe, jako o wyniku interwencji niemęskiego demona słabości reprezentującego ród mej matki.

Z pewnością, jak wspomniałem, jej przeżycia z czasu tuż przed moim narodzeniem były dość dziwne. Pomimo to jednak postanowiłem wkroczyć w dorosłe życie zgodnie z okrutnymi prawami mego ludu - zabijając inne ludzkie istnienie.

Tego samego dnia zagubiłem moją drogę w czasie.

Można by powiedzieć, że obrałem zły kierunek, mijając milion lat, dzielący mnie od uroczego i straszego zmierzchu świata.

Żałosna głowa obijała się o moje kolano. Wciąż była przywiązana za brudne, splecione włosy do mego pasa. W szarym mroku zdawała się szydzić z mojego poczucia winy, szczerząc zęby jakby w grymasie uśmiechu. Moje sztylpy były poplamione zmrożonymi smugami i grudkami krwi.

Doznałem zadziwiającego, pewnego przeczucia, że bliski jestem śmierci.

- Nie - wymamrotałem usiłując w mroźnym wietrze złapać oddech.

- Nie umrę. Nie umrę - ku memu zdziwieniu te słowa zabrzmiały głośniejsze, wyzywająco; ryknąłem w końcu pełnym gardłem. Oczy piekły, jakby zaraz miało je wysadzić; bezskutecznie starałem się przebić wzrokiem szalejący śnieg.

Zamęt. Wrzasnąłem przeraźliwie przez wyjący wiatr:

- Bogowie Światła i Śmierci, poprowadźcie mnie!

Odpowiedź nie nadeszła. Nie spodziewałem się jej zresztą. W jakiś jednak sposób paraliżujący chłód i rytuał inwokacji rozpały płomień mojej wyobraźni. Zbudowałem wokół

siebie obraz ciepłego schronienia, podobny lekceważonemu od dawna miastu dzieciństwa -

centrum obronnemu i handlowemu, zwanemu Berb-Kisheh. Przedzierałem się tam w dni targowe przez ochryplą od krzyku ciżbę, między bazarami i spichlerzami. Jasne budowle rozkładały się w słońcu; wchłaniałem orgię dźwięków i smaków, zapach obracających się nad węglem drzewnym szaszłyków, baraniny pociemniałej, lecz wewnątrz czerwonej i pękającej od nadmiaru soku, plasterów cebuli i grubych kawałków jarzyn, jakich nie widywaliśmy między sezonami, gdy nie wypadały nasze wizyty w mieście, i wszystkich tych krzyków handlarzy i pośredników, usiłujących przelicytować jeden drugiego. Maty i stoły wypełnione do przesytu, leżące i stojące między ciepłymi, ochraniającymi je ścianami...

Smagał mnie deszcz ze śniegiem. Moje uszy, przygniecione twardymi klapami hełmu, złowiły senny grzmot i syk oceanu, którego nigdy dotąd nie słyszałem. Furia sztormu przenikała przez moją przemoczoną, przylegającą odzież. Jej wilgoć budziła we mnie wstręt i wściekłość.

Oślepiający jak piasek śnieg szalał wokół nie chronionych niczym nóg mego baluchitherium, jak dzioby padlinożerczych ptaków kłuł w jego oczy. Tłukł jak młotkiem i moją własną twarz, pokrywał policzki skorupą lodu. Sztywnymi udami trzymałem się kurczowo siodła, telepiąc się po wertepach, jako że pozbawieni widoczności, zblądziliśmy.

Zacisnąłem dłonie na cuglach w pięści. Były pozbawione czucia.

Przez cały ten chaos szarej pustki przedzierał się tylko skrzypiący krok mojego wierzchowca. Moje zmysły były bezradne.

Nie jest wykluczone, że w tych godzinach burzy błądziłem bezsensownie w kółko.

- Ruszaj się, nie przystawaj - usłyszałem swój własny głos. Przywarłem twarzą do potężnego karku zwierzęcia, zaciskając mocno oczy.

- Ty głupcze, po trzykroć głupcze - wiatr rwał słowa. To była prawda. Tylko skończony głupek mógł zgubić się o niecałe trzy godziny jazdy od domu. Trząsałem się zmęczony.

Pogarda ojca. I innych, pokrytych bliznami starszych plemienia. Słyszałem ich szyderstwa. Słyszałem je aż do skurczu brzucha.

Moja ręka nagle zsunęła się z cugli, w oślepiającym całunie uderzyła o coś lodowatego, owłosionego, guzowatego. Głowa. Głowa mego zamordowanego wroga!

Pozwoliłem mym palcom spocząć na jego gałkach ocznych i roześmiałem się z tej makabry. Niech sobie szydzą! Mój oddział rozgromił wroga. To wystarczy. Nie będzie szyderstw ze strony starszych, gdy rzucę im moje trofeum pod nogi. Jego zamarzniete gałki oczne podobne były do małych, okrągłych bryłek lodu. Poderwałem rękę, trzasnąłem nią w kark zwierzęcia. Zajęczało, rzuciło łbem. Było gotowe położyć się na śniegu i zasnąć.

Przetarłem niezręcznie własne oczy. Zapadała noc. Jak żałośnie wyglądałem! Jakże będzie się teraz Darkbloom rozkoszował tak banalnie zawinioną stratą łaski! Nic więc nie pozostało, jak tylko jechać w mroźną ciemność tak długo, aż zwierzę padnie pode mną. Jako pieśń pogrzebową usłyszę wycie wiatru. Pielęgnowałem oszukańcze ciepło wspomnień: o tętniących życiem wąwozach, o włączających się niedźwiedziach i gniazdach śnieżnych gęsi; o Berb-Kisheh, Zielonym Mieście, w cieniu którego się urodziłem i jego zadowolonych z siebie mieszkańcach, którymi tak zawzięcie pogardało moje plemię. Słodkie zapachy z doliny Rezot-Azer zdawały się odświeżać moją twarz. Wiedziałem, że jest zmarznięta, lecz czułem wiosenne tchnienie tulipanów i róż kwitnących obficie; woń łąk koniczyny, zupełnie niepodobnych do pustyni... gdzie tak dobrze odpoczywać.

Zachwiałem się w siodle, przesuwając się ku przodowi, i uderzyłem czołem w coś twardego. Baluchitherium ugrzęzło w zaspie śniegu, miotając się rozpaczliwie ku swojej własnej zgubie. Pod jednym z kopyt załamała się skorupa lodu, podczas gdy inna, przednia noga skręciła się jak złamany przez wiatr pień drzewa między pogruchotanymi głazami.

Głowa zwierzęcia kołysała się z boku na bok, pysk pokrył się pianą. Zakwiczało przenikliwie.

Wszystkie moje refleksje pierzchły. Osunąłem się twarzą w dół. Otrzeźwiły mnie drgawki potężnego zwierzęcia. Ugrzązłem w głębokim zwale bieli. Trzasnęła pęcina. Zwierzę miotając się ryknęło.

- Do cholery z wami, bądźcie przeklęci, Bogowie! - wrzasnąłem słysząc zbliżającą się śmierć.

Taplając się w grząskim śniegu zdołałem - trzymając się nadłamanego występu skały, tego samego, który przyniósł nam zgubę - przybrać postawę pionową. Miecz łatwo wyszedł z wiszącej w poprzek pleców pochwy. Ciężko ranne, bierne już w mocnym uścisku śniegu zwierzę, wywróciło na mnie brązowe, szkliste oczy.

Podciąłem mu gardło.

Wierzgnęło i zdechło, a jego krzepnąca krew kapiała, sącząc mrok w ciemną ziemię.

Był to najbardziej ironiczny element mojego poddania się szyderstwu ojca. Ten ponury, otaczający mnie chaos zdawał się być ostateczną, płaconą teraz ceną, za odstępstwo od mego ślubu. Wzdychając odwróciłem się od martwego zwierzęcia, by przyjąć na siebie podmuchy wiatru.

Zabłyśło światło.

Wytrzeszczyłem oczy zdumiony, ożywiony nadzieją.

Pośród zacinających, wirujących płatków - światło.

Teraz, pośród wycia wiatru, usłyszałem całkiem wyraźnie jego śpiew.

- Żadne światło, tutaj? - wrzasnąłem używszy żargonu obozowych złodziei.

Powstrzymałem odruch, by rzucić się naprzód.

- Demony! - krzyknąłem. - Pożeracze dusz! - cały przekazany mi przez Darkblooma sceptycyzm znikł. Byłem barbarzyńcą, który stanął w obliczu czegoś gorszego, niż śmierć z zamarznienia. Nic we mnie nie pozostało w tym momencie z wpajanej mi przez szamana sofistyki.

Przecież tylko duchy mogły nieść płomień w taką burzę. Tam nie było demonów. Nie było światła. Tylko fantazja, sztuczka wiatru i śniegu, zabarwiona przez desperację. Mógłbym bez końca biec w stronę odgłosów burzy, a one, jak cienie światła, cofałyby się przede mną.

Nie bez końca...

Ten przyływ sardonicznej trzeźwości wyrwał mnie z letargu. Tak przynajmniej sędzę. Tam było światło, migoczące w tej chwili, zamazane przez śnieżycę. Wysiłkiem woli stłumiłem strach. Ostatecznie, to światło wytyczało jakiś kierunek. Pójdę ku niemu.

Pozbyłem się ciężaru łuku i kołczanu, zatrzymałem tylko mój świeżo zakrwawiony miecz. Pomruk, który wydarł się z głębi mego serca, a który miał być wezwaniem skierowanym do Bogów Śmierci, bliższy był bluźnierstwu niż modlitwie.

Moje stopy zatoneły w śniegowej brei. Zamknąłem obolałe oczy.

Noc załśniła gradem iskier.

Kiedy zmusiłem się do otwarcia oczu, światło nadal mnie przywoływało, a jego szalony, wysoki śpiew był coraz bliższy.

Czym może być ta światłość, jeśli nie wytworem magii?

Strach krążył i krążył jak sęp na pustym niebie.

Moje stopy ugrzęzły i nie mogłem ich ruszyć.

Z silnym wstrząsem ziemia rozwarła się pode mną.

Wymachując ramionami, runąłem w światło.

Zamazywane wciąż śniegiem uderzyło w moje oczy i duszę jak słońce spadłe w serce kielicha nocy.

Głosy śpiewały jak we śnie idioty, atakując moje ogłuszone burzą uszy. Wpadłem w tę zimną świetlistość, machając bezradnie rękami i nogami, pochwa miecza prześliznęła mi się pod ramieniem i jego ostrze uderzało teraz o mój brzuch, gardło piekło od ochrypłego, rozpaczliwego krzyku, a objijająca się przez cały czas głowa Rokhmuna szczyrzyła się jak szalona, martwa zemsta, wisząca u mojego pociemniałego od krwi pasa.

*

Nie umiem powiedzieć, kiedy straciłem przytomność.

Nie miałem w tym spadaniu ku zimnemu słońcu możliwości zmierzenia dystansu czy upływu czasu. Jak długo trwał ten stan?

Widziałem kiedyś, jak mój brat Jopher spadł z wysokiego urwistego brzegu, dokąd zapędziliśmy nosorożca na jego zamierzoną zgubę. Z przerażeniem i ekscytacją patrzyłem, jak młóćące powietrze kończyny Jophera zaczepiały o gałązki jutowych krzewów, jak uderzał

o skalne występy, które hamowały jego lot, lecz nie zdołały go zatrzymać.

Uderzył mocno o ziemię w parę chwil później i potem zawsze już chodził ze sztywną nogą i grymasem.

Moje spadanie było inne. Pałace, ostre światło i mdłości. Nie było nawet gwałtownego ruchu powietrza. Moje usta aż do przelania wypełniły się goryczą żółci. Potem, o ile pamiętam, światło pochłonęło mnie całkowicie. Kiedy się ocknąłem, już go nie było.

Leżałem skręcony, w moich własnych wydzielinach i odchodach, w ciemnym i śmierdzącym pomieszczeniu z czarnego metalu. Uniosłem się na rękach; były wilgotne i lepkie, wróciły nieprzyjemne sensacje. Czarny metal był twardy i ciepły, lekko wibrował.

Chwiejąc się z wyczerpania, podniosłem się i stanąłem.

Wciąż byłem po części przekonany, że może to być jakiś głupi koszmar senny, śniony przez zamarzającego na śmierć człowieka.

Dyskomfort, którego doświadczałem, przekonał mnie wkrótce, że to jawa. Woda spływała mi po plecach, ściekała do butów, gdy szron i śnieg topniały w ciepłym powietrzu o lekkim zapachu oleju.

Krzywiąc się z niesmaku, starłem wymioty i błoto z twarzy i rozejrzałem się uważnie wokół siebie.

Doświadczeni, zahartowani wojownicy, którzy nauczyli mnie i moich braci posługiwać się bronią i wierzchowcem, opowiadali czasem, oględnie i z całą dbałością o swą męską reputację, tak jak opowiadać należy, o okropnościach walki.

Tylko głupiec delektuje się wizją ostrza zatopionego w brzuchu, rozwalonej szczęki, mięśni rozciętych aż do kości.

I tak kilku obdarzonych wyobraźnią młodzików, jakimi wówczas byliśmy, miewało potem koszmarne sny.

Lecz moje zdanie jest następujące: wielki zgiełk i łomot bitwy, o których nasi nauczyciele opowiadali, trzyma jelita wojownika w należyтым posłuchu, oddalając od niego strach.

I właśnie teraz szok przebudzenia w tej ciemnej jamie pobudził mój mózg do myślenia, skłonił go do objawienia ciekawości. Oddychało mi się teraz o wiele łatwiej. Moje oczy przywykły z wolna do bladego, fioletowego oświetlenia. Stałem w centrum wielkiej sali z hebanowej barwy metalu.

Mdłe światło nie miało określonego źródła. Zdawało się po prostu napełniać to miejsce jak płyn. Obróciłem się ostrożnie, badając po kolei wszystkie ściany, nie znajdując żadnego wyjścia ni okna. Szedłem przez ciemną przestrzeń, wpatrując się w ściany.

Podeszwy moich butów wydobywały metaliczne echa. Stałem nieruchomo, balansując na palcach jednej stopy, chcąc w tym echu wykryć nie wzbudzany przeze mnie dźwięk.

Tylko cisza. I szum.

Odchrząknąłem. Zgrzytliwy dźwięk przekształcił się w przytłumiony grzmot. Żadnego innego odgłosu. Pot czy stopniały szron spłynął mi na oczy. Podeszedłem do groźnej czerni ściany.

Serce zabiło mi żywiej, gdy do niej dotarłem.

W przeciwieństwie do gładkiej powierzchni podłogi, ściana ta nosiła ślady działalności jakiegoś zręcznego rzemieślnika. W końcu, pomyślałem, wiem już, gdzie jestem.

To się dawało wyjaśnić.

Szaleni ludzie z Czarnego Czasu, zanim ulegli samozagładzie w Ofierze Całopalenia, zbudowali pomieszczenia, całe z metalu, szkła i dziwnego materiału bez nazwy. Potem wyruszyli w niebo i stopili się w ogniach Stosu Całopalnego. Nie zbliżaliśmy się do zatrutych kraterów, znaczących miejsca, gdzie żyli. Reszta tych konstrukcji pogrążona była głęboko pod powierzchnią ziemi - rozległe, skorodowane teraz i niebezpieczne dla śmiałka tunele, szyby, rurociągi. Wszystko wskazywało na to, że wpadłem właśnie w jedno z takich zakazanych miejsc.

Ta świadomość ponownie pobudziła moje przerażenie.

Zadrżałem obejmując się ciasno ramionami. Bardziej niż oczywiste było, że to demony rządziły teraz tymi miejscami. Nawet Darkbloom nigdy temu nie zaprzeczał. I teraz te demony zwabiły mnie tutaj swym nikczemnym śpiewem, swoim zimnym światłem.

Dygotałem, zacisnąwszy zęby, i czekałem, sam nie wiem, na co.

Usłyszałem jakiś cichuteńki dźwięk. Miecz zadrżał w mojej dłoni. Okręciłem się szybko wkoło, bacznie wpatrując się w ciemność. Nic się nie poruszało.

Teraz, gdy oswoiłem się już nieco z sytuacją, nawet ten monotonny grzmot nie absorbował tak bardzo mojej uwagi. Z bijącym sercem odwróciłem się z powrotem ku pokrytej wzorami ścianie. Wyglądała, o ile mogłem oczywiście stwierdzić coś na pewno w półmroku, na zapisaną jakimiś obcymi znakami. Ich zawijasy i spirale zdawały się drgać, wywołując oczopląs. Nic nie umiałem z tego odczytać.

Wypełniły mnie złe przeczucia.

Podszedłem do kąta pomieszczenia. Znaki były i tu. Pokrywały każdą ścianę, chociaż czasami trudno było je dostrzec. Idąc, macałem co kawałek, odkrywałem nowe reliefy i hieroglify. Badając ich wklęsłości i wybrzuszenia palcami, poczułem coś jakby olśnienie.

Odrzuciłem miecz i zacząłem poszukiwać dźwigni wśród drobnego wzoru, lecz nic nie osiągnąłem. Czarny metal był wybitnie nieustępliwy.

Nie posiadając się ze złości, załomotałem weń mieczem. Sala rozbrzmiała ogłuszającymi echemi. Kiedy furia minęła, odkryłem, że stępione teraz ostrze mego miecza nie zdołało nawet zarysować ściany.

W końcu, krążąc tak bezskutecznie, zrozumiałem, że bliski jestem osłabnięcia z głodu, niepokoju, wyczerpania. Znalazłem się w punkcie wyjścia. Nie widziałem w tym wszystkim ani krzty sensu. Najmniej zaś mojej obecności w tym przeklętym miejscu. Ludzie z Czarnego Czasu przeminęli, umarli, obrócili się w popiół tysiąc lat temu. To nie oni mnie tu zwabili, oni nie mogli tego zrobić, to tylko moja fantazja, tylko przesąd...

Mimo ciepła, jakie tu panowało, opanowały mnie drgawki. Moja odzież była wilgotna, cuchnęła i sprawiała, że marzłem. Oczy pod gorącymi powiekami pełne były piasku. Niespodziewanie nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Na wpół odrętwiały osunąłem się na podłogę.

Kiedy ta krótka chwila nieświadomości minęła, zaniechałem ostatnich pozorów ostrożności. Człowiek, który ma umrzeć, ryzykuje mało, nawet gdy znajdzie się w przedsionku piekieł. Podniosłem się z trudem i krzyknąłem tak głośno, jak tylko mogłem:

- Przemówcie do mnie, demony!

Śmiechu warte. Całe to wyzwanie wypadło jak krakanie.

Mimo to, podniosłem głowę i zawyłem raz jeszcze w pustkę czarnego grobowca:

- Odpowiedzcie mi, wy podłe, nędzne duchy! Dlaczego rzuciłyście mnie w to zakazane miejsce?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Jakiś instynkt jednak mi podpowiadał, że te kreatury mnie wysłuchały. Z chichotem.

Palcami tak zdrętwiałymi, że ledwo mogły unieść ciężki miecz, podniosłem żelazo raz jeszcze i uderzyłem płasko ostrzem o ścianę. Poprzez rozlegające się echa usłyszałem, jak skądś doszedł delikatny kaszel. I głos:

- Kwiecie! - zawołał w języku, którego nigdy przedtem nie słyszałem, lecz zrozumiałem te słowa natychmiast. - Czy nie za wcześnie na twój powrót?

Zakręciło mi się w głowie. W klatce piersiowej serce łomotało mi jak młotem.

Było mroczno, lecz nie aż tak, bym mógł zwątpić, czy stoję w pomieszczeniu sam.

Słowa dochodziły skądś z góry, a właściwie - jakby powstawały w powietrzu.

W momencie, gdy nabierałem w zgniecione płuca tchu, by rzucić ostateczne wezwanie, głos nabrał ostrości.

- No, no, no... Nie ma Kwiecica Wieczornego. Co my tu jednak mamy? Coś nadzwyczajnego!

- Światło i Śmierć! - krzyknąłem zmieszany i przerażony w mym własnym języku, nie dając sobie czasu na zastanowienie. - Ukaż się, demonie!

Przylgnąłem do grawerowanej ściany, łypiąc dziko we wszystkie strony. Mój oddech bliski był rzeżeniu.

- Gdzie jesteś, tchórzliwy duchu?

- Creid! Balmorg! Chodźcie tutaj, zwróćcie uwagę na ten nadzwyczajny fenomen.

- Mój dobry Jesrilbanie - przemówił karcąco drugi głos, jego głęboki, czarujący timbre napełnił komnatę.

- Pohamuj swój zapal. Po dreszczach tego ostatniego transferu energetycznego Eis i ja jesteśmy zupełnie wykończeni.

Ich język był językiem z mego snu. Kiedyś, dawno, rozumiałem go, o ile nie więcej.

Wszystkie pełne radości, roztrzepane sny dzieciństwa. I ten sam, w którym moja bezimienna towarzyszka cierpi pod ręką przerażającego zdobywcy.

Pierwszy głos nabrał tymczasem złośliwego odcienia.

- Mój dobry Ahu! Mam zwyczaj być surowym dla wyjącego wilka. Nie o to mu dosłownie, rzecz jasna, chodziło, lecz była to czytelna metafora, którą szybko pojąłem. Jak światło przenikające przez czyste szkło - nawet jeśli nie odtworzyłem dokładnie wyrażonego przezeń obrazu.

(Wszystko to, naturalnie, pomyślałem o wiele później w wolnej chwili, wspominając z zażenowaniem minione wypadki. Wówczas byłem tylko zwierzęciem uchwyconym w zębaty potrzask, walczącym o ocalenie tak, jak tylko potrafiło).

- No, no - włączył się trzeci głos. Astmatyczny, lekko moralizujący. - Nie kłóćcie się, moi drodzy. Niewątpliwie, Moc Jesrilbana Julixa dokonała czegoś, z czym powinniśmy się zapoznać - zostałem

nagle cały zalany przykrym dla oczu błękitnym światłem. Błyszczało na moim mokrym ubraniu, odbijało się refleksami od mojej skóry jak poświata Księżycyca na truchle nieboszczyka. Jarzyło się na mieczu w mej dłoni.

- Och, czyżby... Jesrilbanie?!

Obnażyłem szczękające zęby i przywarłem jeszcze mocniej do nieustępliwego metalu, bezskutecznie szukając spojrzeniem tych, którzy nade mną rozprawiali. Sceptycyzm wpajany mi przez Darkblooma przepadł bez śladu. Nabrzmiały język przesunął się po suchych wargach. Czekałem, aż śmierć pod postacią płomienia spadnie na mnie morderczo z powietrza. Pierwszy głos zamruczał:

- Właśnie tak, Eis. Mały cud, nieprawdaż?

- Lecz jak, na Gasnące Słońce, to coś dostało się tutaj? I co to właśnie jest? Czy sądzisz, Jesrilbanie, że może to być człowiek?

- Posiada artefakty, o ile się nie mylę - powiedział trzeci głos.

- Oczywiście, że jest on człowiekiem, mój drogi Balmorgu - wtrącił się pierwszy głos.

- Wydzierał się przedtem i zwrócił tym moją uwagę. Mam to tutaj, w moim kryształce.

Usłyszałem potem najdziwniejsze, najprostsze i najprawdziwsze z przygnębiających słów, jakie można sobie wyobrazić - moje własne krzyki, schwyte w potrzask, wyrwane z tych nieodległych chwil, gdy pozwoliłem im nieopatrznie wydobyć się z moich ust. Krzyki, obelgi, przerażone jęki. Wiedziałem, że słyszę autentyczne echo moich własnych słów, pamiętałem je przecież. Głos ten jednak nie był tym głosem, który słyszę w mej własnej głowie, kiedy mówię. Był jakimś sposobem lżejszy, dość jednak głęboki i donośny, by nastraszyć bandę czmychających złodziei Rokhmuna.

- Prymitywne semantycznie, pozwala jednak rozpoznać inteligencję.

- Zgadzam się w zupełności - dodał zrzędlawy głos trzeciego demona. - Somatyczne i psychiczne cechy tego nieszczęsnego cudaka są identyczne z cechami niektórych regresywnych ludzkich wspólnot spoza Warowni.

- Tych zjadaczy lotosu? Nie wydaje mi się możliwe, by któryś z nich mógł przedrzeć się przez nasze straże.

- Zostawmy rozważania tego rodzaju na boku - ostro wtrącił pierwszy głos. -

Zajmijmy się tym, co oczywiste; jego agresją i złością. Uważam, że należy to wyjaśnić.

- Julix, jesteśmy zmęczeni. Nasza zdolność do czynienia użytku z intuicji jest zmacona drobnym wysiłkiem pokierowania solidną porcją energii słonecznej, której moc, mierzona czasem, równa się jakimś sześciu tysiącom milionów lat. Daruj nam tego młodzieńca - głos załamał się. - Nie, to niemożliwe.

- Możliwe, czy nie, ten brutal ma w tej chwili wiele wspólnego z naszą Pierwotną Matrycą Transferu.

Stary głos wykrzyknął z konsternacją:

- Ach, Jesrilbanie! Nie twierdzisz chyba, że ten nieokrzesany prostak został tu przyciągnięty transporterem temporalnym z odległej o milion lat przeszłości! Nauka zaprzecza takiej możliwości. O, proszę, weź pod uwagę bilans cieplny...

Niewidoczne demony kłóciły się, a ja nic z tego nie rozumiałem. Czarne cętki zaćmiły mi spojrzenie. Ciężar miecza ściągnął mi ramię w dół aż do wysokości uda.

Głosy powracały, wygadując swoje nonsensy; łaskawe i złe, sardoniczne i sugestywne. Oczy mnie piekły; zamrugalem stwierdziwszy, że miecz wysliznął się z moich palców i leży na hebanowej posadzce, a ja sam skuliłem się, opuszczając głowę.

- Demony - zakrakałem.

Zapanowała chwila ciszy.

- Uderzcie albo niech będzie między nami zgoda. Zabijcie mnie, pożryjcie mą duszę lub pozwólcie mi spać.

Cisza przedłużała się. Głęboki głos rzekł w końcu gdzieś w powietrzu z pełnym niedowierzaniem.

- Na Gasnącą Kulę, moi Mocarze! Ten prymityw nas słyszy! I rozumie!

Nawet duch nazywany Jesrilbanem Julixem zająknął się i stracił płynność wymowy.

- Najwyraźniej - powiedział w końcu z wahaniem.

- Siódma grupa mentalnościowa przynajmniej. Przy tak prymitywnej powierzchowności i zachowaniu... To zupełnie zmienia postać rzeczy.

- Zwróćcie uwagę, moi panowie - trzeci głos ożywił się i nabierał pewności. - Zdaje się, że nie dostało nam gościnności i przyzwoitości. Ten obcy omdlewa z braku jedzenia i odpoczynku. Zajmijmy się nim najpierw pod tym względem, dyskusje zostawiając na potem.

*

Jeden jeszcze szczególny widok objawił mi się, nim zapadłem w niespokojny sen.

Wszędzie wokół mnie migotała tańcząca sieć drobniutek, iskrzących się gwiazd. Czułem, że moje ciało zostało podniesione z ciepłego, czarnego metalu lekko jak jesienny liść porwany przez wiatr. Miękka sieć utkana z jasnych punktów przeniosła mnie na sam środek komnaty.

Zatrzymała się tam na chwilę, a iskry rozbłysły jeszcze jaśniej. Obudziły mnie słodkie dźwięki harfy i

kaleczący głosy jęk rozchwianych na wietrze dzwonów. Różowo-złote pędy kwitły na atlasowych ścianach. Moje przebudzenie było tak pełne rozmarzenia, jak niewinny i dziecięcy był mój sen. Przeciągnąłem się jak wielki kot, jak kot rozejrzałem się dokoła spod na wpół przymkniętych powiek, wsłuchując się z zachwytem w harmonię dźwięków wypełniających pachnące powietrze.

Potem usiadłem nagle z jękiem i krzykiem, jak człowiek, któremu podrzynają gardło.

Odrzuciłem przykrycie i wstałem. Moje stopy utonęły głęboko w dywanie miękkim i białym jak śnieg, ciepłym jednak jak żywe futro. Świeże, chłodne powietrze opłynęło moje nagie ciało.

Byłem sam. Panika zaczęła opadać.

O trzy kroki ode mnie spoczywał na kozłach, misternie wykonanych z drewna o równych słojach, mój miecz. Ani śladu zbrukanej odzieży. Odczułem nieodpartą potrzebę ubrania się. Podeszedłszy do miecza, znalazłem otwartą niszę zawierającą rozmaite bogato barwione i zdobione szaty. Zanim jednak spróbowałem je włożyć, przesukałem z mieczem w dłoni to śliczne pomieszczenie. Nie znalazłem żadnych wyraźnych śladów demonów, które mnie tutaj przeniósł.

Jeden fakt szybko ustaliłem. W odróżnieniu od bezcielesnych głosów w czarnej komnacie, słodka muzyka posiadała niezaprzeczone źródło - konchę z kutego srebra.

Zajrzałem w jej wylot, przyłożyłem do niego ucho. Z pewnością był to magiczny przyrząd, gdyż struny w nim rozbrzmiewały same, a drobnutkie mosiężne dzwoneczki drgały bez powiewu wiatru.

Widzicie, jaki był wówczas ze mnie mędrak! Melodia była ładna, lecz sam przyrząd wzbudzał we mnie niejakie przerażenie, tak że szybko się od niego odwróciłem.

Przez parę szczelnie zamkniętych opalizujących okien sączyło się do pokoju światło brzasku. W niejasny sposób zaczęło mnie to niepokoić.

Potałem szorstki jak tarka podbródek.

Co mogło wstrzymać w miejscu wschodzące słońce? Myślałem o tym, łomocząc mieczem w jedną z framug. Po namyśle doszedłem do wniosku, że nic zapewne nie osiągnąłbym tym aktem przemocy. Czarownicy z Czarnego Czasu nie okazali mi, mimo wszystko, jawnej wrogości. W rzeczy samej, zabezpieczenie przez nich tego pokoju sypialnego mogło być odznaką ich dobrej woli. Zakłopotany i zamyślony odwróciłem się od tajemniczej łuny na niebie i poszukałem drzwi. Nie znalazłem ich.

Zadzierając głowę, zbadałem wzrokiem sufit. Bogato zdobiony kutymi delikatną bladoniebieską linią ornamentami, wyobrażającymi rozpustę czynioną przez mitologiczne i ludzkie postaci, wydawał się być jedną całością.

Zaintrygowany tym wszystkim wróciłem do zmiętego, jedwabistego łoża i rozważyłem spokojniej moje położenie.

Jak długo spałem? Czułem się silny i sprawny po pokrzepiającym śnie, który musiał

trwać tak długo, jak nocą w pełni zimy od zachodu do wschodu słońca. Co więcej, mój monstualny głód uciszył się. Nie byłem nawet spragniony.

Tak. Moi zwycięzcy udzielili mi magicznego pożywienia i doskonałego mieszkania.

Zostawili mnie w spokoju, bym odzyskał utracone siły. Gdybym wydał im się tego niewart, z pewnością daliby wyraz swojej do mnie wrogości jeszcze wtedy, gdy znajdowałem się w słabszej formie.

Zdałem sobie sprawę, że moja twarz chmurzy się jednak coraz bardziej. Każde pytanie, na które nie znajdowałem odpowiedzi, rodziło sto następnych. Darkbloom trwał

zawsze przy stanowisku, że myśl zawsze musi poprzedzać działanie, a głupiec, który o tym nie pamięta, ponosi potem tego konsekwencje.

Teraz jednak pożądana była akcja - nie kontemplacja.

Przeszedłem przez głęboki, strzyżony dywan i zgarnąłem pełną naręcz odzieży, która mogła być marzeniem dla kupców z Kisheh. Ubrania zwieszały się zachęcająco w niszy, podtrzymywane przez niedostrzegalne ramy. Błyszczały, zachwycając moje oko, kiedy je poruszałem, nie napotykając żadnego oporu. Gapiłem się na nie z entuzjazmem. Były o zdumiewająco jaskrawych kolorach, wspaniale utkane, miękkie i delikatne w dotyku. Mój ojciec pogardziłby nimi jako nadającymi się tylko dla kobiet, te tutaj były jednakże najwyraźniej przeznaczone dla mężczyzny, dla człowieka czynu na dodatek. Pozwoliłem tym pięknym rzeczom upaść u mych stóp, gdy obejrzałem je wszystkie, odrzucając niektóre zestawy.

W końcu znalazłem komplet, który mnie zadowalał w pełni: jedwabną, śnieżnobiałą bluzę z rękawami bufiasto układającymi się przy nadgarstkach, bryczesy z wielobarwnego welwetu, które tak się miały do pantalonów książątek Kisheh, jak szata pawia do upierzenia sowy; miękką, ciepłą bieliznę, pończochy z wełnianej przędzy, irchowe buty na koturnach.

Miałem ochotę nacisnąć jeszcze na moją nieokrzesaną głowę kapelusz z szerokim rondem, i zrobiłbym to, gdybym jakiś znalazł.

Nie było tu żadnego pancerza ni pochwy dla miecza.

Zadowolilem się zamszowym kaftanem o wysokim kołnierzu i szerokim pasem z prążkowanej skóry, do którego przyczepilem miecz. Zacisnąłem mocno pas, dziwiąc się, gdzie podział się mój własny - brudny i pokrwawiony, i krwawa głowa mego wroga, która była doń przymocowana.

Cień dotknął jasnej ściany. Przed chwilą nie było tam niczego, co mogłoby ten cień rzucać. Moje nozdrza zadrgały. Przez kwiatową woń pokoju przebił się ciężki odór dzikiego zwierza.

Nowy pas był tylko w połowie zaciśnięty na mej talii, toteż miecz błyskawicznie wskoczył mi do ręki, gdy odkręciłem się wokół własnej osi, gotując się do skoku. Pośrodku pokoju, patrząc na mnie złotymi, dzikimi oczami, stał potwór.

Wstrząśnięty starałem się utrzymać równowagę, balansując na czubkach palców, trwając tak przez jeden, przyprawiający o skurcz serca moment.

Bestia rozwarła ohydny dziób. Złote skrzydła rozpostarły się z jej pleców ku górze; każde pióro było tak idealne, jakby jego powstanie było sprawką jubilera.

Cofała się spokojnie na mocarnych kończynach, falowały mięśnie na napiętych ścięgnach...

Rzuciłem się poprzez pokój z czubkiem miecza wymierzonym w jego otwartą paszczę.

Skrzydła potwora załopotwały z trzaskiem, migając w górę i w dół jak piorun.

Przytłumiony blask odbił się od płazu mego miecza, gdy przednia łapa bestii uderzyła i wytrąciła mi broń. Wstrząs ten sprawił, że ramię opadło mi, a potem mocno potłuczony zostałem odrzucony na najodleglejszą ścianę.

Moje prawe ramię, gdy spróbowałem je zgąć, okazało się być sztywne aż do łokcia.

Niedowierzenie i oszołomienie nie pozwalały mi skupić myśli.

Potrząsnąłem głową, otwierając szeroko oczy. Kreatura czekała. Zrobiłem pozorowany wypad, rzucając się rzeczywiście do najbliższego rogu. Przetoczyłem się przez jedwabne łoże i chwyciwszy się jego ramy lewą ręką, obniżyłem biodro i przyjąłem nań cały ciężar łóżka w chwili, gdy je uniosłem, by rzucić nim w potwora tak, jak uczył mnie kiedyś Darkbloom. Zachwiało się w locie, a potem uderzyło w ogromne cielsko fantastycznej bestii.

Nie miałem czasu na sięgnięcie po miecz.

Podążyłem za meblem, który rąbnął ciężko, roztrzaskując się na kawałki o pokrytą dywanem podłogę. Wyciągnąłem ręce, rozstawiając palce jak szpony. Szukałem karku gryfona. Skok był jednak chybiony - z hukiem wyładowałem na grubym futrze podłogi.

Bestia zniknęła.

Dosłownie. Nie było jej w pokoju.

Uniosłem twarz z białego dywanu. W powietrzu znów zamigotały iskierki. Gryfon był

tu znowu, stojąc po drugiej stronie pomieszczenia.

Pot zalał mi oczy.

Sprężyłem się rzucając spojrzeniem na miecz leżący nie dalej, jak o dwa kroki. Prawe ramię bolało mnie nadal, lecz byłem już w stanie zacisnąć dłoń w pięść. Pióra połyskiwały zielenią i złotem, kryjąc migotaniem cały grzbiet stworzenia. Muzyka nie umilkła - ze srebrnej konchy nadal płynęły dźwięki; delikatna melodia tłumiona teraz częściowo przez ciężkie oddechy.

Potwór znów otworzył paszczę, pokazując mi swój czerwony jęzor.

Kiedy skoczyłem, by ująć miecz, zagapił się na mnie ze zdziwieniem i cofnął za połamane łóżko.

Sprężyłem się i ruszyłem naprzód, zaciskając usta i mrużąc oczy. W głębi gardła narastał nie kontrolowany przeze mnie pomruk wściekłości.

Nagle usłyszałem potwora mówiącego pełnym smutku głosem; mówiącego w języku znanym mi ze snu, w języku używanym przez trzy bezcielesne Moce.

- Rozluźnij się, chłopcze. Nie ma najmniejszej potrzeby, byś zachowywał się w ten sposób.

Gryfon gapił się na mnie z wyrzutem. Cofnął się jeszcze trochę i przysiadł swobodnie na tylnych łapach.

- Odłóż zatem swój nożyk jak grzeczny chłopiec, a pójdziemy i przygotujemy dla ciebie coś do zjedzenia. Co ty na to, hę?

Zwinałem się w połowie śmiercionośnego skoku.

Mój miecz opadł. Odrzuciłem głowę do tyłu i twardy balon powietrza uwięzionego w klatce piersiowej eksplodował rykiem w moim gardle.

Po sekundzie zdałem sobie sprawę, że się śmieję. Potężna burza uciechy zatrzęsła moim ciałem. Zakołysałem się na tak pięknie obutych w irchę piętach.

Chwyciłem nowy, zrujnowany po tych manewrach, pas i śmiałem się tak długo, aż rozboleły mnie wszystkie żebra i osłabłem, po części również na skutek nagłej ulgi.

- Rekonstrukcja - powiedziałem w mym własnym języku. - Sztucznie wyhodowane zwierzę z Czarnego Czasu - roześmiałem się serdecznie. - Miły kiciuś...

Gryfon obserwował mnie z łagodnością, lecz niezwykle uważnie, przekrzywiwszy głowę na jedną stronę jak gigantyczny ptak.

- Podziękowania dla twych mistrzów - powiedziałem w mowie snu. Przyszło mi to łatwo. Otarłem oczy z ostatnich łez śmiechu, odpiąwszy zniszczony pas. - Tak naprawdę to nie jestem głodny, lecz kufel piwa byłby mile widziany - wybrałem i założyłem nowy pas, schowałem miecz do pochwy.

Gryfon ziewnął (a może był to uśmiech) i przekroczył połamane łóżko.

- Sądzę, że mamy gdzieś jedną lub nawet i trzy beczułki piwa w piwnicy. Ale, ale; pozwól, że cię przeproszę, że wszedłem tu bez zapowiedzi - spojrzał na mnie z ukosa. -

Musiałem cię chyba szpetnie przestraszyć.

Spojrzałem na łóżko.

- Zdaje się, że, hm, połamałem to...

- Nie zwracaj uwagi na ten drobiazg. Tam, skąd je wzięliśmy, jest ich jeszcze wiele.

W tych okolicznościach to zrozumiałe - podał mi łapę - Słuchaj teraz. Najpierw zabiorę cię na dół na jakąś przekąskę i natoczmy tego piwa. Potem czeka nas audiencja u Mocy. Nazywam się Goldspur.

Błyszczące, ostre jak brzytwy szpony schowały się między skórzastymi poduszczkami. Niepewnie ująłem pełną elegancji łapę.

- Moje imię Xaraf z Plemienia Firebridge.

- Doskonale, zuchu! Miło mi cię poznać! - orla głowa zakiwała się serdecznie. -

Muszę wyznać, Xarafie, że twoje plemię jest mi nie znane. Ach, świat jest cudowny w swej rozległości i różnorodności, nawet dla kogoś, kto tak jak ja, przebywa blisko siedziby tych, którzy wiedzą wszystko. Wszystkowiedzących inaczej.

Wykonał jakiś gest prawą łapą. Iskierki światła zamigotały wokół nas jak drobne gwiazdki. Przez chwilę zrobiło mi się czarno przed oczami i poczułem lekki zawrót głowy.

Sypialnia - z jej zapachem kwiatów, jej dźwięczącą melodią, z jej rozwalonym łóżem -

zniknęła. Staliśmy w obszernym pokoju o podłodze z kamiennych płyt i ścianach wykładanych na sposób starożytnych piaskowcem i kafelkami. Tam, gdzie stałoby połamane łóżko, gdyby nadal była to sypialnia, widniał wielki, ręcznie ciosany dębowy stół

inkrystowany surową, prostą mozaiką z błyszczącego obsydianu.

Gapiałem się na to z otwartymi ustami.

Ławy pod ścianami zarzucone były owocami i jarzynami, jakich nigdy nie widziałem: blade bulwy trufli, żółte liście, purpurowe szyszki, coś długiego, liściastego; strąki, jakby fasoli; czerwone kule - wszystko to drażniło moje powonienie słodkimi i cierpkozołowymi zapachami. Było to cudowniejsze od wszystkiego, co widywałem w targowe dni w Zielonym Mieście. Żaden z płatów leżącego obok białego i ciemnokrwistego mięsa nie nosił nawet śladów robactwa (czego zresztą można było się spodziewać), zające i drób wisały u krokwi.

Stojąca z boku szafka zawierała kryształowe karafki z wódką i winem. Nagle poczułem, jak bardzo jestem głodny. Rozejrzałem się wokół - zdumiony i zachwycony dzikus.

- Poszukaj sobie stołka - Goldspur przeszedł przez padającą z oszklonego okna smugę koralowego, słonecznego światła - a ja przygotuję szybko coś do zjedzenia.

- To najcudowniejszy sen - mruknąłem i usadowiłem się posłusznie na drewnianym trójnogu.

Takie wyjaśnienie sprawy niezbyt mnie jednak zadowoliło. Bo i czy można śnić, wiedząc o tym, że

się śni? Darkbloom twierdził wprawdzie, że jest w tym mistrzem; określał

to, jak pamiętałem, jako „świadomy sen” i przewidywał zapoznać mnie z tym fenomenem w trakcie dalszej mojej nauki. Niemniej spekulacje na ten temat nie wydały mi się specjalnie wiele warte.

Z ponurą miną rozartałem posiniaczone ramię. Nie, tak realistycznych snów nie ma...

Czy mogła to być kraina przyszłości, której nadejście głosili kapłani z Kisheh?

Przyszłe, osiadłe życie mego wędrownego ludu? A może był to świat bogów Darkblooma?

Zapach pieczonego steku położył kres dywagacjom, napędzając mi ślinę do ust.

Nie. O ile ostrożny Darkbloom nie zataił niczego przede mną, nie było nic, czym mógłbym wyjaśnić to wszystko, nie było doktryny, która głosiłaby istnienie takiego właśnie życia pozagrobowego jak to tutaj.

Całe moje doświadczenie! Teraz śmieszy mnie wizja tego nieokrzesanego, niesforne go chłopaka, którym byłem.

Wzruszyłem obolałymi ramionami i odłożyłem w mej prostoduszności na bok wszelkie spekulacje.

Uszczęśliwionym wzrokiem wodziłem po pociemniałych od dymu krokwiach, półkach błyszczących złotymi i porcelanowymi naczyniami o delikatności i przejrzystości błękitu nieba.

Obok rozległ się głos gryfona.

- Łyknij sobie, mój chłopcze - Goldspur wydawał się teraz być o wiele swobodniejszy niż ja. Cóż, skoro formalności zostały załatwione...

Nie przyszło mi nawet do głowy, by zdziwić się, jak niby zwierzę wyposażone w skrzydła i łapy mogło przygotować posiłek. Jeśli świat wiruje wokół mnie i pobłyskuje dziwnymi iskierkami, to cóż znaczy jeszcze trochę cudów? Tak pomyślawszy zapatrzyłem się w niesiony przez gryfona pienisty kufel wypełniony, prócz piany, musującym płynem.

- Nadziej mnie na rożen, jeśli nie trafiłem w twój gust! - zawołał gryfon serdecznie.

Kufel przejechał zgrabnie po stole, trafiając wprost do mojej prawej ręki, czyniąc tym samym drogę dla wielkiego półmiska z sosem, w którym pływały kawały wołowiny i dwóch mniejszym półmiskom z sałatą, obsypaną już żółtymi, mięsistymi owocami smakującymi, jak się potem przekonałem, nie mniej ostro niż oliwki. Nie mogłem znaleźć słów, by zareagować jakoś na tę wystawność. Zważyłem w dłoni cynowy kufel i pociągnąłem łyk grzanego piwa.

Otarłem pianę, która skapnęła mi na przedramię, czknałem z błogą przyjemnością. Śmieszyl

mnie teraz widok gryfona przykucniętego na posadzce na kształt gigantycznego, groteskowego przy tym, psa łańcuchowego.

Później wyroiły się na stół różne sztuce z kutego srebra i pozęgłowały niezwłocznie w moim kierunku, trącając moje łokcie po właściwych stronach na rozległej płycie stołu.

Osobliwe szczypce i srebrne szpikulce wprawiły mnie na chwilę w zakłopotanie. Spojrzałem na mego gospodarza. Dyplomatycznie zainteresował się czymś w innym kącie pokoju.

Rezygnując z subtelności, zanurzyłem palce głęboko w parującym posiłku.

- Twoi mistrzowie - powiedziałem z pełnymi ustami - cenią sobie dobry stół?

Goldspur wydał z siebie gardłowe krakanie.

- Drogi Xarafie, z jak odległego kraju przybyłeś, by sugerować coś takiego? Wiesz przecież z pewnością, że Moce są zbyt dalece rozwinięte, by móc ulegać pokusom ciała.

- Naprawdę? - nie mogłem, zrozumieć, na czym miałyby polegać takie rozwijanie się.

- Dla jakich zatem smakoszy przeznaczona jest ta doskonała kuchnia?

- Przecież tu nie ma nic, poza prostymi, zwyczajnymi potrawami dla niewymagających sług Mocy - Goldspur był szczery. - Wikt jest po prostu dość smaczny i bardzo obfity.

Pijąc chciwie resztę piwa, zasłoniłem oczy. Bez trudu przypomniałem sobie ponure miesiące rzadko trafiających się posiłków, kiedy mój koczowniczy lud przeganiał stada trzody z gór, gdzie spędzały lato, na zimowe pastwiska. Nawet w tych otoczonych pogardą miastach żyjących z uprawy roli, tak jak Berb-Kisheh, gdzie zboża uzyskiwanego z nawadnianych i użyźnianych ziem starczało z nadwyżką dla domowych potrzeb i na handel; gdzie sady przynosiły obfity plon niezwykłych przysmaków i gdzie przybywaliśmy wymieniać nasz ser i mięso na kruszec i towary, nawet w tych miastach widziana przeze mnie obfitość tej kuchni uważana byłaby za niebywałą. Ton gryfona jednak nadal był szczery, pomieszany teraz na pół z dezaprobatą.

- Powiedz mi jedno, Goldspurze - chodziłem nerwowo, porzuciwszy stół, tam i z powrotem przed skrzydlatą bestią. - Kto to są Moce? Zdaje mi się, że to ich głosy słyszałem odbijające się echem w jakiejś wielkiej, czarnej komnacie, zanim usnąłem.

- Jeśli słyszałeś Ich przemawiających, to spotkało cię więcej szczęścia, niż zdarzyło się to kiedykolwiek ogromnej większości tego plemienia.

Gryfon mówił to z uroczystą powagą, nadając słowom ostrą barwę obraźliwej zarozumiałości. Jego orla głowa odwracała się w ślad za mną, gdyż nadal wędrowałem. Bez słowa lub gestu doprowadził do tego, że puste talerze, półmiski i czary pospieszyły w powietrzu w swoją stronę, zapewne do ukrytej zmywalni. W jego głosie zabrzmiała arogancja.

- Moce nieczęsto mają ochotę mieć do czynienia ze śmiertelnikami.

Spostrzegłem, że szczerzę zęby w uśmiechu.

- Może być i tak, jak mówisz. Może sprowadzili mnie tutaj i oddali w twoje ręce...

Ach, twoje... - odchrząknąłem znacząco. - Przepraszam.

- Wszystko w porządku, człowieku. Nie potrzebuję niezdarnych palców, by skłonić ten prostacki świat do spełniania moich rozkazów.

- Chociaż niezupełnie tak - powiedziałem kontynuując poprzedni wątek.

Wydłubywałem przy tym drewnianą wykałaczką kawałeczki mięsa z zębów. Wykałaczka pozostała w osobnej czarce po sprząnięciu naczyń ze stołu. - Przypuszczalnie te Moce życzą sobie porozmawiać ze mną. Dowiem się wtedy o nich więcej.

Gryfon z godnością podniósł swe masywne cielsko.

- Moce są dobrymi, mądrymi i niewidzialnymi Panami tego świata. Wezwą cię do siebie wkrótce i będziesz z Nimi obcować i poznasz Je twarzą w twarz i będziesz drżał wobec Ich potęgi. Lecz nie będziesz się „porozumiewał” w rozmowie. Naucz się pokory, człowieku, póki jeszcze masz czas na taką lekcję. Oni są mistrzami tej Warowni, bogami między tymi z nas, którzy pozostali, by błądzić po umierającym świecie.

Mój żartobliwy nastrój beztroski przysł w jednej chwili.

Sztuczna istota mówiła całkiem poważnie.

Wydało mi się, że jakaś pięść ściska mi jelita, obejmuje serce i czyni to coraz mocniej.

Poczułem się chory ze strachu, tego samego strachu, który poznałem już w pomieszczeniu z nagrzanego metalu. Przyjemny urok łoża i stołu zniknął. Wszystko co zostało, owiewając moją twarz mroźnym wiatrem, było przerażającym majestatem tego Dworu Demonów.

Zmusiłem się do mówienia.

- Jeśli musimy iść, to chodźmy teraz.

- Czekaj - Goldspur załopotał wielkimi, lśniącymi skrzydłami, uderzając szponami o posadzkę. - Sami cię poproszą. Spytam, czy to już.

Jakiś nieuchwytny dla ucha rezonans poruszył powietrze.

Wysokim, metalicznym grzmotem rozbrzmiał gong.

- Przygotuj się - mruknął gryfon. W jego chłonałym różowoczerwone światło zmierzchu oczach żarzyły się purpurowe cętki. - Moce cię przyjmą.

Otoczyły mnie migoczące iskierki.

- Żegnaj - powiedział gryfon, znów serdeczny, gdy spadła na mnie ciemność.

Usłyszałem, jak przemawia do siebie sentencjonalnie. - To wstyd, że nie zapamiętasz nic z tego, mój stary.

Stałem pod gołym niebem, na ociosanym ludzką ręką szczycie góry, a w każdym razie takie było moje pierwsze wrażenie. Bezgłośny wiatr pędził po purpurowym niebie karmazynowe chmury szarpane na strzępy szkarłatu, szafranu, rózu.

Wiatr ten mógłby mnie unieść jak gałązkę i rzucić w przepaść, która otwierała się tuż za krawędzią tarasu.

Stałem, tam gdzie mnie przeniesiono, nie mając odwagi się poruszyć. Cztery punkty oślepiającego światła, dwa na zachodniej, dwa na wschodniej części widnokręgu, lśniły jak rozżarzone żelazo.

Odwróciłem od nich nic nie rozumiejące spojrzenie i przez chwilę widziałem jedynie utrwalone w oku ich obrazy. Nadal nie słyszałem wiatru. Później zrozumiałem, że stałem pod osłoną kolosalnej kryształowej kopuły, która oddzielała mnie od niepowstrzymanej, omiatającej szczyt góry furii.

W końcu zmusiłem się, by spojrzeć na wycinek nieba między tymi groźnymi rydwanami światła. Nie od razu zorientowałem się, co widzę. Teraz wiem już, co to było. W

połowie wysokości nieba ogromne jak koło u wozu, ponure jak starożytny, toczony czarnym rakiem bożek, widniało rozżarzone do czerwoności jak węgiel, umierające Słońce.

Zrozumiałem to w końcu za sprawą wielkiej melancholii, jaka mnie ogarnęła. W ten smutek wtargnął jakiś odległy głos. To przemówił niewidoczny, zimny bóg.

- Patrząc na twoje zachowanie, Mistrzu Xarafie, można by pomyśleć, że nigdy dotąd nie widziałeś nieba.

- Nie - czułem samotność, która objawiała się w ogarniającej mnie apatii. Odebrano mi wszystko, co było mi znane. Czekałem, aż zelży ucisk w mej piersi. - Nie, nigdy dotąd nie widziałem nieba tak zbezczeszczonego i ponurego, jak to.

Spuściłem oczy, odwróciłem się i spojrzałem tam, gdzie siedziały Moce.

I mój smutek przemienił się w złość.

- Niech was zgnilizna stoczy, niech was diabli wezmą, bądźcie przekłęci, czemu ja tu jestem? - miecz niemal sam znalazł się w mej dłoni. - Raz już złamałem mój ślub. Nic mnie teraz nie powstrzymuje. Zabiję was wszystkich.

Jeden z nich odezwał się do mnie kojąco, jak stary stajenny uspokajający przerażonego, narowistego żrebaka:

- Nie masz się czego obawiać, Xarafie. Schowaj miecz - był to głos znany mi z czarnej komnaty, pamiętany niezbyt wyraźnie jako ten drażliwy, zrzędzący.

- Chodź, usiądź sobie. Porozmawiamy.

Drżący i cały lepki od potu, usiłowałem trwać w bezruchu. Gapiłem się na czarowników usadowionych nade mną na wspaniałych tronach. Jeden z nich był nawet młodszy ode mnie; tak przynajmniej wyglądał - blady, piękny młodzieniec o oczach szarych jak zimowe pustkowie; oczach, które miały prawo widzieć góry skruszonymi i oceany wyschłymi w pokłady soli - czasy nieodwołalnie minione.

Poprawiając swe z pewnością bezcenne szaty, młodzieniec ów odezwał się z chłodną uprzejmością.

- Witaj, Mistrzu Xarafie. Jestem Mocarz Jesrilban Julix.

Inny z nich był surowy i siwy. Pod zdobionym płaszczem kryła się jednak postać barczysta jak u wojownika.

Był on stary, stary jak Czas, na przekór swej krzepkości.

- Jestem Mocarz Ah Balmorg.

Kolejny był blady i łysy, jak lata, które dźwigał, kruchy jak pomarszczony pergamin; żyłki pod skórą jego pełnego bruzd oblicza przypominały płataninę błękitnych nici.

- Usiądź, zuchu - z blaskiem pierścieni jego ręce splotły się na podołku. - Możesz mówić do mnie Mocarz Eis Creid.

Słodkoostra woń kadzidła podrażniała moje nozdrza. Dym snuł się wolno z zawieszonych na łańcuchach naczyń, kłębiąc się z wdziękiem, z lekka kpiąc ze szkarłatnego piekła poza kryształową kopułą, poruszany tylko lekkimi prądami powietrza. Odezwałem się dość niegrzecznie.

- Czego chcecie ode mnie?

- Chcemy... - Balmorg zastanowił się przez chwilę - twego zaufania.

Szczera, spokojna twarz zdawała się nie kryć ni cienia cynizmu.

- Jak mogę wam zaufać? Nie zrobiliście nic, by na to zasłużyć. Po raz ostatni pytam, dlaczego tu jestem?

Piękna twarz Mocarza Jesrilbana Julixa pociemniała.

- To do ciebie, Mistrzu Xarafie, należy wytłumaczenie się z obecności tutaj. My postąpiliśmy z tobą uczciwie. Pomyśl! Opatrzyliśmy twoje skaleczenia, przyszliśmy ci z pomocą, pozwoliliśmy ci odpocząć wewnątrz Warowni, do której żaden inny człowiek nie wkroczył od tysiący lat.

- Jesrilbanie - Creid, ten starożytny, obrócił się nieznacznie na swym marmurowym tronie, podnosząc ostrzegawczo dłoń. - Zgodnie z twą własną hipotezą, ten młody człowiek nie ponosi całej winy za to, co się stało. Jest przy tym zupełnie oszołomiony. Postępuj z nim łagodnie, mój drogi.

Młodzian przyznał niechętnie:

- Tak jest - i spojrział w dół, na mnie. - Mistrzu Xarafie, przedstaw mi swe niezwykle zdarzenie.

- Odeślijcie mnie do domu - powiedziałem.

- Sprawa jest skomplikowana. My, w Warowni, jesteśmy od dawna izolowani od świata ludzi. Nasze odosobnienie jest uświęcone tradycją i przestrzegane. Potrzebny nam jest spokój, by bez przeszkód ze strony śmiertelników prowadzić nasze studia.

Julix podniósł się: szczupły, przystojny, wyniosły.

- Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musimy chronić nasze prawo do odosobnienia.

Przetrwanie tego świata zależy od niego i od pomyślnego ukończenia naszej pracy - podniósł

ramię, tak że jeden z jego bladych palców wskazywał rozległą, zamazaną kulę wiszącą na purpurowym niebie.

- Spójrz na Słońce!

Wytrzeszczyłem oczy na rozmigotany koszmarny.

- Gwiazda umiera - powiedział Julix. - Jej energia jest już na wyczerpaniu. Wkrótce zgasną ostatnie płomienie jej paleniska - rysy jego twarzy wyostrzyły się, ożywiły. - Ten zielony świat, źródło kwitnącej inteligencji i wrażliwości, umrze wraz z nią.

Jego ramię opadło bezwładnie. Przyjrzał mi się lodowo - szarymi oczami.

- Postawiliśmy sobie za cel uzdrowienie tej gasnącej gwiazdy. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy opuścić i ten świat, zabierając ze sobą resztki jego budzących litość mieszkańców. Nie byłoby to aż tak istotne wydarzenie. Tysiące tysięcy generacji odeszły już ku ciemnej pustce i jej gorejącym słońcom. Jednakże my nie chcemy tego uczynić. Ta ziemia jest naszym domem, to Słońce jest jego ginącym źródłem życia.

Puls łomotał mi w skroniach.

Serce biło mocno, gdyż pojąłem intencję zawartą w słowach Mocy.

Nie byłem w stanie zrozumieć więcej niż czwartej części tego, co mi powiedziano, lecz czułem doniosłość tych słów, zawartą w nich nieugiętą wolę, pasję, która kierowała czynami tego wiekowego młodzieńca.

Julix wyrażał się spokojniej, lecz jaśniej:

- Kiedy Słońce rozdeło się w ostatnich konwulsjach, przesunęliśmy ten świat na chłodniejszą orbitę. Odarliśmy gazowe olbrzymy tego układu z paliwa, po czym rozpaliliśmy z jego pomocą te cztery

miniaturowe słońca, które wiszą teraz nad światem. Lecz to tylko półśrodek, który łagodzi objawy, nie mający wpływu, na to, co powoduje chorobę i nie mogący jej powstrzymać.

Odwrociłem się od tych mroźnych oczu i, znalazłszy ręką puste, wysłane skórą krzesło, które pojawiło się tuż obok mnie, opadłem na siedzenie.

- Nie pojmuję twych słów, czarowniku - burknąłem. - Będę jednak słuchał dalej.

Powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz, jaką rolę wyznaczyłeś dla mnie w tym kolosalnym przedsięwzięciu.

Balmorg pochylił się do przodu.

- Z uporem zadajesz niewłaściwe pytania. To nie myśmy tu ciebie przenieśli. Niczego od ciebie nie żądamy, prócz wyjaśnienia, w jaki sposób dostałeś się do Warowni.

Mogłem tylko potrząsnąć głową.

- Jeśli moje przybycie tutaj odbyło się bez udziału waszej sztuki magicznej, to musiało być dziełem jakiegoś innego czarnoksiężnika. Sądziłem, że zrobiły to demony z Czarnego Czasu.

Creid uniósł z zainteresowaniem swe stare brwi.

- Zdjaj nam relację ze wszystkich twych działań, które miały miejsce, zanim zjawiłeś się w Solar Matrix.

- W tej metalowej komnacie?

- Tak.

- No cóż, zagubiłem się w burzy śnieżnej. Dostrzegłem w niej ognistą kulę światła.

Zimną, lecz niezwykle jasną. I wpadłem...

- Więc mieliśmy rację. To nadzwyczajne! - westchnął Jesrilban.

- Musimy ustalić ten punkt, w którym on dostał się do wnętrza - powiedział Balmorg potężnym basem.

- Jeśli nie zawrócimy go do ściśle określonego złącza przestrzenno-czasowego, kontynuacja naszych działań będzie zagrożona.

- Biorę to pod uwagę - rzekł Creid. - Czy faktycznie nie mogła to być po prostu transpozycja w czasie, która zaistniała w związku z naszym przesylem energetycznym i która porwała ze sobą tego młodego człowieka?

Nie potrafiłem na tym skupić uwagi. Ta część dyskursu Mocy nie miała w sobie nic, co mogłoby

przynieść mi pożytek, więc ją zignorowałem. Niemniej zrozumiałem, że oni tu byli autentycznie zaintrygowani moją obecnością w ich fortecy. Nie mniej, w każdym razie, niż ja sam.

Pozwoliłem mojemu spojrzeniu myszkować po komnacie. Przyglądałem się tajemniczym przyrządom z jasnego metalu i ozdobom, które pokrywały ściany i które zmieniały się z wolna, kiedy patrzyłem na nie zachwycony gracją tych przeobrażeń.

Wyglądało na to, że usilnie starają się coś mi opowiedzieć, lecz nie byłem w stanie nadążyć za nimi myślą. Gdzieniedzie stały dziwaczne rzeźby w mlecznym, miękkim i zachwycającym jak płatek kwiatu tworzywie.

Dokuczające mi dotąd poczucie zagubienia jakby osłabło.

Warownia była straszliwa i cudowna zarazem. Darkbloom wpoił mi instynkt wścibstwa i bezkompromisowości, które, nawet kiedy byłem tylko dzieckiem, czyniły mnie w przekonaniu moich głupkowatych krewnych, bardzo nieszczęśliwym.

Odkryłem w podnieceniu, że narasta we mnie potrzeba zbadania tego miejsca, do którego zostałem sprowadzony, tego świata pod rozdętym słońcem i czterema miniaturowymi gwiazdkami, gdzie żyją ci demoniczni książęta i sztuczny gryfon.

Poruszyłem się niecierpliwie w głębokim krześle, a mój miecz uderzył zimno i ciężko o nogę. Moce nie zwróciły na to żadnej uwagi. W końcu, kipiąc ze zdenerwowania, usłyszałem, że Creid mnie woła.

- Młody człowieku, konieczne jest, byśmy zlokalizowali miejsce, skąd do nas przybyłeś, i szybko cię tam zawrócili.

Teraz, o paradoksie, poczułem się oszukany. Zmartwiłem się, że ci cudotwórcy mogą być aż tak chętni do pozbycia się mnie.

- To dość proste - mruknąłem niechętnie. - Klan Firebridge rozbił obecnie obóz na wysokich pastwiskach doliny Rezor-Azer, pod osłoną Długiego Lodowca.

Siwobrody starzec uśmiechnął się - jak mi się wydało - pobłaźliwie.

- Obawiam się, że sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, mój drogi. My już wiemy „Gdzie”, musimy jeszcze wydostać od ciebie informację „Kiedy”. Musisz podać nam układ gwiazd twego czasu, jeśli go pamiętasz.

Nonsens, pomyślałem z gniewem. Całkowity nonsens. Za każdym razem, gdy zbiera im się na wyjaśnienia, natychmiast popadają w wygłaszanie niezrozumiałych idiotyzmów.

- Gwiazdy? Wszystkie rzeczy w przyrodzie - powiedziałem, może nawet trochę zjadliwie, biorąc się do wyliczania - są zmienne: lód, pory roku, ptaki, zwierzęta, ryby w rzece; tylko gwiazdy pozostają niezmiennie.

Wówczas Jesrilban Julix przemówił znowu, a jego głos zdawał się mieć w sobie ślad suchych i nużących wiatrów wieczności, wiatrów otwartego pustkowia.

- Mylisz się, Xarafie - rzekł. - Nawet gwiazdy się zmieniają, gdy dać im na to dość czasu. Popatrz na gwiazdę, którą nazywamy Słońcem.

Czas.

Nie pomyślałem o tym. Patrzyłem na Słońce, które w swej eksplozji rozděło się na czwartą część nieba i nie miałem dość odwagi, by o tym pomyśleć. Wykrzyknąłem:

- Czas? Ile czasu trzeba, by Słońce wypaliło się na żużel?

Julix ukazał twarz jak wyrzeźbioną z bladego marmuru, zbyt młodą i zbyt starą, by pamiętać smutek.

- Tysiące, tysiące lat, Mistrzu Xarafie. Twój lud i twój świat są prochem od lat miliona.

Podnieśli się następnie wszyscy trzej, prostując wspaniałe szaty i cicho, po kolei, zeszli z podium.

Przypominam sobie z tego tylko mgliste obrazy:

Balmorg podszedł do wznoszącego się z podłogi szeregu kolorowych świateł.

Julix, zwinny i wyniosły jak potomek jakiegoś potentata z Północy (przeminęli, powiedziałem sobie, umarli i skruszyli się w pył i proch), podszedł do skomplikowanego przedmiotu, całego z iskrzących się kół i lśniących rurek, w których rozpychały się zielone i żółte paciorki (w górę i w dół, w górę i w dół). Creid, schylony pod ciężarem wieków, zbliżył

się ostrożnie do pokrytego srebrem i nefrytem przedmiotu, który przypominał mi nieodparcie relikwiarz.

Światło wkoło zawirowało i wessało mnie. Tęcza wygięła się nad odmętym. Omamiły mnie pieśni, piskliwe jak krzyki nietoperza.

Moje nogi znalazły się w wodzie. Usiłowałem się podnieść, lecz nie mogłem wyrwać się z miękkiego uścisku krzesła. Moje nozdrza wypełniły się zapachem jakby pieprzu, a Mocarz Creid - jego twarz cała w zmarszczkach i jasne surowe oczy - nachylił się nade mną, przynosząc z otwartego relikwiarza to, czego szukałem tak pilnie po przebudzeniu i co, jak miałem nadzieję, zginęło ku mojej uldze: trzymał przede mną, zaciskając palce na brudnych splecionych włosach, łypiącą złośliwie, zabłoconą i zakrwawioną, odrąbaną głowę Rokhmuna... - wstrząs uderzenia przechodzi moje ramię... krew kapie jasnymi kroplami w zamierającym pulsie... szary, wirujący śnieg, błotna breja splamiona czerwienią, moje ogromne, ryczące baluchitherium i zwałające się bezgłowe ciało mego wroga...

*

- Krzyczałem przeraźliwie z nienawiści, czując się zdradzonym...

Głos, łagodny jak głos stajennego, przemówił do mnie ze spokojną stanowczością: ODPOCZNIJ TERAZ, XARAFIE. TO NIC, TYLKO ZŁY SEN, ZWYCZAJNE

WSPOMNIENIE... ODPREŻ SIĘ I POZWÓL SIĘ KOŁYSAĆ DELIKATNYM FALOM

CIEPŁA... WIDZISZ, TERAZ JEST CAŁOWANE SŁOŃCEM LATO, SŁODKIE I PACHNĄCE... JEST NOC, JASNA, ŁAGODNA I CIEPŁA, NOC BEZCHMURNA...

POŁÓŻ SIĘ ZATEM NA PLECACH, SPOKOJNIE, W SZELESZCZĄCYCH LETNICH

TRAWACH, PATRZ NA NIEBO ROZJAŚNIONE GWIAZDAMI, BŁYSZCZĄCE NAD

TOBĄ ZNAJOMYMI CI KONSTELACJAMI... POWIEDZ MI TERAZ, XARAFIE, GDZIE

JEST NA TYM CIEPŁYM, SŁODKIM NIEBIE NAJJAŚNIEJSZA GWIAZDA?...

I rzeczywiście. Leżałem w słodkich, szumiących trawach przełomu wiosny i lata, zaciskając odprężone i ciepłe prawe ramię wokół szelmowskiej dziewczyny z Berb-Kisheh, którą zwabiłem tu z jej ceglanego fortu, by spędziła ze mną rozkwitającą kwiatami noc.

Pilnowałem wtedy stad na pastwiskach ponad miastem. Z rozmarzoną ufnością pokazywałem jej gwiazdy, których obserwowaniem, zgodnie z miejskim, ignoranckim wychowaniem, nigdy nie zaprzętała sobie głowy: dzikie, jasne oczy Wielkiej Alki, rozłupaną czaszkę Poległego Wojownika (zadrżała i zapiszczała w udanym przestרחu, tak że musiałem zacieśnić mój uścisk wokół niej, przycisnąwszy do siebie jej piersi, całować zarumienioną twarz), kształt Śnieżnej Gęsi; daleki, niewyraźny bój Dzika z Niedźwiedziem, tak zamglony, nawet w tym kryształowym niebie, że musiałem uczyć ją, jak patrzeć „obok” raczej niż „wprost” na niego, aż zaczęła chichotać i szarpać mnie, wyciągając moją grubą koszulę z workowatych spodni, przesuwając swe wszędobylskie dłonie gdzie tylko się da, podczas gdy ja krzyczałem, śmiejąc się, z narastającego pożądania, a zwierzęta drzemały w pachnącej piźmem nocy...

- Obliczenia są kompletne, Eis. Opisał niebo takim, jakim było blisko milion lat temu.

- To znaczy, że został uchwycony w przedostatnim punkcie węzłowym.

- Jak zdołał zachować jedność psychosomatyczną podczas przejścia?

- Tajemnica.

- Taka odpowiedź nie może wystarczyć.

- A jakiej odpowiedzi żądasz? Nie wiem. To tajemnica.

- Jedna rzecz jest jasna: on jest naprawdę niezwykłym okazem. Pamiętasz, jak to było.

On pochodzi z okresu prehistorii, kiedy to *homo sapiens* dopiero co wyszedł ze stadium pozbawionego złożonej mowy zwierzaka. Koordynacja funkcjonowania korowych i ośrodkowych

struktur jego mózgu nie jest jeszcze pełna.

- Czy może on być wynikiem jakiejś mutacji?

- Filogenetycznie sytuacja jest dość płynna. Koncepcja specyficznej mutacji niczego tu nie wyjaśnia.

- To wszystko prawda, ale to nie tłumaczy jeszcze niespodziewanej utraty energii w trakcie przesyłu. Jestem przekonany, że jego obecność tutaj nie jest jedynie prostym zbiegiem okoliczności.

Logika twego rozumowania jest bez skazy, Jesrilbanie. Jako wyjaśnienie przyczynowo-skutkowe jest natomiast bez wartości.

- No, no, moi drodzy. Wysondowanie historii jego życia prawie już nam się udało.

Musimy opracować to, co tam znaleźliśmy.

Płynąłem przez euforyczne halucynacje, paplając czyimś głosem, który załagał się w moich ustach, Głos zaś nieprzerwanie pytał, badał, pobudzał...

*

Wspomnienia radosne i cierpkie.

Moja kuzynka Lleehn miała smak soli i płynów ostrzejszych niż roztopiony śnieg: młodego potu, lepkiego żaru naszych ciał, zastarzałego zapachu wyschłego moczu, wszystkich tych śliskich wilgotności, miodów i cierpkości miejsca, przez które nasze ciała łączyły się teraz rozedrgane. Zlizywałem sól z jej małych, ciemnych piersi, lizalem jej oczy penetrowałem językiem pełne wosku uszy, gardło, wpijałem się w przyciśnięte do moich pośladków umięśnione nogi - jej pięty tłukły mnie, zęby wbijały się w moje ciało. Gryzła, śmiała się, i każdy fragment mojego wnętrza, każdy kawałek mojej skóry, tak jak i zmysły, i mózg - były jednością, tak jak Darkbloom nauczał mnie, że będą; jednością oszalałej rozkoszy i radości, podczas gdy Lleehn traciła już nad sobą kontrolę - jej ciało wiło się w drgawkach, jej głos wznosił się coraz wyżej w jęku pieśnią zdolną spowodować, by ogier baluchitherium stanął dęba, parskając na całe stado.

Ciężka ręka opadła na moje ramię.

Oszołomiony, przegapiłem tę chwilę; odwróciłem głowę uniósłszy prawą rękę, by uderzyć czającego się w cieniu namiotu intruza.

Pieśń Lleehn załamała się, przechodząc w alarmujący wrzask, gdy została spode mnie wygarnięta, i gdy zamajaczyła przede mną rozgniewana i zaskoczona twarz mojego ojca.

W ostatniej chwili powstrzymałem zamach mego ramienia, które było gotowe uderzyć jak strzała z silnie napiętego łuku.

To by go zabiło.

Chciałem go zabić.

Wzdrygnąłem się, gdy zdałem sobie z tego sprawę.

- Ściągaj to! - wrzasnął Golan. Był wściekły. - Hańbisz mnie, Xarafie. Hańbisz siebie -

ujrzałem szaleństwo w jego oczach, używał go jak wyostrzonego narzędzia, by na zebraniach mężczyzn zastraszeniem i groźbą przeprowadzić co tylko chciał.

Tym razem było to coś więcej niż szaleństwo.

- Czy uważasz, że skóra i metal są aż tak godne pogardy, że musisz rozwalać się dniem i nocą w jedwabiach jak kobieta?

Przerażona Lleehn skuliła się w kącie namiotu.

- Czy mięso, które służy naszym wojownikom, jest aż tak podłe, że musisz napychać swój miękki brzuch owocami z sadów Kisheh?

Zamaszysty cios potrzaskał drewniane talerze, rozsypały się z tac melony, purpurowe winogrona, morele, kosztowne przysmaki, chronione od zepsucia w wyrąbanej w lodowcu grocie. Napiąłem jak postronki mięśnie brzucha. Miękki brzuch? Pokazałbym, jak potrafię go rąbnąć! Nic jednak nie powiedziałem, skoro był tak wściekły.

Obrane owoce toczyły się przez zakurzoną podłogę.

- Słyszałem, że jesteś bystry w szachach - rzekł Golan jadowicie. - A jak ci się wiedzie w walce, mój synu? Kiedy ujrzemy twoją odwagę poddaną próbie żelaza przy karaniu złodziei?

Schwycił w garść moją szmatę i przywłókł mnie przed swą własną szeroką, brudną pierś.

Z opóźnieniem przywołał moją skuloną kuzynkę.

- Wynoś się, flejtuchu! - ryknął. - To męska sprawa - nie bez zyczliwości szturchnął ją w głowę, kiedy cofała się przed nim. - Na przyszłość trzymaj swe cycki zakryte, a nogi razem, przynajmniej do zachodu słońca.

Kiedy odeszła, zwrócił się znów do mnie z ponownie czerwieniejącą twarzą.

- Chwileczkę, ojczy - moja własna twarz też musiała ukazywać moje emocje; byłem zimny jak górujący nad naszym obozem lodowiec, a całe moje ciało było napięte.

- Wiesz o moim ślubie.

- Zamknij się! - Golan splunął w pył. - Nie jestem tego ciekaw! Nie myślę o tym słuchać!

- Nie będę cicho! - zatrząsnęłam się z pasji, której nie mogłam już ukryć. Łzy gniewu zamazywały obraz

mego ojca. - Czy jest konieczne, by wódz plemienia Firebridge upokarzał

swego najmłodszego syna, jazgocząc jak wiejska sekutnica na kundla?

Teraz w głosie mego ojca nie było już żadnego udawania. Ryknął w gubiącym samego siebie gniewie.

- Szczać i srać na twój cholerny ślub! Czy dla takiego właśnie mazgajowatego, osłabiającego ślubowania twój prapradziad przejął krwawy i święty sztandar Wędrowców?

Czy Bogowie Śmierci żądali od twego przodka takiego babskiego ślubowania? Czy z tchórzostwa i złej woli twój dziad objął przywództwo całej hordy?

- To nie tchórzostwo, ojcze - powiedziałem z żalem. - Ślubowałem szacunek dla życia.

Zagłada jest sprawą demonów z Czarnego Czasu, które raz doprowadziły już świat do ruiny...

Stary człowiek prychnął. Z gorzką pogardą porwał na strzępy wilgotną, rozgrzebaną pościel, rzucając mi w twarz kawałki jedwabiu.

- Dobrze, że twój bezsensowny ślub nie osłabił przynajmniej twej męskości -

wpatrywał się we mnie przekrwionymi oczami, zupełnie jak drapieżny ptak.

- Czy może jednak osłabił? Słyszałem, że gustujesz w tych bźdzwiągwach z miasta.

Jak długo jeszcze potrwa, nim wzgardziwszy naszymi dojrzałymi dziewczynami, nie zaprosisz do swego cholernego łoża rozszechbiotanych chłopaczków Kishehma?

Na tym zakończył swe drwiny, gdyż moja pięść uderzyła w jego usta z mocą kamienia. Upadł w pył jak ścięte drzewo i leżał nieruchomo. Na jeden pełen przerażenia, wstrzymujący bicie serca moment, przykucnąłem nad nim. Moja zakrwawiona pięść była jeszcze uniesiona. Bezmyślnie cofnąłem się o krok i, ku memu przerażeniu, stwierdziłem, że po policzkach ściekają mi gorące łzy.

Powalony mężczyzna poruszył się, wstrząsnął głową, uniósł się na rękach. Nie spojrzał na mnie. Sparaliżowało mnie przerażenie.

Nagle brokatowymi zasłonami namiotu wstrząsnął radosny wrzask. Golan z trudnością stanął ocierając jedną ręką krwawiące usta, podczas gdy drugą owłosioną łapą walił mnie po plecach, aż moja głowa kołysała się od tej jego zwycięskiej uciechy...

Teraz, słysząc swój własny głos, opowiadający o tej chwili, nie czułem się ani strapiony, ani dumny. Wir obracał się, ja płynąłem, wszystko było ciepłe i wygodne, z moich ust dobywało się brzęczenie krążących nad falującymi na wietrze trawami owadów.

- To wiele mówi o tym młodym człowieku, lecz nie wyjaśnia, skąd on się tutaj wziął.

- Cierpliwości, Jesrilbanie. Niewiele pozostało do zbadania z jego krótkiego życia.

- Dotrzyj zatem do tego.

Czy to litość, czy ubolewanie słyszałem w jego chłodnym, wytwornym tonie?

- Biedne, śmiertelne stworzenie. Zapomniałem, całkiem zapomniałem.

*

Tej samej nocy siedziałem przy jarzącym się palenisku pośrodku wielkiego, obszernego namiotu wodza.

- Odpowiedzialność spoczywa na mnie, gdy się zastanowić... - mruknął ojciec ponuro.

Podniósł dzban krwawoczerwonego wina i nalał go do pucharu, ozdobnego łupu z jakiejś bohaterskiej zbrojnej wyprawy. Jakby po namyśle, sięgnął, by napełnić i mój, zwyczajny, puchar.

- Zbyt często bywałem poza obozem - zadumał się. - Nie powinienem był pozwolić, by wychowaniem moich synów zajmowali się inni. Nawet, jeśli - powiedział zgryźliwie, patrząc w moim kierunku z błyskiem w płonących oczach - inni moi synowie wyrosli na wspaniałych mężczyzn i nie ma wśród nich żadnego, który nie byłby zdatny na wojownika i dumny z nazwiska Firebridge.

- Nie mniej jestem z tego dumny od nich - powiedziałem pośpiesznie. - Stosownie do moich możliwości.

W chwili, gdy te słowa opuściły moje usta, pojąłem, że były pompatyczne i nie zabrzmiały przekonująco. Był to jednak odruch usprawiedliwienia się. Coś, co pojawiło się w przygnębionej twarzy Golana, szybko go uciszyło. Odwróciłem się do gasnących węgli i siedziałem już cicho. Mój ojciec milczał również. Jego ciężka ręka stuknęła w roztrągnięciu w masywny puchar. Podniósł się wreszcie, podszedł z wolna do wejścia namiotu, odsunął jedną połowę wejściowej zasłony, by spojrzeć w ciemność uspiętego obozu. Też się podniosłem.

Tylko ktoś bardzo młody lub niedoświadczony mógłby ośmielić się naruszyć zasady dobrego wychowania postępując inaczej.

Gdzeniegdzie jarzyły się ogniska obozowe. Przez otwarte wejście namiotu, wraz z podmuchami zimnego, pustynnego wiatru, docierały urywane głosy zwierząt i ludzi, którzy jeszcze nie udali się na spoczynek. Zahukała sowa. Ponad tym wszystkim świeciły na sklepieniu nieba jasne, bezlitosne, gwiazdy.

Wartownik przed namiotem odwrócił się, ukazując mroczną, czujną twarz. Golan odprawił go szorstko, pozwalając opaść zasłonie namiotu na swoje miejsce. Odgłosy nocy uległy przytłumieniu.

- Siedź, siedź - zwrócił się do mnie sardonicznie, kiedy raz jeszcze próbowałem dopasować moje ciało do jednego ze stojących w jego namiocie siedzisk ze skóry i bambusa.

- Twój nedorzeczny ślub nie zahamował przynajmniej twego wzrostu.

To była prawda i był to główny, o ile nie jedyny, powód, dla którego moi bliscy tak długo zostawiali mnie w spokoju, mimo że odmawiałem walki po ich stronie w różnych potyczkach.

Z szamanem zawarłem układ - pozwolił, bym nie naruszając mego ślubu, ćwiczył się we władaniu bronią na równi z innymi. Tak jak i oni poznałem sztukę walki mieczem, posługiwania się łukiem. W próbach siły podczas ćwiczeń zwyciężałem każdego.

Od początku okresu dojrzewania byłem najwyższy, najmocniej zbudowany ze wszystkich wyrostków w obozowisku Firebridge.

Na moje szczęście, lub nieszczęście, tak jak wszystko, co dla mnie charakterystyczne, i to było robotą Darkbloom. Każdego dnia odwoływał mnie na bok, zabierając na przejażdżki po lasach. Czasem zaś siadywał obok mnie, gdy pilnowałem stad i musztrował

mnie, zadając mi tajemne ćwiczenia, nie znane moim kłótliwym i niepozbiieranym braciom i kuzynom.

- Siła fizyczna jest złudzeniem - mówił mi, gdy z całej siły napierałem na potężną skałę, a moje ciało wzbierało mięśniami, których istnienia nigdy nie podejrzewałem i pot wyciekał ze mnie wszystkimi porami.

- Dlaczego w takim razie mnie mordujesz? - poskarżyłem się. - Daj mi spać. Jest za gorąco na takie głupoty.

- Przykucnij, zanim podniesiesz taki ciężar, głupi chłopaku. Tak jest dobrze. Teraz podnoś spokojnie. Nabierz głęboko tchu, zatrzymaj oddech na chwilę przed największym wysiłkiem, zrób wydech, gdy moc będzie z ciebie wypływać. Doskonale. Lecz to był tylko mały kamień. Spróbuj jeszcze raz z tym tutaj.

Zirytowałem się, zasapany. Oczy mnie bolały.

- Nie spróbuję. Siła fizyczna jest zaledwie złudzeniem. Po co wysilać się na próżno?

Darkbloom nie odpowiedział. Stał przed głazem, który miałem, zgodnie z jego życzeniem, podnieść: otoczakiem ogromnym i z niewymuszonym wdziękiem wziął go na plecy. Przyniósł go do mnie, oddychając spokojnie, z twarzą rozjaśnioną jak u dziecka. Po czym usiadł w kompletnej ciszy.

- Złudzenie, co?

W porównaniu ze mną, który ćwiczył już parę ładnych lat, Darkbloom był jak słomka.

Nagle poderwał jedną stopę, kierując ją błyskawicznie ku mojemu lewemu oku.

Zanim zdołała mnie dotknąć, przeniósłem swój ciężar, ramieniem zmieniłem kierunek ciosu i znalazłem się pod głazem.

- Spróbuj raz jeszcze, Xarafie.

Podniosłem głaz na swoich barkach, chrząkając przy tym jak dzik.

- Dobra robota, chłopcze. Teraz chcę zobaczyć, jak przykucniesz i podniesiesz się dwadzieścia razy, zanim odłożysz ten głaz. Mięśnie czwórgłowe i pośladkowe, Xarafie. Nie zapomnij też o swoich ścięgnach udowych. Coś jeszcze?

Chrząknąłem i podniosłem me brzemię.

- Mięśnie trójgłowe ramion. Dziesięć, Darkbloom.

- Dwadzieścia. Mógłbyś zrobić trzydzieści, gdybyś nie był tak cholernie leniwy. Jakie inne grupy mięśni?

- Ty bezlitosny eunuchu!

- Brzuszne. Musisz mieć mocny brzuch, Xarafie, żeby wypełnić swój ślub. Będą próbowali się złamać, byś stał się taki, jak oni. Wyśmieją cię i zakwestionują twoją męskość.

- Eunuch! - przykucnąłem i stanąłem po raz dwudziesty.

Nie czyniąc hałasu, umieściłem głaz z powrotem na ziemi i zwałem się obok niego.

- Prostujące grzbietowe - powiedział Darkbloom. - Siła fizyczna jest złudzeniem.

Wiedza nie. Wiedza jest Drogą, jest Metodą.

Myślałem o tym w ciemności namiotu mego ojca, ukłuty jego szyderstwem.

- Nie ma powodu, dla którego błogosławione doktryny Darkblooma miałyby wpłynąć na zahamowanie mojego rozwoju fizycznego, ojcze. Umysł i ciało pozostają w harmonii, która...

- Syfa można dostać od tych słów! Dość źle już się stało, że zniewieściałe poglądy tego poganina, nie mające prawa bytu w moim namiocie, zagroziły zepsuciem synowi moich lędźwi. Gdyby ta kreatura nie była tak niezwykle przenikliwa w swych czarach wieszczenia...

Golan splunął w płomienie, ślina zasyczała w ogniu.

- Ale jest i magia ciemniejsza, muszę powiedzieć ci to otwarcie, synu.

Zamrugałem. Golan był wojownikiem z upartą skłonnością do realizmu. Jego Rada składała się po części z szamanów i kapłanów, przesądnych gaduł i oportunistów, lecz przypuszczałem, że mój ojciec był w wystarczającym stopniu pragmatykiem, by nie darzyć nadmiernym zaufaniem ich tajemniczych przepowiedni. Uwagą wyróżniał jedynie porady przeklinanego i obrzucanego obelgami Darkblooma, chociaż rzadko przyznawał się, jak bardzo je cenił.

- Magia, ojcze?

- Czary lęgną się w tropikalnych krajach Północy, mój synu. Na ziemiach, gdzie nigdy nie widziano lodu ni śniegu, gdzie bezustanne deszcze spadają na gorące błota i gdzie równiny pokryte są drzewami. Wieści, które dochodzą do nas z tego siedliska demonicznych czarów, są tak plugawe, że ci, którzy przenoszą, są niemal obłąkani ze strachu.

Darkbloom wpoił mi zuchwały sceptycyzm.

Szaleńcy, rzeczywiście, pomyślałem. Jednakże powaga mego ojca wzbudziła we mnie lęk. Pochyliłem się ku niemu.

- Ojcze, nie słyszałem niczego o...

- Nic nie słyszałeś - Golana jeszcze nie opuściło zgorzknienie. - Nie podawaliśmy tych nowin, bo nie jest to coś, o czym powinny plotkować haremowe kwoki. Skrzywił usta, splukując przygnębienie kolejnym wielkim łykiem wina. - Dość o tym. Sprowadziłem cię tutaj jak jeden mężczyzna zaprasza drugiego, byś mógł wysłuchać tego, o czym nikt z twego wojowniczego rodu, jak dotąd, nie wie.

To było coś nadzwyczajnego. Byłem zaskoczony. Przyglądałem mu się z ciekawością, zafascynowany.

- Mógłbyś być moim ulubionym synem - rzekł Golan. - Nawet teraz sędzę, że nosisz w sobie ducha potężnego zabójcy. Wiem, że umysł twój jest bystrzejszy niż u większości z nich. - Z pewnym smutkiem dotknął na w pół widocznego w ciemności siniaka.

- Zawsze byłem ci wierny, ojcze.

- Gówniana lojalność eunuchowskiego pacholka - powiedział gniewnie Golan. -

Słuchaj mnie! Mimo całej chwały plemienia Firebridge, dalecy jesteśmy od bycia najliczniejszymi pomiędzy Wędrowcami. Nadchodzi czas, w którym nasza siła będzie musiała osiągnąć maksimum swych możliwości, by stawić czoła groźbie z Północy.

- Kim są ci czarownicy, nekromanci z Północy, ojcze? - ciekawość i sceptycyzm walczyły we mnie o lepsze. Czy mogła ta bajka o odległych czarach nie być niczym więcej niż tylko fortelem, mającym podstępnie skłonić mnie do złamania przysięgi? Przypomniałem sobie. Przypomniałem sobie oszałamiające wizyty u szarlatanów w świątyniach Zielonego Miasta, z grzmiącymi wśród śmierdzących oparów głosami, błyskami fioletu i czerwieni, głośnymi łomotami i oszukańczymi cudami. - Czy ich siły przewyższają moc Kapłanów z Berb-Kisheh?

Golan wybuchnął złością. Zdawało się, że podniesie się i zwali mnie na ziemię.

- Czy nie słuchałeś tego, co ci mówiłem? - zawołał. - Ci czarownicy latają między chmurami jak demony z Czarnego Czasu. Zsyłają ogień i burzę. Czy myślisz, że wódz plemienia Firebridge starałby się skaptować syna zepsutego przez herezję i tchórzostwo -

ryczał mój ojciec, trzęsąc się z emocji - jeśli jego jedynym zagrożeniem byłoby mającenie farbowanych proroków?

Byłem speszony. Twarz oblało mi gorąco, potem zatrzęsł mną mróz. Mięśnie mego brzucha skurczyły się, mięśnie szczęk i gardła stężały, zatem słowa zbiły się i niezbyt sprawnie wydobyły z moich ust.

- Mój wodzu...

Gniew Golana zmienił się w tej chwili w hamowaną furję, która tak dobrze służyła mu w boju (o ile chociaż połowa opowieści starców była prawdziwa).

- Zbliżają się dni opisane w prorocत्वach - usiadł, kiwnięciem ręki polecając mi zająć moje miejsce.
- Czemu Mroczni Bogowie obrali tę właśnie godzinę dla zamianifestowania swego gniewu wobec rodzaju ludzkiego, nie potrafię odgadnąć. Jest jednak całkiem pewne, że tej magii z leżących odłogiem ziem Północy nie oglądano między ludźmi od Czarnego Czasu.

- Północ jest tak daleko - powiedziałem. - Lodowce nas ochronią...

- Tak było w przeszłości. Tak naprawdę, to nie jest to zbyt daleko dla tych, którzy służą demonom - ujrzałem, że ojciec mój jest do głębi przerażony, jakby cała jego odwaga bitewna była pozorna. - Oni rozedrą nas, nie licząc się ze swoimi stratami i bez względu na koszty, gdyż życie jest tym, czego oni nienawidzą najbardziej.

Mój cynizm stopniał i ulotnił się jak opar, a mój nastrój upodobił się do nastroju mego ojca. Czerwony blask węgla migotał wewnątrz pucharu, który trzymałem w rękach, klejnoty osadzone na pucharze mego ojca rzucały błękitne i zielone refleksy. Odezwałem się i miękkość mego głosu mnie zdumiała.

- Co chcesz, bym zrobił, ojcze?

A Golan, twardy jak rzemień i żelazo, napuszczony i zdecydowany, rozłożył się szeroko na swoim krześle; pochylił głowę i utkwivszy we mnie palący wzrok, wydał dźwięk podobny do śmiechu.

- Chciałbym, żebyś uczynił to, co wszyscy musimy zrobić, mój osobliwy synu.

Przygotować się na zbrojną potyczkę z szaleństwem. Naostrzyć miecz i okrwawić go. Być gotowym stawić czoło tym, którzy mogliby zniszczyć postać świata. To wszystko, czego chcę: żebyś napluł na tą nędzną, babską zasadę tego dziwaka Darkblooma.

Z zastanawiającym wdziękiem mądrego, upartego i starego samotnika wilka mój ojciec podniósł się i przeszedł w ciemności mimo paleniska i położył swą pokrytą bliznami i zeszywniałą od setek szram i kaleczących ścięgnię uderzeń wielką łapę na moim ramieniu.

- Wiesz, że mógłbym nakazać ci posłuszeństwo pod karą banicji lub śmierci. Nie zrobię tego i poproszę cię - jego brodata twarz nie była już zeszecona złością - gdy dojdzie do walki z demonami, Golan Firebridge chciałby mieć swego syna u swego boku.

Cała wiedza Darkbloom była teraz bezradną wobec takiego apelu iluzją. Zamęt radości i smutku, który panował w mej głowie, nie osłabł. Raz jeszcze tego dnia poczułem łzy w moich oczach i wykorzystałem to jako pretekst do odwrócenia wzroku. Coś pękło we mnie.

- Zrobię to, o co prosisz, ojcie - powiedziałem mu w końcu.

*

Cisza, cisza, otulająca jak ciepłe, pełne szczęścia łono.

- Darkbloom? Czy to możliwe? Czy ma on na myśli Kwiecie Wieczorne?!

- Sądzę, że w tym właśnie znajdziemy klucz do tego problemu, moi bracia. Na Gasnące Słońce, do czego to doprowadziliśmy naszymi manipulacjami?

- Przypadkowa gra słów, nic więcej. Kwiecie Wieczorne tkwi ze swymi machinami u zarania istnienia systemu słonecznego, sześć miliardów lat przed narodzeniem Xarafa.

1 - Darkbloom (ang.) - w dowolnym przekładzie: kwiat rozkwitający o zmroku (przyp. tłum.).

- Czy możemy być pewni? Mogła mu się przydarzyć jakaś katastrofa. Dygoczę i ciarki mnie przechodzą, jęczę na myśl o czymś takim! Może Kwiecie Wieczorne jest już dla nas stracony, na zawsze przypisany do epoki wczesnych ludzi?

- Niemożliwe. Jest nieśmiertelny; chociaż rzeczywiście, żaden z nas nie potrafiłby zachować życia i zdrowia podczas takiej tułaczki. Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

- Jak inaczej, w takim razie, dostał się tu ten prostak, jeśli nie przez transporter Kwiecia Wieczornego?

- Jeden z nas musi pójść i odnaleźć naszego brata.

- To wykluczone. Trzech musi czuwać tutaj, podczas gdy jeden pracuje, by zebrać puchlinę z zasadniczego jądra słońca. Jakakolwiek alternatywa jest niepewna. Wszystko byłoby stracone.

- Może już jest stracone, skoro o tym tak mówimy. Wydaje mi się oczywiste, że zagraża nam katastrofa. Jakież siły zdobyły dojsście do naszych transporterów, może ci

„czarownicy”, których obawia się Xaraf.

- Jesteś przewrażliwiony, ach. Co się stało, to się stało. Wszystko, co ten gbur opisuje, jest nieaktualne od miliona lat.

- Dla niego to nie przeminęło, a najgorsze jest wciąż przed nim. I my za to odpowiadamy. Kimkolwiek są ci domniemani czarownicy, to posługują się naszą energią.

- Ach, masz rację, mój porywczy Jesrilbanie. Jak i siłę przekonywania. Jeśli kreatury w tej odległej

przeszłości podłączyły się do naszych przekazów energetycznych, to możliwe, że przeciek energii będzie wzrastał. Co stanie się wtedy z naszymi planami wskrzeszenia Słońca?

- Zgadzam się. To, co obaj mówicie, jest prawdą. Rzeczywiście, może być gorzej.

Weźcie pod uwagę: jeśli ten młodzieniec mógł natknąć się na węzłową Matrycę Transferu, to co powstrzyma od wtargnięcia tamtędy jego wrogów?

- Bardziej jest prawdopodobne, że Kwiecie Wieczorne skierował Xarafa do przejścia umyślnie. Nie wspomagany, mógłby je po prostu minąć.

- Jednakże, gdyby było tak, jak przypuszczasz, nasz brat posłużyłby się tym przejściem sam i wrócił do nas. Obawiam się, że za to rzeczywiście mogą być odpowiedzialni ci czarownicy.

- Jeśli tak, i jeśli Golan Firebridge miał rację, to byli oni szaleńcami mogącymi zniszczyć nasz zamierający świat.

- Musimy natychmiast zamknąć Solar Matrix!

- I porzucić naszego brata w starożytności? Haniebne szaleństwo!

- W dodatku nie możemy sobie na to pozwolić. Potencjalna zguba jest mniej groźna od zguby pewnej.

- Niemniej, możliwa jest jeszcze ekspedycja. Ryzykowne to, lecz fascynujące.

Ponieważ jednak nie możemy przerwać naszych operacji i tym samym sprawdzić sytuacji osobiście, Xaraf musi posłużyć nam jako pośrednik.

- Nie do przyjęcia!

- Nieetyczne!

- Obaj macie niewątpliwie rację. Lecz jest to konieczne.

- ...tak.

- Niechętnie, lecz zgadzam się.

- A zatem zacznijmy, nie zwlekając. Chłopiec musi się wiele nauczyć, zanim będzie można wrócić go do jego czasu.

Głos powrócił, wprawiając mnie cudownie w trans zachwytu.

- XARAFIE FIREBRIDGE, SŁUCHAJ MNIE UWAŻNIE.

- Słucham, mój panie.

- SŁUCHAJ DOBRZE, DZIECKO, BO ROZSTRZYGA SIĘ TERAZ, BYĆ MOŻE, LOS ŚWIATA I

TWÓJ WŁASNY LOS. POWRÓCISZ DO SWEGO CZASU, CHOCIAŻ

NIE NATYCHMIAST. TYM RAZEM ODSZUKASZ I ZGŁADZISZ TYCH, KTÓRZY

POSŁUGUJĄC SIĘ NIECZYSTYMI SIŁAMI, ZAKŁÓCAJĄ HARMONIĘ DZIEŁA MOCY.

- Jestem... niechętny zabijaniu. Mój ślub został już i tak zhańbiony przez krew.

- XARAFIE, TWOJA AWERSJA DO MORDU JEST ZARÓWNO SZLACHETNA, JAK I GODNA PODZIWU. LECZ KREATURY, KTÓRE MASZ ZWALCZYĆ, STRACIŁY WSZELKIE PRAWO DO LUDZKICH WZGLĘDÓW. SĄ ZEPSUTE. JEŚLI NIE POKRZYŻUJE SIĘ ICH PLANÓW, ŚWIAT TWÓJ BĘDZIE DRŻAŁ W MROKACH

ZE ZGROZY PRZEZ STO TYSIĘCY LAT, A NASZ ZGINIE WRAZ ZE SWOIM WYGASAJĄCYM SŁOŃCEM.

- Jestem tylko pojedynczym, samotnym człowiekiem, bezsilnym wobec czarowników i ich wojsk.

- NIE POZOSTANIESZ BEZ POMOCY. CHOCIAŻ MOCE NIE MOGĄ

TOWARZYSZYĆ CI W WALCE, PRZYGOTUJĄ CIĘ DO WZIĘCIA W NIEJ UDZIAŁU SAMEMU.

- Nauczycie mnie czarów, bym mógł przeciwstawić się demonom?

XARAFIE, MOCE NIE NAUCZĄ CIĘ NICZEGO, A TO Z DWÓCH POWODÓW.

PIERWSZY TO TAKI, ŻE SPECYFICZNE UMIEJĘTNOŚCI STAROŻYTNYCH

CZAROWNIKÓW SĄ NIE ZNANE NAWET MOCOM. STĄD TEŻ POMOC MUSI BYĆ

NATURY OGÓLNEJ. DRUGI, WAŻNIEJSZY, OPIERA SIĘ NA TYM, ŻE WIEDZA ZDOBYTA BEZ WYSIŁKU JEST MORALNIE BEZWARTOŚCIOWA. MUSISZ SAM

SZUKAĆ NAUKI, WYKUWAJĄC UMIEJĘTNOŚCI WYŁANIAJĄCE SIĘ Z TYGLA DOŚWIADCZEŃ.

Poczułem, że na mych wargach pojawił się cień uśmiechu.

- Tak mówił mistrz, Darkbloom. Gdzie jednak mam zdobyć konieczne do zwalczania czarnoksiężników doświadczenie?

- POZA STRZEŻONYMI MURAMI TEJ WAROWNI ROZCIĄGA SIĘ ŚWIAT

RÓWNIE OGROMNY, JAK TWÓJ WŁASNY, OBCY CI JEDNAK POD KAŻDYM

WZGLĘDEM. ZOSTANIESZ UMIESZCZONY TAM, NIEŚWIADOM TEGO, CO PRZEŻYŁEŚ TUTAJ. TA SZKOŁA POWINNA CI WYSTARCZYĆ. W STOSOWNYM CZASIE POWRÓCISZ DO WAROWNI I MOCE ODEŚLĄ CIĘ Z POWROTEM DO TWJEJ WŁASNEJ ERY. TAM WYPEŁNISZ SWOJĄ MISJĘ.

- TERAZ ZAŚNIJ NA CHWILĘ.

- I ZAPOMNIJ...

część druga

SEN

Powszechnie przyjęta teoria grawitacji Alberta Einsteina utrzymuje, że energetyczna wydajność Słońca spada, i od czasów Wczesnej Ery Archeozoicznej (4,5 miliarda lat temu) zmaląa o około 30%, zaś epoki lodowcowe nie występowały jeszcze 2300 milionów lat temu.

Jeśli trzydziestoprocentowy spadek wydajności energetycznej Słońca przydarzyłby się dzisiaj, wszystkie oceany zamarzłyby na lity lód. Niemniej temperatura wszechoceanu 3000 milionów lat temu wynosiła 50° C - to jest o 30° C więcej niż dzisiaj.

Sir Fred Hoyle

Niektórzy astronomowie przekonują, że jądro Słońca ożywia się i stygnie potem w cyklu powtarzającym się co kilka milionów lat, jak rozpalane na nowo ognisko. Serie epok lodowcowych powodowane byłyby zatem specyficznym cyklem aktywności Słońca.

Nigel Kalder

Jak długo trwać może gorączka? Spadałem i spadałem. Pałace światła i mdłości; spadanie, w którym nie czułem nawet ruchu powietrza. W końcu światło zupełnie mnie pochłonęło.

Kiedy otworzyłem oczy, była pochmurna noc. Leżałem rozwalony w gęstych kępach trawy. Kula światła zniknęła.

Nie kończące się spadanie było teraz jak wspomnienie wspomnienia. Zdawało mi się, że byłem chory, lecz musiało to być złudzenie, tak jak zwodnicze było wrażenie nudności. W

uszach mi dzwoniło, lecz nie wymiotowałem. Usiadłem, wspierając się jedną, zanurzoną w trawie, ręką.

Trawa.

Nierówny, pokryty śniegiem teren, po którym błąkałem się po tym, jak mój wierzchowiec złamał nogę i zmuszony byłem go zabić, był teraz nagi, skalisty, ogołocony przez żywioły.

W tym obnażonym pejzażu, wysoko ponad doliną Rezot-Azer, z trudem bo z trudem, lecz mogły nędznie wegetować tylko cierniste zarośla. Ale, skoro naprawdę byłem jeszcze żywy, to powinienem leżeć, wyczerpany i brudny, w błočku i topniejącym śniegu. Ledwo co widząc w bezksiężycową noc, wstałem. Trawa. Noc była umiarkowanie ciepła.

Jestem uratowany, powiedziałem sobie, przyznając jednocześnie, że trudno w to uwierzyć. Ktoś przeniósł mnie z tego dziwnego światła do miejsca, które było bardziej gościnnym schronieniem.

Dla jakiej przyczyny? Nic nie przychodziło mi do głowy. Aby mnie ujarzmić? Byłem wolny od więzów. Ot tak, dla zasady? Czy w nadziei zysku? I to, i to mogło być prawdą - lecz gdzie, w takim razie, jest mój dobroczyńca?

Sięgnąłem po miecz, który był przytroczony rzemieniem w poprzek moich pleców. I dech mi zaparło.

Mój miecz wisiał w swej pochwie i jego rękojeść miałem pod dłonią. Nie wyciągnąłem go. Moje ramię zaszeleściło bowiem rękawem z drogiego jedwabiu.

Przedtem byłem odziany w przemoczony, cuchnący strój bojowy, teraz zaś miałem na sobie książęce szaty z jedwabiu i zamszu. Moje oczy przywykły już do ciemności.

Rozejrzałem się dokoła, płytko oddychając, zeszywniały nagle z konsternacji. Musi tu gdzieś być jakaś oznaka życia: ognisko, namiot, spętany wierzchowiec. Zimny powiew wiatru przyniósł tylko piski obcych ptaków, odległy pomruk zwierząt, których nie mogłem umiejscowić. Nic ludzkiego, nic znajomego.

Nic, tylko ciemniejsze cienie kilku drzew i hen, daleko, skraj lasu. Stałem pogrążony w bolesnym osamotnieniu.

Wzruszając ramionami, sięgnąłem do rękojęści miecza. Opadając, moje ramię trąciło coś splątanego i ohydneho. Skrzywiłem się. Była to głowa wodza Rokhmuna; mdło śmierdząca, przywiązana za splecione włosy do mego nowego pasa. A więc mój dobroczyńca nie był pozbawiony osobliwego poczucia humoru. Lub przynajmniej niewzruszonego zmysłu honoru. Przesunąłem językiem po wargach. Były dość czyste i wilgotne. Nie byłem ani głodny, ani spragniony, wiedziałem jednak, że to do czasu.

Jak daleko jestem od domu? Niemożliwym jest to ustalić.

Musiałem obmyślić sposób, by zachować siły. Dowiedzieć się, jak zdobyć po temu środki.

Odległy las dawał nadzieję na wodę. Ruszyłem w jego kierunku przez sprężystą trawę.

Małe stworzenia zmykały w popłochu przed moimi obutymi, pewnie kroczącymi po łagodnie opadającej równinie, stopami. O ile mogłem cokolwiek dojrzeć w mroku, kraina ta wyglądała na bogatą w pastwiska. Rozglądałem się, idąc, i szybko napotkałem niewątpliwą oznakę tego, że ktoś wypasa tu bydło. Krowie placki były suche, stare. Schyliłem się, by je zbadać, nakazując palcom tropić ślady stąpanięc zwierząt odbite na wilgotnym nawozie.

Wpływy pogody zatarły, oczywiście, ślady kopyt. Tych kilka znalezionych kształt miało dość osobliwy; sugerował raczej istoty trójpalczaste jak ptaki, nie jak bydło.

Łagodne powiewy przerodziły się w zimny wiatr, który zerwał się całkiem nagle.

Zadrzałem żałując, że mój nieznany zbawca nie darował mi jakiegoś płaszcza do okrycia miękkich, jasnych szmatek, które teraz nosiłem. Trzeba jednak przyznać, że wiatr ten nie był

aż tak zimny, jak wyjąca śnieżycy, która mniej niż godzinę wcześniej, o ile pamięć na coś się mogła przydać, mało mnie nie zamroziła.

Lecz, wyczerpanie i samo wielkie zimno uczyniły mnie szczególnie wrażliwym na ukąszenia tego wiatru.

Zastanawiało mnie to wszystko. Po prawdzie powinienem być potwornie głodny, obolały od odmrożeń i na wpół ślepy. Wszystkie te plagi zniknęły jednak razem z moją odzieżą. Wdzięczny za te przemiany, za nic na świecie nie mogłem przypomnieć sobie najmniejszego szczegółu związanego z ich zajściem.

Pierwsze pytanie, jakie sobie postawiłem, było zapewne takie: co się stało z tą płonąca bez ognia kulą, na którą wpadłem? Machinalnie rzuciłem spojrzenie przez ramię. Za mną rozciągała się falująca sawanna, zamglona i po horyzont taka sama na ile już ją poznałem.

Wiatr cisnął mi moje długie włosy w twarz; odgarnąłem je na bok, myśląc, że dobrze byłoby mieć hełm lub przynajmniej miękki skórzany kapelusz z Kisheh. Jak to urwisko, nad którym się błąkałem, jak ta wyjąca burza śnieżna, tak i ta tajemnicza kula światła mogła nigdy nie istnieć. Z trudem szedłem dalej. Słaby, jak informacje dostarczane mi przez zmysły, dawałem się z wolna opanować apatii, pogrążając w myślach. Jak każdy pustynny koczownik, nawykły byłem do monotonnego

krajobrazu powtarzającego nieustannie niemal te same elementy.

W końcu dotarłem pod ciemną masę sękatych cieni, upewniając się, że naprawdę jest to skraj lasu. Przyłapałem się na tym, że nie wiedzieć czemu wpatruję się ze zmarszczonymi brwiami w niebo. Z lasu dochodziły mnie porykiwania nocnych drapieżników. Znałem te pieśni doskonale - szorstkie okrzyki polowania, wrzaski ostrzeżenia, podniecające pohukiwania i wycia zalotów, które miały w swym repertuarze spotykane w corocznej wędrówce mego ludu ptaki. Te jednak były inne. Znów się wzdrygnąłem. Fałdźiste rękawy nowej szaty załopotwały na wietrze jak proporce. Wśliznąłem się w cień drzew, stając się samemu jeszcze jednym cieniem.

Poszycie lasu szybko się splątało. Mógłbym wprowadzić wyrąbywać sobie ścieżkę przez zarośla, lecz byłaby to żmudna metoda torowania sobie drogi. Przeklinając pochyliłem ciało i zaatakowałem roślinność jak taran.

Gałązki i opadłe konary trzeszczały pod moimi stopami. Nie miałem odwagi pozwolić moim myślom zastanowić się dłużej nad tym, że przedzieram się przez krainę, która jest u schyłku lata, podczas gdy parę godzin temu o mało co nie zamarłem we wczesnej, zimowej zamieci. Zaczęło dokuczać mi pragnienie. Znalazłem mały, suchy kamyk do ssania. Nikłe trele cieknącej wody, prawdziwe lub urojone, wyśmiewały się ze mnie, gdy nasilający się wiatr zmieniał kierunek i szumiał w wierzchołkach drzew.

Zacząłem szukać.

Kiedy zabrnąłem dalej między ogromne, guzłowate drzewa, grunt stał się mniej zarośnięty gąszczem. Niemniej nawet w świetle dziennym, ta partia lasu byłaby dość posępnym ustroniem. Splątane pajęczyny zwieszały się między wielkimi, suchymi pniami.

Odgarniałem je na bok ze wstrętem, traktując jak karę za ułatwienie sobie drogi. I tutaj, wreszcie, uchowało się trochę ciepła, chłodny wiatr nie dochodził za zaporę potężnych pni.

W ciemności ujrzałem blask żółtych oczu. Zamarłem oczekując z ręką na mieczu.

Oczy zgasty, wycofały się. Zbocze stało się teraz bardziej strome i bulgotanie wody między kamieniami docierało wyraźniej.

Zszedłem z wzniesienia.

Tutaj, rzecz, jasna, niebezpieczeństwo mogło być odpowiednio większe.

Tamte błyszczące oczy nie musiały być osamotnione. Jako że zbliżał się świt, szukający nocą łupu drapieżcy mogli także skierować się ku wodzie. Miałem nadzieję, że wszyscy wystarczająco tej nocy się najedli.

Ujrzałem prześwit między drzewami. Tak, jak tylko mogłem ostrożnie, prześliznąłem się w półmroku. Wiatr zamierał. Silny prąd potoku przyprawiał mnie o przyspieszone bicie serca. Bardzo chciałem ugasić pragnienie, ważniejsze jednak było to, że strumień mógł mnie zaprowadzić (przez rzekę może,

mozolną wędrówką lub wraz z nurtem) do jakichś ludzkich siedzib. Szczęśliwym trafem i z ponurą pomocą Bogów Światła i Śmierci, powiedziałem sobie, byłbym wreszcie w stanie ustalić swe położenie. Raz się tego dowiedziawszy, mógłbym poczynić przygotowania do powrotnej wędrówki ku obozowisku Firebridge.

Przyjrzałem się jeszcze brzegom rzeczki. Chmury rozeszły się, gdy wędrowałem wśród drzew i widoczność była trochę lepsza. Wiedząc, jak łatwym mogę stać się łupem w nie znanym mi miejscu, wkroczyłem pod światło gwiazd. I wyciągnąłem miecz.

Doznałem szoku.

Popatrzyłem na otwarte niebo, potem na miecz w mej dłoni.

To nie był mój miecz. To nie było moje niebo.

To ostrze, jak nas nauczono, jest mieczem. Uchwyt, kulka, jelec, nieważne, jak pomysłowo, czy kosztownie zdobione, mają podrzędne znaczenie.

Ten miecz nie był moją nagrodą. Wyglądał jak zjawia zrodzona z legendy.

Mój prawdziwy miecz klan Firebridge zagarnął wraz z łupem na jakiejś wyprawie na, zapewne, murowaną osadę, gdzie wyrabiano takie przedmioty w kuźniach; kształtowano je młotami i zabrakło jedynie zgodności poglądów i śmiałości zamierzeń, by posłużyć się nimi dostatecznie dobrze, aby ustrzec się przed takimi jak my.

Dotąd znałem go dokładnie. Tak, Darkbloomowi złożyłem przysięgę, że nigdy nie użyję go przeciw człowiekowi, co - ku memu gorzkiemu żalowi - jednak uczyniłem, ale nigdy nie odmawiał mi prawa do ćwiczeń. Moja prawa ręka, i lewa także - ponieważ był to masywny kawał żelaza - zapamiętały jego ciężar, jego wyważenie, sposób trącania się kciuka i palca wskazującego przy prawidłowym chwycie.

Połowa tych swojskich szczegółów była niezmienną. Tylko klinga była nowa.

Błyszczała jak światło gwiazd. Obie krawędzie były cudownie naostrzone. Znak, którego nie byłem w stanie odczytać, był wyryty na jego płazie.

Jak światło błyszczało ostrze pod... gwiazdami.

Prześwit nie ujawniał śladów życia. Skalisty w miejscu, gdzie przepływał strumień, który szemrał na podobieństwo zamętu w mojej głowie. Trochę dalej rosły widoczne jako cienie niewielkie drzewa. Niebo zmieniało kolor z czarnego na ciemnobłękitny, a strzępy chmur znikwały, rozganiane wiatrem, ukazując gwiazdy.

Jakiś bóg wyrwał gwiazdy z ich stałych miejsc. Żonglował nimi, potem cisnął je z powrotem, tworząc absurdalne wzory.

Imbecyl mógłby tak wyrwać z opraw bezcenne klejnoty, by rozrzucić je po piasku.

Chwiejąc się, podparty mieczem, który był i nie był mój, szukałem choćby najmniejszej, znanej mi, konstelacji. I gdzieś w głębi mojej istoty wypłynęło wspomnienie Głosu, który w takich chwilach, jak ta, łagodził, uspokajał moje obawy. Nie mogłem zrozumieć słów, nie byłem pewny, czy rzeczywiście coś takiego kiedyś słyszałem, jednak moje przerażenie zmalało do konsternacji. Pokiwałem w zdumieniu głową.

Nie wiem, jak długo tak tam stałem - głuchy i ślepy na wszystko wokoło, wpatrzony w pogrążone w nieładzie niebo. Wiem natomiast, że moje odrętwienie omal nie kosztowało mnie życia.

Ktoś, kogo nie mogłem dostrzec, powiedział niespodziewanie i nagle, w języku mojego plemienia:

- Niebezpieczeństwo, Xarafie! Dobądź miecza.

Zakręciłem się, wzniosłszy ostrze.

Coś naprawdę wielkiego wydało kaszlący ryk. Gapiłem się w ogromne, lśniące oczy czającej się do skoku bestii. Wąskie szparki tych oczu wypełniły cały świat. Nie było drugiego ostrzeżenia, ani ze strony głosu, ani ze strony ogromnego kota. Zwierzę skoczyło położywszy uszy po sobie, przytuliło je do brunatnej głowy, wysunęło z czarnych poduszczek pazury...

Ludzie walczyli z lwami i nie umierali.

Ludzie walczyli ze wszystkim, co żyje, może oprócz jakichś monstrualnych bestii z głębin, i przeżywali te walki. Trzeba jednak powiedzieć, że nie wszyscy.

Tylko nieliczni jednak mieli takiego mistrza, jak ja. Darkbloom przygotował mnie dobrze. Nie myślałem. Działałem. Z doskonałym, bezbłędnym, intuicyjnym refleksem. Oczy, przyplaszczone uszy, gotowe do rozdarcia mnie pazury - uskoczyłem im z drogi, skręcając się jak żongler z główkami w obu rękach. Poleciałem w dół pochyłości, spadając zgrabnie na nogi, gdy bestia jeszcze zrywała się do skoku. Pozwoliłem, by siła rozpędu przyduśiła mnie do ziemi. Rękojeść mojego długiego miecza wcisnąłem w grunt.

Zamaszyste ciosy rozdarły powietrze tam, gdzie byłem przed chwilą. Jak oślinione sztylety kły zamknęły się w powietrzu. Przy całej swej zręczności zwierzę nie mogło zrobić nic, by zmienić kierunek swego lotu. Z gruchoczącym kości wstrząsem ciężkie cielsko nadziało się na stalowe ostrze.

Kości piersi trzasnęły rozłupane.

Krew trysnęła kaskadą z wielkiej rany.

Nawet w chwili, gdy zwierzę zdychało, spienione szczęki nadal próbowały dosięgnąć mojej twarzy. Poruszyłem się, jak pod dotknięciem ducha Śmierci; zadrzałem jak liść pod jego cuchnącym oddechem. Poczułem, jak wąsy zwierzęcia obdrapują mój policzek -

pośliznąłem się zaraz po samobójczym skoku bestii. Ująłem znajomą rękojeść miecza i szarpnąłem oburącz znakomitym obcym ostrzem. Żelazo rozcięło serce i płuca zwierzęcia, poruszając się bez najmniejszego trudu.

Cofnąłem się o krok z ociekającym posoką mieczem, gdy bestia padła ostatecznie na bok, a z jego serca jak wielka czarna kałuża zaczęła wypływać krew.

Ogon uderzył i znieruchomiał.

Potem usiadłem. Oddychałem ciężko, jak człowiek, który uciekał bez ustanku przed zabójcami. Obie ręce ścisnęły jeszcze rękojeść miecza. Palce przywarły tak mocno, aż knykcie ich zbieleły. Siłą woli zmusiłem się, by uwolnić jedną rękę. Chciało mi się krzyczeć z ulgi i triumfu. Słony pot osiadł na moich wargach. Oczy rzucały wokół lękliwe spojrzenia, lecz nie wypatrzyłem żadnego innego drapieżnika w zalegającej las ciemności.

Nie mogłem też znaleźć tego, kto mnie ostrzegł.

- To była dobra robota, Xarafie - powiedział mój miecz. - Tak, zgrabnie się spisałeś.

*

W Czarnym Czasie, jak utrzymuje legenda, nie było narzędzia powszechnego użytku, które nie byłoby obdarzone własnym głosem. W tych demonicznych dniach na tysiąc lat przed moim urodzeniem, zanim jeszcze niebo poczerwieniało od ognia, a ludzkie ciała zaczęły obłazić ze skóry; zanim niebo pociemniało od trującej sadzy i wyjących wichrów; zanim niebo wypogodziło się nad światem jak przemyte i prawie na zawsze oczyszczone z życia, a lodowce wypełzły z południa i stopione miasta migotały światłami w ich kraterach, i choroby rozeszły się po świecie z dotkniętych rakiem matek; zanim to wszystko nadeszło, by przeminąć - w tych strasznych dniach pychy Czarnego Czasu, ludzie latali w powietrzu w wehikułach, którymi sami kierowali. Ubierali się, jedli i zabawiali posługując się produktami wytworzonymi przez sztucznych pseudoludzi - instrumenty, które myślały małymi, bystrymi a idiotycznymi mózgami. Tak utrzymuje legenda. Darkbloom potwierdził ją kiedyś, tak więc byłem dobrze przygotowany, by ujrzeć coś, co miało z nią wiele wspólnego.

Niemniej wierzyć, a widzieć i słyszeć, to zupełnie co innego...

Wrzasnąłem z przerażenia.

Miecz, który przemówił, musiał być uwięzionym demonem lub narzędziem z Czarnego Czasu. Inaczej mówiąc, był szatańskim przedmiotem lub sługą sił

nadprzyrodzonych. Czymś godnym przerażenia i nęcącym jednocześnie swoistą, niebezpieczną pokusą.

Rzuciłem go z wrzaskiem na ziemię i zeskoczyłem po osypisku do zimnego potoku.

*

Piana i zakrzepła posoka pokrywały pysk wielkiego, zdechłego zwierzęcia.

Obejrzałem go ostrożnie we wczesnym świetle przedświt. W głosie dzwoniło mi od pluśnięcia twarzą w zimną wodę. Miecz leżał na trawie, zakrwawiony i milczący.

Zjełczały smród bił od drapieznika. Wypatroszyłem jego jelita. Zmarszczyłem przy tym brwi. Czemu nie zaatakował, skoro już nażarł się tej nocy? Nie był głodny. Szkliste oczy dzikiego kota nic nie odpowiedziały.

Bywa, że takie zwierzęta polują w towarzystwie innych. Napiąłem mięśnie, wzbraniając się przed szukaniem otuchy i obrony w ujęciu w dłoń krwawego miecza.

Przykucnąłem trąciwszy ciepłe jeszcze, masywne cielsko i oceniłem wagę mięśni i kości pod chropawym futrem. Nie słyszałem nigdy o takim kocie, jak ten. Nie był to ani lampart, ani lew, ani jaguar, ani żaden inny spośród wielkich myśliwych, którzy włóczyli się po okolicy poza granicami ustanowionymi przez ludzi. Nawet używając obu rąk, z trudem zdołałem poruszyć sztywniejący korpus. Sterczące łapy ledwie się przesunęły. Światło gwiazd załśniło na czymś umocowanym nisko na zadniej kończynie. Odchrząknąłem. Kiedy starłem pokrywające ją gównem, błyszczący przedmiot okazał się być obrączką wykonaną chyba ze srebra. Szarpnąłem mocno. Nie dała się rozerwać. Jakimś sposobem łączyła w sobie wytrzymałość metalu z elastycznością tkaniny.

Spojrzałem uważniej. Była to nierozzerwana resztką okowów; było na niej wyryte parę tajemniczych symboli - znak własności. Gdzie więc był ten mistrz-fachowiec, którego oczywistą własnością była ta bestia? Moje palce otarły się o dziwną, miękką tkaninę odzieży, którą miałem na sobie. Czy zostałem w nią zaopatrzony przez tych samych władców bestii?

Jeśli tak, to kiepsko im się odwdzięczyłem, zabijając jedno ze zwierząt. Jednakże czułem się usprawiedliwiony - zwierzę zaatakowało mnie nie sprowokowane.

Raz jeszcze zasmuciłem się nad mą ignorancją, a poczucie obcości wezbrało we mnie jak zatruta mgła.

Jak, ostatecznie, dostałem się tu z tej burzy? Zacisnąłem zęby i w przypływie buntu uniosłem twarz, wpatrując się w kompletnie pogmatwane konstelacje. Po drugiej stronie potoku smugi świtu rozpraszały ciemność między drzewami. Budziły się drobne zwierzęta i ptaki.

Klasnąłem. Nic nie zyskam, stojąc tutaj. Lepiej będzie odejść, zanim przybędą następne ludojady, naznaczone piętnem własności lub dzikie.

Miecz leżał tam, gdzie go rzuciłem. Trzymając go jak najdalej od siebie, podniosłem go i otarłem do czysta zakrwawione ostrze. Zerwane u brzegu potoku liście paproci świetnie się do tego nadawały. Popatrzyłem na niego z ukosa.

Przemów do mnie.

- Na pewno tego chcesz? - powiedział miecz gniewnie. - Czy nie zamierzasz znów dać nurka, razem z całą odzieżą, Xarafie? - rzekł ze smutkiem, kiedy trzymałem go na odległość ramienia w trzęsącej się garści. - Jesteś kłębkim nerwów, Xarafie.

- Dość! wrzasnąłem.

- I ja myślę, że dość. Mów, nie mów. Żadnej konsekwencji. Uratowałem ci życie i co dostałem w

zamian? Rzucono mnie od razu na twardą ziemię. Pozostawiono mnie tam całego ubabranego...

- Powściągnij swój jęzor! - krzyknąłem. Podniosłem to coś i wcisnąłem do pochwy.

- Jęzor - powiedział miecz szyderczo niewyraźnym, stłumionym głosem. -

Przypuszczam, że rozumiem, co masz na myśli - i zamilkł.

Skierowałem się w dół potoku. Zarośla i paprocie zgęstniały. Im dalej szedłem, tym większe były korzenie drzew, ostrzejsze ciernie, bardziej splątane poszycie, dłuższe pasożytnicze pnącza zwieszające się nad brzegami wartkiego potoku. Przedzieranie się przez to wszystko było ceną za wybranie drogi, na której nie pozostałyby moje ślady mówiące dokąd poszedłem - spięty, bezbronny wobec niezliczonej populacji tego lasu.

Przepychałem się jak tylko umiałem, w końcu jednak byłem zmuszony wyciągnąć miecz i usuwać nim najbardziej nachalne przeszkody.

- Xarafie?

- Co jest?

- Rozmyślałem. Pamiętasz tę metalową obrączkę?

- Jasne, że pamiętam.

- Myślę, że powinniśmy wrócić i zabrać ją.

- Nie.

Dalej rąbałem przejście.

- Ja naprawdę myślę, że byłby to dobry pomysł.

Stado budzących się z hałasem ptaków rzuciło się poprzez wodę z łopotem skrzydeł.

Pod rozjaśniającym się z prawej na szafranowo niebem widziałem, jak posępne było ich upierzenie - ciemnozielone, jak liście wkoło - podczas, gdy ich nogi i dzioby były rdzawe.

- Dlaczego?

- To jest niejaka szansa, wiesz, możesz napotkać posiadacza tego zwierzęcia. Jeśli będziesz ją miał, to może pomóc.

- Mogłoby to być otwarte przyznanie się do winy.

- Zaufaj mi.

Zaśmiałem się. Miecz powiedział:

- Czy źle tobą dotąd kierowałem? Czy nie ostrzegłem cię, gdy kocisko gotowało się do skoku?

- Bardzo się fatygowałeś - powiedziałem niegrzecznie.

Rozkrakane ptaki zatoczyły wysoko nad moją głową koło, uformowały szyk strzały i odleciały ku niewidocznemu jeszcze słońcu. W roztargnieniu, próbując ocenić wiarygodność miecza, podążyłem za nimi. Nie chciałem tracić czasu i energii na powrót przez zarośla do zabitego drapieżnika.

- Jestem tu tylko w roli doradcy - rzekła broń wyniośle.

Zignorowałem to. Jakaś osobliwość na niebie sprawiła, że przycisnąłem palec wskazujący i kciuk do oczu.

Przez szczeliny między sylwetkami drzew na wschodzie przebiło się nagle jakieś jaskrawe światło. Zmrużyłem oczy przed palącym blaskiem. Zdumiałem się - było to o wiele jaśniejsze, niż miałyby prawo być wschodzące Słońce. Ciernie rozdarły mi rękaw, pokłuły ramię.

Mrugając, popatrzyłem raz jeszcze na nieznośnie jaskrawy punkt. Podnosił się między drzewami, rozżarzony do białości i oślepiający, mały jak gwiazda.

To nie było ani Słońce, ani żadna z gwiazd, jakie znałem.

- Uspokój się, Xarafie - rzekł mój miecz. - To tylko jedna z gwiazdek. Nie zrobi ci krzywdy.

Pełen przerażenia odwróciłem się i zacząłem się gramolić w górę zbocza. Potężny pień zablokował drogę panicznego odwrotu. Wpadłem nań, przyciskając spocone czoło do szorstkiej, kojąco solidnej kory.

Gdy moje serce uspokoiło się trochę, zerknąłem do tyłu, stając twarzą w twarz z niewiarygodnym Słońcem.

- I jeszcze raz - mruknął miecz sardonicznie za moim uchem.

W górze rzeki podnosił się zza grupy wyższych, potężniejszych drzew drugi punkt błyszczącego światła. Majestatyczne jak nocne mary, dwa pseudosłońca przynosiły światu coś w rodzaju poranka.

Odlepiłem się od pnia.

- Wiedziałeś o tym?

- Naturalnie, że wiedziałem o gwiazdkach. One zawsze tu były.

- Kłamiesz lub mylisz się. Gdzie jest Słońce?

- Słońce wstanie za małą chwilkę. Nie trzeba będzie na nie czekać całą noc. A takie są cztery - dodał.

Usiadłem na ziemi i przetarłem oczy. Zaczynałem być głodny i czułem, że wkrótce opuści mnie spokój.

- Cztery słońca - powiedziałem apatycznie.

- Cztery gwiazdki, Xarafie. Moce umieściły je tam tysiące lat temu.

Gwałtownie wstałem.

- Chodźmy. Weźmiemy tę bransoletkę.

- O, dobrze - rzekł miecz uszczęśliwiony. Zagwizdał wojskową melodię, kiedy z trudem zawróciliśmy na drogę, którą tu przyszliśmy.

Małe, dzikie sześciopale zwierzątko ogryzało wywalony jęzor drapieżnika, kiedy znaleźliśmy jego cielsko. Gryzoń wycofał się sycząc, lecz błyskawicznie powrócił do swego śniadania, gdy zobaczył, że my - że ja - nie stanowię konkurencji.

Coś było nie w porządku. Po chwili zorientowałem się co. Nad cielskiem nie unosiła się zwykła, irytująca chmara bzykających, kłujących owadów. Pochyliłem się nad sztywną łapą. Raz jeszcze spróbowałem zerwać ów dziwny pierścień. Udało mi się wprawdzie zsunąć go bez kłopotów po grubym futrze wykręczonej łapy, lecz nie do końca.

- Musisz ciąć, żeby to wydostać.

- Przecież widzę.

Nachmurzony, wciągnąłem moją gadatliwą broń i odrąbałem łapę. Zsunąłem obrączkę z ociekającego kikuta.

Teraz, skoro miałem ową tajemniczą rzecz w ręce, zastanowiłem się znowu, jaki mógłby z niej być pożytek poza tym, że - jak już myślałem mogłaby rozwścieczyć właścicieli zabitego zwierza, gdyby mnie z nią znaleźli. Powstrzymałem się od wypytywania miecza na ten temat. Wzruszywszy ramionami przywiązałem ten przedmiot do pasa obok innego, o wiele bardziej śmierdzącego trofeum i znów wyruszyłem na poszukiwanie ludzkiego głosu pochodzącego z ludzkiego gardła. Nie spojrzałem nawet na bliźniacze gwiazdki. Posuwałem się naprzód, pijąc po drodze z szeroko rozlewającego się potoku, by oszukać uczucie głodu; pchając się z tępą determinacją przez paprocie i krzewy.

Miecz, gdy znudziły mu się marsze, przeszedł na melancholijne piosenki ludowe.

- Jak ci na imię? - spytałem go w końcu.

- Nie mam imienia powiedział. - Jestem po prostu zwykłą maszyną. Nam nie dają imion.

- Nie mogę wołać na ciebie „Hej, ty!”

- Czy to znaczy, że rozważasz możliwość obdarowania mnie imieniem? - spytał miecz z nieco patetyczną skwapliwością.

- Tak byłoby łatwiej dla wszystkich zainteresowanych.

Przez jakiś czas wymyślałem różne możliwe imiona. To odwróciło moje myśli od pustego brzucha.

Po około dwudziestu oddechach milczenia, miecz powiedział:

- Powiedz mi coś bliżej na ten temat.

- Zamknij się, albo nazwę cię Dupa z Rączką.

- Nie mógłbyś! - krzyknął miecz.

Zauważyłem jednak, że to go uciszyło. Zamknął się aż do chwili, gdy znów pozwoliłem mu mówić.

Żadne z napotkanych dzikich stworzeń nie stanowiło dla mnie zagrożenia, ani - mimo rosnącego pragnienia - by przerwać post, ja sam nikomu tu nie zagrażałem. Stąpałem ostrożnie naprzód, a stwory jak ze złego snu zmykały przezornie z mojej drogi.

Purpurowoczerwony wąż ze szkarłatnymi kolcami cofnął się, zwijając sploty, do jamy na zboczu wzgórza, na które się wspinałem i leniwie obserwował mnie ospałymi, czarnymi ślepiami. Szczurowate gryzonie na sześciu cienkich nóżkach, z wielkimi, płaskimi stopami piszcząły w trawie. Całe w fałdach, gładkie i tłusto połyskujące zwierzę wylazło z pluskiem ze środka strumienia i usadowiło się na w połowie zatopionej kłodzie. Było pozbawione oczu; blade i delikatne wąsy zwieszające się z jego pyska kołysały się lekko w ślad za mną.

Ptaki wrzeszczały ukryte w listowiu.

- Będę na ciebie wołał Alamogordo - powiedziałem nagle.

Było to imię z głębin Czarnego Czasu. Przekleństwo czy klątwa, które nawet w tysiąc lat od czasu katastrofy wspominaliśmy z respektem. Nie wiem, co ono oznacza poza tym, że kojarzy się z bronią, która omal nie spaliła całego świata. Potrzebne mi było coś ponurego i świętego, z domieszką czarnego bluźnierstwa.

- Alamogordo - miecz sprawdził, jak to brzmi, okazując pełną aprobatę. - Podoba mi się. Co oznacza?

Wyjaśniłem.

- Dziękuję ci, Xarafie - powiedział cicho Alamogordo. - Jesteś przyjacielem - zamyślił

się na chwilę, po czym rzekł przyjemnym tonem: - Przypuszczam, że wygłodniałeś. Mam rację?

- Owszem, myśl o śniadaniu przyszła mi do głowy - wyznałem.

- Zwróć uwagę na te błękitne jagody na tamtym ciernistym krzaku.

- Wyglądają na trujące - oglądałem je niepewnie przez kilka minut.

- Bynajmniej. One uzdrowią cię z bóleści, odświeżą białka twoich oczu, oczyszczą twoje zęby i dadzą moc twemu małemu przyjacielowi.

Chrząknąłem groźnie.

- Dziękuję ci, Al. Przypominasz mi handlarza z Berb-Kisheh, który sprzedał mi raz jedwabną szatę z robakami w środku.

Nastała cisza. Potem miecz rzekł nieśmiało:

- Al?

- Al brzmi bardziej swojsko - wyjaśniłem, zrywając kilka jagód, nie zwolniwszy kroku. Dojrzałe, żółte owoce, lekko spłaszczone i kuszące, zwieszały się z kilku drzew, które upodobały sobie brzeg potoku. Zebrałem ich parę spośród opadłych. - A te są jadalne?

- Praktycznie wszystko tutaj jest jadalne - rzekł z przekąsem Alamogordo.

Wgryzłem się ostrożnie w miękką miąższ. Jak na jagody, smak był nie znany, lecz przyjemny, tak jakby owoce zostały wyhodowane przez wykwalifikowanego ogrodnika specjalnie dla ludzkiego podniebienia. Poczułem, że humor mi się poprawia. Głód z wolna ustępował.

- Jest też krótsze. Niekonwencjonalne. Bardziej szczerze. Lekko zeskakuje z języka, co podczas walki nie jest bez znaczenia.

- W porządku, w porządku - rzekł Al. Przystąpił do popisowywania się umiejętnością naśladowania głosów ptaków i zwierzęcych ryków, które wywabiały z gąszczu całe gromady mieszanego ciekawskiego i niedowierzającego towarzystwa tak długo, aż położyłem temu kres.

Potok pogłębił się i poszerzył, wchłonawszy w siebie kilka dopływów. Dwa razy zmuszony byłem zbaczać, by przejść te strumyki w bród. Zanim gwiazdki wspięły się na trzecią część swej drogi po niebie, nabrałem pewności, że ludzka siedziba nie może być daleko. Alamogordo jako przewodnik był bezużyteczny:

- Jestem specjalistą od taktyki i stosunków interpersonalnych - powiedział. - Jeśli potrzebujesz słownika geograficznego, to szukaj go gdzie indziej.

Las przechodził wyraźnie w pola soczystej, falującej na wietrze trawy, które byłyby doskonałe na pastwisko. Listowie pokrywające drzewa rosnące w rozproszeniu na północnym zachodzie, dotąd błyszczące złotawo, teraz zabarwiło się na krwawy brąz. Włosy zjeżyły mi się na karku.

Wyciągnąłem Alamogordo. Ostrze załśniło czerwienią.

Powoli obejrzałem się przez ramię na wschód.

Wiedziałem w tym momencie, że dane mi będzie ujrzeć coś strasznego, chociaż co to będzie, tego sprecyzować nie umiałem.

Był to gorzki fakt, smutna rzeczywistość, obezwładniająca jak cios w samo sedno.

Nad zadrzewioną linią horyzontu wisiało zdegenerowane, gasnące, fioletowe Słońce.

Było wielkie jak koło u wozu, lecz wiedziałem na pewno, że to Słońce.

Inne niż wschodzące słońce pustyni czy słońce, o barwie nasyconego, mocnego szkarłatu. To tutaj, chore ciało niebieskie nigdy już nie miało osiągnąć całej swej mocy i majestatu, całego splendoru pory południa. Jak siniak, jak gruda zakrzepłej krwi o zamazanych konturach, wzeszło i zawisło ponurym zwiastunem.

Odwrociłem wzrok ze smutkiem.

Niemal w tej samej chwili rozjaśniło mi się w głowie, i odezwała się intuicja, a uczyniła to tak jasno i czysto, jak żelazo podzwaniające o żelazo.

- To dlatego przenieśli mnie tutaj... - powiedziałem na głos.

- Kto?

Zapomniałem o obdarzonym zmysłami mieczu.

- Moi dobroczyńcy. Demony, które sprowadziły mnie tutaj.

Alamogordo nie wykazał zainteresowania.

- Wierzę ci na słowo.

- To dlatego, że Słońce umiera - powiedziałem, chociaż wcale nie rozumiałem tego do końca. - To przez zagrożenie, którego tak lękał się mój ojciec. To musi mieć jakiś związek ze sobą.

Spojrzałem na pokryte czarnymi bliznami Słońce.

- A moim przeznaczeniem jest pomóc przywrócić Słońcu życie.

- Nie można powiedzieć, by brakło ci ambicji - odezwał się miecz. - Pomyśl chwilę, Xarafie, a zaczniesz gadać do rzeczy. Słońce jest w tym stanie od czasu, gdy zachłanni ludzie odkryli zasadę przenośnika energetycznego. Wyeksploatowali jego jądro. Cały ten system goni teraz na ostatnich nogach. Nie pozostaje nic innego, jak wypić resztę wina aż do dna i rozbić puchar.

Czy możliwe by było, żeby to człowiek wstawił się u Śmierci za Bogiem? Przyjmując, rzecz jasna, że Słońce jest bóstwem. Poczułem, że ogarnia mnie stanowczy nakaz działania.

Jeśli bowiem tak było, to moja obecność w tej przerażającej krainie nie była bezsensownym przypadkiem; stawała się czymś istotnym, mającym swój cel i, być może, czymś najważniejszym.

Słońce podniosło się ponad drzewa, mozoląc się nad startem do fatalnej podróży ku odległemu przeciwległemu horyzontowi; dzielne, być może, w swej słabości, wzbraniające się przed wessaniem w głąb pozbawionej światła nocy.

Moja odzież i nieosłonięte części ciała zapłonęły w świetle umierającego Słońca.

Wzniósłem miecz w geście pozdrowienia. Wybuchło we mnie jakieś uniesienie. Odrzuciłem głowę w krzyku gniewu i wyzywającym śmiechu.

- Bardzo romantyczne - miecz wyzłośliwiał się. - Jeśli już skończyłeś, może zainteresuje cię wiadomość, że zwabiłeś trochę żywego inwentarza.

Na ścieżce przede mną stały dwa wielkie, podobne do kotów, zwierzęta. Odległe były o jeden strzał z łuku; ich żarzące się oczy patrzyły wyczekująco.

Stałem jak wryty obiema dłońmi ściskając rękojeść miecza. Jeden z kotów zatoczył

szeroki łuk, by odciąć mi odwrót. Z suchymi ustami i coraz mniej pewnymi zwieraczami, zbałem kątem oka grunt u mych stóp. Tuż przy nich, w trawie, leżała solidna gałąź.

Uwolniłem jedną rękę, z nieskończoną ostrożnością opuściłem się do półprzysiadu, podjąłem ułamany kij i podniosłem się powoli. Był to ciężki, lecz kruchy kawał drewna - za długo leżał

w trawie, wysychając na martwy, pozbawiony soków przedmiot. Liczyłem jednak, że będzie pomocny. Jedna z bestii ruszyła naprzód, poganiając mnie w kierunku czekającego towarzysza.

Ze strony lasu zabrzmiał jakiś wrzask - widocznie nie znane mi stworzenie padło ofiarą swego

nieodgadnionego naturalnego wroga.

Na powierzchni potoku pojawiły się bąble: jakaś ryba wyskoczyła ponad wodę, łapiąc coś w powietrzu.

Liście westchnęły w lekkim powiewie wiatru.

Chyłkiem posunąłem się do przodu, łowiąc napiętą siecią zmysłów wszystko, co te były w stanie odebrać, lecz widząc tylko koty i miecz z gałęzią w mych rękach. Rzuciłem błyskawiczne spojrzenia od jednego do drugiego zwierzęcia. Teraz oba koty były w ruchu, między białymi kłami widziałem wyraźnie ich wilgotne, czerwone języki. Nieubłaganie zmuszały mnie do cofania się tyłem w coraz bardziej gęsty las. Udawało mi się w ten sposób utrzymywać dystans, którego nie mogłyby pokonać jednym skokiem. Moje ruchy jednak hamowało trzeszczące, pełne pułapek, o które się potykałem, poszycie.

Uderzyło mnie nagle, że bestie wyraźnie poganiają mnie nie po to, żeby zabić, lecz raczej by popędzić w ściśle określonym kierunku.

Wydostaliśmy się na ścieżkę, która ujawniła kilka krzyżujących się tropów. Koty nie wykorzystały swej przewagi i sprzyjających okoliczności. Minęły długie chwile, a one nie zrobiły jeszcze niczego, co mogłoby mi bezpośrednio zagrozić (choć sama ich obecność wystarczała, bym pływał we własnym pocie), poza zmuszaniem mnie do cofania się w wybranym przez nie kierunku.

- One zaganiają mnie jak sztukę bydła - mruknąłem niedowierzająco.

- Mnie też się tak wydaje - rzekł miękko Alamoardo - nie podejmuj nierozważnych kroków, Xarafie.

Ich brązowe futra pocętkowane były czerwonożłotymi plamkami światła, które odbijało się srebrem od obrączek na ich tylnych łapach. Jeśli rzeczywiście działają tak, jak je nauczono, pomyślałem, to jeśli spróbuję opuścić ścieżkę, nakierują mnie na nią z powrotem.

Sprawdziłem trafność tej myśli, robiąc kilka razy wypad w gąszcz. Obie bestie natychmiast reagowały - ich rozluźniony chód nabierał sztywności, zęby obnażały się w groźbie.

Alamoardo syknął w końcu na mnie z irytacją. Przełknąłem kulę, która urosła mi w gardle i kontynuowałem powolny, zdalnie sterowany odwrót nie przeze mnie wybranym traktem.

- Czy wysłano je, by mnie znalazły?

- To zupełnie możliwe. A nuż ich panowie odkryli już martwe zwierzę - powiedział

miecz. - A ty zostawiłeś je w stanie, który nie wskazywał na spokojną śmierć ze starości.

Same koty nie miały, oczywiście, szczególnie rozwiniętej inteligencji. Dlaczego jednak w takim razie zaniechały natychmiastowego ataku na mnie, pohamowując instynktowną chęć zabijania, którą ujawnił ich poprzednik?

Spojrzałem w dół, na kawałek świetlistej tkaniny, owiniętej wokół mego pasa. Czy to ona właśnie powodowała ich niezwykle zachowanie?

Bestie nadal napierały na mnie. Spróbowałem wczuć się w ich sposób myślenia, wnikać do gładkich czaszek silnych, na wpół oswojonych kotów.

- To dlatego nakłoniłeś mnie, bym zabrał ową obręcz? - domyśliłem się głośno.

- Nie jestem przecież jasnowidzem, jeśli o to ci chodzi - odparł Alamogordo. - Po prostu wydawało mi się to rozsądne.

- Lecz przypuszczasz, że ten materiał ma jakiś związek z faktem, że jak dotąd nie zostałem zaatakowany?

- W jakiś sposób służy identyfikacji, to pewne.

- Lecz, jak łatwo zauważyć, ja nie jestem kotem.

- I nie jesteś też, jak przypuszczam, podobny do ich panów. Inaczej zostawiłyby ci swobodę.

Syknąłem, jak przedtem miecz, ze zdenerwowania.

Te bestie musiały być bardziej rozgarnięte, niż sądziłem na początku.

- Krótko mówiąc - rzuciłem - jestem dla nich kimś nieznanym, a kogoś takiego należy zaprowadzić do zwierchników, by oni gościa skontrolowali.

Alamogordo był szczery:

- Zawsze to lepsze, niż zostać zjedzonym na miejscu.

W końcu trakt wyszedł na małą polanę. Gardłowy wrzask sprawił, że podskoczyłem.

Udało mi się tylko dojrzeć pięciu lub sześciu dziwnie uzbrojonych mężczyzn, którzy przykucnięci wokół ogromnego, nieżywego zwierza zdierali zeń szarą, czarno cętkowaną skórę. Zauważyłem jeszcze, że czynili to ostrymi nożami.

Moi koci towarzysze wydali głęboki, dojmujący pomruk, który ponownie zwrócił

moją uwagę na grożące z ich strony niebezpieczeństwo.

Oba koty zbliżyły się; ich kły lśniły w wilgotnych pyskach. Zdawało się, że z niecierpliwością oczekują, by ich panowie ocenili istotność paradoksu mego istnienia.

Zachowałem zimną krew, chociaż instynkt podpowiadał, by uderzyć nie zwlekając, lub też równie szybko podbiec do tych ludzi i błagać o ich łaskę.

Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego.

Grzbiet pokryła mi gęsia skóra, lecz wkroczyłem, starając się zachować maksymalnie ostentacyjną pewność siebie, na polanę.

Do tego czasu myśliwi już się podnieśli. Obserwowali mnie nieufnie, trzymając w dłoniach ociekające świeżą krwią noże i rozmawiając ze sobą niskimi, mrukliwymi głosami.

Ustawili się wachlarzem przed upolowaną zwierzyną.

- Tak, chłopcze - rzekł Alamogordo. - Reszta należy do ciebie.

- Co? - mruknąłem nie poruszając ustami, podchodząc powoli krok za krokiem.

Odrzuciłem ciężki kij, upadł na ziemię, ręce trzymałem otwarte i jak najdalej od miecza.

- Nie znam tego języka. Zakładałem, że będę mógł być tłumaczem, lecz wydaje się, niestety, że moje zaprogramowanie nie było dość gruntowne.

- Twoje co?

- Moi nauczyciele pragną chyba, byś radził sobie na własną rękę. Przykro mi. Zalecam maksymalną uprzejmość.

Jeden z myśliwych, niższy od innych i bardziej dziwacznie odziany niż pozostali, chociaż też w futrach, przyłożył do ust stulone dłonie i wydał niesamowity, miauczący krzyk.

Uszy zaświerzbiły mnie od tego dźwięku i skóra ścierpła. Na stąpające dotąd lekko u mego boku wielkie koty wywarł on nie mniejszy, choć odmienny, efekt.

Ten po prawej przysunął się bliżej, wyrażając niedwuznacznie ostrzeżenie. Zamarłem w miejscu.

Ten z lewej zaś skoczył z przerażającą szybkością do miauczącego mężczyzny, który tymczasem włożył dwa małe palce w kąciaki ust, rozciągając je szeroko, i kontynuował swą niesamowitą, miaukliwą pieśń. Zwierzę rozplaszczyło się u jego stóp, jak gdyby pilnie słuchało. Gdy jego pan zamilkł, wymruczało odpowiedź.

Niski mężczyzna zwrócił się do swoich towarzyszy i powiedział coś w tym szkaradnym, mrukliwym języku myśliwych. Popatrzyli znacząco na srebrną obręcz przy moim pasie.

- Oni rozmawiają ze zwierzętami - powiedziałem słabo.

- A co z tego?

- Z niemymi zwierzętami!

- Te koty nie są nieme - miecz zwrócił mi uwagę z zakłopotaniem. - Sam słyszałeś, jak jeden z nich

mówił.

- Zwierzęta nie umieją mówić - potrząsnąłem głową z konsternacją. - Nie mają duszy.

- Niezwykle trafne i bezmyślne spostrzeżenia - rzekł miecz lodowato. - Takie opinie radzę ci zachować dla siebie. Nie każdy jest tak wielkoduszny i pobłażliwy, jak ja.

Te drwiny sprawiły mi przykrość, lecz nie przyciągnęły mojej uwagi na dłużej, jako że myśliwi rozbrzmiewali teraz zgrzytliwą i dość gniewną kakofonią. Ich blade, nieowłosione twarze pociemniały z emocji.

Facet o szerokich, płaskich rysach gestykułował niecierpliwie. Wywrzeszczał jakiś rozkaz, który sprowadził na polanę jeszcze kilku myśliwych, którzy wyslizgnęli się spomiędzy drzew. Przemówił ostro do władcy bestii, który uniósł swą zasuszoną twarz ku niebu i zawył przejmującym, kocim głosem. Poszycie lasu zaszeleściło - suche patyki i opadłe gałęzie zatrzeszczały, gdy pięć dalszych zwierząt wypadło z łoskotem z lasu. Kolejno podchodziły do niskiego mężczyzny, wymrukując swój meldunek. Uczyniwszy to, zajęły miejsca u boku wybranych myśliwych.

W ciszy, która nagle zapadła, przyjrzałem się moim zwycięzcom dokładniej.

Ich skórzaną odzież plamiły jaskrawe rozbryzgi farby - szkarłatnej, purpurowej, żółtej, trawiastej zieleni. Wykonane z kości, w tym i słoniowej, klamry o barbarzyńskim wyglądzie spinały rzemienie, które przytrzymały ciasno kurtki i buty. Najbardziej rzucał się jednak w oczy całkowity brak włosów na ich twarzach - cecha ta była wspólna dla wszystkich niezależnie od wieku, a ten wahał się od zaawansowanej starości władcy kotów po zbliżającą się dopiero dojrzałość młodzika o świeżej twarzy i nachmurzonej minie. Reszta była w wieku średnim.

Cisza trwała nie dłużej niż dziesięć uderzeń serca.

Przywódca wystąpił o krok naprzód i wrzasnął jakieś pytanie takim tonem, że od razu zrozumiałem, że najlepiej będzie, jeśli odpowiem na nie szybko i pokornie.

Wzruszyłem ramionami i potrząsnąłem głową, rozejrzawszy się wokoło z miną kogoś, kto nic nie rozumie.

Usta przywódcy wykrzywiły się. Wymachując wciąż jeszcze skrwawionym od rzeźniczych czynności nożem, podjął kolejne wysiłki, by mnie zastraszyć.

- Skoro ja nie rozumiem twoich słów - rzekłem spokojnie - to zdaje się być mało prawdopodobnym, byś ty rozumiał moje. Czy umiesz mówić językiem wędrowców z pustyni?

Popatrzyli po sobie bezmyślnie. Mężczyzna o płaskiej twarzy zmarszczył brwi, postąpił parę kroków bliżej.

Przyszło mi na myśl, że oni boją się mnie jednego bardziej niż ja całej ich grupy, z kotami na dokładkę.

- Oni biorą mnie za kogoś innego - powiedziałem cicho.

- To całkiem możliwe - szepnął Alamogordo. - Twoje odzienie, oczywiście, jest dla nich dość niezwykle. A skąd mogą wiedzieć, że nie jest ono twoją własnością?

Przywódca doszedł wyraźnie do kresu cierpliwości i wrzasnął coś przez ramię, cofając się.

Niepozorny władca bestii wymiauczał ostry rozkaz.

Sprężywszy się, wyciągnąłem miecz. Koty nie ruszyły się z miejsca, lecz dygotały coraz silniej.

Nie miałem szans na obronę. Niezwykle mocny cios, wymierzony od tyłu w moje prawe ramię, wytrącił mi miecz ze sparaliżowanych palców.

Wielki kot, który wypadł jak piorun z lasu za mną, uderzył znowu, schowawszy jednak pazury. Cios w bok głowy ogłuszył mnie.

Straciłem oddech i upadłem jak kamień, nie będąc w tym pechowym momencie świadomym niczego, prócz ohydneho, otaczającego mnie smrodu tego dzikiego zwierzęcia.

*

Skurcz mnie wykańczał. Od ścięgien w nogach po zgarbione barki. Leżałem na boku z kolanami mocno przyciśniętymi do podbródka, przedramionami połączonymi z goleniami i przywiązanymi pasami metalu do kostek u nóg. Otaczał mnie zatęchły mrok.

Oddychać mogłem tylko płytkimi, chrapliwymi wdechami.

Forsowne wpychanie powietrza w moje ściśnięte płuca i wydychanie go pochłaniało wszystkie skromne resztki moich sił. Na dodatek pulsujący nieznośnie w moim stłuczonym ramieniu ból zdawał rozlewać się po całym ciele.

Koci smród dławił mnie jak cuchnąca tkanina omotana wokół głowy. Najwidoczniej ta chata o wysłanej sitowiem podłodze służyła za schronienie dla tych wielkich łowców.

Nie dawało się wykluczyć, że ściągały tu one swoje najwyborniejsze kąski, by obgryzać je podczas długich i nudnych nocnych godzin, gdy nie mogły znaleźć nikogo obcego do dokuczania.

Były tam także oznaki, że powiedzenie głoszące, iż nie należy kalać własnego gniazda, nie było w powszechnym poważaniu między tymi akurat zwierzętami.

Mój nastrój był obrzydliwy.

Przez szczeliny oblepionej błotem strzechy sączyło się słabe, czerwone światło, które jednak nie rozjaśniało w pełni mroku w komórce. Wejście obramowywały cienkie szpary pomarańczowego, dziennego światła. Mimo skrępowania, spróbowałem przesunąć się bliżej tego miejsca, by móc zerknąć chociaż na to, co było na zewnątrz. Wielkim wysiłkiem, który czułem jakby miał być moim

ostatnim, przerzuciłem ciało na prawy bok. Ból był

przerażający i raz jeszcze przywiódł mnie na skraj omdlenia.

Leżałem ciężko sapiąc, czując się chorym, poraniona twarz wycierała szorstką i brudną podłogę, i tak czekałem na pojawienie się myśliwych.

Nie dawało się przewidzieć, co ze mną zrobią. Jedynym korzystnym aspektem całej tej sprawy było, jak dotąd to, że nie zabili mnie od razu.

W cierpieniu i niedoli zdałem sobie jasno sprawę, że brakuje mi towarzystwa Alamogordo. Rzecz jasna zabrali mi go i wątpiłem, czy kiedykolwiek jeszcze nadarzy się okazja, by znów porozmawiać z tym osobliwie inteligentnym narzędziem. Kiedy byłem dzieckiem, Darkbloom wpajał mi rozmaite sposoby opanowywania bólu, lecz nigdy dotąd nie byłem aż tak sponiewierany i pokaleczony.

Z trudem odnalazłem w pamięci słowo, którego mnie nauczył, jego trzy bezsensowne sylaby, i zacząłem powtarzać je nieustannie, mrużąc je w takt chrapliwych, szybkich oddechów.

Umysł nie jest w stanie zbyt długo koncentrować się na jednej tylko myśli, na jednej sprawie, na monotonnym mamrotaniu. Gubi myśl, która staje się bladym echem i powraca do własnego bólu i znudzenia. Tutaj było miejsce dla szczególnej sztuczki Darkblooma, pokazującej, jak oszukać umysł przez zlekceważenie jego cierpienia - trzeba krążyć dokoła, dokoła pętli męczącej posępnosci i zapomnieć w ten sposób o sobie.

Po jakimś czasie tej narzuconej siłą medytacji odkryłem, że zmęczenie zanika i fale ciepła zaczynają przepływać przez moje wyczerpane ciało. Pozwoliłem, by ta fala mnie uniosła, wyłączyłem zmysły, które informowały mnie o cierpieniu mego ciała i skupiłem zamazaną iskrę świadomości jakby poza sobą samym.

Pomarańczowe światło mrugało rytmicznie. To jeden z kotów chodził tam i z powrotem przed drzwiami mego więzienia.

Zbliżały się i oddalały szmery wysokich, kobiecych głosów.

Biegające dzieci wrzeszczały i zawodziły.

Opodal drzemał na słońcu inny kot - jego ciężkie pomrukiwanie przeszło w jednostajny, rozluźniony warkot, który zdawał się wprawiać w wibrację ściany z wysuszonych na słońcu cegieł.

Gdzieś wiatr potrząsał liśćmi; chłodny przeciąg śpiewał pod drzwiami. Ptaki śpiewały nie znane mi melodie - spróbowałem zanotować w pamięci ich tony. Trochę oderwało to mnie od przyziemnej sytuacji.

W pobliżu woda bulgotała w strumyku.

Do mych nozdrzy dotarła woń pieczonego mięsa, absorbując momentalnie i całkowicie moją uwagę. Stęknąłem i spróbowałem rozerwać więzy. Jedyne co moim wierceniem się i przetaczaniem

osiągnąłem, to rozjątrzenie ran. Metalowe paski były w przekonujący sposób solidne.

Przez następne kilka godzin, które wytrzymałem tylko dzięki stosowaniu technik Darkblooma, głównie spałem.

Zbudził mnie zgiełk. Światło na zewnątrz chaty zamierało. Huczały jakieś grube, męskie głosy, kobiety i dzieci nawoływały i śmiały się. Usłyszałem nieludzkie miauczenie władcy bestii. Trawa szeleściła pod stopami zwierzaków, które wchodziły tłumnie do osady.

Drewniane drzwi rozwarły się z trzaskiem. Stały w nich dwie obramowane jasnym jeszcze niebem zmierzchu postacie; za nimi stał wywijający ogonem kot. Uchwyciłem błysk czerwieni w jego lśniących ślepiach.

Spróbowałem usiąść.

Myśliwi wkroczyli do chaty, pochylili się nade mną i w jakiś niejasny sposób rozluźnili moje więzy. Ramiona i nogi stały się nagle wolne, chociaż równocześnie napłynęła w nie fala ognia, w miarę jak prostowały się mięśnie. Nawet, gdybym miał teraz szansę ucieczki, korzystanie z niej leżało poza zasięgiem moich możliwości. Jedna z pozostających w cieniu postaci odciągnęła moje ręce do tyłu i ponownie ciasno je skrępowała.

Szarpięciem postawili mnie na nogi i prawie wynieśli z budynku na rozległy wybieg.

Zmrużyłem oczy przed przyćmionym światłem zmierzchu. Z wolna odżywało w moich członkach krążenie krwi, lecz i tak szedłem na nieprzyjemnie zdrętwiałych nogach.

Ujrzałem dwadzieścia czy trzydzieści prymitywnych chałup. Między nimi plątała się spora gromada ludzi na równi pozbawionych włosów, tak że nie umiałem odróżnić mężczyzn od kobiet. Zbiło mnie to nieco z tropu, później jednak nauczyłem się rozróżniać kobiety po mniejszym wzroście i specyficznym sposobie poruszania się. Niemniej, była to i tak mała różnica, gdy spojrzeć na to z punktu widzenia mego ludu, decydowały właściwie drobiazgi.

Tak jak mężczyźni, kobiety w osadzie nosiły stroje z jasnego plamistego futra. Dzieci i kocięta baraszkowały razem wesoło, aż do chwili, gdy czyniona przez nie wrzawa stała się tak dokuczliwa, że rodzice obu gatunków uciszali je szturchańcami, przyglądając mi się z wyczekiwaniem. Musiałem wydać im się osobliwym widowiskiem, gdy tak stapałem na bolących nogach. Moja eskorta, jak zauważyłem, wlokła mnie do obszernego budynku o spiczastym dachu. Droga doń wiodła przez ścieżkę między nagromadzonymi nieczystościami

- całość zaś pachniała jak rozbite na dłuższy czas obozowisko moich wędrownych nomadów: pot, gotowane jedzenie, garbowane i niegarbowane futra, tyle że zamiast nawozu baluchitherium i kóz tutaj plątały się kocie odchody.

Nie udało mi się jednak zlokalizować wychodka, co mnie mocno zdziwiło. Kręciłem szyją na wszystkie strony, szukając tego miejsca. Drugą rzeczą, której mi brakło, był dym -

nie wyczuwałem go wcale.

Jak, spytałem sam siebie, można gotować mięso bez ognia? Na całej polanie nie dostrzegłem żadnego ogniska.

Z wnętrza dużej chaty padało światło, które nie migotało. Lampa alkoholowa, która pali się czysto i równo?

Nie wyjaśniało to jednak sekretu tych kuchennych zapachów. Mój nos był dość czuły, by orzec, że ci ludzie gotują swoją żywność bez korzystania z opału. Ten absurd przeraził

mnie poniekąd bardziej niż sama niewola.

Wódz stał w wejściu do chaty - skrzyżował ramiona na potężnej piersi, a jego pochmurna twarz wyglądała tak, jakby coś zgmiotło mu ją w dzieciństwie na płask - policzki były jak płyty, nos przyciśnięty do oblicza i szeroki.

Moje ramiona zostały uwolnione z więzów. Jakiś zbir popchnął mnie z tyłu. Upadłem na twarz i leżałem tak przez chwilę czekając, aż minie atak bólu. Za mną nadszedł już tłum pomrukujących, wrogich cieni. Tu i tam grasowały koty.

Ukląknęłam w końcu z wysiłkiem i już miałem się podnieść, gdy czyjś but trącił mnie ostrzegawczo w nerki.

W bólu popatrzyłem z furią do góry, na wodza.

- Skoro nie jesteśmy w stanie zrozumieć się nawzajem, to wszystko tylko udowadnia naszą bezradność, ty po trzykroć przekłeta, łysa małpo!

Pasja była na tyle silna, że została zrozumiana i bez tłumaczenia.

Jego oczy pod cienkimi, bezzęsyimi powiekami zwęziły się i wypłuł strumień szwargotu, który był niewątpliwie pytaniem. Gdy dotarło do niego, że nie potrafię odpowiedzieć, odwrócił się zdecydowanie i wszedł do budynku. Chwilę później wrócił ze sporą skrzynką sporządzoną ze srebrnego metalu. Krzycząc coś do tłumu, wyciągnął z niej mój pas, nadal ozdobiony skradzioną obrączką. Ze skurczem jelit odgadłem, co przyjdzie wydobyć drugiej ręce.

Zgromadzeni zawyli za moimi plecami. Odgłos ten łączył w sobie wyrzut i coś w rodzaju krytej pod świętoszkowatością żądzy krwi.

Patrzyłem na zapadnięte oczy wodza Rokhmuna, którego spojrzenie stało się po śmierci zgoła idiotyczne. Na dodatek skóra na twarzy skurczyła się nieco, bardziej teraz przypominając maskę. I to śmierdzącą.

Myśliwy stał tak przez chwilę w przytłaczającej ciszy, z ramionami wyciągniętymi w górę i ściskającymi świadectwa moich przestępstw, przypominając jakiś rytualny żywy, groteskowy przy tym, obraz. Jednorodne, niemigoczące światło za plecami odjęło jego postaci człowieczeństwo - był teraz ikoną przedstawiającą legendarną zemstę.

Pozwolił opaść ramionom. Nagle wszyscy rozwarli gęby, gadając, piszcząc i wyobrażam sobie, że składali propozycje przykrości, które były dla mnie należyte.

Jedna z kocich bestii zasyczała niepewna co do nastroju towarzystwa, nie przerywając sobie grzebania w śmieciach.

Rozgrzane, spocone ciała przysunęły się bliżej. Czułem ich nacisk, nie odrywałem jednak wzroku od gołych rysów wodza. Ten patrzył w dół, na mnie, nie kryjąc, że stara się wymyślić wyjście z tej sytuacji. Wrzucając pas do swej siatkowej torby myśliwskiej, zakołysał odrąbaną głową, trzymając ją za warkocz, w wyciągniętej ręce, bez namysłu wypowiadając oskarżycielskie, histeryczne żądanie. Tłum wyryczał swą aprobatę.

Wiedziałem, że wszelkie gadanie jest bezużyteczne, lecz nie mogłem nad sobą zapanować.

- Ten nieżywy mężczyzna to nie wasza sprawa. Uwolnijcie mnie! Chciałem prosić was o pomoc, jak przyjaciel. Teraz żądam wolności, chyba że chcecie poznać gniew mojego ludu!

Bezsensowny i głupi patos. Trzeba jednak mówić, póki się oddycha.

Zanim jednak to dopowiedziałem, schwycili mnie za ramiona i dźwignęli na nogi.

Uderzone trofeum zakołysało się na warkoczu. Wówczas wódz wypuścił je pogardliwie z rąk, aż jak niekształtna piłka potoczyło się w pobliże moich stóp.

- Zwróćcie mi miecz! - krzyknąłem. - Wtedy będziecie musieli walczyć, nim doprowadzicie do tego, że Darkbloom okryje się rozpaczą, wy nędzni, chrząkający wielbiciele kotów!

Niebo było teraz bardzo ciemne. Dziwne źródła subtelnego światła objawiły się w wierzchołkach drzew, rzucając na zgromadzenie blask jak tuzin sierpniowych księżyców schwytych w bujne, zielone listowie. Za moimi plecami doszło do jakiegoś poruszenia.

Z chaty wyszła stara kobieta. Niosła obszerny płaszcz z zielonych i cynobrowych piór naszytych w niemiłe dla oka emblematy na płacie miękkiej skóry. Z namaszczeniem wódz przejął od niej ów strój, układając go na swych barkach. Wezwał uroczysty wyraz na oblicze -

był teraz arcykapłanem. Postąpił od żółto błyszczącego wyjścia - powoli, złowieszczo. Moi strażnicy obrócili mnie szarpnięciem twarzą do towarzystwa. Nie zważali przy tym na moje rany. Ból rozlał się po stłuczonym ramieniu, zagroziwszy resztkom mojej zimnej krwi. Na moment straciłem władzę w nogach. Pozostały mi już tylko resztki zapasów godności.

Twarze tańczyły przed moimi oczami - białe owale zalane padającym ze świątyni blaskiem.

Niski pomruk podniósł się wśród czekających na oddanie im zdobyczy kotów, które były tu prawie tak samo liczne i zaangażowane w sprawę, jak ludzcy myśliwi.

Moja chwila, jeśli w ogóle była jakaś, minęła bezpowrotnie.

Sąd został skończony. Gorzkie było to odkrycie. Nadal, na dodatek, nie miałem pojęcia, na czym polega moje wykroczenie. Nie zdawało się jednak podlegać wątpliwości, że stosowane tu doraźne wymierzanie sprawiedliwości miało nastąpić lada chwila.

- Alamogordo! - krzyknąłem wniebogłosy, nie czując, w obliczu śmierci, wstydu. -

Oni zamierzają mnie zabić! Poradź coś!

Nie wiedziałem, gdzie przechowywali mój skonfiskowany miecz, lecz logiczne by było, że wewnątrz świątyni. Powinien mnie zatem usłyszeć. Gdyby się odezwał, z pewnością usłyszałbym jego głos. Intuicja podpowiadała mi, że nieznany głos dobiegający z wnętrza ich świętego budynku byłby dość mocnym akcentem, by powstrzymać myśliwych.

Cisza.

Potem zaś poczułem się tak samo bliski śmierci, jak w przedostatnim momencie burzy, z nieżywym baluchitherium u mych stóp.

Nie znalazłem pocieszenia w ironicznym stwierdzeniu, że wówczas oszukałem śmierć.

Twarz i klatka piersiowa zwilgotniały.

Powlekli mnie przez plamy ciemności i łagodnego światła, aż do potężnego, starego drzewa, które górowało nad polaną, rosnąc na jej skraju. Na samym wierzchołku jego liście migotały mlecznożółtą poświatą. Cóż mogłem zrobić? Byłem otoczony przez nieustępliwych, walecznych mężczyzn i kobiety, które nie kryły się wcale z tym, że przyszły, by obejrzyć sobie moją egzekucję.

Zwierzaki - ani tygrysy, ani jaguary, podobne jednak i do tych i do tych w zdolności do zadawania śmierci, rozłożyły się ze wszystkich stron i powarkiwały.

Nawet gdybym zdołał zerwać te więzy, nawet gdybym jakimś cudem dał radę pokonać mych ludzkich wrogów i uciec im, te zwierzęta dopadłyby mnie, oddzierając mi ciało od kości, zanim oddaliłbym się w las na dziesięć kroków.

Zabrział dźwięk rogu myśliwskiego - jasny i uprzykrzony jak krzyk jakiegoś ptaka w mosiężnym gardle.

Przez chwilę pomyślałem, że może to być jakaś pomyłona sztuczka mojego miecza.

Ale nie, dźwięk nadpływał zza pobliskich drzew. Efekt, jaki wywołał, objawił się w tłumie dość dramatycznie; był wszystkim, czego można by żądać jako widowiskowego odwołania wykonania wyroku w ostatniej chwili.

Wszystkich zamurowało, ludzie popatrzyli na siebie wzajem ze zmieszaniem i, jak mi się wydało, z lękiem. Uroczyście upierzony przywódca zgubił krok i zwrócił się twarzą ku zachodowi.

Gwiazdy świeciły jasno ponad sękatymi, zielonymi drzewami. Róg znów się odezwał, niosąc się

przez las wspaniałym imperatywem, który nie pozostał bez echa. Lekko drżącymi palcami wódz rozwiązał rzemyki pod szyją, pozwalając pysznemu płaszczeni zsunąć się z ramion. Jego podstarzały pomocnik rzucił się naprzód, by to podnieść. Reszta trwała w oczekiwaniu. On zaś roztrząsał najwyraźniej w swej łepetynie jakąś ponurą kwestię. Nagle, rzuciwszy mi z ukosa szybkie spojrzenie, wydał bez dalszego namysłu mi polecenie temu od zwierząt i wielkimi krokami ruszył do dużego budynku, dawszy uprzednio znak strażnikom. Mały facet zamruczał łagodnie do swych kotów, zgromadził je wokół siebie, kilkakrotnie powtarzając w ich prostym języku jakieś polecenie.

Tłum rozproszył się szybko, rozczarowany i ożywiony. Jedna z kobiet wydała przeszywający krzyk, który przebił się przez wszystkie bariery językowe. Stwierdziłem, że uśmiecham się szeroko z wielkiej ulgi, która zdjęła ciężar wielkości pięści z mej przepony.

Gryzący dym przypalającego się mięsa wyczułem niedługo po tej, która krzyczała. Pobiegnęła przez wydeptaną trawę, by zająć się wreszcie czymś praktycznym.

Zanim zostałem otoczony i skierowany z powrotem do więzienia, zdołałem ujrzeć jeszcze jedną scenę z niedosłęgo miejsca kaźni: trzy z ogromnych kotów, wyprężone niecierpliwie, odpowiadały coś mrużąc swemu panu. On energicznie klasnął w dłonie i pozwolił im iść. Skoczyły w las jak złote widma, uroczo i groźnie poruszając ciałami i w jednej chwili zniknęły, oddalając się w kierunku niewidocznego rogu.

Z niespokojnej drzemki wyrwał mnie stukot kopyt i nerwowe rzenie pędzonego przez wielkie drapieżniki konia. Tym razem myśliwi zaniechali wiązania mnie na wzór drobiu oskubanego do pieczenia, poprzestając na mocnej taśmie krępującej kostki u nóg i unieruchomionych nadal na plecach ramionach. Jak na wpół złożony scyzoryk przepelżałem przez nieprzyjemną podłogę i przycisnąłem twarz do okalającej drzwi szczeliny.

Iluminacja w wierzchołkach drzew przygasła, lecz pas polany u wejścia do wielkiego budynku był nadal jasno oświetlony. Z cienia wyszedł szereg owiniętych w futra myśliwych i ruszył na spotkanie nadciągającego jeźdźca.

Tu nastąpiło coś, co było osobliwe, a dla mnie drażniące: wykrzyknęli niezbyt żywiołowe pozdrowienie i wówczas odpowiedziało im niskie, donośne zawołanie w odmiennym, o wiele bardziej melodyjnym języku. W tej samej formie przebiegała dalsza wymiana pozdrowień, nie napotykając przeszkód mimo różnicy języków. A wiedziałem przecież, że nieliczni z tego ograniczonego, nieobytego narodu, o ile w ogóle jacyś, operują swobodnie własnym żargonem, o języku innego ludu nawet nie wspominając. W sumie było to tylko przelotne, nie aż tak ważne spostrzeżenie.

Rumak zatrzymał się gdzieś poza moim ograniczonym polem widzenia. Jeździec zeskoczył z niego z brzękiem metalu i skrzypieniem skóry. Zakląłem i podźwignąłem się wyżej, usiłując przypasować się do nieznacznie szerszej szczeliny. I jakby inaczej - moje stłuczone ramię otarło się o ledwo ociosane drewno. Skrzywiłem się przeczekując ból. Całe ciało protestowało, nawet w brzuchu zaburczało - wypróżnienie stawało się potrzebą coraz pilniejszą. Spróbowałem zignorować te meldunki dochodzące z mojego wnętrza i kątem oka wyjrzałem na polanę. Wysoka postać w eleganckim, lecz solidnym stroju jeździeckim przeszła właśnie przez długą smugę światła, prowadząc za sobą rogatego, mlecznobiałego rumaka. Przyjrzałem się temu uważniej.

Tak. Mój mimowolny wybawca był kobietą.

Eskortowało ją kilku myśliwych, okazując przy tym wielki szacunek dla jej osoby.

Cała grupa była dodatkowo strzeżona przez ustawione wokoło trzy czujne, kocie bestie.

Obca przyjmowała te uprzejmości jakby mimochodem. Ledwo znaleźli się poza moim polem widzenia, zdałem sobie sprawę, na jak zmęczoną wyglądała.

Poczułem nagły przyływ nadziei.

Ten strój amazonki był bardzo podobny w stylu i sposobie wykonania do mojego własnego, który otrzymałem do owego nie znanego mi dobroczyńcy. O wiele bardziej niż do futer myśliwych.

Czy mogła być zatem przedstawicielem owego czarownika czy demona, który sprowadził mnie tutaj z mej własnej, zimowej Krainy? W świętej naiwności nie przyszło mi nawet do głowy, że to

Alamogordo mógł wezwać ją w potrzebie. Gdybym wówczas to odgadł, moja sympatia do tego utalentowanego artefaktu byłaby o wiele serdeczniejsza.

Głosy straciły na ostrości. Wraz z zamknięciem drzwi chaty woda światło osłabło.

Wysoko w górze zerwał się porywisty wiatr, kołysząc lasem w takt swej ponurej pieśni.

Ponad obozem panowała cisza. Żaden ludzki strażnik nie przechadzał się po pustej teraz polanie.

Pozwoliłem, by oczy zamknęły się i zapadłem w ciemność, w której rozlegało się burczenie mojego pustego żołądka. Moim ostatnim posiłkiem był owoc i parę garści jagód, a do tego byłem bardziej niż bardzo spragniony.

Nade wszystko jednak pragnąłem uwolnić się od więzów. Strażnicy robili to, naciskając kolejno w różnych punktach na taśmę. Zacząłem odtwarzać obraz tych czynności, posługując się bardziej wspomnieniem dotyku niż wzrokiem.

W normalnych warunkach byłoby to dzieło jednej chwili - przybliżyć stopy, ku rękóm uwięzionym za plecami. Teraz jednak, potłuczony, ze sztywnymi, przypominającymi kawały drewna kończynami, palcami niezdarnymi przez brak krążenia...

Przetoczyłem się przez sitowie, opierając stopy o jedną ze ścian. Wykręciłem się do tyłu i bez dłuższego szukania dotknąłem moich pięt. Sapałem i mruczałem, zaciskając dłoń na pięcie prawego buta.

Niemal natychmiast pojawił się skurcz, który zaczął wykręcać moje nogi, zginać czubki palców w spazmie bólu. Jedne po drugich kurczyłem mięśnie, włączając do sprasowanych tkanek krew, tak jak nauczył mnie Darkbloom. Palce zgięły się w próbie osiągnięcia punktów nacisku na taśmie. Chłodny materiał był naznaczony lekkimi wgłębieniami, w których wytłoczone były jakieś symbole - podobne były na obręczy noszonej przez kota. Tego właśnie dotykali myśliwi, by uwolnić mnie z więzów. Odprężyłem się dając umysłowi odetchnąć i przekazałem palcom polecenie wykonania pamiętanych przeze mnie ruchów.

Znowu skurcze. Przerwałem eksperymentowanie, lecz nie zmieniłem pozycji, mimo że sprawiała wiele bólu. Uciszyłem puls, oddychając w celowo powolnym rytmie. Przestało walić mi w głowie, skurcze uspokajały się. Raz jeszcze wziąłem się za taśmę.

To działanie w cyklach bólu i częściowego odprężenia stawało się coraz bardziej uciążliwe. Odczuwałem coś w rodzaju pokrewnej klaustrofobii frustracji - jak ktoś schwytyany w potrzask ciasnego więzienia, które jest trudniejsze do zniesienia i bardziej irytujące niż okrutny ból rany. Domyślałem się, że na tym właśnie mają polegać najbardziej wymyślne tortury. Byłem na progu załamania, jeszcze chwila, a zrezygnowałbym z dalszych prób, gdy z wrzaskiem wściekłości zdołałem wreszcie sprawić, że taśma puściła. Moje nogi były wolne.

Lecz tak szczerze mówiąc, czy dało mi to cokolwiek?

Położyłem się na plecach, wbijając wzrok w ciemny dach, podczas gdy ponownie swobodnie

płynąca krew grasowała w moich kończynach. Ręce były nadal jeszcze nie do użytku. Wreszcie podniosłem się przykucając, stanąłem i najlepiej, jak mogłem uczynić bez światła, zbadałem moje więzienie. Ściany były z masywnych kawałków drewna, tu i ówdzie popękane, lecz nadal solidne. Gdybym miał na to czas, mógłbym kopnięciami obluzować jakąś deskę ze ściany, lecz - rzecz jasna - nie obeszloby się wtedy bez obudzenia całego obozu.

Z drzwiami nic nie można było zrobić - z drugiej strony zabezpieczała je solidna zasuwa. Tylko błotno-trawiasta strzecha mogła zostawić nadzieję, lecz z racji skrępowanych nadal rąk nie widziałem sposobu, by jej dosięgnąć.

Wybrałem miejsce tuż przy drzwiach i usiadłem. Ci, którzy wejdą przez nie pierwsi, zapłacą dotkliwą cenę za pogardliwe traktowanie mnie i arogancję. Postanowienie było na tyle atrakcyjne, że wyszczerzyłem zęby w wilczym grymasie.

Mój mistrz Darkbloom nie był pacyfistą. Nauczył mnie wielu chwytów i sztuczek, dzięki którym można było unieszkodliwić gołymi rękami nawet uzbrojonego napastnika.

Teraz byłem właśnie nieuzbrojony, lecz ślubowałem, że jeśli ci myśliwi dalej będą mi grozić, to przynajmniej jeden lub dwóch z nich nigdy nie usłyszy już kobiecego krzyku namiętności.

Ciemność więzienia nie jest dobra na takie rozmyślania. Cała ta fantazja rozbudziła we mnie pragnienie zemsty, potem jednak wpadłem w rozpacz i samooskarżenie.

Coś nie tak musiało być ze skutecznymi zwykle technikami Darkblooma, że zapaliłem się, i to tak szybko, by rozkoszować się perspektywą skrzywdzenia drugiego człowieka. To prawda, że raz już zhańbiłem mój ślub krwią. Lecz czyżby ten grzech mógł wystarczyć, by wszystkie moje zasady uleciały, jakby nigdy ich nie było?

Dygocąc opuściłem głowę na pierś i dumałem w ciemności.

Niezależnie od moich wysiłków, od tego, czy starałbym się wyprzeć sprawy lub nie, czułem, że budzi się we mnie jakaś niegodziwa spuścizna. To było to właśnie, co mój ojciec rozpoznał słusznie jako ducha, jak to nazwał, potężnego zabójcy.

Drzwi odległej chaty otworzyły się i posłyszałem mamrotanie spierających się głosów. Stanowczy kontrakt gościa uciął dyskusję. Szybko podniosłem się na nogi. Jeden lub dwóch myśliwych kierowało się ku mojej komórce.

Dręczony niepewnością, czekałem w napięciu, aż otworzą drzwi. Czynnikiem zaskoczenia był po mojej stronie. Perspektywa zemsty jednak już mnie nie cieszyła.

Zaniechałem jej z dwóch powodów. Poza tym, że byłaby rzeczą niegodziwą, była też nieprzydatna, nie mogąc przybliżyć realizację mego naczelnego celu: ucieczki i wolności.

Okaleczenie czy wykastrowanie paru z tej grupy nie pomogłoby chyba sprawie i nie dałoby nic wobec najważniejszej groźby - wielkich kotów.

Przeciwnie - to zapewne bierność, posłuszeństwo mogłyby zdobyć dla mnie czas, może pomogłyby zjednać poparcie gościa i wyprosić zwrot miecza.

Było to logiczne, choć przykre. Odstąpiłem jednak od drzwi i czekałem spokojnie pod przeciwległą ścianą.

Zasuwa przesunęła się wolno. Do środka wkroczyło dwóch mężczyzn. Jeden niósł

mały, emitujący światło kryształ. Szczęki opadły im komicznie, gdy ujrzeli, że jestem częściowo wolny. Wzruszyłem ramionami, postąpiłem naprzód i czekałem.

Strażnik z magicznym światłem rzucił towarzyszowi znaczące spojrzenie i mruknął do mnie jakąś komendę, okazując większy respekt niż dotąd. Podkreślił swe intencje znaczącym ruchem głowy.

Widząc przed sobą otwarte drzwi, musiałem zwalczyć w sobie impuls, by uderzyć ich i uciec. Miast tego zrobiłem to, co ostatecznie przyjąłem. Eskortowany przez nich wyszedłem na świeże powietrze nocy i podążyłem z wolna ku chacie wodza.

Jej wnętrze rozjaśniał blask żółtego, sztucznego światła. Zmarszczyłem brwi, mrużąc przed nim oczy.

Proste, uderzająco jaskrawe gobeliny zwieszały się ze ścian, podłogę pokrywały skóry egzotycznych dla mnie zwierząt.

Ze wszystkich futer, jakie w tym świecie widziałem, jedynie te dywany zasługiwały na podziw, jako że zachowano ich naturalny kolor i wzór.

Ławy i ustawione na kozłach stoły obciążone były całkiem udaną kamionkową zastawą z resztkami biesiady. Stały one pod ścianami, środek zostawiając wolny. Był tu już i wódz myśliwych, kilku jego podwładnych i ów elegancko wystrojony gość. Z irracjonalną ulgą i sporą przyjemnością ujrzałem, że w przeciwieństwie do reszty, ona nie była bezwłosa.

Ruda czupryna opadała gęsto i gładko na jej ramiona, tworząc nad opalonym czołem zakręconą ku przodowi grzywkę. Lekko zszokowany patrzyłem w jej niebieskie oczy okryte ciemnymi rzęsami pod jasnymi brwiami. Uznałem, że jest to twarz szczerą, inteligentną i należy do osoby opanowanej; twarz, w takich okolicznościach, ośmielająca.

Eskorta urządziła pokaz swej zuchowatości, wpychając mnie do środka między zgromadzonych, potem cofnęła się i stanęła przy drzwiach. Spojrzałem na pozostałych, nie okazując emocji, pilnie im się tylko przypatrując. Jak na razie moja sytuacja była niejasna. Po lekko sztywnej postawie płaskogębego przywódcy stwierdziłem, że nie jest on już tak pewien swego. Tyle wprawdzie można było wywnioskować już wcześniej - przecież ogłuszający głos rogu myśliwskiego przerwał prowadzoną przez niego egzekucję. Subtelne napięcie w zachowaniu się gościa zdawało się zaś świadczyć, że po przedyskutowaniu całego zagadnienia i wyczerpaniu argumentów, nadal jeszcze nie była pewna mocy swego autorytetu w mojej kwestii.

Rozluźniłem się nieco. To milczące napięcie mogło zadziałać na moją korzyść, o ile okaże się dość przebiegły, by nie przepuścić odpowiedniej okazji. Wódz w milczeniu ściągnął

bezwłose brwi. W bezmyślnej parodii mojej postawy, splótł ręce za plecami i pochylił się naprzód, wyrzucając z siebie w gardłowym języku jakieś pytanie. Westchnąłem.

- Ustaliliśmy już, że nie możemy się wzajemnie zrozumieć.

Gość śledził moją odpowiedź z zainteresowaniem. Napotkałem jej spojrzenie.

- A jak z tobą, jeźdźcze na rogowym rumaku? Znasz żargon Wędrowców? Czy może -

przeszedłem na inną gwarę - władasz szwargotem z Berb-Kisheh?

Ściągnęła wargi w grymasie zdziwienia. Musiała pojąć sens mego pytania, gdyż z uśmiechem poruszyła ramionami.

W melodyjnym, słyszałem już wcześniej na polanie języku, skierowała parę słów do wodza. Jego oczy przesunęły się ku spoczywającym na ciemno zabarwionym koźle jajowatym, słabo połyskującym przyrządzie. Niechętnie, lecz przyzwolił jej na coś.

Podeszła szybko do przedmiotu, podniosła go. Jego widok przejął mnie dreszczem.

Nawet jeśli nie popełnił żadnej niosącej niebezpieczeństwo funkcji, miał wygląd narzędzia z Czarnego Czasu.

Przybliżyła to do mojej twarzy. Mimowolnie cofnąłem się, lecz ostatecznie poddałem się jej ponuro. Narzędzie nie uczyniło mi żadnej krzywdy. Nagle jednak mój wzrok zamglił się, i myślałem, że upadnę. Usiłowałem znaleźć skrępowanymi ramionami jakiś punkt oparcia. W uszach grzmiały mi potoki głosów, które swe źródło miały gdzie indziej, nie w tej komnacie, a które zdawały się spadać wodospadem w niezmierną czelusć. Gdy odzyskałem wzrok, ona odkładała pieczołowicie ów instrument.

- Jego mowa reprezentuje całkowicie odrębną grupę językową - mówiła kobieta miękkim, stanowczym głosem. - Różni się od naszych języków tak, jak twój i mój między sobą.

- Skąd jest zatem? W przeciwieństwie do ciebie nie miał wierzchowca.

- Jak sądziłam, Dębie-Co-Wyrasta, on jest z jakiejś odległej krainy i został

przeniesiony tutaj przez któryś ze starożytnych mechanizmów transportowych. Bo chyba nie przybył tu aż zza nieba.

- To być może - mruknął wódz, a ja (ku wielkiemu zdumieniu) rozumiałem całą ich rozmowę, nawet jeśli rzeczywiście nadal mówił w swym prostym języku.

- Musi jednak poddać się Próbie Myśliwych, jeśli ma zmazać swą winę. Myślałem, że jest on jednym z twoich ludzi i w zasadzie pozostaje pod twoją opieką. Tylko z tego powodu odwlekliśmy wykonanie kary.

- Dębie-Co-Wyrasta, ten człowiek działał w niewiedzy! Spójrz na niego! Jak mógł

wiedzieć o twoich zakazach, skoro nie był przygotowany do tego, co najważniejsze, czyli rozumienia twojej mowy?

Z trudem przyjmowałem do wiadomości to, co się działo. Jej język także brzmiał nie inaczej, niż przedtem, jego melodia była tak samo wdzięczna. Nadażalem jednak ze znaczeniem słów tak, jakbym władał tym językiem od dziecka.

- On miał czelność wejść do Puszczy Ludu, nie czekając naszego pozwolenia - Dąb-Co-Wyrasta był nieugięty. - Sprofanował ziemię, gdzie żaden obcy nie może wkroczyć bez eskorty.

- Twoje prawo nie może czynić go odpowiedzialnym za przestępstwo, skoro nie wiedział, że je popełnia - kobieta starała się opanować irytację, lecz dyskusja była i tak jałowa i nic nie udało się jej zmienić.

- Nie zabiliśmy go, kiedy mogliśmy to uczynić - burknął Dąb-Co-Wyrasta. - Celem próby jest dokładne określenie stopnia jego winy. Zresztą, sama obecność w Puszczy, to nie wszystko. Zapominasz o zamordowanym kocie myśliwskim.

- Wziąłem go za dzikie zwierzę - wybuchnąłem. - Na dodatek nie dało mi ono szansy na zrobienie czegokolwiek innego prócz obrony samego siebie.

- Oto masz! - krzyknęła kobieta. - Widzisz? Dla ignoranta twój kot był tylko dziką bestią, srogą i przerażającą, którą trzeba zabić, jeśli nie udało się jej uniknąć.

Spojrzała na mnie kątem oka, ostrzegając najwyraźniej, bym trzymał teraz język za zębami.

- I tak naprawdę, to jego odwaga w zmierzeniu się z tak straszną bestią tylko z mieczem w dłoni, godna jest szacunku.

Porzucając rezerwę, przysunęła się do mnie. Już się nie uśmiechała.

- Lecz, jak widzisz, teraz ten facet zdolny jest do odpowiedzi na twoje pytania.

Zadawaj mu je. Jeśli jego odpowiedzi będą niezadowolające, przeprowadź Próbę. Pamiętaj jednak, Dębie-Co-Wyrasta - przymrużyła oczy w gniewie - że chciałabym mieć go całego i zdrowego, jeśli twoje Prawo na to pozwoli. Może on być kimś, kto okaże się nam bardzo przydatny.

Słuchałem tego, przyznaję, ze sporym niedowierzaniem. Jednego już nauczyłem się w moich peregrynacjach - pierwszy zdumiewający cud nie łagodzi szoku spowodowanego pojawieniem się następnych.

- Wytlumacz mi to - nalegałem. - Słyszę wasze głosy, słowa, które mówicie i nie są one dla mnie niczym więcej, niż dźwiękiem, a jednak...

- A jednak twój umysł odbiera, o to chodzi - rzekła. - Naturalnie, dotąd komunikator nie był

dostrojony do twojej matrycy lingwistycznej, a tylko do mojej własnej i tego ludu.

Poprawiłam ten drobiazg i w ten sposób słyszysz teraz i mówisz za jego pośrednictwem.

Ucichła wpatrując się w moją twarz.

- Ktoś, kto przychodzi z aż tak daleka, powinien być zaznajomiony z takim mechanizmem. Chyba że posiadasz inne, bardziej wymyślne środki nawiązywania kontaktu z obcymi, których chwilowo tylko nie masz ręką...

Mogła mieć na myśli mój miecz na myśli mój miecz, tylko nie wiedziała o jego inteligencji i zdolności doświadczenia świata? Wskazana jednak była ostrożność, szczególnie szczerość. Utkwiłem nachmurzony wzrok w podłódze. Dąb-Co-Wyrasta wziął to za bezczelność.

- Odpowiadaj, gdy do ciebie mówią, przestępco! Skąd jesteś? Dlaczego przyszedłeś, skradając się przez zakazaną Puszcę Ludu?

Podniosłem oczy, czując, że jego porywczosć może doprowadzić go do wybuchu. Nie było takiej odpowiedzi, która by mnie wkopała. Naruszyłem zatem reguły tego przesłuchania.

Pozwoliłem mojej złości dojść do głosu.

- Moje imię brzmi Xaraf, najmłodszy syn Golana, który jest wodzem Plemienia Firebridge w Kravaard - rozmyślnie odwróciłem się od Dębu-Co-Wyrasta ku chłodno uśmiechającej się kobiecie.
- Podałem me imię dobrowolnie. Chciałbym teraz poznać twoje.

Myśliwi poruszyli się niespokojnie. Najwyraźniej uraziłem godność ich wodza. Dąb-Co-Wyrasta uniósł pięść, starając się usilnie zapanować nad gniewem.

Zawahał się, gdy kobieta wyciągnęła rękę i położyła ją na moim ramieniu.

- Masz rację, Xarafie. Naszym gospodarzem tutaj jest Wódz Dąb-Co-Wyrasta, pan Leśnego Ludu. Ja jestem Miesiąc Glade (Dzień Piąty) Odporna Po Ośmiokroć, zazwyczaj kupiec, obecnie poszukiwacz z miasta Równin Asulium Szarego.

Powstrzymała się od nazywania wszystkich obecnych myśliwych, koniec końców nie przypominało to zebrania towarzyskiego. Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Chociaż nie spotkaliśmy się dotąd, Xarafie, sędzę, że mamy wspólnych znajomych.

Nie mogłem dać temu wiary. Jedno tylko imię przyszło mi do głowy:

- Darkbloom? Mój nauczyciel i doradca? - nie wydawało się to jednak zbyt możliwe.

- Tego imienia nie znam - rzekła Glade. - Nie, myślałam o naszym wspólnym przyjacielu, Alamogordo.

Wytrzeszczyłem na nią oczy.

- W rzeczy samej, nawiązaliśmy całkiem zajmującą rozmowę, zanim wkroczyłam do Puszczy, by złożyć moją zwykłą, handlową wizytę Ludowi.

- Przed czasem, prawdę mówią - burknął Dąb-Co-Wyrasta, szczęśliwy, że ma wreszcie jakiś pretekst, by dać upust złości. - Powinnaś była trzymać się ustalonego rozkładu pracy.

- Co znaczy dzień lub dwa między przyjaciółmi? - spytała Glade bez troski. -

Niewątpliwie - dodała obłudnie, zwracając się do mnie - twoja obecność w Puszczy może zostać wyjaśniona bez obrazy naszych gospodarzy.

Dąb-Co-Wyrasta znieruchomiał, słysząc te żarty.

- Obecność tego intruza sama w sobie jest już obrazą - przyciągnął sobie ławę i usiadł.

Reszta stała, podkreślając tym jego pozycję. Jego blade rysy kontrastowały z opalonym obliczem Glade. Podczas gdy ona miała żywą, zmysłową mimikę, myśliwy był wyraźnie flegmatykiem, nieugiętym przy tym i weredycznym.

- Jeśli tak martwi was moja obecność - krzyknąłem do Dębu-Co-Wyrasta - to łatwo temu zaradzić. Uwolnijcie mnie, a odejdę.

- Nawet jeśli, to nie bez odpokutowania - ryknął ten. - Zabiłeś Chyżego Mraowla i musisz zostać ukarany za to świętokradztwo.

- Bestia zaatakowała mnie bez ostrzeżenia. Nie miałem żadnej szansy prócz samoobrony.

- Naturalnie, że Mraowl cię zaatakował. Zobaczył, że jesteś przestępcą i zadziałał w stosowny do tego sposób.

Bezsensowność oskarżenia sprawiła, że skóra ścierpła mi na grzbiecie.

- Niczego o mnie nie wiesz. Według jakiej niby logiki, twoje zwierzę miało wiedzieć, że jestem przestępcą, co nie jest zresztą prawdą?

Myśliwy stracił nad sobą panowanie.

- Czy jesteś umyślowo niedorozwinięty? Twoje wtargnięcie do Puszczy było przestępstwem - wstał, dał strażnikom przy drzwiach rozkaz: - Zabierzcie go do celi.

Bezczelność tego durnia mnie drażni.

Glade pospiesznie zastąpiła im drogę. Wyciągnęła rękę.

- Mój przyjacielu, Dębie-Co-Wyrasta, rozpatrz to raz jeszcze. Czy nie widzisz, że jeśli Xaraf jest

gościem z innego świata, to zarówno jego zachowanie, jak i wykroczenia mogą być wybaczone jako zrozumiały dla wszystkich błąd popełniony przez kogoś, kto pozbawiony jest wiedzy o waszych zwyczajach? w pokoju jakby coś zatrzeszczało. - Czy nie powinniśmy zbadać sprawy głębiej?

Dąb-Co-Wyrasta zacisnął mocno szczęki.

- Lady Glade powiedział z zatrważającą łagodnością - ryzykujesz swoimi przywilejami, wtrącając się w ten sposób. Nasze najświętsze prawa zostały naruszone. W

takim przypadku wymierzanie sprawiedliwości jest wyłącznym przywilejem i obowiązkiem Ludu. Jednakże... usiadł pocierając szczękę - twój sprzeciw mógłby odnieść pewien skutek.

Wróćcie jeszcze na chwilę na posterunek - zwrócił się do strażników.

Moja cierpliwość była niemal wyczerpana. Metalowe więzy wpiły mi się w nadgarstki, dążąc nieugięcie do żywego ciała. W głowie kręciło mi się z głodu, jelita przypominały o swych potrzebach, skaleczenia bolały.

- Nie odpowiem na dalsze pytania - powiedziałem otwarcie - o ile nie zostanie zachowane wobec mnie minimum przyzwoitości. Rozwiążcie mnie, zaprowadźcie do jakiegoś wychodka, dostarczcie jedzenia i picia. Inaczej w Czarnym Piekole możecie szukać swoich odpowiedzi.

Dąb-Co-Wyrasta uśmiechnął się nagle chłodno.

- Dobrze, nie chcielibyśmy, żebyś pokrzyżował szyki sprawiedliwości i zemdlął w trakcie Próby. Nie uważaj jednak tej wyrozumiałości za ułatwienie ci ucieczki, gdyż wówczas zostałbyś ścięty na miejscu jak pies.

Myśliwy uwolnił mnie i wyprowadził na zewnątrz, pokazując mały budynek, w którym stała podobna do siedziska misa, z której - jak się domyśliłem - miałem skorzystać.

Uczyliem to, ku kolosalnej, głośno wyrażonej uldze jelit, w chwilę zaś później spotkało mnie zaskoczenie, bowiem mój tyłek został oblany strumieniem ciepłej wody. Zeskoczyłem z tego sprzętu, bryczesy zaplątały się wokół kolan. W końcu mokry, rozzłoszczony zostałem wyprowadzony przez pogwizdującego strażnika.

Potrawy już na mnie oczekiwały. Usiadłem na ławie, pocierając nadgarstki i spojrzałem na aromatycznie pachnące mięsa i jarzyny przede mną.

Nic z tego nie było mi znane.

- Mogę ci polecić to białe wino - powiedziała Glade. - Świetnie podkreśla smak drobiu.

- Dziękuję - zabrałem się do dzieła. Jedzenie było wspaniałe, choć osobliwie pikantne.

Pomarszczony władca bestii spojrzał na mnie nieprzyjaźnie.

- O, mój Wodzu - rzekł. - Boli mnie widok tego prostaka karmionego przy naszym stole. Nie przerzucamy się więcej słowami z tą impertynencką kreaturą. Niech wyjaśni natychmiast zamysły kryjące się za jego wtargnięciem, a potem wróci do więzienia.

- Ja będę sędzią w prawidłowym procesie - odrzekł mu Dąb-Co-Wyrasta z niejaką irytacją. Mamy dług wobec Lady Glade. Danie jej szansy przesłuchania tego typu wyrówna ów dług bez niezbędnych w innym razie wydatków z naszej strony.

*

- Jesteś wspaniałomyślny - amazonka skłoniła głowę, a ja pomyślałem, że było to powiedziane bardziej niż trochę sardonicznie. Może jednak handlarka była znużona.

Wymizerowane oblicze sugerowało, że długi czas musiała podróżować bez odpoczynku.

Przywołał ją tutaj miecz. Jakimś nadprzyrodzonym sposobem? Jeśli tak, to Alamoordo musiał wysłać swe wołanie w chwili, gdy zetknęliśmy się z myśliwymi stojącymi nad swoją zdobyczą, o ile nie wcześniej. Śmiercionośna broń obdarzona była całkiem roztropnym umysłem.

Rozmyślałem tak, jedząc chciwie i mruczając nad doskonałym winem.

Wreszcie odsunąłem talerze na bok.

- Zadawajcie swoje pytania.

Glade wyraźnie starała się opanować jakieś narastające w niej uczucie. Cieszyła się na coś spodziewanego? Lecz co to mogło być?

- Xarafie - powiedziała - radziłabym ci odpowiadać szczerze i uczciwie.

- Taki jest niezmienny zwyczaj, gdy jestem między przyjaciółmi.

- Wbrew pozorom nie jesteśmy twoimi wrogami. Dobrze zatem. Przede wszystkim: czy jesteś z tego, czy z jakiegoś innego świata?

Pytanie jawiło mi się jako absurdalne. Przecież to był ten świat, - a nie inny, chyba żeby uwierzyć w życie pozagrobowe.

A jednak... Trudno było zapomnieć te poprzesuwane konstelacje, te miniaturowe płonące gwiazdki, to ponure, umierające Słońce. Jeśli to był ten świat, to zmienił się on potwornie w ciągu nocy.

*

Mocno uchwyciłem się brzegu ławy ręką, która nie przyszła jeszcze całkowicie do siebie po brutalnym obchodzeniu się z nią.

Pytanie Glade było, tak naprawdę, bardzo istotne. Skłoniło mnie do odpowiedzi bardziej szczerzej,

niż miałem to w zamiarze, jako że zapomniałem na chwilę o mych pretensjach.

- Nie wiem. Mój świat ma tylko jedno Słońce, a ten, owo niesamowite coś. Tutaj gwiazdy są odmiennie rozmieszczone. Wiele zwierząt jest mi nie znanych. Jakim sposobem jest tak właśnie, nie mam pojęcia.

Nagle z jej twarzy zniknęły wszelkie oznaki zmęczenia. Była przejęta, co kontrastowało z niepewnością Dębu-Co-Wyrasta. Wszyscy, prócz udającego niedowierzanie władcy bestii, spoglądali na siebie ze strachem i zaciekawieniem.

- Czy pamiętasz, w jaki sposób się tu dostałeś? - spytała Glade. Co z twoim statkiem, twoimi towarzyszami? Musisz pamiętać jakieś szczegóły, choćby drobne.

- Nie miałem... statku - jaki niby piekielny statek mógłby przebyć metafizyczne przepaście między światami? - Nie pojmowałem, co ona ma na myśli. - Była burza -

powiedziałem przetrząsając pamięć. - Pośród tej burzy napotkałem białą kulę światła pozbawionego płomieni. Śpiewała wysokim, nieziemskim brzęczeniem. Byłem bliski śmierci z zimna. Spadłem ze skalnej ściany i dostałem się do wnętrza tej kuli i ocknąłem się pod tym właśnie lasem.

Nic nie powiedziałem o tych godzinach pomiędzy jednym a drugim, z których nic obecnie nie mogłem odtworzyć, nawet tego, kiedy zmieniono mi odzież.

Szept amazonki był ledwo słyszalny:

- Brama międzygwiazdna. O, uroczy człowieku, jakie to bogactwo nam przyniosłeś?

Ten sekret był stracony dla Ziemi od stu tysięcy lat.

Zdawało się, że gotowa jest mnie uściskać. Dąb-Co-Wyrasta okazał natomiast wstrzeźliwe zainteresowanie:

- Jaki sekret?

Miesiąc Glade (Dzień Piąty) Odporna po Ośmiokroć opadła na twardą ławę, przyciągnęła sobie dzban wina, naląła go do kielicha z kutego metalu i zaraz go opróżniła. Jej oczy błyszczały.

- Brama przenoszenia, Wodzu Dębie-Co-Wyrasta. Czy wasze legendy nic o tym nie mówią?

- My zajmujemy się tylko naszą świętą Puszczą - odrzekł jej pouczająco władca bestii.

- Mając koty, nie potrzebujemy bram, by nas strzegły.

- Nie, nie - powiedziała Glade. - Mówię o bramie transportu, przejściu, za pomocą którego mógłbyś przedostać się, czy raczej zostać przeniesiony w mgnieniu oka z jednego miejsca do drugiego, bardzo odległego.

By nie zostać prześcigniętym w pobożności, Dąb-Co-Wyrasta dodał:

- Lud Puszczy nie czuje powołania, by opuszczać własne terytorium. Dla nas takie urządzenie byłoby bez wartości.

- No dobrze - Glade ścisnęła jedno odziane w skórę kolano, sadowiąc się wygodniej. -

Nawet wśród ludzi bardziej światowych niż wy, leśni myśliwi, pamiętano to urządzenie tylko jako przedmiot z legend.

Spojrzała na mnie jak na pożądaną towar, co u kupca tej klasy nie było wskazane.

Niemniej, nie ponosiła specjalnego ryzyka, wyciągając po mnie rękę. Kara miała mnie czekać w każdym przypadku.

- Koniec zatem z przypuszczeniami! Teraz mamy świadectwo, że to urządzenie istnieje naprawdę. Więcej, mamy człowieka, który może nas do niego zaprowadzić i pokazać nam drogę wyjścia z tej wyczerpanej planety.

Potrząsnąłem głową.

- Kula zniknęła. Naprawdę, kiedy się ocknąłem...

- Bezbożnik! Błuznierstwa! - przerwał mi władca bestii, Zima-Co-Mrozi, dostając ataku hysterii. Był fanatykiem, a tacy, jak nauczał mnie Darkbloom, są najgorszymi z ludzi. -

O, Wodzu, ci obcy są źródłem zniszczenia. Jeśli to, co mówią, nie jest złośliwym kłamstwem, to może być prawdą...

- Dlaczego miałabym wprowadzać cię w błąd, Dębie-Co-Wyrasta? - wykrzyknęła z oburzeniem Glade.

- ...że niebezpieczeństwo jest o tysiąckroć większe - pomarszczona kreatura wpadła w triumfalny ton.

- Oni mają nas odmianą, zniszczeniem, wypaczeniem prawdy i dawnego obyczaju -

szedł w podjudzaniu do potępienia nas na całego. Wódz przerwał mu krótko:

- Dość, Zimo-Co-Mrozi. Zdajemy sobie dobrze sprawę z niebezpieczeństwa odstąpienia od zwyczajów. Chcę jedynie dowiedzieć się o tym urządzeniu tyle, by móc określić, skąd pochodzi ów przestępca. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

- Jedność Ludu i obyczajów jest wartością nadrzędną.

- Sprawiedliwość i obyczaj z natury rzeczy nie mogą kolidować ze sobą.

- Raz już naraziłeś tradycję na niebezpieczeństwo - mruknął Zima-Co-Mrozi.

Jeden z dowódców odezwał się chłodno:

- Zapominasz się, myśliwcze.

Twarz Dębu-Co-Wyrasta wyrażała gniew.

- Nasz związek z Asuliun Szarym jest koniecznością. Jest niezbędny. Czy chcielibyście złamać pradawny zakaz rozpalania ognia? Bez nowych baterii, jak byśmy jedli, jak byśmy oświetlali nasze domy, ogrzewali je w zimie? Wstyd!

Wódz powstał, wznosząc białe dłonie o szczupłych palcach.

- Zbytecznym jest usprawiedliwiać się. Jeżeli Zima-Co-Mrozi poddaje w wątpliwość moje wodzostwo, niech sam po nie sięgnie.

Jego głos zabrzmiał jak uderzenie batem.

- No, myśliwcze, mów. Zdeklaruj się.

Fanatyk skulił się przed tymi słowami.

- O, Wodzu, jestem jak najdalszy od takiej herezji. Mówiłem jedynie z nadmiaru gorliwości.

- Twoja gorliwość godna jest pochwały - Dąb-Co-Wyrasta usiadł z powrotem. - Lecz jej nadmiar prowokuje cię do okazywania agresji. Niech taka sytuacja nie powtarza się więcej.

Zaniechał tego tematu, zwróciwszy się oziębło do mnie:

- Czy Lady Glade ma rację? Przybyłeś tutaj za pomocą takiej maszyny?

- Powiedziałem wam, co sam wiem. Mało, lecz z pewnością może wytłumaczyć to, co się zdarzyło.

- Jeśli przybyłeś do tego świata przypadkiem - podpowiedziała Glade - to nie mogłeś zamierzać niczego niestosownego, wkraczając do Puszczy Ludu.

Skosztowałem gorzkiego napoju zawierającego alkohol, który stał w tykwie przede mną. Odstawiłem ją z grymasem.

- Udowodniłem wam już moją niewinność. Kula światła pozostawiła mnie pośrodku otwartego pola. Byłem bez jedzenia i bez picia. Wszedłem do lasu, by znaleźć bieżącą wodę.

Naturalnie, że moim celem było odszukanie najbliższej osady, by poprosić o pomoc, a potem, jeśli się da, odnaleźć drogę do domu.

- Na Matkę Kotów! - wódz cmoknął. - Twoja obrona jest osobliwa, przestępczo. To, przy czym się upierasz, jest tak niewiarygodne, że mogłoby być prawdą, poza tym, twoje zuchwalstwo jest bezprzykładne.

Brakowało tym ludziom, jak stwierdziłem, zawodowych bazarzy. Ja kiedyś z przyjemnością słuchałem każdej nocy przy ognisku najbardziej nawet niedorzecznych opowieści, które krążyły między wesołkami i komedianami Wędrowców. Dąb-Co-Wyrasta zadumał się, a na jego płaskiej twarzy odbijały się wyraźnie miotające nim sprzeczne uczucia.

- Sądzę, że mówi prawdę - rzekła Glade. - I jeśli tak, to tutaj moje śledztwo się kończy.

- Jak to? On jest naszym więźniem.

- Moja propozycja jest następująca - w głosie Glade pojawiła się profesjonalna nuta.

Odstawiając ostrożnie, choć na pozór lekceważąco, swoje naczynie z napojem, powiedziała do wodza: - Jeśli wasza tradycja dozwala wybaczyć nieumyślne wykroczenie, to osobiście zrekompensuję wam stratę myśliwskiego kota.

- Na jakich warunkach?

- Pozwólcie temu człowiekowi iść ze mną - Glade była wspaniałomyślna - a będziecie mieć w zamian zapas baterii na jeden sezon.

- Na dwa sezony - rzucił szybko Wódz.

Władca bestii aż podskoczył. Jego twarz pokryła się niezdrowymi plamami.

- Mraowl nie był czymś, co można by wymienić na pudełko baterii, czyniąc z niego obiekt brudnego handlu.

Dąb-Co-Wyrasta splótł ramiona, mięśnie trójgłowe wystąpiły jak wyrzeźbione w drewnie. Obracał pękatą głową, obserwując reakcję swoich ludzi. To, co ujrzał, nie było poparciem.

Skierował wzrok na mnie. Obejrzałem się zachowując spokój, na ile to było możliwe.

I tak widziałem się wówczas już trupem.

- Zima-Co-Mrozi ma rację powiedział Wódz do Glade. - Ten Xaraf musi stawić czoła Próbie Myśliwych - umilkł na chwilę. - Oczywiście, jeśli wyjdzie z tego z życiem, zostanie wygnany. W takim przypadku będziesz mogła wejść z nim w dalsze układy. Tymczasem jednak, twoja oferta zostaje przyjęta. Jeśli będzie żył, wówczas utracisz roczną wymianę dóbr.

Glade przełknęła zaciskając wargi.

Dąb-Co-Wyrasta wstał, z twarzą nagle beznamiętną.

Reszta podniosła się zaraz potem. Amazonka nic nie odpowiedziała. Jej pociemniała od słońca twarz okryła się ledwo widocznym rumieńcem. Tak łatwo została wyprowadzona w pole w swej własnej dziedzinie, że omal nie roześmiałem się głośno w przyływie wisielczego humoru.

- Zabierzcie przestępcę do celi - rozkazał Wódz - Zostanie poddany Próbie o świcie.

Dopilnujcie, by zaspokojono w tym czasie jego potrzeby.

Bez ceremonii zostałem odprowadzony z powrotem do śmierdzącej chałupy. Dwa wielkie koty zajęły stanowiska przy drzwiach. Strażnicy przynieśli mi stos futer do spania, szerokie i płytkie naczynie o baniastym kształcie pełne wody.

Rozluźniwszy moje więzy stali nade mną podczas ablucji. Woda była chłodna i odświeżająca, cierpka od soli mineralnych. Drobnymi lśniącymi kryształami rzucał na chropowate ściany zniekształcone cienie.

Gdy skończyłem, myśliwi związali mnie solidnie z ramionami skrzyżowanymi na klatce piersiowej. Jeden z nich umieścił banię z wodą w jednym rogu, przypuszczalnie po to, bym mógł chłepcząc z niej, ugasić ewentualne pragnienie. Na tej samej zasadzie zachowania wytwornych form, miałem zapewne, gdyby była taka potrzeba zlać się w spodnie.

Odeszli. Koty mraukały złowieszczo pod zamkniętymi drzwiami. Ramię bolało.

Położyłem się na miękkich futrach, z otwartymi czujnie oczami, gapiąc się w ciemność, z której nie mogłem oczekiwać nijakiej pomocy.

Fosforyzujący owad brzęczał uparcie wokół mojej twarzy. Osobliwe, jeśli wziąć pod uwagę, że dotąd żadnego nie widziałem. Spróbowałem podnieść rękę, by go odgonić, lecz nie mogłem poruszyć ramieniem. Wstrząsnąłem się i otworzywszy oczy obudziłem się.

Ktoś szeptał moje imię. Na moją twarz padał wąski promień światła przebijający się przez szparę w ścianie.

- Kto mnie woła?

- Usiądź, jeśli możesz - powiedział miękki kontralt.

- Przybliź usta do ściany i zniź głos. To ja, Glade Odporna.

Bez znaczącego hałasu przesunąłem się po stosie futer. Handlarka osłoniła światło palcami; przez szparę sączyła się teraz czerwona poświata.

- Chcesz mnie uwolnić?

- To niemożliwe. Koty pilnują twojej celi. Nawet tutaj, na tyłach tej budy, nie jestem bezpieczna. Nie mogę marudzić.

- Dach.

- Za dużo hałasu. Słuchaj uważnie, niebawem zostaniesz poddany pewnego rodzaju próbie, która ma zadecydować o twojej przyszłości. Bez pomocy z zewnątrz twoje szanse są znikome.

- Jakiego rodzaju ma być ta wróżebna próba?

Handlarka zasyczała niecierpliwie.

- Dowiesz się szybko. Niech ci wystarczy na razie, że próbuję cię uratować. Mimo to ryzyko będzie duże. Musisz być przygotowany na moją interwencję.

- Myśliwi zatrzymali mój miecz - przerwałem jej. - Nie mam zamiaru go tracić. Czy możesz odzyskać go dla mnie, nim odejdziemy?

Glade zaśmiała się cicho.

- Nasz wspólny przyjaciel, co? Zrobię, co będę mogła. Uważaj teraz. Zaraz przepchnę przez tę szczelinę małą fiolkę. Przyłóż wargi do ściany i złap ją, kiedy tylko puszcze.

Rozumiesz?

Zakrawało to na farsę, lecz nie miałem wyboru.

- Tak.

- Cokolwiek się zdarzy, nie możesz jej skruszyć, dopóki nie dam ci hasła - jej szept był zdecydowany, napięty. - Zawiera opary, które same w sobie, w pewnych sytuacjach bywają trujące. Gdy czas nadejdzie, skruszysz na moje polecenie kapsułkę zębami, zaciągniesz się gazem i wyplujesz połamane resztki szkła. Gdybyś je połknął, mogłyby poranić ci wnętrzności. A teraz przyłóż usta do szpary.

Ciepły i gładki przedmiot dotknął moich warg. Nosem i podbródkiem uderzyłem o szorstkie deski, utrudniając dodatkowo manewrowanie kapsułką w ustach.

Zbadałem ją językiem. Pot wystąpił mi na czoło. Przedmiot ześliznął się w kącik ust i ciągle nie mógł się uspokoić. Zsunąłem twarz po ścianie. Drzazga wbiła mi się w policzek.

Za drzwiami stęknął, zmieniając bok, wielki kot. Wiatr dmuchnął przez szparę, aż oczy zaszyły mi łzami. Odciągnąłem głowę od belek. Fiolka zwisała mi między wargami, zawahała się i ześliznęła się w dół, w ciemność.

Glade usłyszała moje przekleństwo.

- Masz ją? - spytała z niepokojem.

- Poświeć przez tę dziurę. Ten przeklęty drobiazg upadł między futra legowiska.

Dorzuciła własne przekleństwo.

- Czy czujesz ostry, gorzki zapach? Jeśli tak, to odsuń się natychmiast w najdalszy kąt i wstrzymaj oddech.

Wciągnąłem ostrożnie powietrze.

- Nic nie czuję prócz kotów. Nie mogłabyś poświecić?

- Niebezpieczeństwo wzrasta w ten sposób. Cicho...

- Promień nabrał intensywności, rzucając na środek chaty złotą smugę. Schyliwszy się tak delikatnie, jak tylko człowiek może, znalazłem fiolkę wtuloną w fałdę pogrążonego w cieniu futra. Odczołgałem się na kolanach, pochylając głowę, aż w końcu miałem ten przedmiot w ustach. Ramię pulsowało mi bólem. Fiolka wpadła pod język i tam się zatrzymała.

- Mam ją - wymamrotałem.

- Nie mów nic więcej. Boję się podejrzliwości tych bestii, chyba coś wyczuwają.

Poszukam Alamogordo, gdy tylko nadarzy się po temu okazja. Do ceremonii; Xarafie, zegnaj.

Światło znikło. Glade odeszła po cichu, niepostrzeżenie, dorównując bezszelestnością kroku wielkim

myśliwskim kotom, które musiała zmylić. Położyłem się z powrotem na miękkich, nieco zakurzonych futrach i spróbowałem się odprężyć. Ćwiczenia, których nauczył mnie kiedyś Darkbloom, szybko sprowadziłyby na mnie sen, lecz była to ostatnia rzecz, której bym pragnął, mając wciśnięty ten trujący przedmiot pod język.

Miast tego zatem, spróbowałem wprowadzić się w stan głębokiego spokoju, kiedyś z łatwością wywoływanego przez kontemplację Jednorodności Życia. Tego jednak nie udało mi się osiągnąć. Zdrada przysięgi prowokowała mnie do nieustannego zastanawiania się, czy cała ta niezwykła sytuacja nie jest karą, zesłaną na mnie przez moce życia i ciemności.

*

W tak zmiennym nastroju owładnęło mnie wspomnienie snu, snu z wczesnego okresu mej dorosłości.

Ponad splątanim i pokrytym guaniem gniazdem bożego ptaka unosiła się ogromna kreatura z postrzępionymi, opadającymi piórami, bijąca skrzydłami pełne jej upierzenia powietrze. Osiadła, kuląc pod brzuchem swe okrutne szpony. Ogrzewała piersią jajo, które miało ożyć. Ja pływałem wewnątrz tego jaja, oprócz mnie poruszały się tam jeszcze dwie ryby. Były identyczne, wyginały się, pływając w leniwych falach częściowo ściętej, żółtawej zupy wypełniającej wnętrze skorupy. Jedna z nich odwróciła się, obnażyła zęby i rozdarła tę drugą, pożerając jej pokryte łuskami srebrne ciało. Z każdym kęsem potężniała, podczas gdy jej brat krwawił. Lekceważyła przy tym haczyk z wijącą się na nim glistą, który zawisł

kusząco w tym zbiorniku. Nad brzegiem strumienia siedział wielki, czarny i zakapturzony łowca i nieustannie spuszczał linkę wędki. Mniejsza ryba, uciekając w przerażeniu, wplątała się w tę linkę. Haczyk mnie przebił. Wrzasnąłem, lecz moje słowa były bąblami bezużytecznie traconej krwi na ciemnym gruncie porośniętym dookoła mięsistymi, głodnymi światła kwiatami.

- Jak on uciekł... - mamrotałem budząc się ze straszego snu, z włosami w zimnym popiele ogniska Darkblooma.

- Nikt nie uciekł - rzekł mój czujny mistrz z grobowym śmiechem. Zatoczył oczami krąg. - Znów śniłeś, wojowniku?

- Rybę powiedziałem.

Rzucił mi swój charakterystyczny, łobuzerski uśmiech, a potem przyjrzał mi się z powagą.

- Kto jest tą rybą, Xarafie?

- Powiedz mi.

- Gdzie one pływały?

- W jaju, rzecz jasna - zawahałem się, skonfundowany i ogłupiały. - Wspomniałem ci tylko o jednej rybie. Czy był to jeden z tych nasłanych na mnie snów?

Dotknął lekko mej ręki. Jej grzbiet pokryty był gęsią skórką.

- Uważaj, chłopcze. Co mówi ryba?

- Zabiję cię i to, co jest w twoich jelitach zjem na kolację.

- Która to ryba?

- Jak to, która? Silniejsza... Starszy brat.

- A którą rybą jesteś ty, Xarafie?

Spojrzałem na niego przebiegle.

- Nie zwabisz mnie do tej pułapki. Czy twoja nauka nie mówi, że jestem i oboma rybami, i czarnym rybakiem i... - przygryzłem język. - To ty jesteś łowcą i ptakiem.

- Niektóre sny wskazują na sprawy, które dzieją się poza naszą świadomością - rzekł

Darkbloom, cedząc słowa. Był zajęty podgrzewaniem wody nad nowo roznieconym ogniskiem, i żuł pasek suszonego mięsa, by zakończyć tym post. - Może i jestem w twoim śnie. A może to tylko boży ptak.

Wzdrygnąłem się.

- Jestem zatem tą rybą, której nie udało się uciec.

- Cokolwiek by powiedzieć: tak. Możesz pójść sobie w każdej chwili. Koniec końców ja jestem tylko starym, śmierdzącym eunuchem.

- A większa ryba jest moim wrogiem.

- Masz jakiegoś wroga, Xarafie?

Przestałem się w niego wpatrywać, skupiając wzrok na rozrastających się płomieniach.

- Wiesz, że mam wroga. To twój sen. Znam teraz te sny. On jest moim wielkim wrogiem, którego pod twoim wpływem przysiągłem nie zabijać. On jest moim bratem.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, łzy pojawiły się w moich przymrużonych oczach.

- Uniknął haczyka i to ja muszę go zabić.

Darkbloom schwycił moją szczękę twardymi palcami i obrócił moją twarz ku swojej.

Jego włosy były rzadkie i splecione jak śmierdzące pióra pierzającego się ptaka.

- Każdy z nas znajduje się na jakimś haku. Nawet nieśmiertelni bogowie są nim przebici i kręcą się

na zwisającej z gwiazd nitce. I on tego nie uniknął, a ty nie możesz go zabić. Rozbroić go, to owszem, to będzie twoim obowiązkiem. Zrzucić go z niebios.

Wyrzucić z wód, którymi oddycha. Słyszysz mnie, wojowniku?

*

Trudno by było go nie słyszeć. Ryczał, zdolny obudzić wszystkich Firebridge, którzy nie krzatali się jeszcze po obozie, daleko od jego brudnego namiotu. Lecz nie rozumiałem go.

Nawet po tym, gdy jego sen zjawiał się jeszcze wielokrotnie, tak że budziłem się dławiony żółtymi wodami tego pola walki; nawet wtedy wiedziałem jedynie, że mój wróg czeka i krąży i unika linki, której wysliznął się wolny, a na haczyku krwawo nadziany wisiałem ja.

*

Świt nie starł jeszcze gwiazd z nieba, gdy drzwi otworzyły się na oścież. Łysogłowi mężczyźni weszli z powagą zmór nocnych, by zsunąć więzy z mych nóg, choć nie z ramion, i wyprowadzili mnie na chłodną polanę.

Koty marudziły, mrużąc ślepia i ziewając.

Z budynku wiodła promieniowała żółte światło. W paradoksalny sposób uznałem, że widok ten rozgrzewa moje serce. Bezwłose, nagie dziecko odważyło się wyjść przed próg jednej z chat i gapiło się na mnie wielkimi oczami, aż wyciągnęło kciuk z ust i piszcząc uciekło do środka. Jego matka była zapewne jedną z tych kobiet, które kręciły się między domami z tykwami pełnymi rzecznej wody na bladych głowach.

Fiolka uwierała mnie w policzek, śmiertcionośna i przeszkadzająca memu coraz wrażliwiej reagującemu językowi jak jajo alki.

Wzeszły gwiazdki - ich oślepiający blask przytłumiło listowie drzew. Dąb-Co-Wyrasta wyłonił się ze swego mieszkania-świątyni, wspaniałały w płaszczu z piór.

Zawołał głosem głębokim, rozkazująco, jak kapłan przy ofierze. Myśliwi zgromadzili się przed nim w szpaler, stając spokojnie na ubitych śmieciach.

Ukradkiem poszukałem wzrokiem Glade. Nie było po niej śladu. Może zwyczaj, pomyślałem, wyklucza obcych z Próby. Wszystkich, oczywiście, lecz jeden obcy czekał, by poddać się Próbie.

Tym razem rozumiałem ich poczynania.

Dąb-Co-Wyrasta spojrział w dół, na mnie, a jego płaska twarz mogłaby być w tej chwili rzeźbą wykutą w marmurze przez jakiegoś ascetę.

- Uważaj, przestępco!

- Nie nazywaj mnie przestępcą. Zaprzeczam słuszności twoich oskarżeń -

powiedziałem. Był to gest, który mogłem sobie darować.

- Wiadomym jest, że naruszyłeś zwyczaj i Prawo Ludu. Przystępujemy teraz do Próby Myśliwych. Jeśli przeżyjesz jej umartwienie, widocznym będzie, że sprawiedliwie należy uznać cię niewinnym. Jeśli wina potwierdzi się, niepowodzenie samo będzie karą. Niechaj się zacznie!

*

Natychmiast zostałem pochwycony za ręce i nogi, i - jak poprzedniego wieczoru -

ponieśli mnie twarzą do ziemi w kierunku ogromnego, starego drzewa na skraju polany.

Zdaje się, że rytuał uznawany przez tych myśliwych był krótki i rzeczowy. Dąb-Co-Wyrasta prowadził procesję, jego zielono-cynobrowy płaszcz mienił się wspaniale we wczesnym świetle. Tłum następował nam na pięty. Koty włóczyły się na czele, a ich brązowe futra połyskiwały na falujących mięśniach.

Ogromny pień, tam gdzie było go widać, jawił się szary i prażkowany, korzenie wystawały z gleby jak przypory. Nosił na sobie mechaty kaftan z kwitnących porostów, który użyczał mu aksamitnego połysku purpury, ochry i bursztynu. Było to piękne i groźne bóstwo lasu. Jego gałęzie rozpościerały się wysoko w górze jak osłaniające ramiona; liście jak talerze strzępiły światło późnego świtu na przebłyski złota i błękitu. Moi strażnicy ostrożnie przestępowali przez sękatę korzenie, działając szybko, odwracając twarze od porostów.

Zostałem przywiązany u podstawy drzewa za pomocą splątanych wokół niego łańcuchów ze srebrnego metalu. Byłem pochylony pod niewygodnym kątem, głowę i ramiona miałem przyciśnięte do miękkiej poduszki mchów. Moje usta zdawały się być spuchnięte.

Zwalczywszy odruch nakazujący połknięcie kapsułki, gapiłem się wrogo na jaskrawo odziane zgromadzenie. Teraz jakiś nowicjusz popędził do boku wodza i wręczył mu wielki, grzebieniasty hełm. Dąb-Co-Wyrasta umieścił go na swej głowie, otulił się pierzastym płaszczem i objawił się w ten sposób jako straszny, drapieżny ptak. Stwierdziłem, że moje myśli odpływają, a uwaga jest rozproszona. Hełm był głową fantastycznego ptaka. Oczy błyszczały rubinowym płomieniem, dziób zakrzywiał się, budząc przerażenie - cały przy tym ze złota; grzebień pióropusza wznosił się ostrogami hiacyntowego cyrkonu. Zachichotałem, zwisając na łańcuchach, wspominając, jak to Alamogordo naśladował śpiew ptaków. Postać orła migotała jak barwny cień, tłum za jego plecami szemrał kolorowymi plamami, tak jak olej mieniący się tęczowo na wodzie. Przymknąłem oczy, zapadając w czarowny sen. Słodki zapach unosił się w powietrzu, upajając pieśczętą moje nozdrza. Osunąłem się. Ostry ból przeszył moje ramię. Jego uklucie obudziło mój umysł. Zmieszany i zaalarmowany poderwałem się i chłodna obłość kapsułki oparła się o wewnętrzne powierzchnie moich zębów. Mocno zaciskając pięści i wbijając paznokcie w dłonie, sprawiłem, że łańcuch wgrzyzł

się w moje nadgarstki. Gdy wzrok rozjaśnił mi się trochę, dostrzegłem, że Dąb-Co-Wyrasta przechyliła się daleko do tyłu, a otwarty dziób jego maski skierowany jest ku gałęziom wysoko nad

moją głową. Kuszący zapach znów dosięgnął mego umysłu, usypiając mnie, opanowując moje myśli...

- Porosty - mruknąłem sam do siebie. - Trucizna. Zabija cię.

Ten zapach, uprzykrzony jak pocałunek demonicznej kochanki, przynaglał mnie do snu.

Glade - powiedziałem, chociaż niejasno wyczuwałem, że coś tkwi w moich ustach. -

Pomóż mi, Glade.

W chwilach jasności umysłu wiedziałem, że nie zdołam długo się opierać tak zdradzieckiemu wrogowi.

Przenikliwy wrzask, jak krzyk drapieżnego ptaka, przedarł się przez słodko spowijającą mnie mgłę.

Dąb-Co-Wyrasta wył coś ku niebu. Jego płaszcz rozpostarł się jak skrzydła. Było to magiczne wezwanie, inwokacja opierająca się na podobieństwie postaci. I to działało, działało jak mogło najstraszliwiej.

Echo jego krzyku odbiło się od liściastego zielonego baldachimu.

Tłum zaszemrał. Usłyszałem lub tylko mi się tak zdawało w moim pijanym zwidzie, że słyszę krzyk wielkich ptaków.

Wysoko na gałęziach ponad moją głowę usadowiły się czarne cienie. Dotknąłem podbródkiem klatki piersiowej i drgnąłem, gdy ogarnął mnie dreszcz ostrzegający przed snem w chwili, gdy był on bardzo niepożądany.

Siły falami wyciekały z moich ramion. Podniosłem ciężkie powieki. Wszystko migotało, tańczyło, zamazywało się. Dwa młode beczące zwierzęta zostały przywleczone do podstawy drzewa. Dąb-Co-Wyrasta wziął od starej kobiety, pomarszczonej i bezpłciowej jak łysy mężczyzna, półmisek, a potem, pochyliwszy się nad wełnistymi stworzeniami, zakrzywionym nożem rozdarł im gardła. Krew trysnęła jasnymi strumieniami. Przycisnąłem fiolkę do policzka, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Moje ciało było zdrajcą.

Czekałem, i tyle. Na co czekałem? Czekałem na sygnał. Aha.

Uczepiłem się tego.

Ciała przestały wierzgać. Zdawało mi się, że przesuwają się nad nimi jakiś niezwykle wielki ptak. Jelita i ciemne, gładkie wnętrza zostały wyrzucone na trawę. Z góry doleciały krzyki. Cienie zatrzepotały makabrycznymi skrzydłami. Jakaś kocia bestia zamiauczała pożądliwie i przemknęła do przodu. Mała zaszuszonego postaci poderwała się i Zima-Co-Mrozi wymruczał w zrozumiałym dla bestii języku ostrzeżenie. Kot obnażył kły, lecz cofnął się chyłkiem.

Słodycz rozmazała się w tęczę.

Krzycząc upiornie, ptaki opadły z zielonego firmamentu. Ich oblicza były złote i rubinowe, szpony i ostrogi rozdarły krwawe zwłoki.

Wyobrażenie tego wszystkiego drgało przede mną. Zostałem obryzgany. Głowa i ramiona były mokre. Ciepły, lepki szok. Smród mnie ocucił. Słona krew pociekła do moich na wpół otwartych ust. Ryk i pisk. Wiatr mnie oślepił. Przez powietrze przemknęło potężne cielsko pragnące naruszyć ogniem moje ciało.

Ból na melodię płomienia.

Złoto przypiekło moje ramię. Pora, Xarafie!

Głos krzyczący do mnie; kopyta, jak grzmot w środku zawieruchy skrzydeł; cienie, rozjuszone i pierzchające; piękny, głęboki głos Glade; kotłujący się ludzie i koty.

- Zgryź fiołkę!

Zęby roztrzaskały kruchą kapsułkę.

Wstrętny, dławiący odór wypełnił moje gardło. Chciałem zakaszleć odruchowo, i nie zakaszlałem.

Wciągnąłem trującą substancję głęboko w płuca, wypłułem potrząskaną skorupkę. Nie mogłem odróżnić krwi na mojej twarzy od płynącej z ewentualnych skaleczeń w ustach.

Realny, wolny od omdlewających zwidów świat wybuchem pojawił się przede mną; jak błyskawice zapalające suche drzewo, tak i on eksplodował.

Glade Odporna przejechała przez szmaragdowo-złoty tuman wielkich ptaków obracając wokół świszczącą lancą czystego światła. Gdzie uderzała - pojawiał się ogień.

Wszędzie unosił się zaduch palących się piór.

Jej mlecznobiały, rogaty koń stanął dęba i parsknął, gdy ogromne ptaki, te ranne i te zdrowe, zakotłowały się w powietrzu. Myśliwi i ich zwierzęta bładzili w ogłuszającym zamęcie; nie zmobilizowani jeszcze do odparcia świętokradczej interwencji handlarki. Moje mięśnie nabrały z powrotem wigoru. Gryzące opary wyraźnie znosiły działanie zapachu porostów.

- Jesteś gotów, Xarafie? - brzeszczot amazonki skwierczał czysty i uroczy jak sztaba metalu, którą rozgrzano do białości. Rąbała ptaki w powietrzu i rozczłonkowane ciała padały z łomotem na ziemię, a pokaleczone rzucały się dziko na siebie nawzajem.

- Uwolnij mnie - bezskutecznie szarpałem się w okowach.

Teraz ruszyli myśliwi, ponaglając swoje koty do ataku. Glade przedzierała się i była coraz bliżej. Jej odziane w skórę ramiona były pokaleczone i krwawiły, lecz jej prawa ręka machała niestrudzenie,

lanca świszczała i pluła gorącymi iskrami. Rozpaczliwa i beznadziejna była ta odwaga. Gdy tylko koty jej dosięgną, a wydawało się to być nieuniknione, tak ona jak i jej piękny rumak padną prawie od razu.

- Ratuj się, Glade! - krzyknąłem. Niewiele będzie pożytku, gdy dodasz swą śmierć do mojej!

Ona nie odpowiedziała. Lanca wyłączyła się nagle, jakby nigdy nie istniała. Glade puściła cugle wolno, przywarła udami do siodła i sięgnęła do torby. Z niesamowitą szybkością zawróciła potem konia ku żądnym krwi myśliwym. W rękę trzymała szklany pojemnik. Cisnęła go między nadbiegających. Ekspłodował z głuchym, przytłumionym odgłosem.

Podniosły się chmury bladofioletowego dymu. Ta substancja była jadowita. Gdy złapała ich za gardła, mężczyźni i kobiety zachwiali się na nogach, kaszląc, przyciskając swe jaskrawe futra do twarzy. Dzieci rzuciły się na oślep ku rodzicom lub pozostawały bez ruchu w pozach przerażenia i paniki, krzycząc w szoku. Dym poniosło i w moją stronę. Oczy zaszczypały, szarpnąłem się.

Glade zanuciła żywą melodię. Lanca utkała dookoła jej osoby emanującą blaskiem osłonę. Popędziła z powrotem do mnie pokonując kraczący, wypełniający powietrze labirynt oszalałych ptaków.

O ile myśliwym gaz popsuł po prostu szyki, o tyle jego wpływ na koty był o wiele większy. Bestie były jak nawiedzone. Wywracały oczami i z drgającymi bokami rozglądały się bez celu wokoło. Nie zważając na własne dolegliwości, Zima-Co-Mrozi podbiegł do swoich faworytów i wymiauczał im w uszy zachętę do działania. Piana pokryła ich kły.

Zawarczały na niego, przypłaszczając uszy. Wycofał się, przestraszony, lecz nie było już dlań odwrotu - bestie go otoczyły.

Glade dotarła do mnie i przyłożyła swą promienną broń do srebrzystych łańcuchów.

Żar runął jak błyskawica, przypiekając moje nadgarstki i kostki u nóg, a w chwilę później przepalone łańcuchy opadły.

W głosie władcy bestii pojawił się zgrzyt niedowierzającego przerażenia. Wskazał na dziewczynę, która znów sięgała do torby u siodła. Pojawił się Alamogordo, błyszczący i wyostrzony i piękny. Serce zabiło mi żywiej. Wziąłem od niej miecz i zafurczałem nim nad głową. Bezgłowy ptak uderzył o krwawą ziemię.

Inna rozwrzeszczana kreatura skierowała się ku oczom Glade. Jej dziwna broń zatrzeszczała.

- Z każdą chwilą - zawołała łapiąc oddech - będzie im wracać pamięć.

I znowu cios, i trzask, i łup...

Natychmiast też koty, gdziekolwiek były, przemieniły się w maszyny do zabijania.

Kilka najbliższych rozszarpało z okrutną radością swego władcę. Parę innych rzuciło się na tych, których tylko mogły dojrzeć. Były bezlitosne, jak dzikie potwory, którymi byli ich najdalsi

przodkowie.

Patrzyłem osłupiały. Ci ludzie próbowali mnie zamordować, lecz ta tutaj rzeź była zbyt okropna i nieproporcjonalna do ich winy. Dzięki uśmiechowi losu i szybkiej orientacji, dzieci i wiele kobiet ewakuowało się pospiesznie na tyły grupy już wtedy, gdy eksplodowała butla z gazem. Teraz pobiegli oni z jękiem do swych chat, podczas gdy mężczyźni walczyli z szaleńczą odwagą, by utrzymać pozycje i nie pozwolić własnym, zbuntowanym kotom przedrzeć się dalej.

Słodkie wonie porostów znów mąciły mi w głowie.

Metal podzwaniał u mych nadgarstków i kostek.

Krew płynęła ze szram i skaleczeń na każdej odsłoniętej części mojego ciała.

Siekałem i rąbałem powietrznych napastników, spodziewając się, że lada chwila dobiorą się do nas i koty. Lecz, o dziwo, zauważyłem, że większość kotów nie zwraca uwagi na ludzkich wrogów.

Jakiś skrupowany dotąd zapewne przez tresurę instynkt wybuchł w nich zawzięcie i żywotnie. Może była to typowa animozja kotów do ptaków, o której wspomina mitologia.

Rycząc z dziką radością, rzuciły się na piskliwe święte ptaki.

- To nam daje szansę - Glade wyglądała nie lepiej niż ja. Strzepnęła mokre, rude włosy z oczu i wciągnęła mnie za siebie na rogatego konia.

Polana przedstawiała żywy obraz rzezi, przypowieść o złości i okrucieństwie. Pióra przysłaniały jasne niebo. Oślepienie przez złośliwe dzioby koty, szarpały histerycznie własnych pobratymców. Las rozbrzmiewał brutalnymi krzykami; trawa splamiona była krwią.

- Ładna zabawa - rzekł lakonicznie Alamogordo, gdy schowałem go do pochwy.

Glade rzuciła mi szybkie spojrzenie ponad swym ramieniem. Zatoczyła koło, omijając olbrzymie drzewo i spiesznie oddalając się od tej jatki.

- Twój przyjaciel nie ma zielonego pojęcia o ekonomii - mruknęła. - Trudno mi jest teraz przypuszczać, czy oni tutaj zdecydują się jeszcze kiedyś być moimi klientami i czy odnowią kontrakt.

*

Purpurowe Słońce było już wyżej. Wyjechaliśmy z lasu na różowo zabarwioną łąkę.

- Ten fioletowy gaz szybko się ulotni - komentowała Glade. - Jego działanie osłabnie.

Nie możemy zwlekać.

Potem prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Przeciskaliśmy się desperacko przez poszycie, między drzewami, z pluskiem przeprawiając się przez potoki i strumienie. Rogaty koń szybko zmęczył się pod niecodziennym brzemieniem, lecz Glade popędzała go bez litości.

Gdy las pozostał za nami, pozwoliła wreszcie zwolnić swemu wierzchowcowi kroku.

- Nie będą nas ścigać poza swymi granicami.

- Jesteś pewna? Mieliby po temu solidne powody.

- To wynika z ich wiary - rzekła szorstko.

W kwestiach specjalistycznych, jak już wiedziałem, nie byłem w stanie kwestionować jej opinii. Zjeżyłem się wprawdzie trochę, lecz byłem zbyt zmęczony, by spierać się z kimś, kto uratował mi życie. Poza tym, rozumiałem jej punkt widzenia. Gniewna reakcja nie wynikała z niczego innego jak z faktu, że ona była kobietą, a ja mężczyzną: rodzaj fanatycznego szowinizmu, nad wykorzeniem którego Darkbloom trudził się aż do znudzenia i z miernymi rezultatami.

Wspięliśmy się na niewielkie wzniesienie, potem wjechaliśmy do pomniejszej doliny upstrzonej żółto-brązowymi kwiatami. Moim oczom ukazał się stojący w niewielkiej odległości kolorowy namiot.

W trawie pasło się kilka rogatych bestii. Zobaczyłem drugą osobę, również ubraną w strój handlarza. Oparty na jednym łokciu, leżąc w trawie, obserwował ze stoickim spokojem niebo. Gdy zobaczył nas, podniósł się i pomachał nam ospale ręką.

- Mój towarzysz - powiedziała Glade.

Małżonek? Kochanek? Kolega? Najemnik? Nie zostało to wytłumaczone, i ten brak pewności nieco mnie zdenerwował. Wśród Wędrowców pozycja społeczna jest wszystkim.

Korciło mnie, by o to zapytać, lecz powstrzymałem się. Skoro moja obrończyni nie czuła potrzeby, by mnie w tej materii uświadomić...

Zsiedliśmy z wierzchowca i resztę drogi przez gęstą, falującą trawę przeszliśmy pieszo. Nogi drżały mi w opóźnionej reakcji. Skaleczenia i ślady dziobów dawały znać o sobie - twarz i ramiona miałem obolałe. Płuca wciąż jeszcze trudziły się dochodzeniem do siebie po inwazji woni porostów i gorzkiego antidotum z kapsułki.

- Jak poszło, Glade? - zawołał czekający mężczyzna.

- I dobrze, i źle - uczyniła sardoniczny gest, wskazując na stan, w jakim wraca. -

Musimy poszukać nowego klienta na zbywające baterie energetyczne.

Wręczyła temu facetowi cugle i opadła na słodko pachnącą trawę, przechylając się z westchnieniem do tyłu.

- Kubek wina, jeśli można cię, Vanden, prosić, dla mego przyjaciela i dla mnie. A i ten wspaniały rumak wysoko oceniłby teraz dobre wytarcie.

Mężczyzna przyniósł z namiotu flakon z rżniętego szkła, napełnił trzy kubki.

- Mojej towarzyszce nie zbywa na wytworności - powiedział wręczając mi kubek. -

Jestem Miesiąc Vanden (Dzień Dziewiąty) Wrażliwy po Czternastokroć.

Uśmiechnąłem się szeroko do tego barbarzyńcy, podając mu moje własne imię i pozycję.

- Jej odwaga i zaradność są wystarczającą rekompensatą.

- Drwina od jednego, pochlebstwo od drugiego? - rzekła Glade ze śmiechem. - Żadne mnie nie wzrusza. W ciągu miesiąca będę mogła ukarać za pierwsze i żądać tego drugiego.

- Glade! - Vanden był jakby wstrząśnięty. - Czyżbyś znalazła to, czego szukałaś?

- Stoisz obok niego - powiedziała z leniwą satysfakcją. - Trochę skromności, Vanden.

Służymy historii. Xaraf Firebridge jest gościem z gwiazd.

Handlarz zdawał się być autentycznie zaskoczony.

- Zdumiewające! Gratuluję wam obojgu. Jest jednak powszechnie wiadomym, że historia skończyła się sto tysięcy lat temu. Wybaczcie mi, lecz muszę zająć się wierzchowcem.

Pozwoliłem, by łagodne, ciepłe, wino spłynęło moim wyschniętym gardłem. Niezbyt rozumiałem, o co chodziło w tej rozmowie, lecz oboje w zasadzie dowiedli już swojej życzliwości.

Usiadłem na trawie obok mojej oswobodzicielki i zamknąłem oczy. Jak to możliwe, by moja osoba miała coś wspólnego z poszukiwaniami prowadzonymi przez Glade?

Odpowiedź musiała tkwić zapewne gdzieś w spekulacjach, które snuła na temat mego pochodzenia. Przyłapałem się na tym, że marszczę brwi. Czy rzeczywiście mogłem przebywać w innym świecie? Nic, z tego, czego dotąd doświadczyłem, nawet nie kończące się przypowieści i na wpół zrozumiałe bajania Darkbloom, nie przygotowały mnie na zaakceptowanie takiej ewentualności.

Glade otrząsnęła się.

- Chodź, Xarafie. Musimy opatrzyć nasze rany, zanim zalęgnie się w nich jakieś świństwo. Mam w namiocie maść i sterylną wodę.

Namiot był cały z jakiegoś półprzezroczystego materiału, który przepuszczał

dostateczną ilość światła, by widzieć w nim wszystko wyraźnie. Zamknięty był miękką, szytą kotarą, która szczelnie przywarła za nami do wejścia. Ku memu zdumieniu w środku panował

lekki przewiew - jakiś łagodny i czysty wietrzyk dmuchał mi w twarz. Glade ostrożnie umieściła swoje sakwy obok stosu futer do spania, odpięła rzeźbioną gardę swej tajemniczej świetlanej lancy bez ostrza, znalazła głęboką, miedzianą misę i napełniła ją z amfory. Bez śladu skrępowania wyłuskała się z odzieży, zmyła zakrzepłą krew i kurz ze swego ciała.

Obserwowałem ją z zachwytem - była silna i szczupła, a każdy jej ruch był prosty, oszczędny, pełen wdzięku.

Złowiła moje spojrzenie.

- Tam w kącie jest druga miska. Użyj jej.

Znalazłem, co trzeba, lecz nie mogłem spowodować, by woda zechciała popłynąć z pojemnika. Glade z pomrukiem wzięła ode mnie miskę, napełniła ją i postawiła u moich stóp.

Targały mną mieszane uczucia. W namiocie mego ludu przyjąłbym taką usługę od kobiety jako należną mi. Tutaj poczułem się niezręcznie, jak upokorzony ignorant.

Odwróciłem się i bez podziękowania zrzuciłem własne ubranie. Woda miała działanie ściągające. Zasyczałem, gdy przypaliła moje rany.

- Xarafie! - handlarka była wstrząśnięta. Odłożyła na bok tubę różowej maści, którą wcierała w swoje otarcia. - Powinieneś był mi powiedzieć!

- Zaszczytne rany - wymamrotałem. - Po co się skarżyć? Ostatecznie i tak nic nie da się z nimi zrobić.

- Twoja wiedza medyczna musi być tak szczątkowa jak zaawansowane są twoje metody podróży.

Glade zbadała moje ramię. Straszliwa, nakrapiana zielono i pocętkowana czernią purpurowa plama wystąpiła nad mięśniami trapezoidalnym i trójgłowym; kiedy jej palce obmacywały moje plecy, wielki mięsień najszerszy grzbietu skurczył się pod jej dotknięciem i wydałem mimowolny okrzyk.

- Nie rozumiem, jak ty jeszcze możesz być przytomny - powiedziała Glade, bardziej z naganą niż sympatią. - To jest okropne.

Z głębokich dziur na mej piersi i przedramionach sączyła się krew; gigantyczne ptaki z lasu nie były delikatne.

- Usiądź poleciła mi surowo. - Mam lekarstwa, które złagodzą ból i ułatwią gojenie.

Zgarbiłem się na stołku. W głowie mi się kręciło. Wciąż jeszcze naga, zapominając o własnych skaleczeniach, Glade Odporna oczyściła moje rany energicznymi, piekącymi dotknięciami i posmarowała je maściami w rozmaitych kolorach, głębsze pokrywając skrawkami jakiejś bezbarwnej substancji, która przywarła do skóry, jakby sama zawsze była jej częścią.

Delikatnie, z dobrocią, która przypominała mi raczej Darkbloomę niż moją biedną, obłąkaną matkę,

wtarła mazidło w purpurowe stłuczenia. Zaciśnąłem zęby i nie jęknąłem.

- Brzydka rana - powiedziała wreszcie. Poszperawszy, rzuciła mi jedwabną koszulę. -

Masz, to Vandena. Za ciasna trochę w ramionach, lecz chyba się nada? - pomogła mi ją włożyć. - Jestem pod wrażeniem siły, z którą walczyłeś, mimo tych stłuczeń, by uwolnić się z łańcuchów.

- Byłem zbyt zdezorientowany, by ocenić szanse - opadłem na futra i poprzez woal dachu wpatrzyłem się w ponure słońce. Zmęczenie zamąciło mi myśli. Maści jednak działały, ból ustał. - Powiedz mi, Glade, dlaczego ryzykowałeś życiem, by mnie uratować?

Skończyła opatrywać własne skaleczenia i obciągnęła na piersiach ładną koszulę, zatrzymawszy zakurzone, skórzane bryczesy.

- Rozpaczliwe wołanie twojego przyjaciela przerwało Vandenowi i mnie rozbijanie tu obozu ostatniej nocy. Co miałam zrobić innego? - skórzana kurtka okryła jej koszulę. Usiadła naprzeciwko mnie.

- Alamogordo! - zapomniałem o roli, którą odegrał w tym wszystkim mój zaczarowany miecz. Leżał pod zwaloną na stos złachmanioną odzieżą, tam gdzie go rzuciłem, wciąż jeszcze w pochwie. Nie podniosłem go.

- Mieczu, słyszysz nas?

- Słyszę - powiedział stłumionym głosem.

- Jak to robisz, że potrafisz przemawiać na tak wielką odległość?

- Całkiem prosto, przynajmniej dla tych, którzy są odpowiednio wyposażeni do odbioru.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Po pierwsze, bo wydawało mi się to oczywiste. Nie jestem odpowiedzialny za twoją ubolewania godną nieznajomość świata.

Podniosłem głos:

- Nie pytałem...

- Po drugie - ciągnął miecz, ani trochę nie podnosząc głosu, tak jak gdybym nic nie powiedział - moim zadaniem jest ochraniać cię wszelkimi dostępnymi środkami. Wysłałem naturalnie rozpaczliwe wezwanie. Po trzecie, o ile sobie przypominasz, zostaliśmy rozdzieleni, zanim jeszcze istota twego położenia stała się jasna dla nas obu. Czy mam mówić dalej?

- Och! - speszony patrzyłem w podłogę. - Alamogordo.

- Nigdzie nie odszedłem.

- Pozwól mi się przeprosić.

- Maszyny nie potrzebują przeprosin. Maszyny są zbudowane do służenia.

- Mimo to, przepraszam cię.

Ton miecza stał się pogodny:

- To bardzo ładnie z twojej strony, Xarafie. Z radością przyjmuję.

- I dziękuję ci. Teraz, jeśli byś poszedł z powrotem spać...

- Cokolwiek każesz, mój panie.

Glade z uciechą patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Jesteś nadzwyczajnym mężczyzną, Xarafie.

- A ty jesteś nadzwyczajną kobietą, Glade, o czym zresztą miałem już okazję się przekonać. Wygodniej, oczywiście, byłoby dla ciebie powstrzymać się od interwencji i nie ulec prośbom Alamogordo. Jestem wdzięczny, bardzo wdzięczny, lecz muszę też powiedzieć, że nie sądzę, byś była tylko impulsywną altruistką.

Spojrzała na mnie z pozornym rozżaleniem.

- Dlaczego, twoja ocena jest niesprawiedliwa. Moi przyjaciele wiedzą, że jestem romantyczną idiotką, mającą skłonność do ekstrawaganckich aktów wielkoduszności...

Przerwał jej śmiech. Vanden dotknął portiery - rozchyliła się i szczelnie zamknęła za nim. Był nieco spocony po ciężkim zajęciu.

- Idiotka to może, romantyczna, pod pewnym względem, tak. Ale wielkoduszna?

Absurd!

Rzucił się na ziemię obok mnie, ponownie napełnił kubki, chichocząc przy tym cicho.

- Xarafie, ta kobieta została naczelną handlarką Asulium Szarego dzięki jednej tylko cesze: wrodzonemu cynizmowi godnemu całego zgromadzenia kapłanów.

Glade wybuchnęła śmiechem, lecz w chwilę później, całkiem poważna, zmarszczyła brwi.

- Twoja ocena grzeszy niekonsekwencją - stwierdziła z miną uczonego. - Jak cynik i romantyk może zawierać się w jednej duszy.

- Niełatwo, zaręczam ci - Vanden otworzył paczkę z zapasami. - Widzisz - rzekł do mnie - naszą przyjaciółkę łatwo nużą tradycyjne wybiegi i perfidia handlowania. Zwykle zdzieranie pokaźnych

nawet sum w dalej położonych regionach jej nie zaspokaja, pozwoliła zatem, by o władnęła nią idea zdobycia najbardziej eksponowanego stanowiska w naszym targowym mieście. Stąd też i jej poetyczny impuls, który, o ile się nie mylę, ciężko nas dzisiaj kosztował.

- Jednoroczną wymianę futer - przyznała Glade. - O ile nie całą naszą koncesję na handel z Puszcza.

Sięgnęła do otwartej paczki i wzięła garść fig, czarny chleb, twarde kawałki sera i podała mi to wszystko. Handlarz zagwizdał cicho, uniósłszy brwi.

- No, Glade, okazuje się, że cię nie doceniałem. Twoja donkiszoteria zagłuszyła widocznie zwykły obiektywizm. Ufajmy zatem, że będziesz pamiętać o swym starym przyjacielu i zubożałym partnerze, gdy wstąpisz już na tron.

Glade wstała. W różowym świetle jej twarz była teraz naprawdę poważna. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Zapewniam cię, Vanden, że ten oto mężczyzna uwieńczy sławą moje poszukiwania.

Chłodna Lady Aniera jest już tak jakby wyrugowana. Kiedy Namiestnik Biskupi w Asuliun złoży koronę na mojej głowie, ty usiądziesz po mojej prawicy jako Kanclerz miasta.

Jej towarzysz wytrzeszczył milcząco oczy. Potem zachichotał.

- Najpierw zdobądź tę koronę - poradził. - Skąd możesz mieć pewność, że twoi rywale nie przedstawią jakiegoś jeszcze bardziej zadziwiającego cudu.

Chrupałem obfity posiłek i nie odzywałem się. Jeśli podróżowanie z tym dwojgiem handlarzy przybliży mnie do Kravaardu i mojego Plemienia, udam się z nimi. Jak jednak mógłby człowiek sam powrócić z jednego świata do drugiego? Dla mnie pozostawało to pomysłem stosownym dla bajd szalonych lunatyków i szamanów.

Z drugiej strony, przynajmniej dopóki nie wpadnę na jakiś lepszy pomysł mogący nasunąć sposób rozwiązania tego problemu, winien byłem Glade Odpornej dotrzymanie zobowiązania, co najłatwiej spełnić było przez towarzyszenie im przez jakiś czas.

- Mówisz o poszukiwaniu - powiedziałem. - O co tu chodzi?

- Na stanowisku rządzącego naszym miastem Asuliun Szarym, będzie wkrótce vacat -

wyjaśniła Glade. - Obecnie korona pozostaje przy Lady Aniera Arina Argaet, lecz zdaje się, że Lady jest już tym trochę zmęczona... Odwołała się do starodawnej tradycji i ogłosiła trwające dziewięćdziesiąt dziewięć dni poszukiwania.

- Rządzi wami kobieta? - spytałem z niedowierzaniem.

- W tej kadencji - Vanden zacisnął wargi. - Jeśli Glade odniesie sukces, to w następnej także.

- A nie ma ona potomstwa?

- Ma spadkobierców - rzekła Glade. - Czy to istotne?

- Z pewnością, jej synowie, i córki także, jeśli już o to idzie, biją się teraz o pierwszeństwo?

Handlarze popatrzyli na mnie ze zdumieniem, potem spojrzeli jedno na drugie.

Vanden powiedział powoli:

- Zakładasz, oczywiście, że ta władza jest dziedziczna? Że to jest królewski ród?

- A jak inaczej można to ułożyć bez nieustannego przelewu krwi, zamachów, zamieszek? - spytałem, na równi z nimi teraz zbity z tropu.

- Istniały sugestie, by urządzić to inaczej - rzekła Glade sucho. - Nie, nasza metoda rządzenia polega na thaumatokratycznych zawodach.

Urządzenie tłumaczące zawiodło w tej kwestii. A może były to granice mego własnego pojmowania i niewielkiego doświadczenia? Z trudem coś zrozumiałem.

- Wy... dążycie do czynienia cudów?

- Raczej do ich odkrywania - wyjaśnił Vanden. - Ten świat jest o wiele za stary na innowacje.

- Słońce, jak widzisz, umiera - powiedziała Glade. - Śmiałość i przedsiębiorczość powoli zanikają wśród naszego ludu; rozpacz podkopuje naszą zdolność przetrwania.

Ogłaszanie poszukiwań jest, wybac proszę dwuznaczność określenia, niezastąpionym środkiem dla wykrycia ludzi wyposażonych jednak w te rzadkie cechy.

Zmarszczyłem brwi. Wyglądało to na dość arbitralne określenie jakości postępowania, lecz była w tym jakaś logika.

- W moim kraju - powiedziałem - nigdy nie brakuje pozbawionych skrupułów śmiazków gotowych do każdej rywalizacji.

Vanden Wrażliwy uśmiechnął się.

- Nasz sposób życia, mówiąc ogólnie, jest sformalizowany i powściągliwy. Kobiety z Asulium są chłodne, mężczyźni w podobny sposób nieczuli i niezdolni do okazywania co bardziej gwałtownych namiętności.

- A zatem wy jesteście tu wyjątkami pod tym względem?

Handlarz westchnął.

- Ja nie. To Glade jest tą, którą targają trudne do opisanie napady ambicji.

Podejrzewam, że ona, gdyby tylko dać jej okazję, chętnie wróciłaby z tobą do gwiazd.

- Może bym to i zrobiła - twarz kobiety, zwykle otwartą, przeobraził jakiś rodzaj uwolnionej tęsknoty. Spoglądała z zamyśleniem na ognisko żaru na niebie. Potrząsnęła głową. - A ty jesteś zbyt skromny - zganiła swego przyjaciela. - Kto sugerował, byśmy jako cel poszukiwań obrali opuszczone Treet Hoown?

Vanden zakaszłał ostentacyjnie.

- Przyznaję się do współwiny. Jednak bez twojej zapalczywości, byłbym teraz odprężał się w moich kramach za szarymi wałami Asuliun.

- Uspokój się. Teraz, skoro Xaraf się do nas przyłączy, cała ta niebezpieczna wędrówka staje się zbyt bezpieczna.

Skóra mi ścierpła.

- Jakim niby sposobem mogę pomóc ci spełnić warunki tej pogoni? spytałem ostrożnie.

Wino się skończyło. Glade podała następne, o jaśniejszej barwie, przyjemnie musujące. Nalała nam wszystkim. Nabrałem ostrożności.

- Pięciu współzawodników, ja między nimi, wyruszyło siedemnaście dni temu.

Naszym obowiązkiem jest sprowadzić najbardziej frapujące nowości, które napotykamy podczas naszych podróży. Lady Aniera Arina Argæt osobiście osądzi, która z nich jest najbardziej, zajmująca.

Glade wzruszyła ramionami.

- Vanden i ja planowaliśmy zbadać nawiedzone wieże Treet Hoown, z którego to miejsca, odkąd opustoszało ono sto tysięcy lat temu, nie wrócił jeszcze nikt, prócz obłąkanych. Ty, oczywiście, reprezentujesz sobą najbardziej zachwycającą rozrywkę i zaoszczędzisz nam w ten sposób ryzykowania naszym zdrowiem.

Przedtem byłem ostrożny, teraz napełniło mnie przerażenie. Może powinienem dopisać to utrapienie do ogólnej sumy wszelkich straszdeł, grózb i szoków, z którymi spotykały się tu co rusz moje pewniki; sumy tego wszystkiego, co atakowało moją biedną głowę, odkąd przebudziłem się po raz drugi, myśląc, że zdarza mi się to po raz pierwszy.

Wspomnienia naszły mnie jak *memento* - wspomnienia silosów w Berb-Kiesheh i innych, podobnych ośrodków cywilizacji, gdzie zwierzęta były żywcem obdzierane ze skóry i dręczone, a wszystko dla uciechy i pieniędzy tłustych mieszczan i zezowatych łotrów z pustyni. Przypomniałem sobie te kaleki, ludzi pozbawionych kończyn, którzy z trudnością zarabiali na życie przebiegłą prezentacją swych dolegliwości; stworzenia z głowami jak bulwy, które urodziły się tylko przez dziwny przypadek i na

nieszczęście przeżyły, a zarabiałoby teraz na rodziców, zanieczyszczając się, krzycząc wesoło i masturbując się bez przerwy; dorośli, jak dla kontrastu, z małutkimi głowami z kępką włosów na czubku, głupkowaci, o wielkich dłoniach, uprowadzani dla sportu i na pokaz w boczne uliczki przez garbatych oszustów... Och, świat pełen był hochsztaplerów gotowych wystawiać na pokaz wybryki natury, gotowych, jakby nie było nic pod ręką, również je produkować, wylupiając, powiedzmy, oczy sierotom o zasmarkanych nosach, by pobożni, ujrawszy je, zapłakali, a płacząc rzucili monetę. Wszystko w jednej chwili przepłynęło mi przed oczami. Twarz nabiegła mi krwią. Jednym susem przemierzyłem namiot, wyjęty z pochwy miecz znalazł się w mojej ręce, wysoko, trzymany w poprzek klatki piersiowej i trwałem tak, wodząc przymrużonymi oczami od jednego do drugiego. Musiałem być lekko szalony.

- Planujecie wystawić mnie na pokaz?

Handlarze zastygli w napięciu. Gapili się na mnie, oniemiaли.

- Taki jest wasz plan? Macie zamiar prezentować mnie jako zakutą w kajdany groteskę? - gdy to powiedziałem zawahałem się, sam uderzony głupotą moich słów, wciąż jeszcze jednak nie mogąc opanować lęku.

Glade zareagowała przytomnie:

- Nic z tych rzeczy, Xarafie. Będiesz przyjęty z całą należną ci pompą i paradą.

Niezliczone mnóstwo lat upłynęło od chwili, gdy ktokolwiek z tych, którzy porzucili ten świat, zdecydował się nas odwiedzić. Przy odrobinie szczęścia wzbudziłbyś sensację. Ze znajomością tajemnicy urządzenia przenoszącego na dodatek...

Odłożyłem miecz, czując zakłopotanie. I winę. Serce zamarło we mnie jeszcze bardziej, gdy zdałem sobie sprawę, co właściwie powiedziała Glade.

- Na próżno narażałaś swoje życie na niebezpieczeństwo - powiedziałem cicho. Nikt nie wspomniał słowem o moim wzniesionym mieczu, nigdy później do tego nie wracano. To byli chłodni ludzie i niełatwo było zdenerwować ich lub zaniepokoić. - Gdybym znał

tajemnicę tego magicznego urządzenia, nigdy bym się nie zapuścił do lasu, wróciłbym natychmiast do mojego świata.

Glade zbyła ten argument.

- Tyle to już rozumiałam. Musimy po prostu zlokalizować tę machinę, jakkolwiek przyjdzie to zrobić, i nauczyć się nią kierować. Intensywne badanie musi doprowadzić nas do tego, co ty, na skutek szoku, pominąłeś.

- Nie rozumiesz, pozostała mi już tylko szczerość - wyjaśniłem, jak zamienione zostały moje szaty, że zostałem przeniesiony z mojego świata zapewne podczas snu.

- Wydaje się, że uczyniono to właśnie w tym celu, by udaremnić takie poszukiwania, jak wasze.

Z przesadną ostrożnością Glade umieściła swój kubek z winem na gładkiej podłodze namiotu. Zadowolony wyraz jej twarzy zamarł w parodii uśmiechu. Zwróciła powoli oczy na spotkanie sardonicznie badawczego spojrzenia Vandera Wrażliwego.

- Roczna, ilość futer - zauważyła bezdźwięcznym głosem.

Jej towarzysz pokiwał głową.

- Całkowicie zrażona klientela - powiedział.

Cienki dźwięk wyrwał się z jej gardła. Oparła głowę, zamknawszy oczy, o uginającą się ścianę namiotu. Przez chwilę myślałem, że płacze. Łkania, które wypełniły powietrze, były rubasznym śmiechem. Vanden też zaczął się śmiać. Wpadli na siebie, wybuchając co rusz salwami głupiej wesołości. Poczulem, że poważny wyraz mojej twarzy ustępuje uśmiechowi, szerokiemu uśmiechowi, i po chwili cieszyłem się jak oni. Kolejno opadliśmy na futra, rwąc boki ze śmiechu, rycząc na całe gardło.

W końcu poszukiwaczka otarła łzy ze swych niebieskich oczu. Pochwyciła kubek z winem, niepewnie dotąd stojący u jej stóp i wzniosła go.

- Naprzód! - krzyknęła. - Ku obłąkańczym wieżom opuszczonego Treet Hoown!

Obóz został zwinięty dopiero po tym, jak spędziliśmy kilka godzin nad zapleśniałymi fragmentami bardzo starych map.

Nie powiedziały nam niczego szczególnego, co mnie specjalnie nie zdziwiło.

Nieco spokojniejsza, lecz nadal osobliwie pełna optymizmu Glade, zaproponowała orientacyjny objazd obrzeżami lasu, na wypadek, gdyby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu mechanizm przenoszący był jednak dostępny w pobliżu i dał się zbadać. Wzruszyłem ramionami na ten pomysł.

- Gdzie się znajdujemy w odniesieniu do miejsca, w którym wszedłem do lasu? Nie wiemy. To wystarczająco niefortunna okoliczność. Wątpię też, czy potrafię was zaprowadzić do miejsca, gdzie się obudziłem. Była pochmurna noc, a gdy w końcu konstelacje ukazały się na niebie, wszystkie były wypaczone.

- Mniejsza z tym. W najgorszym razie stracimy dzień; a mamy może szansę zyskać królestwo. Ponadto, Vanden i ja jesteśmy dość obeznani z tą okolicą. Niewiele sprawiłoby nam kłopotu ustalenie tego obszaru przynajmniej z grubsza.

Handlarz skinął głową.

- Jakaś niezwykła instalacja czy aktywność powinna odbijać od otoczenia. To pasterska okolica. Teraz, jeśli będziecie tak dobrzy i wyjdziecie na zewnątrz, to złożę ten namiot i przyspieszę tym samym nasz odjazd.

Wszystko zostało spakowane z zawrotną szybkością i stanowiło niewiarygodnie mały ładunek. Gdy było już gotowe, dosiadłem mocnego, rogatego kasztana, który pierwotnie służył jako juczny.

- Obawiam się, że nie mamy zapasowego siodła, Xarafie - powiedział Vanden przepaszająco.

- Nieważne - wskoczyłem na grzbiet zwierzęcia. Po moich zwykłych wierzchowcach, gigantycznych baluchitherium, to siedzisko zdawało się być niebezpiecznie blisko ziemi.

Ścisnąłem je kolanami i pochwaliłem się przed nimi nieco:

- Mój lud znajduje przyjemność w jeźdzeniu na oklep. Jesteśmy postrachem równin Kravaardu.

Mój nowy wierzchowiec i ja dowiedliśmy tego serią podrzutów i zwrotów, błyskotliwych i rozweselających. Chociaż podczas jednej z tych ewolucji bliski byłem spadnięcia, Glade wstrzymała się od komentarza.

Mimo to zaczynałem zdawać sobie sprawę z różnic w nastroju i postawie, które nas dzieliły, podobnie, jak różne były nasze umiejętności jeździeckie. Mój własny sposób bycia pełen był werwy. Glade niewątpliwie postrzegła go jako barbarzyński. W porównaniu z ostrożnym, fachowym kunsztem jeździeckim urodzonych w mieście handlarzy, mogłem mianować się jednością z moim

rogatym rumakiem. Sprawiało mi przyjemność, że przewyższałem ich w tej jednej dziedzinie, nawet jeśli miało to być wszystko.

*

Zanim wyruszyliśmy w drogę, weszły jeszcze dwa błyszczące ciała niebieskie, goniąc ku zachodowi smutne, zniszczone Słońce. To przeszło już granice mej zdolności dziwienia się.

- Ile takich gwiazdek ten świat posiada? Mój świat ma tylko Księżyc, który rozjaśnia noc i takie fenomeny są tam nie znane.

Gdy to mówiłem, rozumiałem, że nie ma miejsca na wątpliwości. To był naprawdę inny świat. Bezsprzecznie, zostałem przeniesiony do niego poprzez jakąś przepaść, której niepodobna było sobie wyobrazić. Wyobraźnia jest ograniczona, toteż nie wziąłem pod uwagę, że przepaść ta mogła być otchłanią otwierającą się w czasie, a nie w przestrzeni.

- Nie macie ich - uśmiechnął się Vanden - ponieważ ich nie potrzebujecie.

- Twierdzisz, że istnieje boska opatrzność, która kompensuje ludzkie potrzeby?

- Może - odparł handlarz. - Nie zawsze gwiazdki istniały. Ukazały się dopiero wtedy, gdy Słońce wkroczyło w czas swej agonii. Dochodziło wówczas do strasznych zaburzeń.

Umilkł na jakiś czas, medytując nad miernością swego stwierdzenia. Było tyle samo warte, co wiele innych.

- Czy są one wytworem metafizycznego działania, czy sztuką jakiejś wyższej, życzliwej nam nauki, nie można osądzić.

Głade skierowała wierzchowca bliżej mnie.

- Vanden nie wspomina nic o powszechnym przesądzie. W pewnych środowiskach utrzymuje się jako niewzruszoną prawdę plotkę, że słońeczka stworzył jakiś zespół bogów mieszkających w nieznanej, górskiej twierdzy.

Zagapiłem się na nią.

- Czy ci bogowie mają imiona?

- Wymienia się różne. Panowie Zmierzchu, Ostatni Uczeni, Moce. O co chodzi, Xarafie. Co cię niepokoi?

Przeszył mnie ostry, przelotny ból, powodując sekundowy skurcz serca, tak że zachwiałem się przez chwilę. Słabość ta minęła tak szybko, jak przyszła. Pozbierałem się, zmieszany, i potrząsnąłem głową.

- To nic. Przez chwilę zdawało mi się... Bez znaczenia.

Handlarze wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Może twoje obrażenia są poważniejsze, niż podejrzewaliśmy - rzekł Vanden. -

Zróbmy dłuższy odpoczynek.

- To nic nie było - stwierdziłem szorstko. - Jedźmy dalej.

- Dobrze - mężczyzna wzruszył ramionami.

Przemierzaliśmy drogę w milczeniu. Po naszej lewej stronie las świergotał życiem. Po prawej roztaczała się łąka opadająca i wznosząca się niewielkimi falami, z mili na milę taka sama.

W dali dostrzegliśmy stada pasącego się spokojnie bydła (choć może były to wielkie kosmate ptaki), a wiatr przynosił urywane strzępy śpiewu ich pasterzy.

- Powiedz mi, Glade - odezwałem się wreszcie z zakłopotaniem - co to była za sztuczka, której użyłaś, by ułatwić nam ucieczkę?

Poszukiwaczka zacisnęła wargi.

- Szczegóły są znane tylko mojemu aptekarzowi. Krótko mówiąc, większość mieszczan z Asuliun Szarego niechętnie wypuszcza się poza mury miasta. Ci, którzy zachowali w sobie dość atawizmów, by dokonywać niezbędnej dla miejskiej ekonomii wymiany dóbr, posiadają również rozwinięty zmysł ostrożności.

- Nie było ostrożnością wycinanie sobie drogi przez ciżbę morderczych ptaków.

- Och, potrafimy stanąć na wysokości zadania. Ale widzisz, wyruszamy zwykle dobrze przygotowani. Ci, z którymi robimy interesy, są przedstawicielami kultur nastawionych defensywnie i ograniczonych, co jest zresztą, prawdę mówiąc, cechą również i mojej własnej.

- Lud z Puszczy jest znany przede wszystkim ze swej wrogości wobec obcych - dodał

Vanden. - Tylko swojej dyplomacji Glade zawdzięcza zainicjowanie kontaktów z nimi pomimo ich paranoi.

- To był przypadek - powiedziała sprzeciwiając się - że parę lat temu udało mi się znaleźć drugie dziecko Wodza Wyrosłego Dębu; chłopczyk błądził poza obwodem lasu. No cóż, okoliczności też mają znaczenie...

- Daj jej pół szansy, a ona wywierci ci dziurę w brzuchu o resztę.

- W rezultacie powstał układ ciągnęła Glade rzeczowo. - Przyznał mi wyłączne prawo handlowania z Ludem. Mimo silnego sprzeciwu ze strony Zimy-Co-Mrozi i jego pochlebców, zdołałam wprowadzić do ich kultury baterie energetyczne, zastępując nimi nieudolny system alchemiczny, który stosowali do tego czasu.

Nasza dyskusja znowu zaczęła przekraczać możliwości urządzenia tłumaczącego.

Byłem jednak dość nią pochłonięty, by skoncentrowawszy się, poradzić sobie i zrozumieć.

- Świadoma istnienia tej opozycji - ciągnęła poszukiwaczka - podjęłam po cichu też pewne środki ostrożności. Lud egzystuje w realnej symbiozie z Puszcą. Było to możliwe głównie przez zmianę uwarunkowań instynktownych stworzeń takich, jak ich Koty i święte drapieżne ptaki, nosiłam zatem przy sobie preparaty mogące znieść efekty długotrwałej tresury na rzecz ożywiania pierwotnych skłonności - roześmiała się. - Prosty plan uzależniony jednak od wątpliwych umiejętności mojego skłonnego do szalbierstw aptekarza; w tym przypadku jednak talent dorównał jego przechwałkom.

- Co to była za fiołka, którą mi dałaś?

Glade spojrzała zdziwiona.

- Twój świat z pewnością też ma swoje naturalne opiaty? Te porosty, które rosną dziko w każdym regionie, są jednym z wielu źródeł substancji nasennych i wywołujących halucynacje. Stwierdzone zostało, że sporo z tych roślin pochodzi spoza nieba i pojawiło się jeszcze w czasach, gdy odwiedzali nas śmiałkowie z gwiazd.

Miałem wyrytą w pamięci farmakopeę Darkbloomu i zawarty w niej cały asortyment specyfików odurzających i prostych leków, które wprowadzały go w trans, gdy połykał je, spalał i wprowadzał do swego chudego ciała.

- Wszystkie te substancje wymagają precyzyjnego i fachowego wypreparowania, zanim ich moc się ujawni - powiedziałem niepewnie.

- Nie w tym przypadku. Lud wykorzystuje porosty podczas manifestacji religijnych.

Wydało mi się zatem roztropne mieć przy sobie i to antidotum, by nie stać się mimowolnym ośrodkiem takiej ceremonii. Wbrew kpinom Vandena nie jestem tak całkiem cyniczna ani romantyczna, a zaledwie przezorna.

Miejsce, przez które akurat przejeżdżaliśmy, wydało mi się znajome. Na moją sugestię ściągaliśmy cugle i zawróciliśmy, by zbadać teren.

Nie było widać żadnego znaku ludzkiej obecności. Ruszyliśmy powoli przez rozkołysaną trawę, wypatrując uważnie ewentualnego zagrożenia. Każdy krzak i drzewo miały po trzy cienie.

Moje wyćwiczone oko myśliwego miało kłopoty ze skojarzeniem tego niesamowitego pejzażu z ciemnym, przerażającym wspomnieniem chwili przebudzenia. Pomimo tego spodziewałem się rozpoznać sękaty pień czy jakiś osobliwie ukształtowany krzak.

Podniosłem rękę.

- To nie mogło być daleko stąd. Nie ma tu, jak widzicie, ani budowli, ani żadnego artefaktu.

Vanden potarł swój gładki podbródek.

- Nie wiemy, oczywiście, jak może wyglądać urządzenie przenoszące. Może jest to niematerialna klatka pól w przestrzeni. A może jego żywotne części leżą rozwłóczone przez żywioły.

- To prawdopodobne - zgodziła się Glade. - Inaczej bowiem zostałyby już niezawodnie odkryte przez koczujących pasterzy - wyrzuciła w górę ręce i zajęczała:

- Jak można szukać tego, co siły utraconej nauki postanowiły w swych knowaniach trzymać w ukryciu?

- Co się dzieje? - krzyknął Vanden. - Słowa zniechęcenia w ustach Miesiąca Glade (Dzień Piąty) Odpornej po Ośmiokroć?

Poszukiwaczka uśmiechnęła się kwaśno.

- Gdy przeszkody na drodze ku jakiejś stronie świata stają się nieprzezwyciężone, zwróć się gdzie indziej. Zanim tak jednak zrobimy, poddajmy przynajmniej ten rejon jak najdokładniejszemu badaniu.

Każde z nas systematycznie i bezowocnie przetrząsnęło sferę stanowiącą trzecią część tego obszaru. Po godzinie spotkaliśmy się, przygnębieni. Krwawy upiór nieba skłaniał się na horyzoncie ku chmurze, ostatnie gwiazdki podążały za nim. Wiatr rozrzucił mi włosy, potargał grzywę mojego wierzchowca. Bolały mnie uda. Popadałem w depresyjny nastrój, który wywołał poczucie bezradności.

Gdzie było to niesprecyzowane urządzenie, którego szukaliśmy, a które równie dobrze mogło wcale nie istnieć. Jednak, jeśli nie uda mi się zlokalizować tych bogów czy czarowników, którzy mnie tu przenieśli, jak wrócę do Kravaardu? Faktem było, że stęskniłem się ostro za domem, chociaż nie rozpoznawałem jeszcze tego uczucia. Nigdy przedtem nie byłem poza moim terytorium, chyba że w towarzystwie mego ochryplego najbliższego krewnego. Trzeba koniecznie zrobić coś, bym mógł wrócić. Myślałem o ostrzeżeniach mego ojca. Czary i strach, nieporównywalne z niczym, czego dotąd doświadczyłem, zstępowały z północy, zalewając tamten świat, mój świat, chcąc osiągnąć ojczyzny mego ludu. Moje miejsce było w tej godzinie rozrachunku u boku mego ojca.

*

Deszcz wisiał w powietrzu. Zjedliśmy pospiesznie posiłek składający się z sera i suszonych owoców. Zaciągnąłem wokół siebie pożyczony płaszcz i pogrążony w myślach patrzyłem, jak inni wspinają się na siodła.

- Pojedziemy na południe - zdecydowała Glade. - Niedaleko stąd spływa do lasu pomniejszy strumień, tam będziemy mogli napełnić nasze pojemniki. Ptactwo wodne mogłoby stanowić przyjemny dodatek do naszej diety, która nudzi mnie już na tyle, że ledwo powstrzymuję się od krzyku przy posiłkach. Potem pojedziemy na południowy zachód, tak długo, aż ogarnie nas noc. Mapy, które mamy, wspominają, że Treet Hoown leży w tym właśnie kierunku.

*

Ciemności zapadały, gdy rozbiliśmy obóz na polanie oświetlonej zawieszonymi przez Vandena na pobliskich drzewach kryształami. Świetnie radził sobie z takimi zadaniami jak polowanie, i zdobył podczas naszego krótkiego postoju nad strumieniem dwa świetne ptaki.

Byłem zafascynowany jego metodą: używając tylko sprężonego powietrza oddechu, wystrzeliwał z metalowej rury pokryte narkotykiem strzałki, które z dużą siłą trafiały precyzyjnie w cel.

Ku memu zmartwieniu, gdy spróbowałem, moja własna celność okazała się być licha, a siła mego oddechu niewystarczająca. Vanden udzielił mi paru wskazówek co do celowania, dodając ze śmiechem, że opanowanie tej sztuki wymaga długotrwałej i pełnej poświęcenia praktyki.

Niewiele mnie to uspokoiło. Raz jeszcze poczułem się niedorzecznym i nieokrzesanym głupcem. Sztywno odszedłem dźwigając podobne do kaczek ptaki i oczyściłem je w strumieniu, rozrzucając w złości pióra i krwawe wnętrzości.

Glade, chociaż była tu przywódcą, też mozoliła się i za pomocą osobliwego, dostarczającego bez ognia kontrolowaną ilość ciepła przyrządu, ugotowała obie sztuki dziczyzny.

Usiadłem na zewnątrz namiotu, obserwując szkarłat i błękit nieba zmierzchu i węsząc z uznaniem.

- To świetnie ułatwia gotowanie - zawołałem do niej.

- Gdy przejdzie ci zły humor, będziesz mógł się co do tego upewnić - odparła zgryźliwie.

Wszedłem do środka i przyjrzałem się, jak manipuluje przy urządzeniu.

- Czekam na szkolenie. To funkcjonuje na zasadzie magicznej, o ile się nie mylę?

Glade nie mogła uwierzyć, że człowiek z gwiazd może być w tak prostej kwestii aż takim tępakiem.

- Ten piec działa na baterie energetyczne. Ogień jest, oczywiście, zakazany. Tylko szalenie zaryzykowałby wzniesienie pożaru.

- Walczyłaś ognistą lancą - przypomniałem jej.

- Nie ognistą. Ona działa na innej zasadzie - powiedziała następnie wiele rzeczy, wobec których urządzenie tłumaczące skapitulowało i pozostawiło mnie w niewiedzy.

- Ogień nie daje tak się kontrolować - zakończyła. - Jakikolwiek działanie żywiołu ognia na delikatną równowagę przyrody wymagałoby potem starań pokoleń, by ją przywrócić. Wszyscy jesteśmy opiekunami tego świata.

Dosłyszałem w jej ostatnim zdaniu coś jakby nutę pobożności, zmieniłem zatem szybko temat.

- Te właśnie baterie energetyczne są towarem, którym handlujesz?

Glade odrzekła ponuro:

- Dostarczanie baterii do oświetlania i gotowania były moją główną działalnością wśród Ludu Puszczy.

- Gdzie je otrzymujesz? Z pewnością są bezcenne - magia na sprzedaż! Pomyślałem o aspiracjach Darkbloom i zachichotałem w duchu.

- Wytwarzane są automatycznie przez niewiarygodnie starożytną maszynę w Asulium -

wyznała Glade. - Ta maszyna jest naszym największym bogactwem, wyciąga zar z najgłębszych pokładów jądra świata.

Wiedziałem dotąd, że świat jest płaski i krągły jak krzywizna łuku, tak że idea posiadania przezeń jądra wydała mi się być tylko zabawnym zabobonem. Zbyt jednak byłem zajęty maszyną, którą opisywała Glade, by rozpraszać uwagę.

- Ona to robi bez nadzoru ludzkiej ręki?

- Oczywiście - Glade spojrzała spode łba. - Wprawdzie nie ma ich wiele, lecz wszystkie maszyny z zapomnianych dni są właśnie tego rodzaju.

Nie komentowałem tego. Gdybym mógł opanować zasady kontrolowania tej demonicznej siły, zastanawiałem się, może mógłbym zabrać ją ze sobą do Kravaardu, gdzie byłaby pomocna w spotkaniu z czarownikami-najeźdźcami, które i tak odbędzie się na warunkach przez nich podyktowanych. Na taką myśl zadrzałem z podniecenia.

Porzuciłem namiot i obserwowałem zachodzące we wspaniałej purpurze gwiazdki.

Vanden zdążył do rogatych zwierząt. Przystanął przy mnie.

- Stary i kapryśny świat - zauważył. Pierwsze gwiazdy zapaliły się na wschodzie. -

Jakie cuda zawiera twój świat, tak młody, że zna to, czego nasz nie widział od tysiącleci i o czym dawno już zapomniał?

- Nie wiem. Cuda, które uważasz za coś naturalnego, zdumiałyby mój lud. Może jednak tam, w moim świecie, jest spontaniczność, która tutaj już zginęła.

- Całkiem możliwe - Vanden podniósł się. - My czekamy na koniec świata i ta perspektywa nie za bardzo nas trwoży. Ty, zdaje się, żywisz wobec przyszłości bardziej zdecydowane wymagania. Nie sądzę, bym ci zazdrościł.

Jego słowa rozbrzmiały echem w moim umyśle. Nic jednak nie powiedziałem. A była to prawda. Kiedy moja niezamężna siostra Babinya zmarła na zaskarżającą fluksję, marniejąc z dnia na dzień, podczas gdy kobiety przychodziły i odchodziły, a małe dzieci kręciły się za kłapą jej namiotu, by usłyszeć jęki i kaszel i spoglądać z szeroko otwartymi oczami jedno na drugie, póki nie zostały

przepędzone przez obawiające się zarażenia matki, czułem rozdzierający smutek, a jej śmierć i pogrzeb, tradycyjny, wśród pustkowi wysoko ponad doliną, sprawiły, że piekące łzy spływały po moich policzkach, jako że cała jej zdrowa, młoda piękność została zniszczona, sprofanowana, odrzucona i ta bezsenna noc, gdy snuła mi niepokojącą opowieść o dziewczynie widywanej tylko i wyłącznie w moim śnie, a o której opowiedziałem Babyni i nikomu więcej; ten dzień, w którym ona ujrzała wodza plemienia Ironsmith i szaleńczo go pokochała, i jej rozpacz, gdy rada rodzinna zabroniła jej tego małżeństwa; i jeszcze widok jej szczęśliwej, uradowanej, kapryśnej, i widok jej tam, a teraz odeszła, odeszła, by nigdy nie wrócić...

To była żałoba. Wiedziałem to wystarczająco dobrze. Śmierć całego świata była zbyt wielką tragedią, by oddać ją żalem czy przerażeniem; tylko melancholijny nastrój rezygnacji pasował do czegoś takiego. Strata Babyni była bardziej dotkliwa, jakoś bliższa niż kosmiczna zguba świata.

Gdzieś między tym dwojgiem konających były groźne chmury burzowe rozbudowujące się nad Kravaardem, hordy demonów, o których mówił mój ojciec, nadciągały magicznie z Północy. Zadrzałem, ogarnięty niejasnym przecuciem.

I poszedłem coś zjeść.

Komuś w moim wieku łatwo jest znaleźć sobie rozrywkę. Postawiono przede mną pachnący i soczysty pieczony drób w ziołowym sosie. Przygnębienie szybko mi przeszło.

Wypowiadane z powagą zabawne żarty moich dwojga towarzyszy dodatkowo poprawiły nastrój. Kiedy po ptakach nie pozostało nic, prócz czułych wspomnień i garstki kości, Glade puściła w obieg miskę miękkich, brązowych orzechów.

- Żuj je powoli - powiedziała mi. - Zawierają łagodny alkohol, który uwalnia ciało i umysł od stresu. Gwarantują przyjemny, ożywiony czarującymi snami wypoczynek.

- Które z nas pierwsze obejmie wartość? - spytałem widząc, że oboje są już pod wpływem owych środków nasennych. - Pozwólcie mi, na ochotnika - odepchnąłem miskę.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział Vanden. - Dziękuję ci jednak. Zainstaluję, jeśli wybaczyście mi odejście na chwilę, straże na tę noc.

Wziął z torby pewną ilość wielościennych przedmiotów i wyszedł.

- Fauna tych łąk jest typowo nieszkodliwa - wyjaśniła Glade - ale straże ustrzegą nas przed ewentualnymi innymi okazami, podobnie jak odstraszą tych roślinożerców, którzy mogliby nas przypadkowo stratować przy poszukiwaniu żywności.

- Ten świat jest nieszkodliwy - powiedziałem jakoś chełpliwie. - W moim świecie musimy zawsze utrzymywać stan pogotowia w obawie przed żarłocznością dzikich zwierząt, nie mówiąc o knowaniach naszych wrogów.

Twarz Glade nachmurzyła się.

- Żaden świat nie jest zupełnie nieszkodliwy. Mój małżonek zginął przedwcześnie zaatakowany przez dzikie zwierzę.

Trzymałem środek nasenny już przy wargach, wdychając jego zapach.

- Byłaś zamężna?

- W rzeczy samej, i to jak najszczęśliwiej. Z bliźniakiem Vandena, Hahnem.

Jej oczy straciły koncentrację, gdy narkotyk przeniknął do umysłu, kojąc i uśmierzając ból wspomnienia.

- Chwilami przypominasz mi mojego syna, gdy był młodszy.

Znaczenie tych słów uszło mojej uwagi, lecz powróciłem do nich po chwili, uprzedzając sobie ich wagę i niepewny, czy można uwierzyć w to, co powiedziała.

- Ja? Glade, ty możesz mieć co najwyżej cztery czy pięć lat więcej, niż ja.

- Tak przypuszczam - zgodziła się. - Dość czasu, by założyć rodzinę i mieć wnuki, jeśli o to chodzi.

Gapiałem się w nią z otwartymi ustami.

- Jakie to obłądne pomysły wypowiadasz? Czy rodzicie dzieci jak króliki? Glade, ile ty masz lat?

- No, trochę więcej niż sześć.

- Sześć? Sześć? - byłem urażony, że pozwala sobie na takie kpiny z mojej łatwowierności. - Dwadzieścia sześć co najmniej.

Otworzyła gwałtownie oczy, jakbym zarzucał jej coś niemoralnego.

- Czy aż na tak starą wiedźmę wyglądam, Xarafie?

- Mimo wszystko - upierałem się - musiałabyś urodzić dziecko w wieku lat sześciu, by mieć syna w moim wieku.

Nagle roześmiała się głupim, musującym chichotem, który sprawił, że się rozchmurzyłem. Podniosła palce, licząc.

- Myślę, że rozumiem, Xarafie. Twój i mój świat mają różne lata.

Tego było już za wiele. Żułem orzech i obserwowałem.

- Ile masz lat, Xarafie?

Powiedziałem jej. Obliczyła:

- W takim razie, według mnie, masz zaledwie dwa lata, mój drogi. Mój i Hahna syn, Ren Prawy, ma prawie trzy i za miesiąc odbędą się stosowne ceremonie.

Za dużo w tym było dla mnie metafizyki. Dużo później przypomniałem sobie jednak ową rozmowę i dokonałem własnych obliczeń. Stosownie do miary czasu, do jakiej byłem przyzwyczajony, Glade urodziła się trochę więcej, niż siedemdziesiąt lat temu. Dość czasu, by zostać prababką.

Zmieniłem temat. Ostry smak orzechów napełnił mnie przyjacielskim optymizmem.

- Twoja spiżarnia jest równie cudowna, jak twoje mechanizmy.

Glade uśmiechnęła się przychylnie.

- A jak twoje obrażenia?

Ku memu zdziwieniu, lecz zgodnie z prawdą, mogłem odpowiedzieć:

- Nie bolą.

- To świetnie. A zatem moje lekarstwa są równie cudowne jak spiżarnia.

Poruszyła sennie szczęką.

- A co do mechanizmów... - drzemiąc złapała się za opadającą na zgiętym karku głowę.

- O mechanizmach mówimy?

Język mi zdrętwiał i niechętnie nawiązał współpracę.

- Mówiliśmy o spiżarniach, jak sobie przypominam.

Oboje zachichotaliśmy.

- Co zaś do mechanizmów - rzekła Glade z uporem bełkoczącego mędrca - wyreguluję pole komunikacji, zanim usniemy. Ma ograniczony zakres. By zaradzić temu deficytowi, zrezygnujemy z ciągłego tłumaczenia.

Stwierdziłem, że śmieję się kretyńsko.

- Wszystko będzie trwało dwa razy dłużej, jeśli będziemy rozmawiać za pośrednictwem rąk.

- Nie, nie.

Wrócił Vanden.

- Wyjaśnij mi, sir. Ty tu jesteś technikiem.

- A o co chodzi?

Glade zrzuciła odzienie. Potem wtoczyła się w futra i zamknęła oczy, pomrukując sennie:

- Nieważne. Uważaj Xarafie: to wprowadzi do twoich ośrodków nowy zasób słów wystarczający, by władać naszym językiem gramatycznie.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodziło, lecz spała już, a w chwilę później usnąłem i ja.

*

- Kim jesteś? - pytam, bo rysy jego są ciemne, twarde i straszne dla oka.

- Znasz mnie, Horusie - mówi on. Jakże łagodny to głos. Patrzę na niego z miłością i żalem.

- Ozyrys - przypominam sobie, jako że Darkbloom opowiedział mi tę bajkę, tę tajemnicę, tę magię, tę cudowną głupotkę.

- Czy twoja matka dobrze się ma, mój synu?

- Z pewnością wiesz, że siostra twoja Izyda zyskuje płodność dzięki twoim wylewom, Ojczy Nilu?

Jest smutny, jak smutny mógłby być człowiek, który cierpi z powodu wielkiej zdrady ze strony swych braci.

- A Set?

Zwiesiłem głowę.

- On dzierży twe dziedzictwo, Ojczy. Rujnuje twą żyzną glebę, czyniąc z niej pustynię.

- Nie mścisz mej krzywdy?

Patrzę na tego starożytnego pełnymi bólu oczami.

- Przysięgłem go zabić, Ojczy, jednak moja matka, Izyda, błaga, bym go oszczędził.

- Oszczędzić go?

Złość zmarłego Ozyrysa wznosi się jak bijąca od ziemi błyskawica.

- Będąc wprawdzie twym mordercą, to czyż nie jest także i jej bratem?

Wzdrygam się wstrząsany emocjami, które krążą we mnie i przeze mnie. Potem on raz jeszcze ukazuje mi, jako naganę, w wirze i wyciu dymu, morderstwo dokonane przez Seta: Przebiegle łapie mego ojca w śmiertelną pułapkę.

Perfidnie rąbie jego ciało na czternaście żywych, krwawych kawałków.

Ze swym nikczemnym sługą Oxyrhynchidem pożera męskość mego ojca.

Wrzeszczę. Z mroku, rozdzierając swą szatę, wybiega moja matka, chcąc odszukać biedne, porozrywane fragmenty mego zamordowanego ojca. Zespala je mułem wielkiej rzeki; wszystkie, prócz tej części, która została wykradziona, i przytula się do jego leżącego ciała tak długo, aż duch podnosi się i wnika w oczekujące, wilgotne i zbolełe ciało, i znajduje miejsce wewnątrz jej łona i ja zostaję stworzony, ja, Har-end-yotef, obrońca mego ojca, ja, Hartomes, włócznik i rzeźnik moich i jego wrogów.

Potem wszystko się odmienia.

Znowu wrzeszczę, w najwyższym przerażeniu.

... ja, Set, zabójca brata mego...

*

Oboje chrapali lekko w ciepłej ciemności, gdy się obudziłem, cały pokryty potem.

Zupełnie wbrew przyzwyczajeniom wyciągnąłem miecz i przepchnąłem się przez kotarę namiotu, zachowując przy tym wrodzoną ostrożność.

Krople deszczu uderzyły mnie w twarz. Wstąpiłem cicho w nawiedzoną ulewą noc.

- Co my właściwie robimy na zewnątrz - spytał cicho Alamogordo. - Na całe mile wokoło nie ma nic interesującego.

- Cicho! - mruknąłem, na wpół jeszcze śpiący. - Właśnie zaistniała we mnie potrzeba odlania się.

Zrobiwszy to, zawróciłem do namiotu.

- Och! - powiedział miecz. - O, o, o.

Kaskada iskier zapaliła się w ciemności.

Po chwili stała w tym miejscu wielka bestia; jej pióra połyskiwały deszczem, który tańczył na złożonych skrzydłach. Obróciła swą imponująco wielką głowę w moim kierunku i wypowiedziała jedno słowo.

Pamięć otworzyła przede mną swoje zasoby jak szkatuła z bogactwami. Byłem nagle dwoma ludźmi wypełniającymi jedną głowę. Uderzyłem dłońmi o skronie, zbyt oszołomiony, by krzyknąć. Alamogordo zaskowyczał.

- Goldspur - powiedziałem.

- Dzień dobry, Xarafie - rzekł uroczyście gryfon.

- Przybywasz, by odesłać mnie do domu, do Kravaardu?

- Jeszcze nie.

- Moce uparły się przy twierdzeniu, że żadna pomoc nie nadejdzie, dopóki sam nie znajdę do nich własnej drogi powrotu.

Mżawka utworzyła między nami tańczący woal.

- Sytuacja się zmieniła - Goldspur opuścił się na zad, jak jakiś stary, kamienny strażnik świątyni.

- Jedziemy do Treet Hoown. Czy nie podoba się to Mocom?

- Wprost przeciwnie. Jednakże mapy handlarzy nie są zbyt dokładne. Przynoszę ci poprawną informację.

Byłem zakłopotany.

- Oni są dobrymi ludźmi, a zostali wprowadzeni w błąd w ważniejszej kwestii.

Wierzą, że jestem podróżnikiem z gwiazd.

- To bez znaczenia. Nie martw się o to. Moce są mądrymi Panami tego świata.

Poczułem cierpkość w ustach. Roześmiałem się.

- Twoje przekonanie jest wzruszające: - podniosłem miecz na wysokość piersi. -

Zabierz mnie z powrotem do Twierdzy. Chciałbym wrócić do mego ludu.

- Chwilowo nie jest to stosowne żądanie - jakaś siła zawładnęła ostrzem i wykręciła je z mojej ręki. Alamogordo zawisł w powietrzu; krzyż z jasnego metalu. Iskry wytrysnęły z podniesionych szponów Goldspura, uderzyły w ostrze jak płynny ogień, zaskwierczały, sypiąc się i splatając, pozostawiając ślady na moich przywykłych do ciemności źrenicach.

Wydawało mi się, jakby rylec czerwonego i złotego blasku grawerował wiadomość na nagim metalu ostrza.

Wysoki, cierpki skrzek wydobył się z miecza.

Po chwili spadł wprost do mojej ręki. Był ciepły. Przebiegłem palcami po jego płazie.

Zostały tam wypisane symbole, których nie umiałem odczytać.

- Została mu przekazana potęga - rzekł Goldspur. - Sam stwierdzisz, jak niezbędna, gdy wkroczysz do miasta szaleństwa.

- Czy mam zachować wspomnienie tej chwili?

- Nie, to udaremniłoby zrealizowanie zadania i osiągnięcie celu twej podróży. Żegnaj.

Iskierki zamigotały wokół jego postaci. Powiedział jeszcze jedno, ostatnie słowo, i zniknął.

*

Wróciłem przez lekki deszcz do namiotu. Vanden stał przy kotarze i patrzył na mnie podejrzliwie.

- Słyszałem głosy. Straże nie odzywają się. Z kim rozmawiałeś?

Podniosłem głowę.

- Głosy? Nic nie słyszałem. Może sen...

- Dlaczego wzięłeś broń?

- Miecz? Wydawało mi się to być na miejscu - zważyłem miecz w ręce, by schować go do pochwy. Szachownica linii i znaków zalśniła na płazie tam, gdzie wcześniej był gładki metal, niczym nie skażony. Omal nie upuściłem niemałego ciężaru oręża na stopę.

- Co tym razem, Xarafie?

Przepchnąłem się obok nachmurzonego handlarza i wszedłem w przytłumione, nocne światło namiotu.

- Możesz to wytłumaczyć, Vanden? Ja wiem, że nie zdołam.

Wyraz jego twarzy się zmienił.

- Diagram, komentowany w rękopisie z Asuliun Szarego.

- Umiesz to przeczytać?

Vanden sięgnął i potrząsnął Glade, skłaniając ją do obudzenia się. Powtórzyłem im, co pamiętałem: że opuściłem namiot, ulżyłem sobie, wróciłem. Deszcz bębnił o boki naszego schronienia, wiatr targał dachem. Dzikim wzrokiem wodziłem od jednego do drugiego.

- Ktoś nas prowadzi, Xarafie - Glade zdawała nie posiadać się z radości. - To, co tutaj mamy, jest opisem drogi, którą musimy podążać, jeśli chcemy dotrzeć do Treet Hoown. I widzisz, ta mapa pokazuje miasto z uwzględnieniem naszej obecnej pozycji.

Jej błękitne oczy zalśniły.

- Tu jest miejsce, gdzie obozujemy, i ono jest istotne na tej mapie, a nie Puszcza Ludu.

- Jak to mogło powstać?

Vanden wzruszył ramionami.

- Jakaś moc interesuje się naszymi poczynaniami.

- Czarownik, który przeniósł mnie do tego świata.

- Niekoniecznie - rzekł Vanden. - Glade i ja zaczęliśmy szukać Treet Hoown na długo przedtem, nim spotkaliśmy ciebie.

- Jednak to mnie została przekazana ta wiadomość.

- Prawda. Ma swoje niepokojące aspekty. Musimy natychmiast zdecydować, czy zaufamy tej nieznannej sile.

- Jej potęga jest oczywista - zadumała się Glade.

- Sądzę, że musimy temu zaufać; ta interwencja nie może być tylko pustym gestem.

Gdyby zaś była złośliwa, to przecież logiczniejsze byłoby zniszczyć nas, kiedy spaliśmy.

Rosła we mnie dziwna świadomość, że manipuluje się mną jak zabawką lub niewolnikiem, lecz nie miałem pojęcia do jakich granic.

- Dość nieszczerą była ta siła - powiedziałem szorstko. - Może jest tak, że odgrywamy tylko jakąś przerażającą farsę ku uciesze aroganckich czarowników.

Vanden uśmiechnął się.

- Uspokój się. Nie jesteś z naszego świata. Tutaj każdy byt naznaczony jest pewną dozą ostrożności w działaniu. Może ci, którzy prowadzą nas do Treet Hoown, nie kwapią się po prostu, by się ujawnić.

- Dowiedzenie prawdziwości tej mapy jest całkiem prostą sprawą - powiedziała Glade rozstrzygająco. - Trzeba po prostu podążać zgodnie z tym, co mówi. Kto wie, Vanden? Może Losy same chcą, żebym została władczynią Asulium.

Wróciliśmy do naszych rozścielonych futer. Wiatr pozwalał sobie na gonitwę o lepsze z naszymi szalonymi myślami przez to, co pozostało jeszcze z nocy.

część trzecia

ŚMIERĆ

Każdy niemal test użyty w badaniach Słońca, dawał wyniki różniące się od oczekiwanych. Pierwsze próby (...) przeprowadzone na poszukiwanie słonecznych neutrino, które w dużych ilościach powinny powstać w wyniku nuklearnych reakcji zachodzących w jądrze gwiazdy (...) nie potwierdziły ich istnienia nawet po latach badań, a jednym tego sensownym wyjaśnieniem zdaje się być twierdzenie, że nie są one już produkowane w Słońcu, odkąd wyszło ono z cyklu swej największej aktywności i jego jądro ostygło o około 10% (...) Jest całkiem możliwe, że w chwili obecnej Słońce funkcjonuje nie dzięki nuklearnemu spalaniu (...) Zostało to potwierdzone przez frapujące odkrycie (...) Wygląda na to, że Słońce kurczy się powoli. Dokładnie tego spodziewalibyśmy się po gwieździe, gdyby ustało spalanie nuklearne, wówczas gwiazda zaczyna

zapadać się pod wpływem grawitacji, utrzymuje w ten sposób swoją jasność, jako że ten proces również wytwarza energię (...) w przeciwieństwie do sytuacji z końca paleozoiku (225 milionów lat temu) (...) Sama zaś zmiana czynników panujących na Ziemi nie może być w tak prosty sposób uznana odpowiedzialną za największą z zagład, kiedy to pod koniec epoki kredy tak wiele gatunków dinozaurów po prostu zniknęło (...) Coś bardzo dramatycznego wydarzyło się nieco ponad 65 milionów lat temu, coś co przyniosło koniec panowaniu dinozaurów (...) Temu właśnie zawdzięczamy nasze własne początki, związane z zagładą (...) Cokolwiek to było, cokolwiek się zdarzyło, nie dającym szans obrony sposobem zaatakowało stworzenia na powierzchni ziemi, szczególnie te wielkie, znacznie mniejszy wpływ wywierając na wszystko, co żyje pod wodą - jednoznaczna oznaka, że katastrofa spadła na Ziemię z zewnątrz, z kosmosu.

John Gribbin

Podróż zajęła dwadzieścia siedem dni.

Aż po horyzont rozciągały się wokół łąki: falująca nieskończoność miedzi zabarwiona pierwszym brzaskiem, żółtozielona w świetle gwiazdek, pomarańczowo-rdzawa pod ponurym okiem umierającego Słońca i raz jeszcze miedzianozłota, gdy ostatnie gwiazdki zaszły w swym przepychu różu i szarości.

Nawet dla kogoś przyzwyczajonego do niezmiennej powtarzalności zdarzeń w trakcie sezonowego wypasu bydła, z każdą porą roku i każdym rokiem podobnymi do poprzednich, uroda tego cyklu ustąpiła wkrótce jego monotonii; monotonii trawiastego stepu, po którym następował inny trawiasty step, monotonii, która osaczała nasze dusze i ścisnęła je jak żelazna dłoń - i w końcu, poprzez mistyczny powrót na wyższy stopień abstrakcji (jak powiedziałby spokojny i uparty Darkbloom), jej subtelności znowu ujawniały się, zauważane jako piękne, pogodne, niepowtarzalne.

A miała ta preria swoje trudno dostrzegalne wspaniałości. W niespodziewanych miejscach objawiały się plamy purpury i złota (Glade nazwała te kwiaty „słoneczny smutek”), błękitu i fioletu („spokój serca”, powiedział Vanden, sięgając, by zerwać dla ozdoby swego kapelusza kwiat o długiej łodydze).

Przypominały mi, pomimo licznych różnic, tulipany, dzikie ciemne peonie i purpurowe jak zmierzch hiacynty; przypominały tak, aż serce zabolowało dotkliwie z tęsknoty za domem.

Pod zbitą glebą ryły swe nory świstaki i ich tunele wymusiły na naszych wierzchowcach ostrożne stawianie kopyt. Sześcionożne gryzonie zmykały z naszej drogi, a inne stworzenia, trochę podobne do antylop, pasły się w niewysokiej trawie i uciekały na nasz widok.

Nawet sama trawa była na wpół podobna do swojskich, wszędzie znajdujących dla siebie miejsce, pierzastych zbóż i ostrych kęp zieleni rozkwitających w nieustającym wietrze i kołyszących się jak powierzchnia rozległego jeziora na tych obszarach równiny, gdzie deszcz zwilżył glebę. Brnąc jednak przez tereny zaznaczone na mapie wyrytej w metalu Alamogordo, zauważyliśmy, że deszcz staje się coraz większą rzadkością. Długie pasma pagórków stawały się niepostrzeżenie coraz bardziej strome. Zza horyzontu rzucały swój cień na karłowatą trawę niewidoczne góry. Wiatr gnał teraz przez noc chłodne powietrze tak bardzo pozbawione wilgoci, że jego powiew palił oczy i wysuszał wargi.

Nawet rozproszone drzewa, które przywarły na krawędzi krainy przetrwania, zniknęły. Naskalne zarośla czyniły atmosferę gorzką od swego oddechu; upiorne gąszcze zagroziły nam drogę. Posuwaliśmy się dalej, nie zauważając żadnego śladu ludzkiej obecności poza rzadkimi bliźniami pozostałymi po zniszczonych domach, resztkami zrujnowanymi tysiąc lat wcześniej, żalonymi, niegościnnymi, porzuconymi. W kraju tym rzeki były rzadkie, strumienie jeszcze rzadsze. Koniecznością stało się odszukanie cysterny lub starych studni zasilanych z wodonośnych głębinowych pokładów. Były. Czasem miały wygląd naturalnych oaz: pęki bogatej zieleni wznoszące się zza wąskiej, ziemnej osłony.

Innym zaś razem musieliśmy przeszukiwać ruiny, które normalnie woleliśmy omijać ze względu na ich makabryczny stan i przedzierać się mozolnie przez rozwalone mury i niszczące rury. To ostatnie źródło pitnej wody pozostawiało wiele do życzenia. W moim własnym świecie zostałyby ono uznane za nieodpowiednie i zapewne śmiertelne.

Handlarze mieli zespół pomysłowych filtrów, które oczyszczały najbardziej nawet zabrudzoną wodę, zbierając rdzawe paskudztwo upodabniające ją do ścieków i dając kryształowy płyn słodszy niż wszystko, czego dotąd kosztowałem.

- Związki mineralne - wyjaśniła Glade. - Odkazując to odrażające paskudztwo, filtr dokonuje selekcji i pozostawia pewne śladowe ilości elementów, których ludzkie ciało tak potrzebuje, lecz nie znajdzie ich w wodzie deszczowej.

- A zatem magia triumfuje nad naturą!

- To nie tak. Natura stworzyła nas tak, że musimy mieć owe związki, by funkcjonować. Stworzyła nas również z rozumem, by zwiększyć naszą zdolność przeżycia przez rozsądne wykorzystywanie naszej wiedzy o naturze. Tak więc koło się zamyka, Xarafie, i natura triumfuje nad umiejętnościami, które ty wolisz nazywać „magią”.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, obserwując amforę napelniającą się z wolną wodą spływającą z pluskiem z urządzenia filtrującego.

Nasze rumaki skubały trawę i medytowały obok rozpadającej się studni opuszczonego dworu, w którym znaleźliśmy źródło.

Vandena nie było z nami. Jego zadanie polegało na rozbiciu namiotu o kilka mil stąd i oprawieniu wielkiego, żyłastego trawożercy, którego Glade schwytała w pułapkę i zabiła dla nas wcześniej tego dnia.

Dość widocznie nacierałem zapewne wielki mięsień prawego ramienia, gdyż Glade zmarszczyła nagle brwi i zaniepokojona przykucnęła obok mnie.

- Jak twoje rany, Xarafie?

- Nieźle - spojrzałem na nią i mój puls trochę przyspieszył. W moim własnym świecie mógłbym z łatwością umrzeć lub zostać straszliwie okaleczonym, odniósłszy takie obrażenia.

Może lekarstwa, które znał Darkbloom, mogłyby mnie ocalić, tak jak uczyniły to specyfiki Glade, lecz jego środki nie były częścią dziedzictwa wiedzy mego ludu.

Oczy Glade były błękitne, jak już wspomniałem, błękitne i szczere, teraz jednak pojawiła się w nich jakaś mgła. Dotknęła zręcznymi palcami mego ramienia.

- To jest forma masażu - powiedziała - sztuka uzdrawiania... - i całowaliśmy się, nasze ręce stykały się lekko, przesuwając z twarzy ku włosom, do talii, do szyi, podczas gdy nasze wilgotne usta odnajdywały oczy, kosztując językiem brodawek i pępka; nasza odzież została rozrzucona wokół, a

one szukały nadal miękkiego ciała pod kolanem i łagodnych a pikantnych miejsc, przez które mężczyzna i kobieta się zespalają.

Glade wyrwała się.

- Mam materac w jukach. Poczekaj.

- Tutaj - powiedziałem rozplomieniony. - Teraz.

- Xarafie, najdroższy, jest mi niewygodnie... och, och... cudowny chłopcze... bardzo dobrze - i wszedłem w nią, tam, między połamanymi skorupami ze śladami tysiąca lat.

Kiedy doznaliśmy spełnienia, opadliśmy, bezwstydnie odkryci pod rozległym, otwartym niebem, a ja znalazłem nowe zadraśnięcie w górnej i dolnej części moich pleców i klatki piersiowej, niektóre od szorstkiej trawy, na której leżeliśmy, a niektóre od paznokci Glade. Wskazałem na nie:

- Masaż... - powiedziałem refleksyjnie - ...sztuka uzdrawiania.

Złapała mnie za włosy i potrząsnęła głową, aż w oczach mi się zmąciło.

Z amfory pod filtrem przelewało się. Zbieraliśmy klarowną wodę w nasze stulone dłonie i obryzgiwaliśmy się nią wzajemnie, śmiejąc się z jej chłodu, i pomyślałem, że jest to pierwsza chwila prawdziwego szczęścia, jakiego zaznaję od czasu mego upadku z dawnego świata.

- Co z Vandenem? - spytałem ubierając się.

- Jesteśmy starymi towarzyszami - rzekła Glade.

- Poznaliśmy, oczywiście, razem fizyczną radość, lecz mężczyźni z Asulium nie przywiązują wielkiego znaczenia do uczuć, jeśli chodzi o kochanie się.

- Nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Nie jest jego sprawą mieć cokolwiek przeciwko czemukolwiek, co ja chcę zrobić -

rzekła Glade, dość dosadnie. - Ani też twoją.

Podszedłem blisko i otoczyłem ramionami jej silne barki. Dotknąłem jej policzka.

- Myślę, że byłbym zazdrosny, gdybyś kochała się z Vandenem, skoro teraz kochałaś się ze mną.

Glade jakby chciała coś powiedzieć, lecz milczała, przyciągając tylko moją twarz ku swojej i całując słodko moje usta.

*

Szesnaście dni minęło, a my znaleźliśmy się na zupełnie jałowej pustyni. W

porównaniu z upalnymi pustkowiami na północy Kravaardu, to miejsce miało klimat umiarkowany. Cztery gwiazdki zdawały się dostarczać więcej światła niż ciepła, a gasnące Słońce rozgrzewało tyle, co żarzący się węgiel. Jakby dla rekompensaty tego dobrodziejstwa noce były okrutnie zimne. Tylko noszone przez handlarzy urządzenie ogrzewcze chroniło nas od zamarznięcia w futrach.

Zwierzyna stawała się coraz rzadsza i coraz bardziej płochliwa. Nasze zapasy były na wyczerpaniu. Jednego popołudnia po godzinach bezowocnego polowania, Vanden i ja wróciliśmy do namiotu z pustymi rękami, pokryci kurzem, który kłębił się w nieustających wirach gnających przez umierającą równinę.

Glade była przygnębiona.

- Miałam nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas uda nam się uchronić zapasy - ku memu zdziwieniu, dotknęła regulatorów pustego piecyka, umieściła w nim równie pustą miskę i uruchomiła urządzenie. Wyglądało na coś w rodzaju zabobonnej magii, którą Darkbloom nauczył mnie lekceważyć, gdy pojawiała się wśród moich ziomeków. Pohamowałem jednak wybuch. W parę sekund później moje zdziwienie urosło po trzykroć. Namiot wypełnił się nader konkretnym zapachem. Z trudnej do objęcia rozumem maszyny piecyka wyłoniła się parująca miska gulaszu.

- Nasze baterie tracą od tego energię w niepokojącym tempie - rzekła Glade. Spojrzała w górę na Vandena, który stał, cały szczęśliwy, i zacierał ręce. - Jak nasze wierzchowce?

Mam dla nich stworzyć ze dwie torby obroku?

- Myślę, że nie - powiedział stanowczo, jak gdyby magiczne sztuczki z żywnością nie wymagały żadnego komentarza. - Trawa w tych stronach płacze się w rzadkich kępach, lecz powinno im to starczyć jeszcze na kilka dni. Bardziej niepokoi mnie sprawa wody - usiadł ze skrzyżowanymi nogami i zaczął łapczywie zgarniać na talerz gorący gulasz z kawałkami mięsa. Chrząknąłem znacząco.

Glade spojrzała na mnie.

- Przepraszam, może wolałbyś najpierw się umyć? Wyglądałeś na tak głodnego...

Gapiłem się na nią w milczeniu.

- Dalej, poczęstuj się. To bardzo smaczne. Ta matryca jest ulubioną w naszej rodzinie.

Wydałem zduszony okrzyk.

- Ty to wyczarowałaś? Zrobiłaś to ze świeżego powietrza!

Vanden parsknął, ledwo zaczął jeść.

- Ludzie z twego świata byli zapewne gotowi uczynić wszystko, byle tylko nie uznać za nader realne najprostszycy maszyn - czy w jego głosie pojawił się rzeczywiście ostry ton, złośliwość zdradzonego cywilizowanego mężczyzny zbyt przyzwoitego, by powiedzieć o tym wprost, czy też była to tylko moja wyobraźnia?

- Powietrze, zgadza się; dokładnie z niego to zrobiłam - powiedziała Glade. Nabrała solidną porcję na swój talerz. - Wymagało to, oczywiście, ogromnych ilości energii, takie przeobrażenie. Nasze baterie szybko się wykończą, jeśli będziemy musieli zbyt często sięgać po ten sposób.

Nie była to odpowiedź, która by mi wyjaśniła, co takiego zostało właściwie tu uczynione.

Nawet przerażający tyrani z Czarnego Czasu nie wstawili się nigdy umiejętnością tworzenia materii z energii, a jedynie, niestety, na odwrót. Ponadto, prawdę mówiąc, nie dostrzegłem tu żadnych obrzędów magicznych. By osiągnąć aż taki cud, czarownicy z bajek potrzebowali przynajmniej skrawka kości, pióra, suszonej nitki z włókien roślinnych, tak by zdobyć dość mocy na dokazanie czaru.

Prozaiczność czarów Glade stała w jawnej sprzeczności z moim rozsądkiem i wrażeniem tajemniczości, które wiąże się z magią. Nie było nic, co mógłbym im powiedzieć na jakikolwiek temat, pozostało wziąć się do jedzenia, co uczyniłem skwapliwie, zanurzając palce w misie.

*

Nagi i podniecony, wyczołgałem się z mego gniazda w rozścielonych futrach i skierowałem się ku Glade.

- Nie teraz - powiedziała sennie.

- Jesteś piękna - wyszeptałem jej do ucha, gładząc jej rozrzucone swobodnie włosy. -

Płonę przez ciebie, to pieśń o tobie, którą każdego dnia słyszę w uszach, piersi twoje nawiedzają moje sny, ręce moje opowiadają mi o twoim brzuchu, o pośladkach twoich; otwórz się dla mnie, Glade, kochaj mnie, o najpiękniejsza - i wpakowałem się w jej futra, przyciskając do jej ciała.

- Nie - rzuciła otwarcie.

- Glade, Glade - jękałem się.

- Idź do siebie.

- Powiedz mi, że mnie nie chcesz, śliczna Glade - zarzuciłem jej.

Usiadła w nikłym, nocnym świetle namiotu.

Vanden zachrapał lekko ze swego kąta i odwrócił twarz.

Te same rzeczy mówiłem Lleehn, mojej kuzynce, śpiewałem i szeptałem jej tuzinowi dziewcząt z mego plemienia i dziesiątkom kobiet z burdeli i jarmarków w Berb-Kisheh, i kobiety rozkwitały dla mnie, rozkoszowały się pochlebstwami i poezją tego, co im opowiadałem, miękły, chichotały, i otwierały się tak, jak kwiaty.

Ja, głupi chłopak, jakim byłem, nie miałem zamiaru obrazić Glade, oferując jej to samo, co tamte

wzięły za dobrą monetę. Od razu poznała się na prostych sztuczkach i poczuła się dotknięta moim brakiem ogłady.

Poza tym, chociaż o tym na razie nie wspomniała, było widać, że jest śmiertelnie zmęczona wędrówką przez te coraz bardziej nieprzyjazne krainy i urażona swoją nieczułością na samopoczucie Vandena.

- On śpi powiedziałem nadąsany. Mój zapał osłabł już mocno od tej chwili, lecz upierałem się przy swoim kierowany typowo dzieciinną obrazą.

- Tak, jak ja teraz, Xarafie powiedziała moja przyjaciółka, bez złości, która popsułaby efekt wielkodusznie udzielonej nagany. - I jak ty, mój drogi, powinienes. Pocałowała mnie szybko w czubek nosa, w usta, zawinęła się w futra i nie odezwała więcej.

Przezołgałem się z powrotem do moich futer, zakłopotany, lecz ogromnie szczęśliwy, i usnąłem.

*

Wieczorem dnia dwudziestego dotarliśmy do skraju tych beznadziejnych ziem.

Kraina, która pozostała za nami, była rzeczywiście wymarła. Pokrywały ją jedynie ciemnobrązowe mchy i porosty tak suche, że pod kopytami naszych wierzchowców tylko trzeszczało i nieustannie wzbijały się spod nich tumany kurzu.

Przed nami ziemia porozrywana była wyszczerbionymi urwiskami, tworząc dzikie, dotknięte erozją pejzaże z jakiegoś nocnego koszmaru.

Wiatr świstał i gwizdał przez połamane zęby w szczękach ziemi. Zgarbiliśmy przed nim ramiona i jechaliśmy dalej.

Rogate konie potykały się wśród stromych skał na spękanych przełęczach. Białe i purpurowe blaski odbijały się od twardych, jasnych skalnych ścian. Światło nas oślepiało.

Zmusiliśmy niechętnie zwierzęta, by szły dalej.

Bez tego urządzenia, które pobierało powietrze i energię, i przerabiało je w skromne porcje żywności i wody dla jednych i drugich, wyprawa skończyłaby się już z tuzin razy. Nie wątpię, że umarlibyśmy wtedy wśród pustyni, przez nikogo nie zauważeni, zapomniani.

Nie było więcej mowy o rozkoszach miłości.

*

Później, dwudziestego trzeciego dnia wyprawy, rozbiliśmy nasz namiot pośród ruin -

kruche, oświetlone jajo rysowane przez grasujące teraz nieustannie wiatry; jedliśmy i piliśmy, myśliśmy się pobieżnie, wypróżnialiśmy się i wczolgiwaliśmy się w sen i nocne koszmary.

*

Piekło bucha płomieniami, które ogarniają belki mostu. Żaden strumień nie zwilża suchego wąwozu pod filarami. Patrząc śmiało w oczy mego wroga, przebijając się przez dym i płomień, a jego twarz jest przerażająca, chociaż wyraźnie widzę jedynie oczy.

Jego oczy są gwiazdami. Jego oczy są słońcami.

Jego oczy są kamieniami, które świecą.

Wrzeszczę przerażony i podnoszę miecz. To bojowy miecz z najlepszej stali. Jego dotknięcie pali moją rękę, odrzucam go od siebie. Spada, obracając się w powietrzu, wpadając w głębię zagubionej rzeki.

- Daj mi to, czego pożądam - mówi mój wróg.

- Nie.

Jego głos jest słodki, a moim najbardziej umiłowanym życzeniem jest widzieć go martwego.

- Kim jesteś? - pytam z drzeniem.

- O, znasz moje imię. Myślę, że on ci powiedział.

- Nigdy tego nie zrobił.

- Nazywaj mnie Gilgamesz.

To imię zagrzmiało we mnie i odbiło się echem.

- A ja?

- Enkidu - rzekł mi, śmiejąc się okrutnie. - Eabani. Spójrz na swą włochatą, ciemną skórę, brzydalu. Spójrz na swoje kudły, włosy kobiety.

- Tak - mówię, a ja także mogę być okrutny. - Teraz cię poznaję. Jesteś głupcem, który zdobył to, czego szukał, i potem to zgubił...

- Cicho bądź! - jego złota twarz zarumieniła się złością. Stoi przede mną wysoki i piękny, i postępuje o krok, a ja wiem, że ma on zamiar mnie zabić, by zabrać to, co zdobyłem.

- Tak - mówię szydząc. Jej kolce pokłuły cię, gdy opadłeś na dno oceanu i wyrwałeś ją z ukrycia, lecz trzymałeś ją w rękach, wypłynąłeś i umieściłeś ją w swojej łodzi, i wciągnąłeś się sam do niej, do jej bezpiecznego wnętrza, i leżałeś tam, łapiąc ciężko powietrze, z nieśmiertelnością obok siebie w łodzi Urshanabiego, a następnie straciłeś to...

- Zabiję cię i będę miał to znowu! - i postępuje jeszcze jeden krok, podczas gdy ja drzę ze strachu i

mówię pomimo to, nie znając innego sposobu przekonania go, niż wspominając szkodę, którą wyrządziła mu jego własna pycha.

- Krokodyl to porwał - krzyczę. - Wąż ci to zabrał!

- Twoje życie jest już stracone - mówi do mnie, chorągwie dymu spowijają jego twarz, jego oczy błyszczą i migocą, i postępuje w moim kierunku jak bóg zagłady.

Trzymam ręce w górze na sposób, który pokazał mi Darkbloom, upodabniając je do czułek owada. W spokoju, nieważki, sięgam do jego środka. Badam, dotykam, lekko, lekko, jak dotknięcie płynącej chmury. Jego ręka chwyta mój nadgarstek. Krzyczę w płomieniach, obracam się na osi bólu, tygrys wspina się na zadnie łapy, uderza weń z całą jego własną, straszliwą siłą.

Widzę jego twarz, twarz mego wroga. Jest to twarz Darkblooma. Jest to twarz mego brata. To moja twarz.

*

Dwudziesty piąty dzień zastał nas brudnych, cuchnących, nie rozmawiających z sobą i odległych już od pustkowi. Na horyzoncie wznosiły się góry. Między nami a podnóżem tych kolosalnych obwałowań błyszczał złoty gmach samotnej cytadeli.

- A zatem twoja mapa nas nie oszukała - zgryźliwość, która w ostatnich dniach pojawiała się na miejscu zwykłej łagodności w tonie Glade, zniknęła, lecz usłyszałem cień lęku. - Legenda mówi, że właśnie taka wieża oznacza rubież Treet Hoown.

- Wygląda to raczej na całkiem przyjemny pałac - rzekł Vanden. - Nie przypomina mi fortecy.

- No i jej położenie - dodałem. - Jest osobliwie pozbawiona maskowania, nieosłonięta.

- Zapominasz, że Mistrz Wojen z Treet Hoown był ostatnim wielkim wojownikiem tego świata - Glade otarła twarz, zostawiając smugę rozmazanego pyłu zniekształcającego jej brew. - Jego arsenał obronny zawierał przerażające promienie czystego ognia, żrące pociski, fale dźwięku tak potężne, że wróg mógł od nich rozsypać się w pył i to na dziesięć długości strzału z łuku.

Przemyślałem sobie ten nader fantazyjny katalog zagrożeń, i nic nie powiedziałem.

Cuda, które dotąd widziałem, stępiły ostrze mego cynizmu.

Zmęczeni do granic wytrzymałości, pogalopowaliśmy w kierunku złotej cytadeli. Bez względu na to, jakie mogła kryć niebezpieczeństwa, każde z nas pragnęło końca tej przerażającej wędrówki.

Na kraju świata, niepokonane i samotne góry majaczyły jak wielkie, sine chmury burzowe. Połączone światło Słońca i gwiazdek odbijało się od śniegu na najwyższych szczytach. Purpurowe i szarozielone plamy wskazywały rzadkie, skupione grupy drzew, które rosły lasem nawet na tamtych jałowych pochyłościach.

Samego Treet Hoown nie było widać.

*

W zasięgu wzroku ze złotej fortecy ściągnęliśmy cugle naszych rumaków i posuwaliśmy się teraz z pełną lęku ostrożnością. Ziemia była tu pokryta bliznami i dołkami, prawie jak pustynia, jak martwe tereny za naszymi plecami. Roślinność, gdy się pokazała, była przygnębiająca - czarny mech, rzadkie kępy cuchnących zarośli. Całą okolicę zaśmiecały otoczaki, stare, popękane, zwalone na bezładne stosy, jakby przez dawną katastrofę. W

długim cieniu cytadeli nie było nawet mchu. Surowe kamienne ostrogi sterczały na brzegach szklistych, zastygłych strumyczków; skała, kiedyś płynna, teraz stwardniała.

Rogate konie szły ostrożnie; jakiś subtelny koński zmysł wiódł je bezpiecznie przez ten zdradliwy grunt.

Glade podniosła rękę w geście rozkazu. Pod maską kurzu jej rysy były wymizerowane i pełne obawy.

- Tak na zdrowy rozum, to podeszliśmy już dość blisko do tej cytadeli. Nie posuwajmy się dalej, zanim nie dowiemy się, czy jej urządzenia obronne nie są przypadkiem nie tyle zlikwidowane, co chwilowo uśpione.

Vanden wzruszył ramionami.

- Czy to niezbędne? Miejsce wygląda tak uroczo, jakby było dawno opuszczone.

- Jeśli to wrażenie się potwierdzi, pojedziemy dalej. Xarafie, bądź uprzejmy mi pomóc.

Poszukiwaczka zsiadła z wierzchowca. Podeszła do jednego z juczych zwierząt; zdjęliśmy jego ładunek. Zwierzak poddawszy się biernie operacjom, czekał cierpliwie na torbę z obrokiem, która zwykle towarzyszyła takiej działalności. Ku jego wielkiemu zdziwieniu, Glade poprowadziła je kilka kroków w kierunku cytadeli. Stała tam, oglądając się na nas.

Z głośnym okrzykiem Glade uderzyła je mocno w zad. Rogata bestia wydała oburzone rzenie i pogalopowała.

Najbliższa ściana zawisała tuż nad nim. Zwolniło do kłusu, rzuciwszy za siebie urażone spojrzenie. Ze strony cytadeli nie było żadnej odpowiedzi.

Nietknięte, w oczywisty sposób straciwszy rozeznanie co do tego, czego od niego właściwie oczekują, zwierzę ganiało w tę i we w tę u stóp ściany. Cytadela go nie napastowała. Skierowało do nas pełne wyrzutu beczenie. Wybuchnęliśmy śmiechem i napięcie opuściło nas, mięśnie rozluźniły się. Glade stuliła wargi w przyzywającym gwizdnięciu. Uspokojony juczy wierzchowiec przygalopował z powrotem i został zaraz nagrodzony cukierkiem.

- Nie przesadzajmy z ufnością - ostrzegła Glade. - Nie upewniliśmy się jeszcze, czy człowiek też może zbliżyć się bez szwanku.

Nie mówiąc ni słowa więcej, wbiła pięty w boki swego rumaka i pomknęła ku fortecy.

- Glade! - krzyknąłem i już chciałem podążyć za nią; Vanden, bardziej oswojony z impulsywnym charakterem swej towarzyszki, był szybszy ode mnie; splątał moje cugle ze swoimi.

- Czekaaj, Xarafie. Ona ma rację. To żaden zysk, ryzykować życiem wszystkich.

Wrzał we mnie bunt; Vanden rozluźnił chwyt moich cugli, położył rękę na moim prawym przedramieniu.

- To jej poszukiwanie.

- No dobrze.

Obserwowaliśmy ją pełni niepokoju. Nie wydarzyło się nic niepomyślnego. Po paru minutach przyjechała z powrotem cała i zdrowa.

- Mieszkańcy tego, jeśli istnieją jacyś, są wrażliwi aż do lekkomyślności. Chodźcie, poszukamy wejścia.

Ponadżerane, lecz nie pokonane przez czas bazaltowe mury zaokrągliły się w niezdobyty bastion. Objechaliśmy budowlę wkoło, spoglądając w górę na gładź jej murów.

Był to największy budynek, jaki kiedykolwiek widziałem.

Główne wejście, gdy znaleźliśmy je wreszcie z tyłu, od strony odległych gór, mocno nas rozczarowało.

Dwa wielkie, pokryte wgłębieniami skrzydła bramy stały otworem, wpuszczając hulający wiatr.

- Łatwo teraz zrozumieć, czemu obrońcy na nas nie zareagowali - powiedział Vanden.

Przejechaliśmy przez bramę. Skrzydła tkwiły wepchnięte na bruk pustego dziedzińca, na którym piętrzyły się wydmy pyłu. Trochę światła wpadało z ukosa w mroczne wnętrze przez otwór u góry. Po drugiej stronie tego purpurowego pasma cienie wydawały się być dwa razy mroczniejsze, niemniej były równie puste.

Nie docierało do nas nic, prócz odgłosów kopyt naszych własnych rumaków, gdy jechaliśmy w otwarte usta cytadeli. Dziedziniec tworzyła właściwie cała najniższa kondygnacja. Ponad nami zawieszony był płaski, metalowy sufit, przebity w kilku miejscach grubymi, kamiennymi filarami, które od poziomu ziemi ciągnęły się gdzieś w górę.

Najbardziej imponujący z nich wyrastał z ogrodzonego środka pomieszczenia. Miał portal, a pod nim otwierało się przejście. Zajrzeliśmy w ciemność.

- Od setek lat nie było tu żadnego żyjącego stworzenia - powiedział Vanden. Wskazał

na kurz dziedzińca, gruby i zbity, naruszony jedynie przez kopyta naszych wierzchowców.

- Chodźcie, odjedźmy stąd. To miejsce mnie przygnębia.

- I mnie nie napełnia to podnieceniem - rzekła sucho Glade. - Myślę jednak, że powinniśmy zbadać wyżej położone sale.

Pojechałem wolno w kierunku centralnego filaru, zszedłem z siodła i wsunąłem głowę w mrok.

- To jest szyb. Nie widzę ani schodów, ani drabiny.

Handlarze dołączyli do mnie, niosąc świecące kryształy.

- Nonsens - rzekł Vanden, mrużąc coś pod nosem. - Ściany tego szybu wydają się być gładkie jak szkło. Małe szanse widzę, by wspiąć się na górę, nawet za pomocą sznurów.

Glade przechadzała się tam i z powrotem przed portalem, strzelając palcami.

- Drabina - zadumała się. - Okolice są jałowe, to prawda, lecz z pewnością uda się zgromadzić nieco kawałków drewna.

To było pobożne życzenie. Powiedziałem, jak bardzo pobożne.

- W każdym razie, po co przysparzać sobie zbędnych trudności? Myślałem, że to miasto jest naszym celem, a nie to coś tutaj.

- I tak też jest. Jednakże bliższe poznanie cytadeli może dać nam szansę na oparcie się przebiegłej działalności mieszkańców Treet Hoown, gdy przyjdzie pora.

Wzruszyłem ramionami, znudzony tym miejscem, doszukując się, prawdę mówiąc, jedynie niewielkiego sensu w słowach i czynach Glade, i wkroczyłem do wnętrza szybu, by wyrobić sobie o nim jakieś zdanie.

Wokół mnie zapłonęło błękitne światło. Z trzaskiem opadła krata, oddzielając mnie od przestraszonych handlarzy. Kolana ugięły się pode mną, a żołądek spróbował, czy jest w stanie się przenieść, gdy obok mojej twarzy ściany szybu odpłynęły w dół.

Inna krata pojawiła się w zasięgu wzroku. Zatrzymała się gładko, cicho, na poziomie podłogi. Wnętrza ogłosiły bunt, wydawało się, że chcą wyfrunąć przez moje rozwrzeszczane usta.

Gładko jak naoliwiony miecz chowający się w pochwie, bariera odpłynęła w górę, znikając w świecącym tworzywie ściany, ani metalowej, ani kamiennej. Poza otwarciem rozciągała się obszerna, błękitno rozjaśniona sala. Przełykając smak żółci, z Alamogordo w rękę, wyszedłem z szybu.

Pokój był ogromny. Unosił się w nim smród korodującego metalu.

W rzeczywistości nie widziałem nawet połowy tego, co rejestrowały moje oczy. Nie potrafiłem zrozumieć tego, na co patrzyłem, a zatem byłem ślepy. Ogromne okna prezentowały obraz okolicznego pustkowia. Lecz to nie były okna - te rozległe krajobrazy były oddane z głębią na błyszczących prostokątach polerowanego kwarcu. Ożywiane drobnymi gwiazdkami instrumenty przykucnęły pod wszystkimi ścianami. Nie widziałem nigdy czegoś takiego, jak one, wyraźne i olbrzymie, pozłobione przez czas, podczas gdy mechanizmy handlarzy były gładkie, funkcjonalne, czyste i eleganckie. Te tutaj przerażające przedmioty wyglądały jak dzieło barbarzyńców, kojarzonych z legendami i pozostałościami z Czarnego Czasu.

W górze majaczył łuk złotej kopuły.

Nic z tego nie było jednak ważne w porównaniu z tym, co ujrzałem na wprost siebie.

Podniosłem miecz, zasłaniając się odruchowo. Jak daremny był ten nieunikniony odruch.

Gigantyczna figura siedzącego mężczyzny widniejąca pośrodku sklepionej sali nie odpowiedziała. Cała była ze stoczonego korozią metalu.

Była w gorszym stanie, niż instrumenty, jej stal straciła swój kolor, upstrzona była ranami czerwonej rdzy i plamami, które mogły być potem żelaznego bóstwa, nadjadły ją te mole, które żerują na kościach upadłych miast z Czarnego Czasu.

Obserwowałem ją, wstrzymawszy oddech, a ona siedziała bez ruchu na swym wielkim tronie, rubinowe oczy płonęły fioletowym blaskiem, nie mrużąc się ani na chwilę, metalowe ramiona spoczywały po bokach, metalowe palce, długie i grube jak moje przedramiona, unosiły się nad pokrytymi zdobieniami dźwigniami. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że olbrzym jest żywy. Poczułem napływającą od owej istoty oczywistą aurę charakterystyczną dla skutej łańcuchami potęgi o nieugiętej woli. Nieruchome, rubinowe oczy gapiły się na mnie z przerażającą inteligencją, metalowe dłonie oczekiwały jakiejś tajemniczej komendy, która by je mogła uwolnić i pozwoliła im schwytać, rozedrzeć, poszarpać ten ludzki drobiazg, który ośmielił się sprofanować to sanktuarium..

Półsłyszalny szept sprawił, że obróciłem się, lecz za późno.

Krata zamknęła się. Skoczyłem w jej kierunku, przycisnąłem twarz do jej sztab.

Ciemność zamigotała w pustym szybie.

Ruchoma podłoga zniknęła.

Byłem w potrzasku, w który wprowadziła mnie moja własna głupota; samotny w błękitnym nocnym koszmarze, sam na sam z metalowym olbrzymem. Moje oczy rzucały spojrzenia tu i tam. Przerażony, dopadłem najbliższego mechanizmu. Położyłem przy nim rękę. Było to pękate pudło oplecione spiralami z brązu, stare i chore na choroby bardzo starych metali, lecz podobnie jak olbrzym, zachowało swoją moc. Powietrze drżało w głębokiej, nieuchwytnej dla ucha wibracji. Nie ośmieliłem się manipulować przy tym przedmiocie. Przyciśnięta do kamiennej ściany, migocząca - była to rzecz jasna machina, która zagnała mnie do tej pułapki.

Rozglądałem się wokoło, pokryty potem.

Żadna z machin nie wyglądała na znajomą. Ciężki miecz w mojej ręce wydał mi się nagle tak podnoszący na duchu, jak krucha gałązka. Pomyślałem o starym Darkbloomie. Jak on by się cieszył z odkrycia takiej meliny czarów!

Stałem teraz bliżej tronu nieruchomego olbrzyma, lecz przezornie w niejkiej od niego odległości. Ogromna prawa ręka zawisała nad dźwigniami; masywny ten ciężar zastygł mniej więcej na wysokości mojej głowy. Błądziłem spojrzeniem wzdłuż tytanicznego wybrzuszenia na ramieniu istoty od łokcia do prążkowanego i przeżartego rdzą barku, w górę, tam gdzie kolosalna głowa skierowana była twarzą ku zamkniętemu portalowi...

Nie. Nie teraz. W tej chwili gapiała się przez ramię, wpatrując się w moje oczy.

Zrobiło mi się zimno od lodowatego potu, który na mnie wystąpił, w mgnieniu oka pokrywając mnie od stóp do głów, śmiertelnie bladego i zmrożonego od wewnątrz, z mięśniami skurczonymi w szoku. Metalowy potwór wodził głową w ślad za mną. Na jego nieruchomym, ogromnym obliczu nie malował się żaden wyraz, lecz dawała się odczuć jakaś wisząca w powietrzu atmosfera wrogości straszniejsza, niż wyrażona grymasem złości czy atakiem furii.

W tym momencie byłem tak bezradny, jak schwytana w pułapkę mysz wpatrzona w hipnotyzujące oczy węża.

Jak sparalizowany wpatrywałem się w rubinowe oczy.

Odwrócenie wzroku wymagało całych zasobów woli. Szczęki bolały. Szyja strzykała.

Odwrociłem głowę i wykrzyknąłem głosem tak słabym i drżącym jak u dziecka:

- Kim jesteś?

Szczególnie głośno, po ciszy cytadeli, dało się słyszeć zgrzytanie metalu o metal, chrapliwy ryk jak gwałtowność lawiny skalnej uczącej się artykułowanej mowy. Nic nie udało się jednak z tego zrozumieć.

- Jeśli posiadasz dar mowy - krzyknąłem zdobywając umiarkowaną kontrolę nad moim własnym gardłem - to odpowiedz mi.

Błękitne światło komnaty zaćmiło się, zafalowało, i raz jeszcze ustabilizowało.

- Mimo całej twej wielkości - wrzasnąłem. - Sądzę, że jesteś bezsilny - tak właśnie myślałem, bo przecież, gdyby tak nie było, onże potwór już dawno zmiażdżyłby mnie jak mrówkę. - Nie usiłuj mnie zastraszyć!

Nieruchoma, drwiąca istota uniosła głowę ku złotej kopule i zaniósła się cynicznym śmiechem.

- Gdybym był wolny, zuchwały śmiertelniku - wrzasnęła płaskim, bezdźwięcznym głosem - nie pożyłbyś dość długo, by pożałować swej zuchwałości.

Było zatem tak, jak podejrzewałem. Jakieś niewidoczne więzy ograniczały olbrzymia.

Łomot mego puls-u ucichł. Poczułem, że lód w moich wnętrznościach stajał i nogi zadrżały mi w spóźnionej reakcji, lecz samo przerażenie minęło. Powiedziałem zatem chłodno:

- Pytałem o twoje imię.

Rozdrażniony, zgrzytliwy głos wydobył się z gardła potwora:

- Śmierć była z dawna moim imieniem, pigmeju. Wówczas w prawej ręce dzierżyłem Płomień, a Strach w lewej. Teraz siedzę w niewoli pod nieskończenie następującymi po sobie dniami i nocami, czekając, aż Słońce umrze - jego głos brzmiał echem napełniającego lękiem smutku. - Imię moje brzmi Zawsze.

Raz jeszcze badałem w trakcie tej przemowy komnatę, by wyrazić w ten sposób, jak mało mnie ta cała sprawa obchodzi.

- Zaprzeżaj tej retoryki - powiedziałem do olbrzyma. Wsunąłem Alamo gordo do pochwy i oparłem pięści na biodrach. - Opowiedz mi bez bawienia się w dwuznaczności, jaki jest cel twego istnienia i jaka jest twoja historia. Gdzie są ci, którzy cię zbudowali? Co łączy cię z cytadelą i z zagubionym miastem Treet Hoown?

- Ile to pytań stawia mi pigmej?!

Nie zrobił mi dotąd krzywdy; teraz byłem już zupełnie przekonany, że nie był w stanie mi jej uczynić.

- Domagam się odpowiedzi.

- Słuchaj zatem: byłem Kalkulatorem Wojennym tego skazanego miasta, jego bronią i mózgiem dla Mistrza Wojen tego świata. On mówił, a ja byłem mu posłuszny; on obierał cel i określał strategię i taktykę; a gdy dawał znak, ja uśmiercałem jego przeciwnika.

Zaszydziłem tak przekonująco, jak tylko potrafiłem:

- Wygląda na to, że nie wyszedłeś zbyt dobrze na tym triumfalnym generałowaniu.

Olbrzym zahuczał w odpowiedzi:

- W końcu, jak widzisz, poniosłem porażkę. Przyszli ci, którzy są bardziej możni niż sam Mistrz Wojen. Za moje usługi dla niego zostałem przesłuchany, osądzony i uwięziony na moim tronie, i siedzę tutaj, znosząc ukąszenia rdzy w poniżeniu, podczas gdy świat ten już sto setek razy obrócił się wokół tego ciemnego Słońca, i będę siedział tutaj, gdy ostatecznie skuje go mróz.

Za moimi plecami jakiś głos powiedział:

- Smutne, lecz niepojęte.

Obróciłem się na poduszczyce dużego palca prawej stopy i złapałem rękojęć Alamo gordo.

Krata odsunęła się. Dwoje handlarzy stanęło przed portalem. Vanden przeniósł spojrzenie z olbrzyma na mnie.

- Twoje nagłe zniknięcie zostawiło nas zmieszanych przed zamkniętym szybem.

Sztuczka z zakodowanym przełącznikiem mocy. Jesteśmy tu jednak nareszcie. Zdaje się, że całkiem

dobrze panujesz nad nie najłatwiejszą sytuacją.

Nie mogłem opanować uśmiechu. Vanden drżał ze strachu, a to trajkotanie miało być kojącym żartem. Podskoczył, gdy szorstki, metalowy głos zagrział całą swoją siłą.

- Bezczelność bez granic! Czy samo moje uwięzienie nie jest dostateczną torturą już bez tych obraźliwych uwag ze strony płaczących się bez zaproszenia pigmejów?

Najrozważniej było zignorować te wybuchy. Tak też zrobiłem.

- Ten olbrzym i ja diskutowaliśmy o naszych zaletach - powiedziałem handlarzom. -

Niestety, zdaje się, że ma on wstręt do szczerości.

Glade przemierzyła rozległą podłogę z lancą energetyczną w dłoni i oczami utkwionymi w ogromnej figurze.

- Mathketh - powiedziała cicho, prawie do siebie. - Zdumiewające! Jedynie najbardziej mgliste i najmniej prawdopodobne legendy...

Olbrzym uciał krótko jej rozmyślania.

- Znasz moje imię? Wiedz zatem i to, że jestem uwięziony, strzegę jednak tej fortecy.

Odejdźcie szybko a zwawo. Dotknijcie najmniejszej broni w moim arsenale, a ciało odpadnie od waszych kruchych kości.

Vanden cofnął raptownie wścibską rękę. Wzburzony, usiłował udawać zupełny brak zainteresowania sprzętami.

- Mathketh? - nie krył sceptycyzmu; spojrzął na Glade. - Przypominam sobie, że kiedy mój brat Hahn i ja zapędziliśmy się zbyt daleko od domu, nasza niania straszyla nas tym imieniem. Zawsze jednak uważałem tego potwora jedynie za wymysł.

Glade uśmiechnęła się do niego półgębkiem.

- Najwyraźniej tak nie jest - odmówiła kreaturze jakiegokolwiek szacunku, odwracając się do niej plecami. - Ciekawa jednak jestem, czy ten robot mówi prawdę. Jedna z tych machin śmierci mogłaby stanowić interesujące trofeum, które można by złożyć przed Lady Anierą.

- I może zwolniłoby to nas od dalszej wędrówki do Treet Hoown zgodził się jej towarzysz. - Nie mówią już o wynikającym z niej ryzyku dla naszego zdrowia.

- Możecie wątpić w słuszność mego ostrzeżenia, jeśli chcecie - wrzasnął olbrzym, nie godząc się z okazywaną mu ignorancją. Przekażniki układów obrony są nastawione.

Skasowanie was uwolni mnie przynajmniej od waszej przeklętej gadaniny.

Oceniłem sytuację.

- Nie wierzę wprawdzie tej kreaturze - burknąłem - ale ryzyko związane z taką próbą przewyższa ewentualne korzyści. - Spojrzałem w górę na niezdarnego robota. - Krzyżujesz nam szyki, jeśli chodzi o ten szczegół, lecz z pewnością tak łatwo stąd nie odejdziemy.

Najpierw opowiesz nam, co stało się z tym miastem i jego mieszkańcami.

- Głupi śmiertelniku. Jeśli wprowadziłem cię w błąd w jednym przypadku, to skąd możesz wiedzieć, czy wierzyć innym rzeczom, które ci powiem? Dość. Idźcie teraz i zostawcie mnie memu przeznaczeniu.

- Nic nie straciłeś ze swej legendarnej przebiegłości, Mathkecie - rzuciła cicho Glade.

- Nie odejdziemy stąd, dopóki nas nie zadowolisz.

Położyła rękę na moim ramieniu i poczułem falę współczucia dla niej, częściowo dyktowanego więzią seksualną, częściowo po prostu koleżeństwem.

- Myliłeś się, Xarafie, nie dowierzając robotowi.

- On jest zainteresowany okłamywaniem nas - powiedziałem nakrywając jej dłoń moją dłonią.

- Takie roboty muszą mówić prawdę - poinformowała mnie. A przynajmniej unikać kłamstwa zupełnego. Ich panowie słusznie wyciągnęli wnioski z potęgi i inteligencji tych stworów.

- Czy możemy być pewni? - spytał Vanden. - Czy te zakodowane przymusy uznawania racjonalności panują nad nim na równi z siłą, z jaką oddziaływał na niego Mistrz Wojen?

- Tym bardziej należy przypuścić, że ten środek ostrożności został zachowany.

Paranoik nie zostawia w swych wyobrażeniach szczeliny, przez którą mogliby się przekraść jego prawdziwi i wymagowani wrogowie - uchwyciła moje spojrzenie i wyjaśniała dalej. -

By zapobiec ryzyku, że ich własne roboty zwrócą się przeciwko nim, starożytni niezmiennie włączali w oprogramowanie ich umysłów serie dyrektyw, których nie sposób było obejść lub wykorzenić. Nakaz mówienia prawdy był jedną z nich.

- Jeśli tak, to ten stwór jest biegły w wykrętach.

W zgrzytliwym głosie robota pojawiła się jakaś nuta samozadowolenia.

- Każdy z tych domysłów opiera się na prawdzie. Łącznie z tym ostatnim. Moja cierpliwość się wyczerpała. Weźcie stąd swoje wariackie duszyczki.

Skoczyłem naprzód, nagle rozwścieczony i porywczy.

- Moja cierpliwość także maleje. Ludzie zbudowali cię kawałek po kawałku z roztopionej skały i, na bogów, ludzie rozdrobnią cię znowu, jeśli nam nie odpowiesz - piniąc się ze złości, raz jeszcze wyciągnąłem Alamo gordo i uniosłem ostrze wysoko nad głowę, tak że wyryta na nim mapa znalazła się przed oczami robota.

- Według tego planu podążaliśmy przez ziemie opustoszałe i przeklęte, i nie zniweczy naszych planów twoja bezczelność.

Ku zdziwieniu wszystkich, pod rozległą kopułą rozbrzmiał nagle jasny, twardy i kłujący jak jego prawdziwe stalowe ostrze, głos miecza.

- Mathkecie, usłuchasz tego człowieka. Zrozum, kto mówi teraz do ciebie.

Przerażony krzyk robota, który wydarł się na całe gardło, niepohamowany i grzmiący wśród błękitno oświetlonych ścian udręką równą brzęczeniu setek wyklepanych młotkami trąb.

- Teraz cię poznaję, choć nie znam twego imienia - ryknął olbrzym i przez chwilę nie byłem pewien, czy mówił do mego miecza, czy do mnie. - Twoja stopa nie stała dotąd w mojej cytadeli, lecz znam cię. Przysłały cię te same Moce, które mnie związały - w stalowym głosie pojawiła się niepohamowana tęsknota. - Daj mi wolność, błagam. Pytaj o co tylko chcesz, a ja ci odpowiem. Uwolnij mnie od mego cierpienia, a ja będę służyć...

- Cicho bądź! - krzyknąłem, przycisnąwszy ręce do uszu. Drżałem pod naporem tej emocji nie do zniesienia. Vanden upadł na kolana, z twarzą pobladałą i oczami w szept, białymi i zwężonymi. Glade zachwiała się.

- Ogłuszasz nas!

Nagle - cisza.

W głowie mi dzwoniło, schyliłem się i pomogłem Vandenowi podnieść się.

Oświetlenie komnaty zmieniło się na złote, na biel tak jasną, jak wiosenne południe w moim własnym świecie.

- Powściągnij swój ton - powiedziałem. - I mów.

Odstawiłem miecz na jego miejsce. Handlarze, jak zobaczyłem, stali teraz po obu moich bokach, blisko, jakby szukali mojej protekcji.

- O mieście, którego kiedyś strzegłem, nie wiem nic - rzekł nam robot. - Zabronili mi tego ci, których talizman nosisz. Osłony, nad którymi panuję, chronią tylko najbliższą okolicę.

- Powiedz zatem, jakie są twoje przypuszczenia na temat tego miasta - rzekła Glade, spoglądając na mnie.

- Osobiście uważam, że wszyscy, którzy zamieszkują Treet Hoown, żyją tak, jak żyli tysiąc stuleci

temu.

- Masz na myśli ich potomków?

- Nie. Mam na myśli tych, którzy zostawili mnie samego twarzą w twarz z Mocami.

Zmarszczyłem brwi.

- Zakładasz, że te istoty mogą jeszcze być żywe po tylu dziesiątkach tysięcy lat?

- Żywe i nieżywe. Egzystują w stanie zawieszenia, czekając swego uwolnienia, by zacząć żyć prawdziwie.

Mathketh urwał. Jego rozległe zniszczone czoło pozostało nieruchome, lecz tak jakby wzruszył ramionami.

- Niewątpliwie, może być i tak, że wszyscy oni już umarli, rozpadli się w proch.

Jeśliby żyli, Mistrz Wojen byłby mnie już odwiedził.

Niczego z tej przemowy nie udało mi się pojąć. Jednak twarz Glade jaśniała, wskazując na spore podniecenie.

Zwracając się do robota, krzyknęła:

- Rozumiem, że chodzi o Katastrofę, zwaną Ostateczną Wojną. Opisz zdarzenia tego kataklizmu.

Mathketh zwrócił na nią swe wielkie, rubinowe oczy. Zawahał się.

- Zrób to - rozkazałem.

- Zanim zostałem stworzony - zaczął olbrzym - fala za falą niepoliczalne rzesze ludzi opuściły ten świat dla innych niebiańskich siedzib. Słońce Ziemi, jak powiedzieli, było na skraju śmierci. Jego energia kończyła się za sprawą nadmiernego czerpania jej przez marnotrawne kultury, dawno już wymarłe. Normalną kolejną rzeczą gwiazda rodzaju Słońca powinna świecić jasno o pięć lub sześć miliardów lat dłużej; ta możliwość została barbarzyńsko stracona, a siły gwiazdy wykradzione i roztrwonione.

- Ludzie potrafili zrobić coś takiego ze Słońcem? - spytałem nieufnie.

- Niegdyś tak - rzekł Mathketh swym dudniącym głosem. - Teraz już nie, chyba że zaliczymy do ludzi te istoty, które mnie tutaj uwięziły.

Vanden rzekł:

- Czy samo wygaszenie Słońca tak zmartwiło te boskie istoty?

- Może i nie - przyznał Mathketh. - Bardziej znaczące było to, że znudzili się planetą, z której pochodzili. Przerobili ją ze sto razy, zbudowali nowe góry, by zastąpić te, które częste używanie zredukowało do piasku, napełnili wodą wyczerpane oceany, posadzili lasy i zapełnili je zwierzętami i roślinnością własnego pomysłu. Potem zaczęła się nuda.

- Zmęczenie bogów - mruknąłem. - Mój mistrz zakładał możliwość zaistnienia takiego stanu. To coś o wiele bardziej niepokojącego niż pustka za grobem ortodoksyjnego ateisty.

- Łaknęli nowych zdobyczy. Reszta ludzi oczekiwała tego od najbardziej przedsiębiorczych, a zatem ci właśnie odeszli, zabierając swą wiedzę i swego niespokojnego ducha. Zostali tylko najbardziej zasiedziali.

- Nawet między spokojnymi - rzekła Glade swym silnym głosem - zrodziło się kilku, którzy żądni byli i są czegoś więcej niż tylko przetrwania. Jestem jedną z nich, czemu zatem i w przeszłości nie pojawili się tacy?

- Masz rację - powiedział Mathketh. - Po wiekach powolnego upadku kultura ożywiła się raz jeszcze. Mówiąc dokładniej, narodził się człowiek, który wykorzystując tę kulturę, wpoił jej tęsknotę za podbojem, samemu płonąć taką właśnie ambicją. Zebrał razem ostatnie strzępy wiedzy, które przetrwały tu i ówdzie, i wzniósł miasto, by od niego rozpocząć budowę nowego imperium. Był to Mistrz Wojen z Treet Hoown, twórca największego imperium w historii.

- Nie ma dziś żadnego takiego imperium - zaznaczył lekceważąco Vanden.

- Kwitło przez tysiąc lat - rzekł robot z dumą.

- Jego chwała osłabła dopiero wtedy, gdy Mistrz się zestarzał.

Poczułem, że Glade drży i zdałem sobie sprawę, iż jej ramię przyciśnięte jest do mojego.

- Przekleństwo nieśmiertelności jest przekleństwem dla słabych, których ono nie obejmuje tak, jak silnych. Szczęśliwie, nie istnieje już ono w naszym świecie.

- Wtedy też nie istniało. Przy całej jego wiedzy i z moim wsparciem, jako że stałem przy nim przez cały czas, nie mógł pokonać bez reszty najgorszego wroga. Opętała go myśl o wiecznym życiu i zbliżającej się śmierci. Szukał tajemnicy wiecznej młodości, tej nagrody, o której mówisz tak lekceważąco, znanej ongiś tym, którzy uciekli z tej planety...

- I doznał niepowodzenia - rzekła Glade. - Za co jesteśmy mu naprawdę zobowiązani.

- Przeciwnie. Ta tajemnica została rozwiązana i jej rozwiązanie jest tu, na Ziemi.

Parsknąłem drwiąco.

- Mówisz zagadkami. Nie widzę go tu dzisiaj. Nie dostrzegam jego imperium. Czy też może stał się przez to ascetą?

Straszne oczy Mathketha zdawały się płonąć coraz jaśniej. Spojrzał na mnie z góry.

- Ty powinieneś to zrozumieć, posiadaczu talizmanu.

Schowany w pochwie Alamogordo odezwał się zza moich pleców:

- On mówi o Mocach.

Włosy zjeżyły mi się, drażniąc kark. Sięgnąłem do rękojeści miecza.

- Nie powiedziałem, że on zdobył ten sekret - rzekł Mathketh. - Zaledwie go odnalazł.

Cztery istoty o przeogromnej potędze wróciły z gwiazd, przywołane nostalgią za prawdziwą ojczyzną rodzaju ludzkiego.

Zachwiałem się, pociągnięty za skraj jakiegoś psychicznego wiru.

- Założyli swą twierdzę w środku jego imperium i odcięli się od wszelkich kontaktów z co pomniejszymi ludźmi. Nieśmiertelni i w rzeczywisty dość sposób wszechmocni.

Odrzucali każdą próbę narzucenia się ze strony mego Mistrza. Przywiedziony w końcu do ostateczności przez atak zwiastującej koniec niemocy, Mistrz Wojen wymusztrował legiony zebrane z całego imperium i wypowiedział Mocom wojnę.

Zimna jak blok lodu rękojeść grawerowanego miecza wbiła się we wnętrze mej zaciśniętej dłoni.

Fala uspokojenia przeszła przez mój mózg i znów byłem sobą.

- Legenda utrzymuje - mówiła Glade - że to oni umieścili gwiazdki na niebie, by oddalić to ostateczne przeznaczenie.

- Może - rzekł Mathketh. - Tylko ich moc, jak wiem, zdolna byłaby dokonać takiego czynu. Z pewnością są oni nadal w tym świecie, skoro ich rozkaz więzi mnie tu bez zmian.

Vanden przechadzał się między machinami zniszczenia, które stały na obrzeżach komnaty. Groźny był to widok.

- Odparli atak Mistrza Wojen za pomocą swej zaawansowanej nauki?

- Tak, zaawansowanej do tego stopnia, że armia uciekła przed Ich gniewem. Rzuciłem na nich strzały niebos, lecz to ich nie powstrzymało. Moje żądła sprzykrzyły Im się w końcu i Oni podnieśli się ze swej kryjówki, i stanęli przede mną, i opasali mnie swym słowem, i uwięzili na moim tronie.

Glade spytała wstrząśnięta:

- A co z Treet Hoown i jego ludem? Czy i oni zostali za karę uwięzieni?

- I tak, i nie.

- Nie irytuj mnie - krzyknąłem. Była to tylko nie do końca przemyślana fanfaronada, lecz maszyna przyjęła ten rozkaz jak najpoważniej.

- Nie bawię się słowami, staram się raczej opisać paradoks. Obserwując upokorzenie i upadek swej armii, Mistrz Wojen wycofał się do miasta, zabierając swą najnowszą oblubienicę i zorganizował tam swe ostatnie linie obronne. Sięgnął po sposób, mający tym, którzy przetrwali, zapewnić życie w sytuacji rozpaczliwej, zdolnej zniweczyć jego wysiłki odnalezienia recepty na wieczne życie. Teraz powstrzymał tym również i zemstę Mocy.

Poszukiwaczka wciągnęła głęboko powietrze.

- Letarg! Absolutny zastój w przemianie materii. Wprowadził w ten stan całe miasto?

- Właśnie.

- To było tysiące lat temu, dziesiątki tysięcy. A co wydarzyło się później?

- Nie wiem, jak już wyjaśniłem. Jest wysoce prawdopodobne, że Treet Hoown jest wciąż jeszcze zamknięte i pogrążone w półśnie.

Vanden był poruszony.

- I chronione przez jakiś straszny czynnik, który wszystkim intruzom zaprowadza chaos w umysłach.

- Co do tego również nie potrafię się wypowiedzieć. Mała jest dla mnie różnica między ludźmi o zdrowych umysłach a nierozsądnymi. Może zresztą jego technicy znaleźli jakieś urządzenie w ostatnich chwilach Ostatecznej Wojny - głos robota dochodził jakby z oddali. - Wiem jedno: zostałem osądzony. Zostałem skazany. Siedzę tu bez nadziei, oczekując ostatnich konwulsji Słońca.

Czerwone jak krew, lśniące w pokrytej plamami twarzy oczy Mathketha zatrzymały się na mnie.

- A może ty, emisariuszu tych, którzy mnie skazali, przybywasz wreszcie, by mnie uwolnić?

Wyciągnąłem Alamoardo, podniosłem go do oczu, szukając na pokrytym runami ostrzu jakiegokolwiek wskazówki. Mógłbym wprawdzie szukać rady u samego miecza, lecz nie chciałem w tym decydującym momencie zasięgać czyjejkolwiek opinii. Mathketh uważał

mnie za agenta swych strażników, Glade i Vanden myśleli, że jestem człowiekiem z gwiazd.

Na dodatek, jak teraz widziałem, obie strony mogły mieć rację, mogła nie mieć jej żadna.

Miałbym uwolnić robota? Czy i to miało być celem mojego pobytu w tym świecie?

Handlarze odsunęli się ode mnie, pilnie obserwując moje poczynania i oddychając ciężko.

Nie, pomyślałem nagle. To Treet Hoown było celem marszruty wyznaczonej nam przez mapę na ostrzu Alamogordo. Nie było tu nigdzie ani słowa o uwolnieniu robota. Jeśli miałem uciec jeszcze z tego niedorzecznego świata, jeśli miałem odejść stąd wolny tak, by móc walczyć u boku mego ojca i potykać się w moim własnym świecie z czarownikami, nie mogłem zrobić niczego, co krzyżowałoby plany tych, którzy rządzą teraz moim losem.

Ten wniosek, chociaż logiczny, rozdrażnił mnie. Podkopywało to moje poczucie uczciwości i moją miłość własną. Syn Golana Firebridge nie powinien być marionetką tańczącą zgodnie z wolą tych, którzy trzymają sznurki nawet wtedy, gdy trzymającymi mieliby być bogowie. Nie mogłem jednak w danej chwili znaleźć alternatywy. Nie czułem nic do tego robota. Przerazający intelekt Mathketha lepiej zaś było zostawić na łańcuchu. I Podniosłem głowę.

- Twój wyrok pozostają nie zmieniony. Jedziemy teraz do Treet Hoown. Nie myśl o próbie zatrzymania nas; znasz furię tych, których reprezentuję.

O prawdziwości tego ostatniego twierdzenia nie byłem za bardzo przekonany. Było jednak widać, że wywarło ono na Mathkecie spore wrażenie. Spodziewaliśmy się ponownego wybuchu szału. Zamiast tego metalowy olbrzym odpowiedział ciszą i znieruchomieniem.

Napięcie opadło. Blask w komnacie zaczął przygasać do początkowego błękitu.

Objąłem niepewnych handlarzy ramionami i uśmiechnąłem się, wyczerpany.

- Chodźcie. Nasze zwierzęta będą zaniepokojone naszą przedłużającą się nieobecnością.

Weszliśmy do szybu.

- A co istotniejsze, odczuwam potrzebę zjedzenia obiadu.

Krata opadła z westchnieniem. Przez kratownicę ostatni raz spojrzałem na robota.

Rubinowe oczy zmatowiały, maszyna pogrzyżyła się w nieskończoności nudy. Był to żalony widok i będę go pamiętał do końca moich dni.

Vanden Wrażliwy opanował sardoniczny uśmiech dopiero, gdy znaleźliśmy się na dole.

- Jak ty możesz myśleć o obiedzie zaraz po tak epokowej rozmowie? Ach, Xarafie Firebridge, naprawdę jesteś barbarzyńcą.

Postanowiłem podręczyć go trochę.

- Uważasz, że właściwsza byłaby medytacja nad moralnym aspektem losu Mathketha?

Handlarz roześmiał się szeroko. Wkraczając w mrok dziedzińca, oczyścił twarz i odzież z podróżnego brudu, grymasząc przy tym.

- Bynajmniej - był wyniosły. - To nasz stan mnie niepokoi. Jak może dżentelmen nosić się z zamiarem

spożycia posiłku, skoro jego osoba cuchnie, a strój jest mniej niż właściwy na taką okazję?

Glade potarła swoje własne upačkane czoło.

- Przerażające! Co mamy zrobić, by poprawić swe beznadziejne położenie?

- Przynieście mi wodę, pachnące mydło, przyprowadźcie łaźniennych i krawca; potem może będę skłonny uwzględnić potrzeby mojego żołądka.

Posępny wyraz zniknął z twarzy Glade. Ryknąłem, chociaż nie był to żart, który mój ojciec i starcy plemienia uznaliby za zabawny. Wędrowcy znani są z braku drobiazgowości w kwestii higieny. Wpływ Darkblooma, według mego ojca, był tylko jeszcze jedną wpojona we mnie na jego zgubę fanaberią. Radośnie ganialiśmy i swawoliliśmy po zakurzonym dziedzińcu. Ulga dawała znać o sobie.

- Szczerze mówiąc, to wątpię, czy metalowe roboty mają jakiś pożytek z kąpieli -

rzekła poszukiwaczka, strzelając Vandena w ucho. Przybrała najpoważniejszą ze swoich min i zaczęła wydziwiać: - Dopóki nie osiągniemy legendarnych skrapianych perfumami dróg napowietrznych Treet Hoown, musimy, jak się obawiam, zatkać nosy i unikać wiatru.

Vanden gorliwie ściągnął z grzbietu cierpliwego zwierzęcia maszynę, która stwarzała nam prowiant.

- Niestety - powiedział wzdychając - obawiam się, że masz rację.

Znalazł parę śliwek pozostałych z ostatniego posiłku i celnie wrzucił je do ust.

- Poszukiwanie jako takie nie jest zajęciem dla człowieka wrażliwego.

Trysnął sok.

- Przykład dobrych manier, którym nas raczysz - zauważyła Glade zgryźliwie - byłby bardziej przekonujący, gdybyś nie gadał z pełną gębą.

Przez otwartą bramę docierało do wnętrza niewiele światła. Nabierające coraz ciemniejszego fioletoworóżowego koloru niebo było puste - gwiazdki zniknęły za górami już parę godzin temu.

Zimny wiatr powiał od wyżyn, miotając kurz przez szklistą równinę wokół cytadeli.

Słyszałem jego skowyt i przyprawiał mnie on o dreszcze. Perspektywa spędzenia nocy w obrębie ponurych murów fortecy nie była wesoła, lecz i tak bardziej zachęcająca niż natychmiastowe zanurkowanie w zimną noc.

- Rozbijmy obóz tutaj - zaproponowałem.

- Tak chyba będzie - powiedziała Glade, wyglądająca na przygnębioną takim rozwiązaniem. Nie było jednak sensownego wyboru. Trasa do Treet Hoown prowadziła przez wysokie i urwiste granie, o

czym wiedziała.

- W każdym razie posuwanie się naprzód po zapadnięciu zmroku jest mało realne.

Gdy tylko machina wyprodukowała co trzeba, zjedliśmy to z dzikim apetytem. Było w naszej trójce coś groteskowego: brudni, zmęczeni, przykucnięci na płytach zakurzonego dziedzińca, żarłocznie jedzący delikatne suflety, chrupiące, smażone krążki wycięte z jakiegoś mackowatego zwierzęcia, świeże owoce zanurzone w ostrym jogurcie. Żar piecyka i ciepło samego posiłku poprawiły nam samopoczucie. Vanden rozstawił namiot za centralną kolumną, a Glade i ja zajęliśmy się zwierzętami.

Gotowi już, choć drapiący się jak sparszywiałe prosięta, napiliśmy się wina i rozmawialiśmy w naszych futrach wewnątrz namiotu. W bladym świetle kryształów zbadaliśmy dokładnie wyryty na mieczu plan.

W poważniejszym nastroju każde z nas, jak sądzę, pamiętało o grozie błękitnej komnaty nad naszymi głowami.

- Mathketh symbolizuje niebezpieczeństwa, które spotkamy w mieście - zauważyła Glade. - Jednego mu tylko brakuje: jego złośliwość została, unieszkodliwiona.

Nie zdawała sobie zapewne sprawy, że jej palce bawią się przez cały czas małym, ostrym nożem, łupiąc w drzazgi kawałek drewna tak długo, aż podłoga przy niej usłana była cieniutkimi wiórkami.

Vanden skrzywił się.

- Nie zyskaliśmy żadnej wskazówki, która pozwoliłaby nam ustrzec się obłądu.

Wstałem biorąc jeden ze świetlnych kryształów.

- Taka dyskusja może jedynie osłabić nasz upór - odchyliłem kotarę. Zimne powietrze wpadło do środka, ciężkie od kurzu i nieprzyjemne. - Chodźcie. Dość mam tego i jestem, jak wy, zmęczony. Zbadajmy resztę cytadeli, a może znajdziemy jakąś bieżącą wodę dla Vandena.

Handlarz sprzeciwił się tylko dla porządku.

- Robot ostrzegł nas przed grzebaniem tutaj.

Mogłem zrozumieć jednak z tonu, że równie mocno pragnie tego, jak ja. Glade była już na nogach i wciągała kurtkę.

- To dotyczy tylko jego broni - odpowiedziałem. - Resztę z pewnością możemy zbadać bezkarnie.

I tak też było. Mniejsze szyby nie chciały nas wpuścić, lecz pomysłowe instrumenty Vandena szybko znalazły otwierające je kody.

Ruchome platformy zawiozły nas do rozmaitych zatęchłych, ciemnych choć oko wykol pokojów. Ku

rozkoszy wychowanych w mieście handlarzy, kilka z nich było w oczywisty sposób urządzonych jak mieszkania elity.

- Sam Mistrz Wojen musiał tu próżniaczyć - przypuszczał Vanden, zacierając ręce.

Staął u wejścia do bogatego apartamentu udekorowanego z przepychem wprost sybaryckim.

Podążyłem za nim. Wkrótce zawołał:

- Łazienka! Natknęliśmy się na cywilizację.

Pokoje były niezamieszkałe, według rachuby Mathketha, od czasu sprzed stworzenia gwiazdek; dla handlarzy był to czas z legendy. Pomimo wiekowości miejsca, wiele z jego urządzeń nadal funkcjonowało.

Spojrzałem, ledwie wierząc oczom, na wpuszczoną w posadzkę olbrzymią wannę z nefrytu, basen inkrustowany ornamentami z chryzolitu, sardoniksu, macicy perłowej i klejnotów, jakich nigdy nie widziałem na bazarach w Berb-Kisheh. Vanden zaraz się do niej zapalił, rycząc z niezwykłą dla niego werwą, gdy trysnęła do niej parująca, słonawa woda.

- Poczekaj - powiedział, gdy śmiejąc się zatykałem nos przed gorzkim smrodem. Miał

rację, woda szybko nabrała klarowności i napełniał wannę. Nie dbając o poprzednie lęki, Vanden poczekał tylko tak długo, ile trzeba było, by odrzucić rzemienie i broń, i w pełnej odzieży chlupnął do basenu.

- Ekstaza - powiedział z westchnieniem. - Ach...

Obłoki pary wzbily się w powietrze, pachnąc niezgorzej, a fale nagle brudnej wody rozeszły się od osoby Vandena.

- Chodźcie tu, przyjaciele, wszyscy powinniśmy tu skoczyć.

Zawahałem się, pamiętając ostatnie odpalenie przez Glade moich awansów. Wówczas miało to związek z obecnością Vandena, chociaż nie tylko, tutaj było inaczej, lecz bałem się jakiegoś fałszywego kroku.

W zachowaniu Glade nie było zahamowań. Z uśmiechem odłożyła buty i pas, bransolety i lancę, i wskoczyła tam, gdzie było głębiej, przecięła mętną wodę jak bawiące się dziecko, zostawiając za sobą brudny kilwater.

- Stanę przez ten czas na straży - mruknąłem.

Vanden uniósł brwi, jakby chciał coś powiedzieć; lecz Glade zaszła go po cichu od tyłu i wciągnęła go pod wodę, która wypełniła jego usta. Wypłynął, bełkocąc i wrzeszcząc w udanym przerażeniu. Przylegająca, przemoczona odzież hamowała ich ruchy. Glade wierzgnęła, pływając, i zaczęła zdierać koszulę z grzbietu. Odwróciłem się. Ich szczerzy śmiech zabołał mnie. Powędrowałem przez

zaparowaną komnatę, zostawiając ich, by zmyli kurz złych ziem ze swych ciał i uwolnili swe dusze z napięcia tego dnia.

Ostatecznie, powiedziałem sobie, byli kochankami na długo przedtem, nim ja spotkałem Glade. Tak w każdym razie przypuszczałem. Nie było tu dla mnie miejsca.

W tej chwili mignął mi w całościennym zwierciadle mój obraz - skuliłem się z przerażenia i wyrwałem miecz z pochwy: mężczyzna, którego zobaczyłem, uczynił to samo.

Był ciemny, o dzikim spojrzeniu, obrzydliwie usmarowany od butów po zatłuszczone włosy.

Moje serce uspokoiło się po chwili. Podeszedłem bliżej do zwierciadła Stara sztuczka (Darkbloom pokazał mi to już kiedyś w czysto odbijającej światło sadzawce), odwróciłem się z beztroskim, choć wymuszonym śmiechem. Kryształ, który niosłem, huśtał się, rzucając ruchome cienie.

To było zastanawiające. Ten apartament było mocno zmurszały, lecz i tak pozostał

schludny i czysty, gdy wziąć pod uwagę, jak długo stał pusty. W przeciwieństwie do dziedzińca poniżej, nie było tu kurzu, pajęczyn i śladów rdzy.

Moje poruszanie się uruchomiło jakiś cierpliwie dotąd oczekujący mechanizm.

Światła zapaliły się, spowijając sufit na perłowo, zaczęła grać cicha muzyka; jak grad padający na szkło rozbrzmiewały instrumenty strunowe, perkusyjne i szarpane. Sukces ten został powitany entuzjastycznymi okrzykami.

Zawołałem w głąb pomieszczenia, w którym dokazywali handlarze:

- Nie rozumiem, jak po wiekach próżnowania te urządzenia mogą jeszcze działać.

- Xarafie, wrzuć swoje ścierwo do tego basenu!

Wróciłem do nich, przykucniętych przy brzegu.

Oboje byli nadzy, ich ubrania piętrzyły się na końcu wanny.

- Będzie wam niewygodnie, gdy się w to ubierzecie - powiedziałem złośliwie.

- Znajdę tu gdzieś pokoiik, który wysuszy was w ciepłe - rzekła Glade. - Jeśli nauczymy się regulować temperaturę, to wysuszymy szybko także i rzeczy.

Z oblepiającymi głowę włosami wyglądała nie tak ładnie, jak zwykle. Zdecydowałem, że jest z pewnością jedną z najmniej atrakcyjnych kobiet, jakie znałem. Szczyty jej piersi kołysały się w mieniących się tęczowo bańkach na powierzchni niespokojnej jeszcze wody.

Spojrzałem na moje ręce. Vanden odchrząknął.

- Nie wszystkie systemy przetrwały - zauważył niedbałym tonem. - Wiele z machin Wieku Cudów jest jednak faktycznie niezniszczalnych. Nasze własne źródło baterii w Asulium też jest reliktem z tego okresu.

Zaskoczony jakby własnymi słowami, potrząsnął głową.

- Czy wiesz, Glade, że to prawda? Może uda nam się tu wymienić nasze wyczerpane baterie.

Wstał, woda pieniała się wokół jego bezwłosych łydek. Wyszedł z basenu. Glade pozostała, gdzie była, delektując się dotykiem wody.

Gdy Vanden wyniósł się razem ze swoimi rzeczami i zniknął, w jakimś zakamarku, w którym zaraz zaszumiało ciepłe powietrze, ściągnąłem buty.

- Zamierzacie złupić urządzenia tego apartamentu?

- Jeśli będzie trzeba. Chociaż nie powinno to być konieczne. Gdzieś tu musi być zapas baterii energetycznych.

Vanden w cudowny sposób był już suchy. Rzuciłem moje śmierdzące ciuchy do pieniającej się wody i stanąłem nagi na brzegu basenu. Glade przyjrzała mi się spokojnie.

- W czasie, gdy będziesz z siebie robił człowieka, Xarafie, ja przeszukam resztę apartamentu - Vanden spojrzał mi prosto w oczy, wytrzymał mój wzrok, uśmiechnął się i odszedł.

Woda była rozkoszna. Leżałem w niej jak zawieszone w łonie matki dziecko. Glade unosiła się obok, nucąc w kontrapunkcie dziwną melodię. Twarde supły moich mięśni zaczęły się rozluźniać.

Piersi Glade dotknęły mojej klatki piersiowej. Splątaliśmy się razem, ocierając się jedno o drugie, otwarci na wilgoć ust. Z trudem utrzymywaliśmy się na powierzchni, huśtając się i potrącając, objając łokcie o nefrytowy spód wanny; śmiejąc się, obejmując, połykając wodę, plując, naturalne wydzieliny naszych ciał wykradała woda, ześlizgiwaliśmy się więc, lecz byliśmy razem, poruszając się ze splątanymi stopami, gdy moja koszula zaczęła dotrzymywać nam towarzystwa, a jedna z nogawek bryczesów zaplatała się między nasze brzuchy. Glade, chichocząca i radosna, wierzgająca, a Vanden przez ten czas bardzo długo poszukiwał baterii, moje ręce trzymały twarde pośladki, i jej nogi, i ramiona, owijające się ufnie wokół mnie, podczas gdy ja prowadziłem nas, wchodząc z okrzykami, nie z pasją, nie, nie z opętaniem, lecz z ukojeniem, i troską, i, nie wiem, może z miłością.

Zanim Vanden wrócił obładowany świeżymi bateriami, wysuszyliśmy się już w cudownym, pachnącym sztucznym letnim wietrzyku, nasza odzież była już gotowa do założenia, i jeśli Glade i ja byliśmy bardziej rozmarzeni i zadowoleni z siebie niż przedtem, to nie zwrócił nawet na to uwagi. Vanden, jak wcześniej nam to wyjaśnił, był dżentelmenem.

Podążyliśmy szybko w dół szybu i potem do naszego namiotu.

- Te baterie są w zasadzie identyczne z tymi, które wytwarza nasza maszyna w Asulium - stwierdził Vanden. Oboje wyrzucili wyczerpane baterie ze swych urządzeń i schowali resztę na przyszłość.

- Sądzę, że możemy tym razem obejść się bez warty - powiedziała Glade. Szybko uściskała Vandena i zanurkowała w swoje futra. - Los widocznie chce, byśmy przetrwali.

- Jutro ostatni odcinek marszu do Treet Hoown - oznajmił Vanden z satysfakcją.

Uśmiechnął się, schylił, by uścisnąć jej rękę i poszedł do swego legowiska.

- Śpijcie dobrze, Glade, Xarafie.

Wszystkie zagadkowe odkrycia tego wieczoru w oczywisty sposób odegnały nastrój lęku. Nie pozwoliłem memu umysłowi roztrząsać kwestii, co zaszło między tym dwojgiem, gdy ja zwiedzałem apartament. Powiedziałem sobie, że nie jestem zazdrosny, nie więcej, niż mógł być Vanden.

Depresja i nostalgia przeminęły. Zasnąłem, i po raz pierwszy od tygodni nie męczyły mnie żadne wizje przerażającej zagłady.

*

Wyjechaliśmy z cytadeli o wschodzie słońca. Do zapadnięcia nocy wspięliśmy się na więcej, niż pół wysokości urwistych zboczy. Rankiem dwudziestego siódmego dnia poszliśmy dalej, z trudem posuwając się obok naszych otępiałych zwierząt. Nie było tu żadnych dostrzegalnych śladów dróg. Strome urwiska zagradzały nam drogę, zarośnięte kłującym mchem otoczaki zmuszały do szukania okrężnych ścieżek, kamyki wyslizgiwały się i zsuwały niebezpiecznie pod kopytami.

Przykre wiatry ciągnęły z zaśnieżonych szczytów wysoko nad nami.

Owinęliśmy się prowizorycznie szarfami dla ochrony.

Powietrze było rozrzedzone i zimne; ciężko łapaliśmy oddechy i każdy był jak ostrze noża.

Z trudem posuwaliśmy się naprzód.

W południe, gdy umierające Słońce zawisło w swej krwawej wspaniałości osmalane po bokach przez gwiazdki, wydostaliśmy się na szeroki płaskowyż tak nagi i pusty, jak skalne jezioro.

- To nie jest dzieło natury - Glade otarła łzy z zaczerwienionych od wiatru oczu. - To ludzkie ręce ociosały tę płaszczynę.

Vanden przykucnął i poklepał wygładzoną skałę.

- Myślałem, że nasza podróż zbliża się do końca - powiedział z żalem. - Gdzie są ruiny miasta, które powinno stać na tym płaskowyżu?

Gapiliśmy się bezradnie na pustą równinę, a potem, bezsilni, jedno na drugie.

Zacząłem kląć ordynarnie w moim własnym języku.

Treet Hoown, razem ze swoimi wszystkimi żywymi-nieżywymi mieszkańcami zniknęło bez śladu.
Zniknęło ze świata, którym kiedyś, przez tysiąc lat, władało.

Podszedłem z powrotem na skraj tego piekielnego urwiska i spojrzałem w dół na drogę, którą z takim trudem pokonaliśmy. Kopuła cytadeli Mathketha błyszczała w oddali jak żółty kwiat na samotnym pustkowiu. Na horyzoncie jak wysuszone kości białały złe ziemie.

Gwałtowny powiew wiatru osmagał mi twarz i omal nie zrzucił z wysokości.

Splunąłem w nienawistną pustkę.

Glade zakłęta z pasją za moimi plecami.

- Nie mogliśmy zmylić trasy! Ani też miasto nie mogło rozpaść się aż do szczętu, tak żeby nawet kamień na kamieniu nie został. Mistrz zbudował je na wieczność. Jeśli ta forteca jest nadal nietknięta, to tym bardziej trwać powinno Treet Hoown!

- A zatem musieliśmy jednak zboczyć ze ścieżki - upierał się Vanden. Jego logika była aż męcząca.

- Albo też mimo wszystko plan wprowadził nas celowo w błąd. Może nasze oryginalne mapy były prawidłowe. Xarafie! - zawołał głośno, by przekrzyczeć wiatr. - Dawaj no tu raz jeszcze miecz do obejrzenia!

Twarz Glade pokryta była zmarszczkami wyczerpania.

- Jaki z niego pożytek? - spytała ze smutkiem.

- Pamiętamy, co na nim jest. I nie ma wątpliwości, że zgodnie z tym to właśnie jest płaskowyż, na którym stało niegdyś Treet Hoown - przycisnęła czoło do szyi rogatego wierzchowca i zwierzę zadrżało. - Myślę, że pozostaje nam przyjąć, że ostatni eksperyment Mistrza doprowadził do totalnego zniszczenia miasta.

- Przeczysz tak sobie, jak i faktom - rozzłościł się nagle Vanden. - A jak wytłumaczysz te opowieści, które obłąkańcy przez stulecia przynosili z tego miasta?

Glade podniosła gwałtownie ręce.

- Pomyleńcy i kłamcy. Ich opowieści wynikały z obłądu. A moja głupota polegała na tym, że im ufałam.

- Ja tak nie myślę - Vanden uspokoił się nagle i po przyjacielsku ujął jej rękę. -

Zapominasz o tym, co w osobliwy sposób doprowadziło nas tutaj. To nie było złudzenie ani chore urojenie. W naszym interesie leży zbadać ten plan raz jeszcze.

Wzruszyłem ramionami i odszedłem od brzegu przepaści. Ująłem rękojeść Alamoardo i wysunąłem miecz do połowy z pochwy. Ziąb mnie przeszedł, gdy to czyniłem.

Ręka zamarła. Przez chwilę dojrzałem tańczące przed moimi oczami widmowe minarety, stopy gruzu, masywne pałace z czerwonego kamienia.

Krzyknąłem.

- Xarafie? - płaskowyz rozciągający się za plecami Glade znów drwił ze mnie swą absolutną pustką.
- Jesteś blady jak śmierć.

- Wydało mi się... - nie, to było niedorzeczne. - Nic.

- To ta wysokość - zaryzykował diagnozę Vanden.

- Chcieliście zobaczyć mapę - powiedziałem ze złością i wyciągnąłem Alamo gordo w całości.

Ramię mi drgnęło. Podniosłem miecz jedną ręką, mięśnie nabrzmiały, skóra zapłonęła, włosy zjeżyły się na głowie. Wygrawerowane na mieczu runy zdawały się migotać własnym blaskiem. Podniosłem oczy i ponad oszołomionymi handlarzami skierowałem spojrzenie na wieże Treet Hoown. Wznosiły się pośrodku płaskowyzu. Miasto było równie starożytne, jak cytadela Mathketha, a przy tym emanowało wprost zuchwałością i barbarzyństwem.

Sto tysięcy grasujących tu górskich wichrów nie okazało się być dlań łaskawe.

Fasady, ongiś jasne od ceramiki i metalowych ornamentów, były spłowiałe i popękane, zwieńczenia dachów chyliły się jak maszty tonących okrętów, hałdy gruzu i rozkruszonych szarych kamieni otaczające miasto pierścieniem były niemymi świadkami upływu czasu i erozji. Jednak Mistrz z Treet Hoown budował dobrze. Nawet teraz bowiem para strzelistych wież śmiało wznosiła się złotem ku szkarłatnemu niebu. Ogromne budynki, choć podniszczone wiatrem, stały w miarę całe, sklepienia nie zapadały się, wejścia nadal strzeżone były przez metalowymi arabeskami zdobione drzwi, których nie tknęła rdza.

Marmurowe fryzy wciąż jeszcze wieńczyły bazaltowe pilastry. Ulice, pokryte wprawdzie kurzem i kamiennymi odłamkami, zachowały wiele ze swej dawnej wspaniałości.

Nad tym wszystkim, ponad wieżami i bryłowatymi pałacami, drżała plątanina szafranowej luminescencji. Żółty blask zmaćił mi spojrzenie, wyniosłe wieże chwiały mi się w oczach, ilekroć poruszyłem głowę.

Glade dotknęła mojego ramienia. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że stoję dźwigając miecz nad głową i prawe ramię zupełnie mi już zdrętwiało.

- Co cię jeszcze niepokoi, Xarafie?

- Miasto powiedziałem ze zdumieniem. - Cóż by innego? Jak to się stało, że do tej chwili go nie widzieliśmy?

Vanden cofnął się o krok.

- Stracił zmysły, biedaczysko mruknął. - Glade, czy może tak być, że chociaż miasta już nie ma, to miejsce posiada niezdrową atmosferę?

Strząsnąłem rękę Glade.

- Co mówicie? Przecież tu jest miasto.

Wskazałem na ulice, wieże, dzwonnice.

Glade podążyła spojrzeniem za moją ręką.

- Xarafie stwierdziła cicho. - Tu nie ma nic prócz nagiej skały. Musisz odpocząć.

Położ miecz. To rozrzedzone powietrze zamąciło ci w głowie.

Naszło mnie fantastyczne przypuszczenie. Podniosłem ostrze ku twarzy.

- Alamo gordo, słyszysz mnie?

- Oczywiście. Masz rację, miasto jest tutaj.

Glade chrząknęła, coś jakby uśmiech pojawiło się na jej ustach.

- Jeśli Glade wzięłaby cię do ręki...

- ...to zobaczyłaby miasto. To część mej powinności.

Przekazałem miecz poszukiwaczce. Wzięła go w obie ręce.

Mrowienie skóry, które odczuwałem przez cały czas, znikło w tej chwili. Znikło też miasto.

Chociaż w zasadzie byłem na to przygotowany, lekko mnie to przeraziło. W tym samym momencie Glade wydała okrzyk zdziwienia:

- Ono jest tutaj!

Teraz sam doświadczyłem, jak zbijające z tropu było to doświadczenie dla innych - jej oczy z wyężeniem śledziły coś na pustym płaskowyżu.

- Ten żółty blask... To musi być pole, które rządzi widocznością tego miejsca -

przekazała miecz Vandenowi, który patrzył na to wszystko z rosnącym zdumieniem i coraz szerzej otwierał oczy.

- Niewiarygodne - wyszeptał. Co za iluzja...

- Dlaczego przemilczałeś uprzednio tę informację, Alamo gordo? - spytałem z irytacją.

- To twoja podróż, odkrywco - odrzekł miecz. - Moje obowiązki przewidują interwencję jedynie wtedy, gdy coś zagrozi twemu życiu lub wtedy, gdy bezwarunkowo trzeba ci pomóc w walce z jakimś przerastającym cię zagrożeniem.

- Jeśli wy dwaj macie zamiar dalej trajkotać, to nie zamierzam stać między wami - stwierdził Vanden, oddając mi miecz.

Ujrzałem raz jeszcze miasto nagle przywrócone rzeczywistości.

- Imponująca metropolia - rzucił Vanden. - Mam nadzieję, że to pole nie działa wewnątrz. Inaczej będziemy mieli ogromne trudności z odnalezieniem trofeum Glade.

Przyjrzałem się Treet Hoown z uwagą i zamyśleniem. Światło falowało, rzucając błyski szafranu, żółci, oranżu. Kurz kłębił się podrywany podmuchami. Poza tym nic się nie poruszało.

Jeśli mieszkańcy tego miasta nie byli martwi, to musieli nadal trwać w uśpieniu. Nie widziałem niczego, co miałyby nas powstrzymać przed natychmiastowym wkroczeniem między mury.

- Chodźcie powiedziałem chowając miecz do pochwy. - Ja poprowadzę - wsiadłem na wierzchowca.

Vanden nie był taki pewny.

- Może powinniśmy wysłać najpierw jedno ze zwierząt, tak jak pod fortecą?

Glade potrząsnęła przecząco głową i postawiła stopę na strzemieniu.

- Niewidzialność... czysty obłąd... obie te metody wskazują na to, że Mistrz zawierał

raczej odstraszeniu, psychologicznym sztuczkom. A skoro nie możemy tego sprawdzić do końca, pozostaje zaryzykować.

Zastanowiłem się przez chwilę nad sposobem, w jaki Glade przejęła na krótką chwilę utracone dowodzenie w wyprawie. Nie pragnąłem wcale przejąć jej roli, było to bezwiedne, jako że zgodnie z tradycjami mego ludu zawsze dążyłem do podporządkowania sobie każdej grupy ludzi, jeśli już w niej się znalazłem, a szczególnie, gdy była to grupa prowadzona przez kobietę. Darkbloom szydził z tych odruchów, nazywał je bezsensownymi, ograniczonymi, wręcz podejrzanymi. Mimo całego mego podziwu dla tego nadzwyczajnego człowieka, niezmiennie nie poddawałem się jego opinii. Teraz stwierdziłem, że po prostu nie było tu moją sprawą decydować. Glade uczyniła tak, jak miała ochotę uczynić. Nie była wcale formalnym czy nieformalnym przywódcą, czy też podkomendną. Nie narzuciła też wcale takich ról Vandenowi czy mnie. Był to niezwykle sposób zachowania. Niewygodny dla mnie i irytujący. Z wolna jednak, w miarę upływu czasu, przyzwyczajałem się do tej sytuacji.

*

Gdy byliśmy już blisko obwodu miasta, Alamogordo zaczął drzeć, śpiewać na wysoką, żalobną nutę.

Wierzchowiec mi się znarowił, kłapał zębami, a gdy przynagliłem go ostrym kopnięciem, zwierzę trąciło nogą skałę i posunęło się nie więcej niż o parę kroków, a i to niezdecydowanie.

- Wyciągnij mnie i wysuń do przodu - powiedział boleśnie Alamoardo. I tak też uczyniłem.

Straszliwy turkusowy błysk rozjaśnił okolicę; zielono-błękitny strumień płomienia wystrzelił z czubka miecza i zniknął. Wstrząśnięty cisnąłem miecz odruchowo na ziemię.

Mój koń stanął dęba, rżąc jak oszalały. Opanowałem go i obróciłem się, by spojrzeć do tyłu.

Moi towarzysze przepadli. Po prostu zniknęli.

Powietrze zafalowało, i nagle wprost z pustki wyjechała Glade, zaraz za nią pojawił

się Vanden. Ich rumaki toczyły wokół przerażonym spojrzeniem.

- Przez moment sądziliśmy, że zginąłeś - stwierdziła Glade, jeszcze drżąc.

- A ja to samo pomyślałem o was - serce waliło mi głucho. Zsiadłem z konia i odnalazłem mój miecz. Alamoardo milczał. Metal był ciepły. Schowałem go do pochwy. -

Może powinienem zostawić jednak ten przeklęty przedmiot tam, gdzie upadł - gdy to powiedziałem, jakieś mamrotanie, bez wątplenia wymówki doszły mnie z pleców, gdzie przewiesiłem pochwę.

- W żadnym razie - Vanden wstawił się za mieczem - Alamoardo jest talizmanem o wielkiej mocy, jak stwierdził Mathketh, możemy jednak posłużyć się nim i uniknąć w ten sposób losu naszych poprzedników.

*

Treet Hoown nie było otoczone murami obronnymi. Czy wynikało to z posiadania tej straszliwej broni, dzięki której Mistrz wygrywał swoje wojny, czy też z prostej i aroganckiej pewności siebie tego osobnika, nie wiem. Może po prostu to właśnie dyktowało tak wysokie położenie miasta wśród gór, sama niedostępność starczała na fortyfikacje. Glade też nie wiedziała. W każdym razie ten niedostatek nadzwyczaj jasno podkreślał zamiary projektantów samego miasta. Kapiące kurzem wiadukty, na których gdzieniegdzie gniły kałuże ustalej deszczówki, tworzyły sieć ciągnącą się od obwodu miasta aż po bliźniacze, złote wieże.

Pozwoliliśmy, by konie ruszyły najkrótszą trasą ku sercu miasta.

Magazyny, budowle bryłowate i funkcjonalne ustąpiły miejsca wieżom mieszkalnym, otwartym targowiskom, kopulastym pałacom, które kiedyś musiały tonąć w zieleni strzyżonych pilnie krzewów, teraz otoczone były jedynie żalonym pyłem i straszyły rozpadającymi się tarasami, a ich iglice, inkrustowane klejnotami, chyliły się ku upadkowi.

Były i monumentalne statuy wojowników i dziwnych stworzeń, o których nigdy nie słyszałem i których nigdy bym sobie sam nie wyobraził. Były one, jak zapewnił mnie Vanden, wiernymi

podobiznami istot żyjących na światach pod innymi gwiazdami: kiedyś, w legendarnych czasach były one sprowadzane na Ziemię, lecz teraz nic z nich nie zostało.

Przejazd mieliśmy wolny i to mnie zaniepokoiło. Żadnych przeszkód, mosty przenosiły nas nad kanałami, ulice wiodły nas prosto, jak na paradyzie. Mimo że nie czułem, jak mój ojciec, wstępu do życia w mieście, brakło mi pewności siebie. Moja matka była córką Berb-Kisheh i jak pamiętam, dokazywałem tam często jako dziecko. Jednak to gigantyczne i z militarną wręcz precyzją zaplanowane miasto sprawiało, że tęsknić zaczynałem za otwartą przestrzenią i przyjaznym nieładem przyrody.

Pocwałowaliśmy w końcu główną esplanadą ku samemu jądro miasta. Nigdy dotąd w życiu nie napotkałem miejsca tak bezlitośnie technicznego śmiercią. Wśród pustyni mego własnego świata zawsze napotkać można było a to szarańczę, a to jakiegoś przemykającego czy ryjącego norę świstaka, rozlegała się odległa pieśń stada ptaków, trzepot skrzydeł, widziało się krążącego sępa. Tutaj tylko klekot kopyt naszych wierzchowców niósł się echem przez widmowe Treet Hoown.

- Nie podoba mi się to - stwierdziłem.

- A mnie mierzi przyznał otwarcie Vanden. Wolałbym wracać do domu.

- Lepsza już ta cisza i martwota śmierci, niż oczekująca na wroga armia - orzekła Glade, jak zawsze optymistycznie nastawiona do świata.

Przed nami otworzył się szeroki plac, na okolach którego ciągnęły się wspaniałe, choć zrujnowane, marmurowe wiadukty. Pośrodku wyschłych wodotrysków lśniły starością metalu posągi herosów. Na skraju placu stały świątynie, ich podtrzymywane przez grube, kręte kolumny portyki zdobione były odrażającymi postaciami chimer. Wznoszące się na wprost przed nami złote iglice błyszcząły jak nowo zbudowane. Wiszące nad pałacem Mistrza słońce zalewało miedź purpurą.

Glade dojechała do schodów i u stóp tysięcy stopni ściągnęła cugle rumaka.

- Największych zagrożeń możemy spodziewać się wewnątrz pałacu - stwierdziła. -

Lecz i tam zdobycz może być największa - spojrzała wkoło z uśmiechem. Jej ekscytacja była zaraźliwa. Wyciągnąłem Alamogordo.

- Coś jeszcze na koniec? - spytałem z kwaśną miną i złowiłem wymuszony uśmiech Vandena. - Potrafisz postępować z mieczami - mruknęła broń. Idź i niech męstwo cię nie opuści. Będzie ci potrzebne.

- Dobrze, zostaliśmy ostrzeżeni wrzasnął Vanden i pogrzebawszy w jukach wy dostał

lancę energetyczną, taką samą, jaką miała Glade. - Idziemy?

Trzymając broń w dłoniach, wspięliśmy się na zniszczone stopnie.

Mrok kolumnady przeszywany był chłodnymi podmuchami wiatru. Powietrze było rzadkie,

wspinaliśmy się z wysiłkiem, ciężko chwyając oddech. Ponad nami jak żelazna chmura wisiało odpychające w swej posepności wejście.

Same drzwi były tak wysokie jak czterech mężczyzn. Na wysokości ramienia z gładkiego metalu wystawała szczyrząca zęby srebrna czaszka, zupełnie, jakby zachęcać miała do sięgnięcia jej dłonią. Handlarze ociągali się. I ja się wahałem, pełen złych przeczuć, w końcu jednak sięgnąłem i przyłożyłem dłoń do czaszki.

Nie zdążyłem zrobić nic więcej. Wielkie drzwi natychmiast rozwarły się na oścież, zgrzytając i jęcząc jednak upiornie. Cofnąłem rękę jak oparzony. Nieprzenikniona ciemność wypełniała przestrzeń za progiem. Z wnętrza napłynął zgniły odór.

Glade zakłęta. Wyszarpnęła z torebki świetlny kryształ. Błady blask wniknął

nieśmiało w trupem śmierdzącą pustkę. Usłyszałem, dziwiąc się sam sobie, że powarkuję jak zwierzę.

Nikt dotąd nas nie napastował, żaden wiekowy zarządca dworu nie zjawił się u bram, by zapytać, czego tu szukamy. Tylko cienie tańczyły, gdy kryształ trząsał się w ręku Glade. Na kamiennej podłodze westybulu kurz leżał warstwą grubą na cal. Wiatr, który razem z nami wniknął przez otwarte drzwi, podniósł go i był na najlepszej drodze, by nas zadusić.

Na ścianach trzepotały zmatowiałe gobeliny utkane z czegoś widocznie nad wyraz trwałego, skoro oparły się działaniu czasu.

Znaki działalności tego bezlitosnego nauczyciela leżały wszędzie wkoło nas -

metalowe urządzenia, ozdoby odpadłe od drewnianych, dawno zbutwiałych mebli.

Z przyprawiającym o ciarki skowytym wielkie drzwi za naszymi plecami zakołysały się i chociaż odwróciłem się błyskawicznie, to i tak za późno, gdyż zamknęły się ze szczękiem.

Z tej strony drzwi łypał na nas złośliwie duplikat srebrnej czaszki. Skoczyłem ku niemu, zacisnąłem na nim ręce. I nic. Drzwi były zablokowane.

Wściekły, przekręciłem upiorną maskę i chociaż włożyłem w to wszystkie siły, drzwi pozostały zamknięte. Odwróciłem się z gniewem do handlarzy.

Pośrodku westybulu stał rozkładający się trup.

Ruszył w naszym kierunku. Zbutwiała tkanina, resztki całunu, opadła w strzępach z jego kościstych ramion. Szurał stopami, kołysał się, jakby przegniłe nogi miały w każdej chwili się pod nim załamać. Smród wyprzedził go i napierał na nas falami.

Przyznałem się tu już kilka razy do szczerzego przerażenia, gdy zdarzyło mi się stanąć twarzą w twarz z czymś groźnym i obcym. Czasem wkraczają jeszcze w moje sny wielkie koty, oblizując zakrwawione kły, niby oblaskawione, lecz dzikie. Rubinowe oczy uwięzionego Mathketha

przyprawiały mnie o skurcz żołądka i bałem się, póki nie oceniłem właściwie tej istoty. Ten chodzący trup przeraził mnie jednak najbardziej, bardziej, niż potrafię to wyrazić. I nie wierzę, by przyznanie się do tego mogło przynieść ujmę mej odwadze.

Czy może odżył we mnie strach z dzieciństwa? Zdarza się czasem, że zapominamy w chwili wielkiej emocji wszystko, czego nauczyło nas cyniczne dorosłe życie, że jak dzieci czujemy się samotni i zagubieni w nocy, gdy odwróciwszy twarz od czegoś, co nieustępliwie człapie naszym tropem, biegniemy krawędzią urwiska, a czarny wiatr rozwiewa nam włosy.

Moje obecne przerażenie nie dawało się jednak wytłumaczyć tak prosto. Mistrz sięgnął w głąb naszych umysłów i znalazł tam to, co najbardziej pozbawia nas woli walki i to właśnie ustawił na naszej drodze.

Zastygłem z otwartymi ustami. Pot jak kwas zalewał mi oczy. To przecież było niemożliwe, chyba że przeznaczenie doprowadziło mnie do bram piekła. Widziałem to, co widziałem. Nie było czasu na refleksje nad naturą złudzenia.

Twarz trupa, gdy zbliżył się do mnie, zżarta była przez rozkład. Z policzków i szczęk zwieszały się fałdy i grudy szarego mięsa. Próbował poruszać bezwargimi ustami, jakby chciał coś powiedzieć, by oskarżać. W ślepych oczodołach roiły się tłuste, białe robaki, lecz widział mnie. Sięgnął, by mnie pochwycić.

Głowa trzymała się na ściegu charakterystycznym dla pustynnych wytwórców namiotów. To była głowa Rokhmuna, człowieka, którego zabiciem splamiłem mój ślub.

- Odejdź! - wrzasnąłem. Cienie przypikowały jak nietoperze, gdy kryształ zatrzęsł się wraz z dłonią Glade. Przełknąłem napływającą mi do ust żółć i chwyciwszy Alamo gordo w obie ręce, z ostrzem wzniesionym przed sobą, ruszyłem naprzód. - Wracaj do swego piekła lub zgruchoczę twe butwiejące kości i nakarmię szczury twym śmierdzącym mięsem.

Przemawiałem tak do niego gwarą pustynnych złodziei, wydało mi się, że tak lepiej zrozumie moje groźby.

- Hahn - ledwo usłyszałem mamrotanie Vandena, który stał gdzieś za mną.

- Och, nie, Ojcie - krzyknęła Glade i cisnęła kryształ, który rozsiewając blask potoczył się po kurzu podłogi.

Trup zatrzymał się i otworzył usta.

- Przestępcy, jam Śmierć. Spójrzcie na mnie, bo takim jest wasze przeznaczenie. Wy, którzy ośmieliliście się wdrzeć do Miasta Nocy. Patrzcie uważnie, zanim umrzecie, byście dobrze mnie poznali.

Vanden potknął się i runął gdzieś w stęchły mrok z przeraźliwym wrzaskiem.

Spojrzałem na niego i jakaś cząstka mojego umysłu zapytała, czemu niby widok złodzieja Rokhmuna,

który wrócił z piekła, robił na nim aż takie wrażenie. Oczy miał rozszerzone strachem, skóra na twarzy jakby mu się zbiegła, ślina ciekła z rozchyłonych ust.

- Ten smród! Trzymaj się ode mnie z dala, Hahn. Patrz, bracie, poznaję cię. Znam twoją żądzę zemsty, biedny Hahn. Och, ziąb wieje od ciebie, wstrętny ziąb grobu...

Glade znalazła w kurzu swoje światło. Chwyciła Vandena brutalnie za ramię, okręciła go twarzą do siebie.

- To nie jest twój bliźniak, Vandenie.

- Jest - trząsał się nieustannie. - Patrz dobrze, czy jesteś ślepa, Glade? Spójrz na niego, och, nie dopuść go do mnie...

- To mój zmarły ojciec, Vandenie - rzekła Glade gwałtownie. - Kiedy patrzę na niego, nadal to widzę. To tylko upiorna sztuczka Mistrza, powstała na nasze powitanie.

Cofnąłem się trzymając nadal miecz, by móc do nich dołączyć.

- Glade, ja widzę człowieka, którego zabiłem w moim własnym świecie.

- Nie patrzcie na to - zwróciła się do obu. - Vanden, wierz mi. Hahn leży pochowany na cmentarzu w Asuliun. Poza tym, jego duch nie ma powodu żywić do ciebie urazy. Kapłani już dawno uznali twoją niewinność.

Policzki handlarza zalał rumieniec. Zaprzestał mamrotania, ze złością zrzucił dłoń Glade ze swojego ramienia.

- Co oni mogą wiedzieć o mojej winie? Czy zwlekałem, by stawić czoła bestii, która go zabiła... - Umilkł, obejrzał się jeszcze na trupa, który czekał teraz w milczeniu; potrząsnął

głową, jakby zmieszany. Tonem niepewnego siebie dziecka spytał: - A zatem to nie jest Hahn?

- Nie - mruknąłem. - To demon, który przyszedł pokonać naszego ducha, by ukarać nas za wkroczenie do tego piekielnego pałacu.

Trup uniósł ramiona. Z przegniłego mięsa sterczały ułamki kości.

- Głupcy! - powiedział głosem odrażającym i oślizłym. - Zawróćcie, jeśli boicie się śmierci. To ona stoi przed wami w pałacu Aji-suki-takahikone, Pana Grzmotu rozlegającego się między ziemią a niebiosami, Mistrza Wojny z Treet Hoown, wielkiego tego świata. Jeśli nie pokonacie pająka Nic, nie posuniecie się dalej.

Skoczyłem ku trupowi z wyciem, które zagłuszyło jego dalsze słowa. Alamo gordo zabłysnął pożądliwie, smród ścisnął mi gardło, ziąb trupa przeniknął przez moją odzież, ścisnął moje serce.

Ostrze zaiskrzyło się zielonym, magicznym ogniem. Zatoczyłem się, straciwszy równowagę. Nie było

chrupnięcia kruchych kości ani strugi ciężkiej posoki, kiedy Alamogordo przeciął straszyczo. Z takim samym efektem mógłbym ćwiartować wiatr.

Zanim zdołałem przyjść do siebie i uderzyć ponownie, trup rozplynał się i zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy.

Serce z wolna przestawało mi łomotać. Odłożyłem miecz, by odpocząć.

- Dotknięcie żelaza skierowało demona z powrotem do piekła.

- Sądzę, że można to wytłumaczyć prościej - zaśmiała się Glade. Schyliła się ponownie po kryształ i zdmuchnęła kurz z jego lśniącej powierzchni. Vanden wciąż gapił się na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stało widmo. Poszukiwaczka podeszła do niego. Z

niepokojem i troskliwie zwróciła się do Vandena, który wyraźnie nadal nie mógł pozbierać myśli:

- To było tylko złudzenie, mój przyjacielu. Nie daj się temu podejść.

Resztki koszmaru nocnego można z siebie strząsnąć, ale ta zjawą przywarła do mnie, wtaczając mi do głowy ciężki kamień poczucia winy.

Vanden zamrugał, jego wzrok stał się znów przytomny.

- Iluzja... - stwierdził, a smutek i niepewność zeszpeciły jego twarz. Bez przekonania skinął głową, lecz nie spojrzał nam w oczy. - Tak, może. Gdyby to był mój brat, nie milczałby o mojej winie. Czy wymienił jakieś imię?

- Bardzo długie - powiedziałem. - Nie uchwyciłem go.

- Aji-suki-takahikone - stwierdziła Glade. - To bardzo starożytne imię. Mistrz Wojny przybrał je w swojej pysze.

- Tak - rzekł Vanden. - Iluzja...

Zapatrzyłem się w ciemność rozległej komnaty.

- Fantom czy demon - stwierdziłem kategorycznie - ta rzecz jest dla nas złą wróżbą.

Poszukajmy lepiej drogi do wyjścia, zanim wróci z bardziej cielesnymi współnikami.

- Nic nam nie przyjdzie z odwrotu - zareagowała gwałtownie Glade, kierując światło to tu, to tam. - Ponadto, wiemy już, że to wyjście jest zablokowane. By uciec, musimy iść naprzód. - Uśmiechała się przy tym blado i trochę bez przekonania. - Czy rzeczywiście mielibyśmy doszedłszy tu nie zdobyć jakiegoś niezwykłego skarbu? Po cóż innego, jak nie dla ochrony bogactw miałby Mistrz Wojny wyposażyć swój pałac w aż tak ohydne środki odstraszenia?

- Boję się, Glade - Vanden szczął zębami. - Śmiertelnie się boję - przycisnął

knykcie do ust. - Powietrze cuchnie zastałym złem. Musimy się wycofać. Xaraf ma rację.

Ociągając się tu, narażamy nasze dusze na wielkie ryzyko.

A potem przemówił Alamoardo.

Milczał przez cały czas naszej penetracji, zapomniałem już, że ktoś jeszcze w ogóle mógłby się tu odezwać, tak że kolana mi się ugięły jak przed skokiem, zakręciłem się i wydobyłem miecz gotów uderzyć. Minęła chwila, nim zrozumiałem, że to moja broń była tym, kogo zamierzałem nią sięgnąć. Nie roześmiałem się jednak.

- Xaraf nie ma racji mówił miecz. - Ta komnata jest zapieczętowana. Za parę minut zacznie napełniać się trującymi oparami. Doradzam działanie.

Pod koniec tego łagodnego w sumie upomnienia zdałem sobie sprawę z czegoś, co wcześniej umykało mojej uwagi: z ledwo widocznego blasku, niewyraźnego promieniowania.

Zmrużyłem oczy przed blaskiem kryształu Glade.

- Glade, zgaś światło.

- Nie! - Vanden nie posiadał się z przerażenia. Ścisnął kryształ gwałtownie. - Musimy mieć światło. Coś może podkraść się do nas w ciemności.

- Zamknij się. Zrób, jak mówię, Glade.

Wrzuciła kryształ do skórzanej torby.

Pokój zaległ mrok czarny jak smoła wokół nas. Cały, z wyjątkiem miejsca, gdzie na granicy widoczności zwieszała się półprzezroczysta kula.

- Nic nie widzę - rzekła Glade.

- Spójrz jeszcze raz - sięgnąłem na oślep w ciemności i znalazłem jej rękę i zetknąłem ją z ostrzem.

- Ach - chwyciła z kolei rękę Vandena. - Przypuszczam, że to Alamoardo kieruje naszą uwagę na ten obiekt.

Miecz nic nie powiedział.

- Wielka bańka z jakiegoś nieziemskiego tworzywa zawieszona na dłoni wysoko nad podłogą. Czy to właśnie widzisz?

- Xarafie, to pojazd.

- Dobrze, ale czy również pułapka?

- Z pewnością nie - stwierdziła Glade. - W widoczny sposób ta rzecz jest chroniona przez osłonę taką samą, jak ta, która kryje miasto. Po cóż przysłać urządzenie do zadawania śmierci? Byłby to

zbytek wyrafinowania, a dostający się do tej komnaty intruzi są już i tak wystarczająco narażeni na ciosy.

- Niebezpieczeństwo tkwi we wszystkim - Vanden był gotów się spierać - co jest wytworem Mistrza Wojny. Był zdradziecki. Uważajmy na nasze kroki, Glade, bądźmy przezorni.

Jego wizja, ktokolwiek mu się ukazał, była skuteczna; niemal zupełnie pozbawiła go odwagi.

Pogrążeni w mroku przeszliśmy przez rozległą, zakurzoną salę, co nie było łatwe, gdyż przez cały czas, brnąc w kurzu, każdy musiał pilnować swego kontaktu z ostrzem miecza. Panowała cisza. Odgłos naszych kroków tłumił pył. Stęchlizna zatykała nam oddechy, lecz trupi smród już przeminął. Gdzieś od strony drzwi wejściowych rozległo się w pewnej chwili słabe syczenie, które trwało i z wolna zaczynał mu towarzyszyć ledwo wyczuwalny aromat róż.

- Jesteśmy bezpieczni! - krzyknął Vanden. - Drzwi się otwierają!

Opanowawszy panikę, Glade odpowiedziała:

- Zgoła odwrotnie. Nie możemy teraz tracić czasu. To jest opar, przed którym ostrzegł nas Alamoardo. Czy nie wiesz, jak dostać się do wnętrza kuli, Xarafie?

- Poczekajcie tu - zatoczyłem koło w prawo, idąc tak szybko, jak tylko mogłem.

Ponownie ujrzałem światło; to Glade wyjęła kryształ z torby. Miecz zadzwonił słabo, wspomagany przez osobliwą moc mogłem teraz widzieć zarówno moich skulonych towarzyszy, jak i unoszącą się w powietrzu świetlną kulę. Żadne drzwi jednak nie otwierały się w jej gładkiej i opalizującej powierzchni. Nie było wiadomo, czy stanowi dla nas jakąkolwiek szansę. Zapach różanego kwiecia był coraz silniejszy.

- No i jak?

Ujrzałem z zaskoczeniem, że okrążyłem już całą kulę i nie dowiedziałem się niczego.

- Nie ma wejścia.

- To czeka na nas tam, w zamkniętej przestrzeni - stwierdziła Glade. Powieki jej drgnęły, zebrała się w sobie i chwyciła moje ramię. - Xarafie, mój ojciec, mam na myśli wyobrażenie, które ty nazwałeś demonem, przekazał nam wiadomość. Wydaje mi się, że jest to zarówno wezwanie, jak i ostrzeżenie.

- Wytnę wejście, jeśli będzie trzeba - rzuciłem w nagłym gniewie. Głowa mi ciążyła od aromatu. Wyobraziłem sobie przez chwilę, że raz jeszcze jestem przywiązany łańcuchami do drzewa w Lesie. Koty, zabójcze ptaki. Alamoardo rozpryskujący posokę nad moją głową.

Światło zamigotało. Włoski na rękach zjeżyły mi się, gdy zasłona niewidzialności zniknęła. Jak lita, wypukła tafla lodu powłoka kuli wyginała swą krzywiznę w naszą stronę.

Blask tańczył na jej powierzchni. Poczułem, jak jakaś siła ciągnie moje w miecz uzbrojone ramię. To kula przyciągała ostrze.

- Jest tu jakieś powinowactwo między mieczem a kulą - stwierdziłem. Gniew przeminął, teraz czułem głód, nieopanowany głód. Miecz został już uniesiony dość wysoko i kołysał się w powietrzu.

- Mam go zostawić?

- W żadnym przypadku - Glade wpatrywała się we mnie z lubieżnym wyrazem twarzy, który stał w całkowitej sprzeczności z jej słowami i czynami; zaczęła rozpinać bryczesy. Zatrzymała się w pół gestu i spojrzała na mnie ze zdziwieniem i smutkiem. - Spiesz się, Xarafie. Skoro miecz jest mapą, to może jest i kluczem do tego zamka.

Vanden zaczął się śmiać głupkowato. Usiadł w kurzu, kretyńskie łzy uciechy płynęły mu po policzkach.

Jak monstrualny magnes, tak kula przyciągała miecz. Poszedłem za nim, ramiona drżały mi z wysiłku. Ostatnim rozdygotanym pchnięciem czubek ostrza wbił się w powierzchnię. Prawie wyrwał się przy tym z mojego uchwytu.

- Xarafie, my chyba umieramy. Spiesz się, proszę! - krzyknęła Glade. Podnosiła Vandena, który jadał już kurz.

- A co niby robię, do kurwy? - kula zatrzeszczała i otworzyła się. Światło wylało się z niej.

Szczelina rozszerzyła się na odległość rozpostartych męskich ramion. Alamogordo natychmiast stał się bezwładnym kawałem żelaza i padł na moje ręce. Jeszcze chwila tutaj, a zginiemy, pomyślałem, i przeskoczyłem przez otwór.

Wnętrze było ciepłe i miękkie jak ludzkie ciało. Dookoła wklęsłej powierzchni krążyły nieustannie wstęgi światła. Powietrze skażone było stęchlizną, ale nie czułem tu zapachu róż, a zakrzywiona podłoga wolna była od kurzu.

- Szybko! - zawołałem. Przykucnąłem z ostrzem w pogotowiu i zwężonymi czujnie oczami. Wnętrze kuli pozbawione było życia.

- Pomóż mi z Vandenem - zawołała Glade, sapiąc z wysiłku. Odwróciłem się; zadała go sobie na plecy, lecz nadal był za ciężki. Wejście do kuli zaczęło się z wolna zamykać.

Skoczyłem do przodu, wcisnąłem się między nacierające krawędzie.

- Cofnij się! krzyknęła Glade. To cię zmiażdży!

Natężyłem się. Jakiś ukryty mechanizm, który wciąż jeszcze funkcjonował, zarejestrował moją obecność. Otwór rozwarł się ponownie. Sięgnąłem jedną ręką w dół i pomogłem wgramolić się oszołomionym handlarzom do środka. Zwaliliśmy się na stos, a wejście zamknęło się ostatecznie. Glade ciężko, chrapliwie wciągała powietrze, które oczyściło się już z tej odrobiny oparu

wprowadzonej razem z nami. Zdawało mi się, że słyszę brzęczenie os. Wstęgi światła uspokoiły się. Zauważyłem, że powierzchnia kuli stała się nieprzezroczysta, zupełnie jakby jej masa zaszła mgłą. Z nieopisanym wdziękiem i gracją bańka uniosła się i poszybowała w kierunku najdalszej ściany westybulu. Nie mogłem naprawdę ocenić wielkości i wspaniałości tego pałacu, jako że sam westybul był kolosalny.

Przed nami przesunęły się zamazane mocno obrazy połamanych mebli, których jeszcze nie wykończył rozkład, pogięte żelastwo, jakieś wzniesienia i zagniecenia na wpół widoczne pod pokrywą kurzu. Wszystkie te pozostałości jarzyły się lekko w promieniowaniu kuli jak nawiedzone, upiorne zjawy ze snu. Vanden wydał okrzyk przerażenia. Spojrzałem przed siebie.

Przed nami z wolna wynurzała się ściana - złowieszcza, przerażająco materialna.

Instyktownie skuliłem się, czekając na zderzenie.

- Pękniemy jak skorupka jajka - zabeczał Vanden.

- Nic się nie stanie! - krzyknęła Glade. - To byłoby przecież nielogiczne...

A potem ściana znikła. Posuwaliśmy się teraz przez inne zupełnie pomieszczenie. Ot, po prostu, przez kulę przebiegł zimny cień, wstrząs i nim zdążyłem zareagować histerią, przelecieliśmy przez ścianę jak przez dym. Zziębnięty i skulony patrzyłem na nowy pokój.

Ten lśnił własnym światłem. Wszędzie pod ścianami porozstawiana była fantastyczna broń, która wprawdzie też nie oparła się pacyfizmowi czasu, lecz wyraźnie podobna była do oręża z cytadeli Mathketha.

- Zbrojownia?

Pot perlił się na twarzy Glade. Tuliła do piersi Vandena, który był mocno osłabiony, załamany i płakał.

- Bardziej przypomina wczesne instalacje obronne - stwierdziła. - Myślę, że nam nie zagrazi. Mimo wszystko, to urządzenie powinno być tu tolerowane zgodnie z dawnymi programami.

Zbrojownia przesunęła się obok. Przed nami zawisła kolejna ściana karbowana pustymi ekranami kwarcu i mnogością nieczynnych wskaźników. Glade raz jeszcze wspomniała o naszym bezpieczeństwie. Nie było żadnych kłopotów przy ścianie: kula mknęła niepoohamowana do celu, materialne przeszkody były dla niej niczym. Przedni skraj pograżał

się tylko w ścianę, przez chwilę ogarniał nas chłód i trzepotanie cienia i przechodziliśmy bez szwanku. To mogło pomieszać w głowie.

Ścisnąłem rękojeść Alamogordo. Inteligentny miecz nie starał się nawet słowem dodać mi otuchy. Mimochodem obserwowałem przemykające obok wyszukane rzeźby ozdabiające ściany tej bladezłotej nowej komnaty.

- Jak to możliwe? - mój własny głos, jak u Glade, był cichy i cienki od stresu. -

Materia nie może przecież przenikać materii. Można by pomyśleć, że te ściany są szydzącą z nas iluzją... zupełnie jak ten upiór.

Nieoczekiwanie Vanden podniósł zaczerwienione oczy.

- To jest sztuka, która została zapomniana - stwierdził z zaskakującą rzeczowością. -

Praktykowano to często w starożytności. Ciała stałe, płyny, plazma, powietrze; wszystko to są zwykłe przejawy postaci zasadniczej energii. To urządzenie posiada zdolność dostosowywania swego stanu skupienia, to samo czyniąc ze swymi pasażerami, co umożliwia przenikalność.

- Masz na myśli... - przełknąłem z trudem. - To my, a nie ściany, stajemy się niematerialni? -
wałęsam pięścią w powierzchnię kuli. - Widzisz? W ten sposób obalam twoją teorię;

- Naiwny jesteś, Xarafie - Glade przyciągnęła moje ramię i uśmiechnęła się do mnie z dziwną, wymuszoną słodyczą. - My i nasz wehikuł dzielimy ten sam stan. Nie można go doświadczyć od wewnątrz. Ale nie bój się - pociągnęła mnie, bym przykucnął na zakrzywionej podłodze - ten efekt jest tylko chwilowy. Jak długo mechanizm działa sprawnie, tak długo nie grozi nam rozproszenie na cząsteczki mniejsze niż kurz.

Prześlizgiwaliśmy się teraz przez mniejszy pokój o przesadnym luksusie - sądząc po głębokiej muszli w podłodze i igraszkach w wodzie przedstawionych frywolnie na ścianach, była to łazienka. Glade uniosła brwi i posłała mi tajemniczy uśmiech. Dotknąłem jej ramienia, ścisnąłem jej palce. Znowu przeniknęliśmy przez ścianę, by podryfować przez rozległy korytarz.

- Jaka z ciebie pociecha - kwaśno, przez ramię, rzucił jej Vanden. Przycisnął twarz do bańki. - A to co jest?

Po obu stronach ciemnego hallu, na całej jego długości, maszerowały karnie jajowate bryły. Każda była niemal dwukrotnego wzrostu sporego mężczyzny. Wewnątrz, w niemiłym dla oczu blasku dostrzec można było ludzkie postacie w zwykłych pozach snu. Nagle, z zamkniętymi oczami pływały w jakimś ośrodku, ich włosy rozwiewały się wkoło głów.

Glade wciągnęła głośno powietrze.

- Mieszkańcy Treet Hoown! Do tej chwili nie bardzo wierzyłam...

- Czy są martwi? Trudno zaprzeczyć, że wyglądali na nieżywych, zupełnie jak, prawdę mówiąc, marynowane ryby w szklanych słojach.

- W pewnym sensie, tak. Ale nie widzę powodu, by wątpić, w możliwość przywrócenia ich do życia. Znajdują się w stanie zawieszenia, bezpieczni od rozkładu, który zrujnował to miasto.

- A jak można ich wyzwolić? - spytałem szorstko.

Odbieraliśmy milczącą paradę żywych martwych zamkniętych w tej jednej zamrożonej chwili, która przetrwała tysiąclecia i która bez odmiany mogła trwać jeszcze długo, jeśli Mathketh mówił prawdę, aż do czasu, gdy prawdziwe Słońce umrze w drgawkach.

- Tylko mistrz zna klucz - rzekł Vanden. Odwrócił twarz od mieszkańców miasta. Na jego obliczu malował się wstręt. - Umysł, który ułożył ten plan, rzeczywiście jest umysłem potwora. Powinniśmy podjąć ryzyko uwolnienia go choćby po to, by przywrócił tych nieszczęśników do życia - spojrzał na nas kolejno. - Nie, nie możemy tego zrobić. Moja dusza jarzy się wstydem, ale nie wolno nam skazywać świata raz jeszcze na obłąd.

Wznieśliśmy się przez mrok. Śpiące szeregi płynęły jak lunatyczna armia.

Teraz byli inni. Wojownicy o srogich twarzach stali w pogotowiu w zamrożonej czasem chwili gotowości. Ci byli w pełni ubrani, polerowane zbroje pociemniały od zielonkawej luminescencji, zdobione świetlne lance zwieszały się po bokach, w pięściach tkwiła broń w kształcie dzwonu. Jeśli to akurat nie była armia gotowa do ataku, to mogła łatwo się nią stać.

- Straż osobista Mistrza Wojny - zasugerowała Glade.

Korytarz skończył się wreszcie. Kula przeniosła nas przez solidną metalową ścianę.

I znaleźliśmy się w sali tronowej.

Byłem już przedtem w tym miejscu. Dreszcz przeszedł przeze mnie, gdy je rozpoznałem. Światło oślepiające jak tajemnicze wnętrze kryształu zabłysło z tuzina majestatycznych kaganków wykutych z zielonej od grynspanu miedzi. Lśniło i drgało w niezliczonych refleksach rzucanych na jasną stal ścian, podłogi, na wypolerowany sufit.

Żółtawozielony dym snuł się wokoło - kaganki musiały zapłonąć żywiej na nasze powitanie. Nawet same z siebie w nienaturalnym mieście nie mogłyby płonąć tak długo, dłużej jarzyć, niż stoją góry. Ale nie patrzyłem już na opary ani na odbłaski w szkarłacie, bursztynie i brązach.

W centrum połyskującego pokoju, w rozdziawionych szczękach wielkiej, czarnej kamiennej cząstki, na wysłanym złotymi i szmaragdowymi poduszkami łożu sprężynującym listwami z kości słoniowej przykucnął pławiący się w worach swego spasionego ciała Mistrz Wojny. Poczulem mdłości, patrząc na bladość jego skóry.

- Ta bestia jest bardziej ropuchą niż człowiekiem - krzyknąłem poznając go; pamiętałem go przecież z mojego nocnego koszmaru. Z przerażeniem podniosłem oczy pewien tego, co ujrzę powyżej.

Z głębokich oczodołów spozierała na mnie para strasznych wojowników. Skóra ich była matowozielona, łuskowata jak u gada. Z rozchylnych ust sterczały ostre kły lśniące od śliny. Nozdrza ukryte mieli w fałdach skóry między oczami. Byli ubrani.

- To nie są ludzie - szepnęła Glade. - Jaki to upiorny eksperyment ich stworzył?

W końcu zmusiłem się, by spojrzeć na ową straszliwą kreaturę, której strzegli i na jej więźnia.

Nie ruszał się. Do swego obwisłego, pomarszczonego brzucha przyciskał młodą kobietę, której rysy zdawały się wyrażać nieopanowany wstręt. Jego ręka, ciężka od szlachetnych kamieni, ścisnęła jej blade, obnażone udo.

Znałem ją. Znałem złotobrazowy płomień jej włosów, znałem i kochałem jej zielone oczy, zielone jak pierwszy promyk świtu na niebie, znałem dotknięcie jej cudownie gładkiego ciała, rozkosznego, ciepłego, złocistego...

I, oczywiście, nie byłem tu przedtem nigdy w życiu. Śniłem to miejsce. Czy też Darkbloom wyśnił je dla mnie.

*

Migocząca bańka zatrzymała się na dziesięć kroków przed tronem. Zielona, błoniasta powłoka jak skorupa jaja chroniła i czaszkę i tych, którzy byli w środku, lecz każdy szczegół

obrazu był dobrze widoczny w tańczącym blasku płomieni.

Aji-suki-takahikone okazywał bez żenady swe sprośne samozadowolenie. Był

obrazem opasłej kreatury, która pożera nieustannie śmietankę tego świata: tłuszcz wydał

worki pod jego oczami, obciągnął policzki, napełnił brzuch. Parodia brzemienności. Nazwał

się świata, a cała lubieżność rozděła jego ciało, ciało blade i chore. Luźna, lśniąca toga z wybornego materiału okrywała jego barki i ramiona, lecz nie mogła ukryć zwałów bezwłosego ciała, które wylewało się na zewnątrz.

Otwór w kuli otworzył się bezdźwięcznie. Ledwo to zauważyłem. Wpatrywałem się znów w kobietę, którą znałem z moich snów. Jej uroda zeszepecona była przez przerażenie, rysy jej stężały, usta otwarte były w niemym krzyku, wargi odsłaniały zęby. Przepełniony uczuciami, których nie potrafiłem nazwać, nie mogłem oderwać od niej oczu. Jej włosy jak grzywa spływały na nagie ramiona. Całe moje życie nakierowane było na przeżycie tej właśnie chwili. Brakło mi tchu. W skroniach łomotała mi nienawiść do Aji-suki-takahikone, puls łomotał jak dzwon w moich uszach. A przecież nigdy, w żadnym śnie nie poznałem nawet jej imienia.

Kochałem ją tak gwałtownie, nieopanowanie, i od tak dawna (i kotłowało się teraz w mojej biednej głowie i piersi), że stałem jak sparaliżowany, wpatrując się w nią, niewolną, mrużąc głębokim głosem, jakiego nigdy nie słyszałem wydobywającego się z mego gardła.

Glade dotknęła mego ramienia raz i drugi, potrząsnęła mną.

- Xarafie, kula jest otwarta.

- Co? Co? - kobieta, której imienia nie znałem, była blada jak córka Berb-Kisheh.

Cały jej spokój i wdzięk przepadły za sprawą tej podłej kreatury. Zabiłbym go. Okaleczył i pozbawił męskości.

- Weszliśmy do pułapki - stwierdziła Glade. Spojrzałem na nią. Cofnęła się ujrawszy moją twarz. Nie miałem jak wytłumaczyć jej tego wszystkiego. Nie teraz i nie tutaj. Dodała: -

Zobaczmy, może uda się to jakoś wykorzystać, byśmy wyszli i cało, i z zyskiem.

- Dobrze - zgodziłem się.

Wyszliśmy wprost na lustro. Duplikaty nas samych odbijały się zewsząd, chcąc nas dezorientować, sugerując nam fałszywe odległości. Tutaj, u celu podróży, osłona niewidzialności została zdjęta i kula unosiła się nad podłogą jak miękka zabawka, pływająca skorupa z obręczami światła. Zaczęliśmy się ostrożnie od niej oddalać. Vanden jęknął coś pełnym bólu głosem. Zatrzymaliśmy się i poczekaliśmy na niego. Stał nieruchomo i wyglądał

na załamane, osłabionego.

- Coś pękło we mnie, w mojej duszy - rzekł otwarcie. Zniknął jego charakterystyczny cynizm, chociaż strach nie miał teraz do niego przystępu. - Może to ta zjawka, która przypominała mi o winie zbyt długo skrywanej przed mym własnym sumieniem.

- Och, Vanden, jesteś...

- Nie, Glade, pozwól, niech powiem - przetarł oczy, pod którymi malowały się głębokie sińce. - Może moja wina jest tu bez związku. Może to tylko ta nikczemna rzecz, którą tu widzimy przed nami, razi mnie jak ropiejąca rana...

Powietrze było doskonale nieruchome, lecz płomień mimo to trzaskały i migotały.

Wszystko nosiło pozory złudzenia, chociaż złudzeniem nie było. Vanden, jak zrozumiałem, obrócił swój strach w poświęcenie.

- Stwierdzam, że nie interesuje mnie, czy zdobędziemy łupy i rozgłos - powiedział.

Głos jego był cichy, kłuł jednak jak szpikulec. Spojrzał zmęczonymi oczami w twarz Glade. -

Mimo mojej miłości do ciebie, najdroższa przyjaciółko, nie troskam się już, czy powiodą się twoje poszukiwania. Pragnę tylko jednego: ujrzeć, jak to brudne plugastwo zostaje zniszczone

- wymownym gestem wyciągnął rękę ku Aji-suki-takahikone. Ujrzeć tych nieszczęśników uwolnionymi, zobaczyć Treed Hoown przywrócone życiu i to życiu w pokoju. Czy możesz to pojąć? - zaśmiał się. - Przysięgam ci, Glade, że ja nie umiem tego sam ogarnąć, ale tak jest -

po czym westchnął długo i boleśnie. Spojrzał uważnie na Glade, a następnie raz jeszcze cisnął

wzrokiem ku wielkiej czaszce. Glade, jak widziałem, była bardzo zmęczona. Kiwnęła głową i opuściła oczy.

- Oczywiście, masz rację, Vandenie. Nic nie wydaje mi się ważniejsze, niż oswobodzenie tych tu nieszczęśników. Jednak wydaje mi się, że przeszkody na drodze do tego celu są dla nas nie do pokonania.

- Zostaliśmy tu skierowani - przypomniałem im. - Może to właśnie jest naszym zadaniem. Alamo gordo - rzuciłem szorstko - czy tak właśnie jest? Czy naszym przeznaczeniem jest zbudzić to miasto?

Miecz milczał. Po chwili ciszy Glade wzruszyła ramionami.

- Jak Vanden już powiedział, nie możemy ryzykować spuszczenia tej kreatury ze smyczy i pognania jej w nasz umierający świat. Jednakże myślę, że nie będzie dla nas łatwe samo ujście stąd z życiem, nawet jeśli niczego nie tkniemy i zostawimy tak, jak zastaliśmy.

Czy nie zauważyliście tych żalosnych szczątków naszych poprzedników? - wskazała na miejsce w pobliżu nadal jaśniejącej kuli. Jak dotąd nie patrzeliśmy na ten pogrążony w mroku fragment sali. Niemniej, spojrzawszy ujrzeliśmy w męczącym oczy bezrefleksowym pełganiu światła kości rozrzucone jak pozostałości po uczcie dzikich psów. Były to ludzkie kości.

- Ci nie wynieśli stąd ani łupów, ani niesamowitych opowieści - wymamrotałem.

Posunąłem się o krok w kierunku strefy cienia. Jak zginęli ci mężczyźni i kobiety? Nic nie poruszyło się tu, by nam zagrozić, nic, prócz jasnych płomieni wyrzucających strugi oleistego dymu.

- Czy spotkać nas tu ma inny automat rodzaju Mathketha? - Vanden spojrzał na szczątki z odrazą.

- Może to jest legowisko jakiejś potwornej maszynerii o upodobaniu do ludzkiego mięsa?

Nie wiedziałem, czy mam brać go poważnie. Posunąłem się o następny krok.

Płomienie zapełgały, jakby oddech olbrzyma dmuchnął przez salę, oddech smrodliwy i powodujący kaszel. Przycisnąłem ręce do nosa i ust. Światła przeszły w ponurą czerwień. W

cuchnącym mroku na naszej drodze raz jeszcze stanął trup.

Nie przyszedł jednak sam.

Dwoje nagich młodych ludzi przywarło do zgniętego ciała. Młodych ludzi? Może dzieci raczej, gdyż ciała ich jeszcze niezupełnie porosły włosami.

Huścili się w tym miejscu między ignorancją a wiedzą, między - jak chciała tego wizja Mistrza - dziewiczością a zepsuciem.

Byli demonicznie piękni.

Chłopiec był biały jak marmur, gładki, o włosach jak len, z wyraźnie zarysowanymi ustami, spojrzenie jego niebieskich oczu było przebiegłe, niepokojąco lubieżne. Widywałem już jemu podobnych na targu niewolników, gdzie tłuści kupcy wyszukiwali swych biernych kochanków. Pieścił trupa, szczerząc ku nam z ukosa zęby, a drugą ręką z mokrym od plwociny palcem wskazującym, sięgał ukradkiem, by dotknąć pączkujących piersi swej ciemnej siostry.

Dziewczynka była mahoniowa, wargi jej wąskie, oczy blade jak przepastne letnie niebo, spojrzenie kłujące. Jeśli wyraz twarzy bliźniaka był nieprzyzwoity, to jej był otwarcie sprośny; przyciskała swoją nagą szczelinkę do obłej, żółtej kości tej rzeczy, przywarła do trupa jak grzejąca suka, jak pies, który dosiada skołowany wyciągniętej obutej nogi i ociera się o nią prowokującymi ruchami.

Przymrużyła oczy, gdy dotknęły jej palce brata i zadrżała sięgając ku bladym pośladkom chłopca.

Od ich ciał nadpłynęła do nas woń perfum, potu i piźna zmieszana z grobowym odorem trupa.

Chłopiec przemówił. Głos miał słodki i kuszący jak lira nastrojona do grania zmysłowych melodii:

- Nieroztropni śmiertelnicy, czy nadal trwacie przy swoim zamiarze? Opuśćcie tę komnatę, a poznacie tylko zwykłą śmierć. Pozostaniecie, a my będziemy mieć was do naszych igraszek.

Zaśmiał się dźwięcznie i nierówno, zupełnie jak śmieje się młodzieniec w okresie mutacji. Oczy jego patrzyły na nas i czało się w nich doświadczenie, i śmiał się nieustannie.

- Nie odejdziemy stąd - odezwał się Vanden zdławionym głosem. Wpatrzył się w grobowiec cieni obok trzech postaci, odwrócił się poruszony do mnie i do Glade. - Oni usiłują odciągnąć nas od tego miejsca, gdzie umarli inni. Zobaczcie kości...

Teraz przemówił trup, zgniły i wilgotny jak jego poprzednik:

- Sprzeciwiacie się nakazowi? Zrozum zatem: tu czai się szaleństwo. Umrzesz w męczarniach, a twój umysł rozpadnie się razem z twym miażdżonym i rozszarpywanym ciałem. Wciąż jeszcze tu stoisz? Boisz się z pewnością śmierci. Żaden człowiek nie może zdobyć tej posiadłości, o ile najpierw nie pokona pająka Nic.

Nic z tego nie było dla mnie zrozumiałe. Czuję tylko, że pomieszano tu zakazy z wyzwiskami.

Widok dzieci zarazem podniecił mnie i oburzył. Ryknąłem tak, jak uczono nas ryczeć w ogniu bitwy.

- Z drogi! Raz przepędziłem cię już za pomocą stali. Czy muszę powtarzać tę lekcję?

- Nie trwoń się - powiedziała cicho Glade. - To też tylko złudzenie. Mistrz próbuje podkopać podstępnie równowagę naszych umysłów. Więcej zyskamy, jeśli wysłuchamy uważnie każdego słowa.

Czarna dziewczynka uśmiechnęła się do nas namiętnie. Przycisnęła piersi do trupa.

- Słuchajcie zatem - jej głos był chrapliwy, zmysłowy, raził moje zmysły. - Stoicie przed tronem Aji-suki-takahikone, władcy świata. Wewnątrz tego grobowca ciemności trwa życie dla tych, którzy pełni są życia, i śmierć czyha na tych, którzy muszą umrzeć. Tu jest klucz do miasta, które czeka na kogoś, kto pokona śmierć. Ten ktoś sam jeden zdoła ożywić Treet Hoown.

Mrok zdawał się rozpraszać i nasze oczy po raz pierwszy przeniknęły cienie. W głębi pomieszczenia stał pojemnik. W samym sercu ciemności spoczywał na czarnej, marmurowej płycie. Był wyrzeźbiony z zimnego i lśniącego hebanu jak niebo o północy.

Mógł to być czarny ogień? Promieniowanie widzialne jedynie pod nieobecność światła? Jeśli tak, to dzięki niemu dostrzegliśmy pojemnik.

Młodzi ludzie wycofali się za trupa. Trzymali się za ręce. Tymczasem straszna, przegniła twarz zwróciła się w kierunku podwyższenia.

- Jeśli jesteście mężni i nieśmiertelni, to idźcie naprzód. Ciszę Treet Hoown chroni *Mysterium Coniunctionis*. W nim to znajdziecie swe przeznaczenie, znajdziecie bogactwa i moc, by towarzyszyły waszemu nie kończącemu się życiu. Idźcie naprzód, by na to zasłużyć.

Kute w miedzi kaganki znów zapłonęły oślepiająco w ciemności, zmuszając nasze oczy do przymknięcia powiek, napełniając je łzami. Rzuciłem się naprzód. Trup i dzieci zniknęli, i tylko dym kłębił się tam, gdzie stali.

- Glade, co on powiedział? - po raz pierwszy, gdy urządzenie tłumaczące wtoczyło do mojej głowy

gramatykę i słownictwo języka handlarzy, nie mogłem zrozumieć jakichś słów.

- To był wymarły zwrot.

- Wyszedł z powszechnego użytku?

- Raczej został z rozmysłem usunięty.

- Aha. Słowo tabu. Zakazane. Czy odnosi się to do tych nieszczęsnych dzieci?

- Niezupełnie - moje naleganie było jej wyraźnie nie na rękę. - Od czasu do czasu nasi prawodawcy uznają niektóre słowa za szkodliwe - powiedziała niechętnie.

- Dopuszczanie do dalszego ich używania utrwaliłoby niewłaściwe modele myślenia i zachowania.

- Czy zwykle słowa mogą wywierać aż tak szkodliwy wpływ? - takie pytanie mógłby postawić mi Darkbloom, a teraz ja stawiałem je w jego imieniu, chociaż nie było to zgodne ze zwyczajem. Mój własny lud, przesądny tak w masie jak i przez każdego z osobna, nigdy nie wątpił, że słowa mogą wyleczyć, mogą skazać na potępienie, można przez nie czynić cuda, czy nałożyć klątwę.

- Oczywiście, że mogą - Glade zmarszczyła brwi, szukając przykładów na potwierdzenie czegoś, co było dla niej oczywiste. - Przypuśćmy, że pozwolono nam posłużyć się partykułami, które automatycznie określają płeć czy fizyczne cechy charakterystyczne, to czy te atrybuty nie byłyby związane z przedmiotem naszej dyskusji? Powstałyby ściśle określone i usankcjonowane kasty. I jak by ta szkoda mogła zostać potem naprawiona?

Stosowanie swobodnie rozwijającej się mowy sprzyjałoby wzrastaniu zła.

Teraz była moja kolej, by zmarszczyć brwi. Umysł pracował na zwiększonych obrotach. Fizyczne cechy charakterystyczne? Absurd. Czyżby Glade sugerowała zniesienie takich słów, jak *on*, *ona* czy *murzyn*, *nędzarz*, *dziecko*, *dorosły*? Przecież ona sama używała tych określeń. Nagle coś do mnie dotarło, zupełnie jakby nagle dosięgnął mnie cios. Glade nigdy nie używała tych słów. Ani ja, mówiąc do niej.

Ta machina, która sięgnęła do wnętrza mojego umysłu i zapisała w nim reguły języka, uczyniła to w sposób, którego nie kontrolowałem. Myślałem w moim własnym, starym języku, a ten dżin, który siedział w mojej głowie znajdował najlepsze odpowiedniki w języku Glade. I dokonywał tłumaczenia sensownego i wiernego, lecz w zgodzie z własnymi regułami.

Byłem oszołomiony. Na środku sali tronowej Aji-suki-takahikone zdruzgotana została jedna z zasad, prawd, w które dotąd wierzyłem. Mam wrażenie, że to od tamtej chwili stałem się kimś innym, kimś, kim jestem obecnie.

- Xarafie?

- Ja... innym razem, Glade. Zbyt głęboko mną wstrząsnęłaś, Wątpię, bym potrafił się teraz wyrazić dokładnie, opisać, jak...

Spróbowałem zebrać myśli, powiedzieć cokolwiek głośno.

- Ten usunięty termin. Dlaczego został uznany za szkodliwy? Pomyśl dobrze, Glade.

Twoja odpowiedź mogłaby być dla nas śladem.

- Szkoda była natury filozoficznej.

- Wszystko, co powiedziałaś, brzmi dla mnie jak nędzna filozofia, Glade.

- Może raczej powinnam powiedzieć: metafizycznej. Dotyczy wyznaczania nieopisanie atrakcyjnego celu, który jest też absolutnie nieosiągalny; poszukiwanie odpowiednika *perpetuum mobile*. Och, Xarafie, za mało jest teraz czasu, by rozpocząć twoją edukację z fizyki i teorii poznania! *Mysterium Coniunctionis* oznacza spojenie, zaślubiny jakby, wszystkich przeciwieństw i analogicznych zasad.

Pomyślałem o młodych, lubieżnych bliźniakach.

- Obu płci na przykład? - ta dwuznaczność dała się przetłumaczyć, jako że różnica pojęć była uderzająca. Napełnia mnie zakłopotaniem, iż nie zauważyłem tego wcześniej.

- Tak to sobie wyobrażam - stwierdziła powątpiewająco Glade. - Innym świetnym przykładem mogłyby być sen i jawa.

Poczułem się dziwnie.

- A życie i śmierć? - pomyślałem, że rozumiem wreszcie, o co chodziło tej okropnej kreaturze. - Jeśli Mathketh mówił prawdę, to Aji-suki-takahikone cenił nade wszystko właśnie nieśmiertelność. Czy przypuszczasz, że to miasto mogłoby być pułapką zastawioną na nieśmiertelnych? Że on wciąż jeszcze ma nadzieję zdobyć sekret nieśmiertelności, tyle że teraz podstępem, a nie orężem?

Vanden nie zwracał na nas uwagi. Wpatrzył się w ciemne migotanie, na twarzy jego malowało się przerażenie. Glade jednak była wyraźnie zaintrygowana tym przypuszczeniem.

- Xarafie, to może być to! A *Mysterium Coniunctionis*? Może to aparat do odróżniania nieśmiertelnych od bardziej kruchych rywali, czyli od nas?

Ta uwaga głęboko mnie zaniepokoiła.

- To by wiele wyjaśniło. To, jak łatwo tu weszliśmy. Owe prowokacje upiorów. To kości śmiertelnik przybyłych tu przed nami.

Ramiona jej opadły.

- Jeśli tak, to najlepiej zachować ostrożność, gdyż ona najbardziej sprzyja mądrości.

Nie możemy mieć nadziei, że podołamy takiej próbie.

I zaraz potem przeminął czas na filozofię, rozmyślania i wyważone oceny.

Vanden biegł przez lśniąca metalową podłogę. W dłoni ścisnął lancę energetyczną, biegł na oślep, na łeb na szyję prosto w strefę najgłębszego cienia.

Glade wrzasnęła przerażona.

Handlarz dobiegł do krawędzi cienia i potknął się. Ze spazmatycznym krzykiem parł naprzód, zupełnie jakby coś uchwyciło go i ciągnęło ku czemuś, czego nie mogliśmy dojrzeć.

Kiedy padł, jego krzyk nie osłabł. Wykręcił dłonie, by zahamować swój poślizg na gładkiej podłodze. A potem ujrzałem, że nie próbował jednak uciec. Czołgał się dalej.

- Ogień! - krzyknął wysokim, bolesnym głosem, wlokąc się naprzód. - Ogień! Ogień!

Szedł na czworakach w kierunku marmurowej płyty i wieńczącej jej nagrody.

Przenikliwy odgłos wyrwał się z jego gardła, krzyk bólu, krzyk, będący jakby częścią jego samego.

Vanden, zostań tam, gdzie jesteś - Glade zatrzymała się u granic cienia. - To cię zniszczy, po to tylko istnieje.

Jej słowa nie odniosły skutku. Umysł Vandena był w ogniu. Gapiłem się na to bezsilnie. Gdybym napotkał dziką bestię, uzbrojonego przeciwnika, nawet demona zrodzonego przez Hellmouth, to mógłbym polegać na swej sile i odwadze i stawiłbym im czoła. Ale wkroczenie do tej ohydnej pułapki byłoby po prostu samobójstwem. Glade płakała, niezdolna posunąć się dalej i nie potrafiąc się wycofać. Jej przyjaciel tymczasem pełznął ku swej śmierci.

Oślonięty nieprzeniknionym cieniem Vanden krzyknął raz jeszcze i nie ruszył się więcej. Wszędzie wkoło niego wałały się ludzkie kości, zupełnie jak zabawki jakiegoś mięsożernego bezrozumnego stworzenia. Glade zrywała swój ciężki, skórzany pas.

- Daj mi twoją kurtkę. I koszulę - rzuciła do mnie, rwąc swą własną odzież na długie pasy i splatając je w prowizoryczny powróż. Ściągnąłem pas z mieczem, kurtkę, jedwabną koszulę. Broń upadła z trzaskiem. Jak gdyby przebudzony tym ze snu, Alamogordo odezwał

się nagle:

- Xarafie, weź mnie do niego.

Wiedziałem pewnie, że to moje właśnie zadanie, wiedziałem, i to od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem ową uroczą dziewczynę trzymaną w objęciach przez ropuchę.

- Tak - stwierdziłem. Złapałem koniec powroza, który Glade wciąż jeszcze związywała, owinąłem go solidnie wkoło siebie.

- Nie - powiedziała Glade z gniewem. - To moja sprawa.

Wyciągnąłem Alamoardo.

- Słyszałaś, co on powiedział. Nie rywalizujemy o chwałę, Glade.

- Chwałę? - jej palce oddarły następny kęs materiału i dodały go do powrozu, o oczy zapłonęły furia.

- Nie bądź głupi, Xarafie. Mój przyjaciel umiera. Zamierzam go wydostać.

Nie możesz mnie powstrzymać.

- Umarłabyś, Glade - powiedział jej miecz spokojnie. - Pozwolono mi użyć Xarafowi określonej mocy, by wytrzymał to cierpienie.

- Mathketh wziął mnie za agenta nieśmiertelnych - dodałem. - Poznał to po Alamoardo, Glade. Dość.

- Odwróciłem się i rzuciłem w cień, powróż rozwijał się za mną.

*

Ku mojemu zdziwieniu światło nie zbladło nawet wtedy, gdy znalazłem się w centrum cienia *Mysterium Coniunctionis*. Przeszło mnie natomiast zimno, zupełnie jakbym nagi zakopał się w śniegu, czy wskoczył do zimowej, wezbranej rzeki. Podczas gdy moje wnętrze zamarzało, moje ręce i stopy parzone były białym żarem iskier. Na podeszwach wezbrały mi pęcherze, takie przynajmniej miałem wrażenie. Męczarnia była podwójna. Zwolniłem, kuśtykałem teraz. Vanden leżał przede mną w mgiełce. Tuż za nim błyskało czarnym promieniowaniem naczynie na postumencie.

Szarpnięcie w talii powiedziało mi, że nadal mam powrót do bezpiecznego miejsca.

Każdy wstrząs jednak wywoływał spazm nudności. W głowie huczało mi jak od choroby, jak po ciężkich dniach pijaństwa.

Trzymany w mej prawej ręce Alamoardo zaczynał jarzyć się czerwienią, potem bielą rozgrzanego żelaza. Wyglądał jak świeżo wyjęty z paleniska. Lecz mnie nie parzył.

Potykając się ruszyłem do Vandena. Zdawało mi się, że wcale się nie przybliżam.

Natura czasu zmieniała się jak podczas ciężkiego pijaństwa, gdy głowa oparta na poduszce zdaje się opadać, spadać w dół, a wyschły język błądzi po wyschniętych ustach, powieki zaskorupiają się, a noc wydaje się trwać wiecznie, i gdy w końcu przychodzi dzień ze swym kłującym światłem, ze swym upałem, które pchają i wloką cię przez nieskończoną, ponurą i mdlącą niedolę.

I wiedziałem, że - jak Vanden - umieram.

Światło zamigotało, zawirowało. Leżałem na posłaniu z cuchnących futer, rękę zaciskając na wielkiej ranie w moim brzuchu, a przez palce wypływała ze mnie wraz z życiem krew, pulsującymi falami

nasyłając na mnie ból i ciemność. Umarłem.

Umierałem. Biegłem z wyciem coraz niżej wąskimi, wilgotnymi i zimnymi korytarzami o kamiennych ścianach obłożonych rozłazącą się zaprawą; klaustrofobia ściagała mnie rozwrzeszczanymi kształtami bez twarzy. Zimne, zakończone szponami łapy sięgały po mnie, szarpały mnie i szturchały, a ja nie mogłem się uchylić przed ich mrozącym dotykiem.

Krwawiłem coraz bardziej, gdy wydarły mi oczy, gdy uderzyłem w ścianę i odbiwszy się od niej wpadłem w uzbrojone w dwa rzędy zębów paszcze.

Umierałem. Głosy poświstywały jak burza śnieżna hulająca na wysokich pastwiskach Kravaardu, wyrzucając w bólu obrzydzenie i nienawiść, wykrzykując swą pogardę. Śmiech drwił jeszcze echami, gdy umarłem.

Wpadłem do basenu pełnego kwasu, który zawrzał i zasyczał, przeżerając moje ciało do kości. Wrzeszczałem jeszcze z gardłem pełnym palących gazów, które pieniły się i lizały mnie swym smrodem. Płomienie wyrwały się ze mnie w mrok, sięgając wkoło czerwienią i żółcią, rycząc rozgłośnie, gdy ja starałem się jeszcze ocalić głowę, której włosy już się tliły i zanurkowałem w piekło, płonąc, płonąc jak proch ognia, nie mając dość siły, by zgasić zamieniające moje ciało w węgiel płomienie, które w końcu mnie zabiły.

Alamogordo zapłonął w mojej dłoni.

- To zjawą, Xarafie - krzyknął. - Nie poddawaj się temu kuszeniu.

- Wiem - zdołałem wydobyć z siebie tylko skomlenie.

Ostrze miecza zajaśniało koroną z błękitu jasnego nieba.

Vanden leżał skręcony i nieruchomy. Czarna płyta zatrzymała swój skarb.

Poczołgałem się w jej kierunku, nieustannie umierając.

Woda zassała moje ciało, powlokła moje ciężko dyszące, sparaliżowane zwłoki po zgrzytliwych, zatopionych wydmach gruboziarnistego piasku zalegającego dno oceanu.

Dusiłem się, wrywałem na wolność, uniosłem się ponad powierzchnię, wziąłem oddech pełen wody. Sól zabrała mi oczy. W żadnym kierunku nie było widać lądu. Fala spiętrzyła się, spieniła, opadła. Otworzyłem gardło, by krzyknąć i napływająca fala znów mnie wciągnęła i trzymała mnie tak długo pod powierzchnią, aż umarłem. Byłem martwy. Nic się nie ruszało. Mój puls zatrzymał się. Nie mogłem oddychać. Płuca trwały w agonii. Serce dygotało w konwulsjach, uderzyło, zatrzymało się, uderzyło znowu. Usiłowałem znaleźć drogę wyjścia z tej niby śmierci. Lecz tylko ciemność, tylko stęchłe, śmiercią zalatujące powietrze. W przerażeniu machałem dokoła ramionami, aż uderzyłem w drewno desek.

Drewno. Stęchłe powietrze ciężkie od odoru rozkładu. W przerażeniu poznałem nagle, gdzie jestem: owinięty w grube płótno dusiłem się w trumnie Kishehmuna wmurowanej we wnętrze wapiennego

kopca pogrzebowego.

Wrzasnąłem resztkami powietrza.

Podniosłem twarz od lustrzanej podłogi.

Pas zaciskał mi się na piersi. Szarpnąłem słabo, by poluznić jego dławiący uścisk.

Ktoś jęczał w pobliżu.

Z przedmiotu w mej prawej ręce spłynęło i rozpląnęło się po podłodze zimne promieniowanie. Błękit zdwoił odbicia.

Ktoś leżał bez ruchu w zwierciadle.

Moja ręka wykonała zamach, uderzyła w kość. Kość pękła i potoczyła się w cień.

Ktoś krzyczał do mnie, ktoś słaby, ale dokuczliwy. Byłem martwy. Nie. Jeszcze nie, lecz śmierć mnie przywoływała. Wstrętna, samotna, odrażająco kusząca.

Vanden gapił się na mnie przez lustro. Oczy miał szkliste, lecz mrugał powiekami.

Dotknąłem szyi handlarza. Coś tam pulsowało, umierając, jak ja umierałem.

Coś podpowiadało mi, że mam podnieść się i stanąć. Położyłem miecz, spróbowałem podciągnąć ciało na ramionach. Upadłem. Ramię skrzywiło się, przyciśnięte. Głos Glade i jeszcze jakiś głos. Głos Alamogordo. Opadłem do tyłu. Coś pociągnęło mnie i wlokło niezgrabnie w poprzek. Każde szarpnięcie odbierało mi oddech. Wściekły, chwyciłem powróż w obie ręce i pociągnąłem z całej mocy. Zachwiałem się. Trąciłem miecz, wprawiając go w ruch obrotowy rozsiewający błękitne promieniowanie. Schwyciłem luźny już wąż z postrzępionych ubrań.

Nie mogę go nieść pomyślałem.

Lecz wiedziałem, że muszę to uczynić.

- Alamogordo! - wrzasnąłem obracając się i szukając broni wzrokiem. Była talizmanem, który przeprowadził mnie przez tę ogniową próbę. Miecz zniknął. Nie mogłem znaleźć jego blasku. Tylko cień i ból. Cień, pośrodku którego wisiała czarna, marmurowa płyta. Pokuśtykałem ku niej.

Daremny trud. Zebrałem wszystkie drobiny woli, które kołatały jeszcze we mnie.

Gniew przeminął. Rzuciłem się w kierunku hebanowej czary. Palce musnęły ją. Przechyliła się. Stożek srebrnego metalu wytoczył się z wnętrza i legł na płycie. Zacisnąłem na nim palce.

Przeze mnie falami przetoczyła się słabość. Tuż obok lewego oka, które przylegało niemal do płyty, ujrzałem nacięcie w płycie.

Mysterium Coniunctionis. Tak. Zaślubiny. Księżyc i Słońce. Wielki Król i jego Panna Młoda. Śmierć w Życiu. Spełnienie.

Ręka płonęła mi śmiertelną męką. Wyciągnąłem nią klucz, który trzymała, i serią powolnych, nieskończenie drobnych ruchów przybliżałem ją do dziurki, której był

przeznaczony. Stożek uchwycił krawędź, zawahał się i wśliznął na miejsce, wydając ledwo dosłyszalny trzask.

Potem na chwilę zupełnie straciłem świadomość. Nie miałem kiedy ześliznąć się na podłogę. Ocknąłem się wstrząśnięty, z dzwonieniem w uszach, z walącym sercem.

Zagrzmiały trąby. Ich barbarzyńskie wycie wstrząsnęło kagankami w kinkietach. Płomienie zabłyśły triumfalnie, ostre opary zamąciły jasny, jednostajny płomień. Mosiężny wrzask instrumentów zagrzemiał nad moją głową.

Odepchnąłem się od marmurowej płyty. Nie byłem martwy, nie byłem umierający.

Byłem żywy. Ż y wy! I sala tronowa obudziła się.

Oczy wypełniły mi się łzami. Otarłem je.

W odległości z pół tuzina kroków leżał bez ruchu rozwalony na posadzce Vanden.

Za plecami Glade wisiała nieważka opalizująca bańka. Sama łowczyni stała półnaga, lśniąca od potu, z włączoną świetlną lancą.

Za nią, wolny już teraz od więzów pola zastoju poruszył się Mistrz Wojny. Spojrzał z góry na naszą trójkę i uśmiechnął się, uśmiechnął się z triumfem. Rozwalony na poduszkach, drapiący się w fałdy brzucha, zaciskający uchwyt na ciele usiłującej wyraźnie obudzić się kobiety.

- No, no! - Aji-suki-takahikone westchnął z całą swą ospałością i dzikością, zupełnie jak jeden z kotów myśliwskich Dębu-Co-Wyrasta. Fałdy jego tłuszczu zadrgały i długa chwila minęła, zanim zrozumiałem, że on po prostu się śmieje. - No, no, nieśmiertelni przybyli - przemówił w języku, który znałem ze snu. Zjeżyło mi to włosy na karku.

Sponad niego przyglądały mi się badawczo dwa zębate potwory ustawione w oczodołach i ożywione teraz hamowaną furią. Milczały. Tylko dygotanie ich mięśni pod zieloną skórą dowodziło, że i dla nich czas ruszył z miejsca.

Glade wyłączyła lancę. Krocząc śmiało naprzód, zadarła głowę, wpatrując się w szczęki czaszki.

- Masz rację - krzyknęła. - Jesteśmy nieśmiertelnymi, którzy wyzwolili cię z niebytu.

A teraz ufam, iż nie zwlekając wręczysz nam naszą nagrodę za ten czyn.

Mistrz Wojny natychmiast stracił uśmiech zadowolenia. Był, jak sądziłem, człowiekiem o wielkiej sile osobistej, a nieodpartej charyzmie.

To, że wybrał mroczną stronę, by rozwijać swe talenty, charakterystyczne było dla żadnego władcy przywódcy. Na tym polegał plus życia Wędrowców, iż jeden człowiek nie mógł zdobyć nad nimi absolutnej dominacji. Klany i plemiona dość miały zajęć z nieustanną walką o byt, z pilnowaniem cyklu wypasania stad, by ambitny mężczyzna mógł skierować swe wysiłki w tę stronę raczej, a nie brać się do zdobywania stanowisk i dostojenstw. Różnie na to patrzyłem, szczególnie gdy jeszcze Darkbloom wyłożył mi to w długich dyskusjach prowadzonych nad ogniskiem poza obozem, teraz jednak, gdy stanąłem twarzą w twarz z tą zadziwiającą kreaturą, tym pożeraczem świata, zrozumiałem w czym rzecz. Policzki Mistrza spurpurowiały, gdy tylko usłyszał chłodno wypowiedziane żądanie Glade. Rysy mu się wyostrzyły. Nasze życie, pomyślałem, zawisło na włosku.

Chytrość nie dała się pasji. Oczy Mistrza zamknęły się powoli.

- Witam was, szlachetni, w Treet Hoown. Widzicie, że jestem Aji-suki-takahikone.

Wasza przysługa wyświadczona Władcy świata nie pozostanie nie nagrodzona. Proście, a będzie wam dane.

Obserwowałem kobietę. Zdawała się być oszołomiona, niezdolna, by wydobyć z siebie głos. Słowa, które kiedyś wymienialiśmy wróciły do mnie ze współczuciem.

Dla niej przecież minęła ledwie chwila, od momentu, gdy stanęła przed perspektywą zagłady z ręki Mistrza, a teraz, nagle, obudziła się i oto troje obcych stało w sanktuarium jej zdobywcy. Nic dziwnego, że drżąc czekała na wyjaśnienie. W głosie Mistrza pojawiła się już nuta drwiny. Pochylił się lekko ku nam:

- Ale, co za szok! Widzę, że jeden z was leży nieruchomo. Co mu dolega? Musimy natychmiast sprawdzić, w jakim jest stanie.

- To nie jest takie nagłace - stwierdziła Glade. Byłem zdumiony, lecz ona panowała nad swym głosem. Walczyła o życie Vandena w najlepszy sposób, jaki знаła; przez oszustwo, zwyczajną broń handlarza. - Lord Vanden przeżywa wzrost napięcia psychicznego spowodowanego twoimi środkami ostrożności i wymogami międzygwiazdnej podróży.

Kobieta wykrzyknęła. Jej oczy spoczęły na mnie z niedowierzaniem, były jednak nie tylko dumne, ale i zrozpaczone. Mistrz Wojny szturchnął ją lekceważąco, siniacząc jej usta upierścienionymi palcami. Napiąłem się, lecz Glade położyła rękę na moim ramieniu.

- Przybywacie wobec tego - spytał Mistrz z przestrzeni między gwiazdami?

- A skąd by indziej? rzuciła Glade. - Ku naszemu zmartwieniu nasz statek jednak ucierpiał na skutek bliskości słoneczek tego świata.

- I doznaliście obrażeń w wypadku?

- To nie... - Glade odrzuciła to jako niedorzeczne przypuszczenie. - To nie jest możliwe. Nie, nasza skarga innego jest rodzaju: nie ma tu nikogo na tym świecie, kto miałby kwalifikacje dość wysokie, by naprawić nasz statek.

- Ach... A nie byliście w stanie poprosić o pomoc... pewnych osób?

- Kogo niby?

- Być może są wam znane jako Moce.

Glade skrzywiła się.

- Dawno odeszli z tego świata. Wątpię, czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu zmitrężyłeś w swoim stanie zawieszenia. Nasze instrumenty mówią nam, że jesteśmy teraz jedynym gwiazdnym narodem w całym wszechświecie.

Podczas gdy Glade prowadziła tę ryzykowną grę, ja zbliżyłem się do Vandena.

Przykucnąłem, ująłem jego dłoń i poszukałem pulsu. Ku memu zdziwieniu, żył jeszcze, chociaż bicie jego serca było naprawdę słabe. Rozpiąłem jego kurtkę i koszulę i zacząłem z zapalem masować jego pierś i ramiona, i modlić się przy tym do bogów Życia i Ciemności.

- Błąkaliśmy się przez jakiś czas bez nadziei - wyjaśniała Glade. - W końcu dowiedzieliśmy się o tym mieście, które tylko nieśmiertelny mógłby ożywić. Teraz oczekujemy technicznej pomocy przy naszych naprawach, co może być samym wynagrodzeniem łagodzącym naszą urazę.

- To zrozumiałe - Aji-suki-takahikone dotknął przelotnie swych rzadkich włosów. -

Otrzymacie wszystko, co mogę wam dać. Ach, wasz przyjaciel powraca do zmysłów.

Oczy Vandena otworzyły się nagle i były to oczy szalone, nieruchome, dzikie.

Chrapliwy okrzyk wydarł się spomiędzy jego warg. Równie nagle wycofał się w lęku do wnętrza umysłu. Oczy wywróciły mu się w słupek. Siłą postawiłem go. W pozycji pionowej Vanden stał jak automat, świadomość jego pierzchnęła. Nie okazując zainteresowania, co musiało rozdzierać jej serce, Glade rzekła:

- Lada chwila powinien odzyskać przytomność. Obce powietrze i nowe zwyczaje tego świata dezorientują go. Niewątpliwie uspokoiłby się prędzej, gdyby twoi wojownicy zaniechali okazywania wrogiej postawy.

- Na nieszczęście jest to niemożliwe - Mistrz wzruszył ramionami. - Są to stworzenia wychowane i wyćwiczone do nieustannej czujności. Na szczęście - uśmiechnął się rozbrajająco, jak ktoś zachowujący się szczerze i z otwartością - oni zagrażają tylko temu, kto sam jest zagrożeniem.

Pojawił się zalegający między nami coraz grubszą krechą cień podejrzliwości.

Na wpół przyprowadziłem, na wpół przyniosłem Vandena do podnóża tronu nieświadomy zupełnie niczego, prócz niebezpieczeństwa, w którym się znajdowaliśmy.

Stałem u boku Glade, zanim zdałem sobie sprawę, że ten śmieszny powróż z poszarpanego materiału wciąż jeszcze ciągnie się za moimi plecami.

Tak spokojnie, jak tylko mogłem, zacząłem go rozplątywać, trzymając przy tym jedną ręką Vandena za koszulę na grzbiecie. Aji-suki-takahikone obserwował tę scenę z sardonicznym uśmiechem.

Zwróciłem Glade pas; poderwała swoją torbę z podłogi, dodała jeszcze do tego urządzenie tłumaczące i zapięła pas wkoło swej talii. Wyglądała potem na nieco odprężoną.

Byłem ciekawy, co jeszcze przyniosła w tej torbie.

- Osobliwy rytuał - zauważył Mistrz Wojen, opierając się z powrotem na swych poduszkach. - Lecz jest mi coraz bardziej przykro; nie zaszczyciliście mnie jak dotąd swymi nazwiskami.

- Wybacz, Władco - rzekła Glade. - Ten dżentelmen, bezpośredni zbawca miasta, to Lord Xaraf, syn

Golana z Firebridge, z Kravaardu. Wybaczysz, ufam, Lordowi Vandenowi, który kontynuuje swą zadumę, w którą popadł na wyższym poziomie swojej świadomości.

Lord Vanden postępuje zgodnie z naszym zwyczajem. Ja jestem w moim świecie znana jak Glade. Co do drugiej sprawy, która cię zainteresowała dodała gładko to ceremonialne rozdzieranie szat ma dla nas uświęcone znaczenie i żałuję, lecz nie mogę mówić o tym szczegółowo bez odpowiedniej oprawy.

Napięcie panujące w komnacie było wyczuwalne i groziło w każdej chwili detonacją.

Tylko Vanden zdawał się być niewzruszony. Stał między nami jak strach na wróble.

Aji-suki-takahikone jawnie się już niecierpliwił, by zdobyć nasz domniemany sekret i mieć nas z głowy. Trzymana przez niego w uścisku półnaga kobieta drżała z hamowanej nienawiści. Mistrz Wojen trzymał dyskretnie jedną dłoń na zawiasach jej szczęki i widziałem, jak skóra blednie pod naciskiem jego kciuka sprawiającego bez wątpienia spory ból.

Zatrząsałem się ze złości i już chciałem zacząć działać, lecz powściągnąłem gniew. On drugą ręką pieścił jej udo. Uśmiechał się.

- Witajcie, wobec tego, Lady Glade. Teraz, jeśli wybaczyście mi na chwilę, to włączę maszynę, która obudzi moich ludzi. Następnie dopilnuję, byście zostali odprowadzeni do należnych wam apartamentów.

Glade ledwo stłumiła impulsywną reakcję.

- Panie - powiedziała pospiesznie. - Pozostaje jedna sprawa, którą najlepiej byłoby załatwić od razu.

Mistrz Wojen zeszywniał, zabrał dłoń z nogi kobiety i sięgnął w kierunku pulpitu z włącznikami wtopionego w czarny kamień u jego boku.

- A co to takiego?

- Rzecz w tym - stwierdziła niewinnie - że mamy chęć podarować ci substancję, która czyni nieśmiertelnym - przerwała chytrze. - Chyba że artykuł ten jest w powszechnym użyciu w twojej natchnienie budzącej metropolii.

Nigdy nawet wyobrazić sobie nie umiałem takiego wyrazu chciwości i bezgranicznej żądzy, jaki pojawił się na jego twarzy. Wszystko inne znikło z oblicza Mistrza Wojen.

Doświadczenie i opanowanie tysiąca lat ustąpiły przed żalosną żądzą wieczności.

- Gdzie jest ta substancja? - wysunął się do przodu, dźwigając swe wielkie cielsko z poduszek. Piana wyszła mu na usta. - Natychmiast! Ja muszę...

A kobieta, którą znałem ze snu, poczołgała się z wolna, spadła z jego ud, lądując z hukiem na obsydianowych szczękach tronu. Poniewczasie jego upierścienione palce pospieszyły za nią, lecz

była już za daleko, właśnie stawała i biegła do nas.

Z miejsca wysoko ponad tym wszystkim spoglądali na nas zębaci wojownicy odrażający jak zrekonstruowane jaszczury z Czarnego Czasu. Byli wyraźnie zmieszani.

- Nie wolno wam! - krzyknęła kobieta, rzucając się na Glade, która sięgała już do torby. - On nie może zostać obdarowany wiecznym życiem. Lepiej żebyśmy wszyscy umarli!

Oślepiające światło pobruździło powietrze.

Energetyczna strzała powinna była przeciąć kobietę na dwoje. Może kreatura, która strzelała, chciała oszczędzić Glade i tak przypadkiem chybiła także i jej napastniczkę. Piekący pył roztopionych kropelek wybuchł z luster podłogi. Aji-suki-takahikone padł na kolana i obejrzał się zaczerwienioną twarzą przez ramię.

- Spokój, głupcy! - zawył do swych obrońców, gdy ujrzał z lękiem, że sekret wiecznego życia jest o włos od spopielenia. - Kadzie otrzymają wasze cuchnące mięso!

Każdy nerw będzie powoli wyskubywany z waszych ciał!

I ten lęk wynikły z żądz był ostatnią rzeczą, jakiej Aji-suki-takahikone kiedykolwiek zaznał, cały apeks i nadir jego tysiąca lat, bowiem biedny Vanden wyrwał się nagle z apatii, zrzucił swoją dłoń, sięgnął błyskawicznie po Alamogordo, który leżał tam, gdzie upuściłem go w bólu i wskoczył prosto na wyszczerzone czarne szczęki tronu. Miecz zaśpiewał w wielkim łuku jak potępiona dusza i rozsiekł twarz Mistrza Wojen na krwią upstrzone drzazgi. Krew z rozerwanych arterii trysnęła na ramiona Vandena, które znów się podniosły, by masakrować otyłe cielsko, które już i tak nieżywe leżało u jego stóp.

Ryknęła druga płomienna strzała. Jasna jak błyskawica, szkarłatna smuga żaru trysnęła z broni drugiego wartownika. Vanden stał się natychmiast swym własnym stosem całopalnym.

Buchnął płomień. Krzyk agonii umarł, zanim się narodził, razem z krtanią spłonął w gardle. Mdlący smród palących się włosów i ciała nappełnił salę tronową.

Nie miałem czasu na myślenie ni smutek. Przyskoczyłem do boku tronu i wciągnąłem się na górę. Śmiertelna machina obróciła się na swej podstawie. Glade szamotała się ze mną z piękną, skonfundowaną kobietą. Krew tryskała z głębokich szram na jej twarzy.

- Na dół, Xarafie! - krzyknęła w końcu, gdy strzępiasta ognista strzała musnęła moje włosy. Ucho, które znalazło się niebezpiecznie blisko toru lotu, niemal się zapaliło. Kątem oka zauważyłem, jak Glade odrzuca kobietę na bok i wyszarpuje z torby lśniącą kapsułkę.

- Zasłoń twarz! - krzyknęła. Wykonała zamach.

Rzuciłem się do tyłu w wyściełane szczęki, gdy zarzyły się jak węgle poskręcane kości Vandena. Ciało Aji-suki-takahikone spływało krwią, jego nogi przypalił któryś z ognistych wystrzałów. Odwróciłem wzrok i zatkąłem usta. Kapsułka Glade wleciała już wysoko i rozerwała się w cichej

eksplozji gęstego, białego gazu. Opary zakłapały i pochłonęły potwory.

- Twarz, Xarafie!

Fałdy jedwabiu, do których przycisnąłem twarz, przesiąknięte były zapachem piżma.

Rozległy się głęboko, brutalne wrzaski, jakby śmiertelnie zranionych zwierząt. Nie mogłem nie spojrzeć.

Wojownicy ściskali oburącz pokryte łuskami łby, zataczali się powarkując w agonii.

Kropelki trucizny wżarły się w ich ciała. Rozległe krosty wybuchały na skórze. Byłem przerażony. Zakryłem znowu twarz, mając wrażenie, że trucizna spada na moje ręce i włosy.

Na oślep wymacałem krawędź czaszki i przerzuciwszy ciało wycofałem się ku Glade.

- Możesz już rzucić poduszkę - rzekła mi Glade smutnym głosem. Zrobiłem tak i obejrzałem się. Kreatury były martwe, osunęły się w poprzek swoich broni. Aji-suki-takahikone leżał jak ściervo rozszarpane przez psy. Alamogordo tkwił wbity do połowy w jego brzuch.

Glade była bliska łez.

- Mój aptekarz powinien otrzymać specjalną premię za tę usługę - delikatnie pomogła młodej kobiecie podnieść się. - Przykro mi, lecz nie było czasu na subtelności.

Opanował ją spóźniony żal, gdy przyjrzała się rzezi. Uwolniła ramię kobiety i oddaliła się od nas między zadymione odbicia, by być sam na sam ze swym żalem.

I ja też płakałem. Wojownicy z Kravaardu nie boją się łez. Vanden był moim przyjacielem i opłakiwałem go. Podniosłem wilgotne oczy na kobietę ze snów mego dzieciństwa. Padliśmy sobie w objęcia jak obcy i zarazem kochankowie. Znajomi i nieznajomi.

Jej włosy były egzotycznym kwiatem słońca. Słyszałem jej szloch, czułem drżenie jej ciała; ona również miała dość powodów do smutku, do konsternacji.

- Jakże straszne musi to być dla nieśmiertelnego - powiedziała. - Umrzeć.

Niesamowite było to, że pierwsze jej słowa dotyczyły nie mnie, a Vandena. Jej współczucie, zdolność do litości spłynęła na mnie jak balsam. Wciągnąłem powoli powietrze i zacisnąłem mocne ramiona.

- Vanden nie był nieśmiertelny. Był zaledwie... człowiekiem.

Zamknąłem oczy. Piekły.

- Nie ma nieśmiertelnych, za wyjątkiem może tych istot, które dawno temu pokonały Aji-suki-takahikone.

Słowa uwięzły mi w gardle.

Pożerałem oczami każdy szczegół jej twarzy. Ona odwzajemniała spojrzenie.

Drżałem od gwałtownych emocji, od smutku przeszyciego lancą czystego i zatrważającego szczęścia jej obecności.

- Twoje imię to Xaraf? - spytała.

- Tak.

- W naszych snach nie używaliśmy imion.

- W naszych... snach.

- To nie były sny, Xarafie.

- Pewien jestem, że to były sny, lecz spacerowaliśmy w nich razem.

- Spacerowaliśmy? - zaśmiała się cicho. - Rzucaliśmy piaskiem i śniegiem.

Wspinaliśmy się na drzewa i budowaliśmy zamki, walczyliśmy i spieraliśmy się, opowiadaliśmy sobie sekrety i zakochiwaliśmy się. Byliśmy dziećmi i dorosłymi. Czy mogło się to zdarzyć tylko we śnie?

Ująłem jej twarz w dłonie i pocałowałem w usta. Ona była, tak, ona była moim drugim „ja”. Byłem nią przepełniony.

- Tak musi być - jej istota zdawała się mnie przepełniać. Nasze ręce się dotknęły, usta, policzki...

- Te sny, przyszły do ciebie tutaj, w twoim zielonym śnie?

- Oczywiście.

- Nie wtedy, gdy byłaś dzieckiem?

- Jak by to było możliwe?

- Rozumiem - mój ból, poczucie straty, zmniejszyły się do pulsowania cienia wśród spokoju. Ukryta przed naszym wzrokiem Glade płakała cicho. Podszedłbym do niej i ujął ją za rękę, objął jak przyjaciel i kochanek, lecz jej rola zatraciła się dla mnie w przepełniającej moje serce radości.

- Nie powiedziałaś mi swego imienia.

Komnata była zimna. Zadrzała, ciasno mnie obejmując.

- Wiemy o sobie wszystko i nic zarazem, Xarafie. Jestem Comhria Chtain z klanu Dow w Wahnja Kareba.

Było to piękne, jak ona była piękna. Powtórzyłem jej imię raz i drugi, przytulając ją do siebie w tym strasznym miejscu, śmierdzącym spalonym mięsem i krwią.

- Wszystko - powiedziałem nienasyconie. - Powiedz mi wszystko.

- Przy wielkich Zgromadzeniach byłem Trybunem Gildii Pieśni. Lecz wizja chwały Aji-sukitakahikone zepsuła nawet nasze pokój miłujące miasto. Jego maszyny przekazały mu mój obraz i spowodowały, że zostałam sprowadzona do Treet Hoown w kulminacyjnym punkcie jego beznadziejnej walki z Mocami.

- Sprowadzono ciebie? Jako konkubinę?

- Chciałabym, żeby tak było. Ale nie. Odbyły się wielkie ceremonie ślubne. Błagałam o zwolnienie mnie z tego, lecz rada klanu była nieubłagana. Wybór panny młodej miał

przysłużyć się Wahnja Kareba - westchnęła. - Teraz, być może, cały mój głupi lud jest już stary. Śniłam o powrocie do nich. Sny... - przerwała. - Powiedz mi, Xarafie, jak długo miasto trwało w zawieszeniu? Dwadzieścia lat? Sto?

Moja własna samotność odbiła się echem w jej samotności, powodując skurcz klatki piersiowej. Odwróciłem oczy ku srebrnym głębiom komnaty.

- Dłużej, Comhrio. Poza tym budynkiem miasto rozpadło się pod wpływem niszczącego działania czasu. Upłynęło wiele tysięcy lat, być może dziesiątki tysięcy, odkąd zakończyła się Ostateczna Wojna.

Odezwała się smutno i cicho, ściskając palcami moje palce.

Gryzące opary z kaganków zagęściły powietrze.

Cień padł na podłogę. Glade stała przy jej ramieniu i spoglądała na jedno i na drugie ze zdumieniem. Jej twarz była poza tym surowa.

- Moja pani - rzuciła Glade. - Czy jest jakieś łatwe wyjście z tej komnaty? Nie mogę dłużej zwlekać i muszę... - głos się jej załamał. - Muszę dopilnować pogrzebu szczątków mego przyjaciela.

Comhria była skonsternowana.

- Lady Glade, ależ on powinien mieć pogrzeb bohatera - powiedziała miękko. -

Zostańcie tu ze mną, podczas gdy ja będę budzić miasto. Użycie mi waszej siły i mądrości.

Złożymy Lorda Vandena z całym należnym mu dostojem.

- On był handlarzem - krzyknęła ostro Glade. - Załedwie handlarzem i nie dodawaj nam tytułów! - zebrała się w sobie w swej mizerności. - Vanden nie życzyłby sobie okazałego pogrzebu. Dziękuję ci, moja pani, ale już nie mogę tu pozostać.

- On musi mieć pogrzeb - powiedziałem, a mój własny głos był jak skały ścierające się na dnie potoku.

- Jeśli to możliwe, chciałabym zabrać jego szczątki do Asuliun, by tam pochować je obok szczątków brata Hahna i innych jego krewnych. Skoro tak być nie może, to sama wypełnię wszystkie obowiązki.

- Asuliun Szare? To starożytne miasto wciąż jeszcze istnieje? - Comhria była zakłopotana. Myślałam jednak, że jesteście gośćmi z gwiazd...

- Podstęp. Przybyliśmy tu po łupy - przyznałem się.

- Lecz Vanden został usidlony przez pułapkę Mistrza Wojen i był już niemal umierający, gdy dokonał swego czynu. Teraz jest naprawdę martwy i jego szczątki muszą zostać zabrane do domu.

Dotknęła dłońmi mej twarzy.

- Nie mam prawa nic mówić, mogę prosić tylko o wasze wybaczenie, jeśli moje słowa wydadzą się wam impertynenckie...

Glade odwróciła się. Zacisnąłem usta.

- Mów, Comhrio, proszę.

- Wiele jest śmierci bezwartościowych - powiedziała niepewnie i ostrożnie. - Śmierć nakazana przez Aji-suki-takahikone w jego wojnie z Mocami była zawsze właśnie taka.

Śmierć waszego przyjaciela była inna. Wyzwoliła miasto od bestii. Jego śmierć, twoja, pani, zaradność - Comhria zawahała się i skorygowała sposób zwracania się - przytomność umysłu Glade. Wyzwoliliście nas. Zdobyliście miasto - opuściła ręce i cofnęła się. - Treet Hoown jest wasze.

Poszukiwaczka zaśmiała się pogardliwie.

- Wątpię, czy to miasto jest twoje, by odstępować je ot, tak sobie, moja pani.

- Być może nie - spojrzenie Comhrii było szybkie i bliskie złości. - Nigdy nie było moim życzeniem poślubić Aji-suki-takahikone, tym niemniej, chociaż zostało mi to narzucone, stało się faktem. Nie jestem ekspertem od kruczków prawnych, lecz sądzę, że jestem teraz *de jure* i *de facto* panią tego uśpionego narodu.

Wydało mi się, że taka szczerłość u kogoś najwyraźniej pokornego zawstydziła Glade.

Przyjrzała się Comhrii szacująco, nie jak kobieta kobiecie, lecz tak, jak mężczyzna mógłby oceniać rywala.

- Podejrzewam, że masz rację. Przepraszam - powiedziała. - Pomimo to, ja w żadnym przypadku nie przyjmę poddania się tego umierającego miasta - uśmiechnęła się z napięciem.

- I wydaje mi się, że Xaraf, człowiek z gwiazd jest jeszcze mniej odpowiedni. by przyjąć na siebie tę odpowiedzialność. Przykro mi, lecz będziesz musiała samotnie wziąć na swe barki brzemie tej osobliwej spuścizny.

Comhria była teraz podwójnie zakłopotana i spoglądała przenosząc wzrok z jednego na drugie.

- Właśnie przed chwilą Xaraf zapewniał mnie, że wasza pretensja do gwiazdnego pochodzenia była zaledwie podstępem, a ty tymczasem powtarzasz to twierdzenie w chwili, gdy nie jest już to istotne. Jak to jest naprawdę?

- Ona wierzy...

- Jego pojawienie się...

Urwaliśmy, poplątawszy zeznania. Glade wzruszyła ramionami, zbyt zmieszana, by znaleźć w tym powód do śmiechu. Co do mnie, działało to na moją niekorzyść: lojalność wobec Glade z jednej strony i poryw mego serca z drugiej...

- Glade wierzy, że przybyłem z gwiazd - powiedziałem powoli. Samorzutnie moja dłoń poszukała ręki Comhrii. Znalazła i serce znów zadrżało mi radosnym podnieceniem. -

Wiem tylko, że ten świat nie jest moim światem - ciągnąłem z trudem.

- Musieliśmy uspokoić jakoś podejrzenia Mistrza Wojen - dodała Glade.

- Rozumiem - rzuciła gorzko Comhria. - Pragniesz zatem powrotu do własnego świata, choćby nawet był on w niebiosach.

Przycisnąłem jej palce do moich warg.

- Jak często prawda snu wpada strzałą gromu w jawę życia? Tak, do tej chwili chciałem tylko tej jednej rzeczy, bowiem wbrew mojej woli zostałem tu sprowadzony z Kravaardu i z namiotów mojego ojca. Tak myślałem dotąd. Teraz jednak sądzę, że było to po to tylko, bym znalazł ciebie, Comhrio. Każde inne wyjaśnienie zdaje się nie mieć sensu.

Teraz była kolej na Glade, by gapić się na jedno i drugie ze zdumieniem. Była całkiem zbita z tropu. Zdałem sobie nagle sprawę, jak mało rozumiała z całej tej sytuacji. Nigdy przecież nie opowiadałem jej moich snów, nawet w te długie dni i nocne wędrówki z biednym Vandenem, gdy wkoło nas rozciągały się upiorne pustkowia Złych Ziemi. Kto zanudzałby swoich towarzyszy opowieściami o snach dzieciństwa?

W każdym razie ten nagle powstały, płomienny i jawnie ogłupiający romans był

hańbą wobec naturalnych, dobrych obyczajów Glade. Był wręcz niestosowny wobec okrutnej śmierci Vandena, a frontem dla słodkich praktyk, których zaznałem z Glade. Skąd miała wiedzieć, że Comhria i ja byliśmy więcej niż kochankami, bowiem śniliśmy jedno o drugim.

- Powiniennem ci to wyjaśnić, Glade. Comhria i ja nie jesteśmy sobie obcy.

- Absurd! Jak moglibyście się znać? Czy też może to jeszcze ciąg dalszy iluzji *Mysterium*?

- Nie złość się - rzekła Comhria błagalnie, pozwalając opaść mojej ręce i sięgając po dłoń Glade.

Poszukiwaczka zawahała się, bardziej wstrząśnięta niż zasmucona, potem ujęła podaną rękę.

- Nie złoszczę się - łzy raz jeszcze popłynęły po jej twarzy. - Jestem zmęczona, moja pani. Czy jest jakieś miejsce, gdzie nie cuchnie spalonym ciałem mego przyjaciela i gdzie moglibyśmy się udać?

- Och, Glade! Jestem głupia! - Głupia? Została porwana i rzucona przez tysiąclecia.

Jej zdobywca i małżonek został właśnie zabity pośród straży. Jej miasto objawiło całe rujnujące działanie czasu, a dziecko z jej snów stanęło przed nią jako mężczyzna. Kochałem ją w tej chwili za jej wielkoduszność. - Chodźcie - powiedziała.

I zaprowadziła nas, omijając czaszkę ze szlachetnych kamieni, które jaśniały łagodnie, a uderzone według wzoru uruchomiły kuranty i otworzyły drzwi kryjące zniżający się, rozświetlony kremowym blaskiem korytarz.

- Zaczekajcie - powiedziałem i zawróciłem. Wskoczyłem na górę i stanąłem we krwi i popiele. Nade mną spoczywały ciała niehumanoidalnych strażników. Mistrz, odrażająco zdeformowany zapadł się w przesiąknięte krwią jedwabie i poduszki. Nawet zapach kaganków nie mógł stłumić smrodu jego rozprutych jelit. Wziąłem Alamogordo w obie ręce i wyciągnąłem ostrze z wnętrza potwora.

Miecz krzyknął straszliwie. Krzyknął jak potępiona dusza.

Zadrzałem, bliski upuszczenia broni.

- Cicho - burknąłem. - Możemy działać bez twoich fanaberii, które są nie na miejscu w tej nieszczęsnej chwili - otarłem ostrze do czysta w ciężki jedwab, podniosłem je i schowałem do pochwy.

- Zabrałeś mnie do piekła, Xarafie. Nie mów mi o fanaberiach i nieszczęściu, gdy jesteś tylko małpim półgłówkiem. Zabiłeś mnie i zabrałeś mnie do piekła, i jestem tu, nadal w piekle, a nie poza nim - Alamogordo wydał jęk tak głęboki, że włosy zjeżyły mi się na karku, a moja przesądna dusza skurczyła się przerażona.

- Cicho, powiedziałem ci to, co miałem na myśli - wymuszałem na sobie gniew, by zachować twarz wobec broni i nie ujawnić lęku. - Nie będziesz do mnie mówił w ten sposób.

- Nie przemówię do ciebie więcej w żaden sposób - stwierdził Alamogordo, jak gdyby wygłaszał klątwę i umilkł.

Odwrociłem się od rozciągającego się u moich stóp zniszczenia i zszedłem na dół, gdzie czekały na mnie dwie żyjące ludzkie istoty mające zagrać w kości - jak nagle mi się wydało niedorzecznie - o

moją duszę.

*

Zbudził mnie jej pocałunek, słodszy od zapachu fig.

- Zostań ze mną - powiedziała.

Białe poranne światło dotknęło sufitu. Uśmiechnąłem się i potoczyłem się na jej spotkanie. Ujrzałem blade niebo lśniące w wysokim oknie chmurami płynącymi w białych piórach. Gdzieś poza polem widzenia Słońce było zapewne błyszczącym kręgiem białego światła - fałszywe Słońce na fałszywym niebie.

- Co, Comhrio? Gdzie...?

Jedwabne prześcieradła sfałdowały się pod moimi dłońmi, oplątały moje nogi, a uśmiech jej ustąpił zmieszaniu. Skoczyłem ku oknu, podciągnąłem się wysoko i wpatrzyłem w pola i strumienie i miasto Treet Hoown ożywione w wiosennym słońcu.

- Co ty...

- Och, Xarafie, tak mi przykro. To złudzenie, mój drogi, to tylko złudzenie okno zamazało się przed moim nosem i stało się szare. Zagubiony gdzieś w starożytności świat odszedł z powrotem do swego grobowca.

Nagi i spocony opadłem ciężko na dywan.

- Wyobrażenie - powiedziałem. - Wobec tego nadal jesteśmy pod ziemią?

- Oczywiście - rzekła Comhria. Otworzyła ramiona, a ja usiadłem ostrożnie obok niej na rozległym łóżku, jedną ręką od razu zaplatając jej włosy.

- To się nazywa okno. Nie macie takich obrazów w swoim świecie? Jakież szare musi być bez nich życie! - zaśmiała się.

Spojrzałem groźnie na podłogę i pomyślałem o kryształowych płaszczyznach w fortecy Mathketha, a następnie o snach, w których Comhria i ja tak wiele wędrowaliśmy po naszych nocach: fałszywe ekrany prawdziwych przygód, o ile figlom z dzieciństwa można przyznać taką dostojną nazwę. Lub może były to prawdziwe ekrany dla projekcji fałszywych wspomnień?

Zwróciłem się do niej, rewanżując się za słodki pocałunek moim szczeciniastym pocałunkiem.

- Jak mógłbym cię opuścić, piękny, śpiewający ptaku?

- Oboje zabłąkaliśmy się w nieswoich światach, Xarafie.

- Twój zostanie ożywiony.

- Lecz cóż to za zadanie - zmarszczyła brwi. - Wielu mieszczan z Treet Hoown jest, było i będzie; czy też znów będzie; szalonymi bestiami podobnymi do martwego obecnie, na szczęście, pana. Nie tęsknię do ożywienia ich.

- To lepiej rozplatać im gardła teraz, póki siedzą w swoich zielonych śluzowatych kokonach.

Na to mi przyszło. Usłyszałem swe własne słowa i sam się od nich wzdrynąłem.

- To jest rozwiązanie godne kogoś takiego, jak Aji-suki-takahikone - rzekła Comhria z cichym, lecz przeszywającym wyrzutem. - Musimy znaleźć jakiś lepszy sposób postępowania z niegodziwcami niż powtarzanie ich własnych niegodziwości.

- Zawstydzasz mnie - stwierdziłem i skinąłem głową. - Łatwo popaść w nałóg zabijania, trudniej go zaniechać.

Chciała coś powiedzieć, ale zamknąłem jej usta dotknięciem palca.

- Kiedy byłem dzieckiem, wszyscy młodzi mężczyźni wkoło mnie uczyli się sztuki dokonywania rzezi i obrony przed nią, a ja byłem z nimi. Pośród mego ludu jeden stał tylko samotnie ze sprzeciwem wobec tego sposobu życia na ustach, i on właśnie został moim nauczycielem pod chroniącym nas obu cieniem mojej biednej, obłąkanej matki, której był

podwładnym.

Oparłem głowę na ramieniu Comhrii i spoglądając na jej młodą, jędrną twarz opowiedziałem jej wszystko, co mogłem pamiętać o Darkbloomie i o tym, jak przybył do naszego obozu półmartwy, powłóczył nogami; o tym jak mój ojciec go wykastrował i o szamańskich sztuczkiach, dzięki którym stał się ekscentryczną maskotką obozu. W końcu opowiedziałem jej o moim ślubowaniu i o tym, jak je złamałem, o zagrożeniu które dla Kravaardu stanowili czarownicy. Comhria uśmiechnęła się do mnie smutno, wycofała swoje zdrętwiałe ramię masując je, by ożywić krążenie.

- W takim razie ciąży na tobie obowiązek powrotu, jeśli tylko uda ci się znaleźć drogę do domu.

- W tej chwili nie pragnę niczego innego, jak być z tobą, słodka Comhrio.

- Lecz poza tą chwilą są jeszcze inne chwile. One podpowiedzą ci, jakimi czynami wesprzeć swój honor.

- Jakaś ty mądra - kręciło mi się w głowie od uczucia. Pocałowałem jej usta, oczy, szyję, przyciągnąłem ją do siebie i całe moje ciało zapłonęło. - Musisz wiedzieć, że nie potrafię pozostawać długo z dala od ciebie.

- Ani ja od ciebie. Jednakże ja także mam swoje obowiązki - zadrżała od naszego zespolenia. Przez cały czas, jak się kochaliśmy, nie zaprzestaliśmy rozmowy; zdawało się, że słowa i czyny, umysł i ciało były elementami tego samego utworu muzycznego, w którym górę brał raz chór, a raz instrumenty, zawsze jednak była to jedność. - Muszę obudzić śpiących - powiedziała nieco później, a ja uśmiechnąłem się do niej, pociągnąłem ją za ucho i stwierdziłem:

- Krzycz tak głośno, śpiewający ptaku, a oni zostaną zbudzeni - ona parsknęła i dała mi klapsa.

- Sam jesteś dostatecznie hałaśliwy, Xarafie, by obudzić całe bydło i zmusić wyrrywające się byki, by zaorały rolę.

Zdrzemnęliśmy się, potem, po obudzeniu, zjedliśmy delikatesy, których dostarczyło nam nasze łóżko, wypiliśmy soki tangy i przytuliłem Comhrię do siebie tak szczelnie, jak tylko było można. Ścisnąłem jej pośladki, w stulone dłonie ująłem jej piersi i rzekłem w przykryte wilgotnymi i splątanymi włosami ucho:

- Po pierwsze, moja uroczą miłości, mam pewne obowiązki wobec mojej przyjaciółki.

- Glade? - handlarka spała w sąsiedniej komnacie. Lub tylko się po niej wałęsała w żalości. - Wędrówka do Asuliun nie jest zadaniem dla samotnej osoby powiedziałem. - Będę towarzyszył jej do domu, a kiedy ujrzę ją już bezpieczną, to wrócę, by być przy tobie.

- Tak, nie da się zrobić inaczej. Chodź teraz, wyszorujemy się, odszukamy twoją przyjaciółkę i omówimy plany.

Drzwi zaprowadziły nas do przepastnego wnętrza całego w błękitach i zieleni, gdzie bulgotały sadzawki, małe fale opluskiwały skały i szlifowały piasek doskonały jak sproszkowana sól. Comhria weszła do wody, wskoczyła weń jak ptak wodny za rybą, a ja, mniej pewny w tym żywiole, którego dotąd nie znałem, zawisłem na brzegu i umyłem się uważając, by trzymać głowę nad powierzchnią.

Glade była już ubrana w rzeczy z garderoby gościnnego pokoju, gdy zapowiedzieliśmy się u jej drzwi.

Jej czoło poznaczone było bruzdami, które biegły również od nosa do ust, co przedtem nie miało miejsca. Ująłem w spontanicznym geście jej ręce, przytuliłem ją do siebie, kiedy się cofnęła.

- Och, Glade, Glade... jaki to wspaniały i straszny czas. Nie zaznałem nigdy przedtem tyle radości i smutku zarazem.

Poszukiwaczka machnęła niedbale ręką.

- Co się stało, to się stało - stwierdziła. - Comhrio, jak można stąd wyjść? Dręczy mnie niepokój, że moje juczne zwierzęta stoją przed pałacem bez wody i żywności już dzień i noc.

- Łatwo temu zaradzić. A czy ty sama jadłaś już śniadanie?

- Machiny tutaj są wspaniałe. Tak, dziękuję. Muszę jednakże poczynić przygotowania do mojego powrotu do Asuliun.

- Nie wyobrażasz sobie chyba, Glade, że pozwolę ci jechać samotnie?

- Nie, Xarafie - mruknęła. - Dziękuję ci, lecz to nie jest konieczne. Moje baterie są naładowane. Powrotna trasa jest poprawnie już wykreślona na mapie. Pozostań tu. Lady Comhria będzie bardzo

potrzebować twego towarzystwa, gdy miasto zostanie przywrócone do życia.

- Glade, nie zatrzymywałabym go tutaj nawet, gdybym mogła - stwierdziła Comhria. -

Na szczęście mam coś dla was dwojga, którzy tak spieszą się do Asuliun. Statek, który przyniósł was do sali tronowej może pokonać bezgraniczne odległości w mniej niż jeden dzień.

- Nie umiemy nad nim panować - sprzeciwiła się Glade z rozbudzonym jednak zainteresowaniem.

- Sterowany jest umysłem - stwierdziła Comhria.

- Dotąd był dostrojony do mózgu Mistrza Wojen, ale wiem, że maszyny z miasta mogą uczynić go posłusznym i innym.

Obserwowałem Glade. Zmartwiony byłem jej przygnębieniem. Teraz jednak poczułem, jak szeroki uśmiech rozpościera się na mojej twarzy.

- Widzisz? Muszę iść z tobą, by przyprowadzić statek z powrotem do domu. Kto wie, moja droga przyjaciółko, być może twoje poszukiwania nie zostały jeszcze ukończone i zostaniesz jednak ukoronowana na władczynię Asuliun!

Glade splotła ręce.

- Biedny, uczciwy Vanden - powiedziała ponuro. - Gdyby mógł ujrzeć taki triumf -

wzdychając spojrzała na mnie i skinęła głową. - Dziękuję ci, Xarafie, z przyjemnością przyjmę twoje towarzystwo. Jeśli nic innego nie zajdzie już w tej podróży, będziemy mogli przynajmniej przewieźć jego szczątki z powrotem do twierdzy jego rodu.

Wszyscy troje usiedliśmy i jak przyjaciele zabraliśmy się za planowanie ożywienia martwego miasta.

część czwarta

ODRODZENIE

Wraz z nabyciem bojowych umiejętności, umiejętności walki, potencjalnie gwałtowny człowiek staje się jeszcze bardziej niebezpieczny, lecz równocześnie proces treningu, któremu się regularnie poddaje, daje ujście jego gwałtowności. Ostatecznie dyscyplina i rozluźnienie właściwe sztuce walki przywiodą go do prawdziwej łagodności, a nie zaledwie do jej przytłumienia, nie do fałszywej kontroli, kontroli pozornej nad gwałtowną naturą.

C. W. Nicol

To, co w rzeczywistości mamy wspólnego z naszymi odległymi przodkami, to duchowa, a nie pierwotna jaźń.

Otto Rank

Wszystko roi się od symboli; mądry człowiek to człowiek, który w jakiegokolwiek jednej rzeczy umie odnaleźć inną.

Plotyn

Treet Hoown malało pod nami. Potem zamigotało i po chwili rozciągał się pod pojazdem jedynie rozległy płaskowyż ściętego wierzchołka góry. Jak drobiazg przesunęła się złota kopuła twierdzy Mathketha. Potem przemknęła pod nami pustka złych ziem, żółta i sucha jak szczątki kości rozrzuconych w sali tronowej.

Uruchomiona po raz pierwszy od tysiącleci bańka pomknęła cicho ponad obliczem świata, błyszczącymi pasmami chmur, które były zaledwie mgłą - chociaż tak naprawdę niewiele mi to mogło powiedzieć o ich naturze, skoro bańka traktowała w ten sam sposób wszelką materię.

Wznosiliśmy się wciąż wyżej, przecinając szlak, którym podążało po niebie okaleczone, monstrialne Słońce.

Ten nie wymagający wysiłku lot był szyderstwem z naszej wyczerpującej wędrówki.

Lecieliśmy już nad stepem i srebrzystymi strumieniami, wspaniałym dywanem, którego przedtem nikt z nas nie widział.

- Doskonały środek transportu - stwierdziła Glade. Pozbierała się już trochę. Bez wątplenia zawdzięczać to należało stresowi, który odwrócił jej uwagę i wysiłkowi związanemu z pomaganiem Comhrii w ożywieniu z tuzina odpowiednich ludzi, którzy by zajęli się przygotowaniami do obudzenia miasta. Pojawiła się na jej twarzy pewna niewymuszona wesołość, tym wyraźniejsza teraz, gdy spoglądała w dół przez powłokę bańki.

- Wątpliwe, czy bez pomocy tego statku osiągnęlibyśmy Asuliun w wymaganym terminie dziewięćdziesięciu dziewięciu dni. Wydaje mi się teraz, że potrzeba by tu przynajmniej dziesięciu lat.

Chrząknąłem tylko. Gdy Glade wracała do normy, ja podupałem na duchu.

Siedziałem pogrążony w myślach, opierając się o zwalony na stos majątek handlarzy i wspominając słodycz ust Comhrii. Pozostała za mną, z uniesionym ramieniem wpatrzona w górę, a potem rysy jej zatarły się i całość obrazu przysłoniła mgła, aż w końcu zniknęła z całym miastem. Poklepałem juki.

Poszukiwaczka spojrzała na mnie i zdawała się wstrzymywać uśmiech.

- Nie ma strachu, mój drogi przyjacielu. Nie wątpię, że twoja pani tęskni do twego powrotu.

- Daruj sobie pocieszenia.

Cień uśmiechu zniknął z twarzy Glade. Odwróciła się. Chciałem ją przeprosić, lecz w głowie mi się mieszało od tego lotu. Moje wspomnienia z Kravaardu o rodzinie, namiotach i kotłach do gotowania, o bojowych arenach Firebridge i Wędrowcach, o opiece Darkblooma, szyderczych przypowieściach i szturchańcach, o całym moim świecie, zdawały się teraz nie być niczym lepszym od wytartych fragmentów snu.

Czy jestem szalony? - spytałem sam siebie. Czy to jest ten realny, jedyny świat? Co ze słowami Golana, który mówił o najeździe Czarowników z Północy? Czy mógłby jakiś czarownik w moim świecie unieść się pod niebo?

Lecieć z pomocą myślowych komend, bez czarów, narkotyków, halucynacji?

Czy może jest to inny, fantastyczny jedynie świat? Fałszywe wspomnienia, fałszywa pamięć?

A o jakiej rzeczywistości ma świadczyć ta medytacja?

- Glade.

Nie podniosła wzroku. Manipulowała obręczą od namiotu.

- Przykro mi, Glade. Posłuchaj mnie, proszę. To nie to, żebym nie wierzył w wierność Comhrii, nie wierzę raczej we własne perspektywy powrotu do Treet Hoown.

- Ty jesteś dowódcą tego statku. Zasmuci mnie twoje odejście, Xarafie, lecz nie mogę cię zatrzymać - spojrzała na mnie z ukosa. - Nie uczyniłabym tego wbrew twojej woli.

Wstałem. Niełatwo było w tym nieładzie podejść do niej.

Usiadłem jednak obok. Chmury na zewnątrz zrzędyły.

- Dziwisz się, czemu poszedłem z tobą?

- Ktoś musi sprowadzić wehikuł do domu. To już wiadome.

- Glade, Glade. Nawet ja wiem dość o mechanizmach tego świata, by pojąć, że bezpośrednia ludzka myśl jest zupełnie niepotrzebna.

- Naprawdę?

- A jakże inaczej przeniosłaby nas ta bańka do sali tronowej, skoro nie była sterowana od setek tysięcy?

- Mimo to, skoro rzecz może być zrobiona...

Pochyliłem się i pocałowałem ją ostrożnie, lekko, z przyjaźnią. Nie wzbraniała się, lecz nawet, wbrew moim obawom, oparła się o mnie na chwilę. Kiedy lekko zarumieniona się cofnęła, stwierdziłem:

- Nie byłem niczym więcej, niż kukiełką, Glade. Moce, jeśli tak naprawdę w ogóle się nazywają, trzymały wszystkie sznurki. Dość mam tego, sprowadzili mnie do Treet Hoown, zrobili ze mnie klucz do tego miasta, posłali mnie do Comhrii...

- Co do tego ostatniego to chyba nie masz obiekcji.

- Ja ją kocham, Glade. Kochałem ją od dzieciństwa. Poczekaj, a w stosownym czasie ci to wyjaśnię, to nie jest aż taki nonsens. Pozostaje jednak jedno: odebrali mi mój prawdziwy świat i skąd mam wiedzieć, czy nie zrobią tego znowu, jeśli będzie to odpowiadało ich celom? - ledwo tłumiłem złość.

Poszukiwaczka spojrzała na mnie, ściągając w dół kosmyki włosów i skręcając je w palcach.

- Xarafie, sądzę, że Moce nie są aż takie kapryśne. Sposoby myślenia i zamiary nieśmiertelnych są nam obce, lecz nie są bez reszty nieludzkie. Wiemy teraz, że legenda musi być prawdziwa, że to oni powstrzymali Mistrza Wojny, to oni ochronili świat przed końcem.

Myślę, że musisz im zaufać - wzruszyła ramionami i opuściła ręce na podolek. - Możesz również wypiąć się na ich plan i odejść, o ile potrafisz. I jeśli oni ci na to pozwolą.

- Dokładnie tak - powiedziałem zadowolony, że jej myśl zgadza się z moją własną. -

Teraz towarzyszę ci, bowiem przyjemnie jest zobaczyć twoje poszukiwania uwieńczone sukcesem. Jesteś moją przyjaciółką, Glade, moją pierwszą przyjaciółką w tym świecie. Cieszę się, że mogę wybrać między przyłączeniem się do ciebie, a uleganiem tym potępionym Mocom i ich ambitnym planom.

- Dziękuję, Xarafie - jej uśmiech jednak pełen był zwątpienia. - Mimo wszystko, nie bądź tego taki pewny. Perspektywa ich działania musi być bardzo długa, a same ich plany przechodzą nasze pojęcie. Myśląc o tym, by je pokrzyżować, mój drogi, musiałbyś znać ich o wiele lepiej.

Także do tego doszedłem i parsknąłem rozzłoszczony. Wpatrzyłem się w pędzącą dołem ziemię. Pola kwiatów, fioletowe i żółte, kołysały się z wdziękiem. Stada bydła, drobne jak punkciki, pasły się w bujnej trawie. Przemieszczaliśmy się teraz przez obszar o bardziej umiarkowanym klimacie, nawadniany przez liczne wijące się srebrnie strumienie.

Na horyzoncie ukazała się ciemna plama. Glade przycisnęła nos do powłoki i krzyknęła z podnieceniem:

- Asuliun! Nawet stąd dostrzegam pałac królewski, stare wały obronne. I dom, Xarafie, i to z taką zdobyczą, o jakiej nikt nigdy nie śnił!

I zarzuciła mi ramiona na szyję, pocałowała radośnie, a gdy opuszczaliśmy się z niebios, jak dziecko trzymała mnie za rękę.

*

Widocznie samobieżny mechanizm kuli także dostrzegł szare budowle miasta, gdyż posłuszna instrukcjom, które z konieczności wypowiedziałem w dość ogólnej formie, zwolniła, zakołysała się i zmieniła lekko kurs.

To ostatnie było sugestią Glade.

- Kto w tych dniach - stwierdziła - bada niebiososa w poszukiwaniu statku. Mimo to lepiej będzie

zachować się dyplomatycznie.

Ze Słońcem za plecami wpatrywaliśmy się w dół, gdzie leżało niczego nie podejrzewające miasto.

Było daleko mniejsze od miasta Mistrza Wojny - tylko trochę rozleglejsze niż Berb-Kisheh. Zbudowano je dość swobodnie. Glade pokazywała mi palcem różne miejsca labirynt bulwarów i alei, bloki mieszkalne, stragany, ogrody, katedry i jaskrawe nieco domy rozkoszy.

Architektura podążała za ukształtowaniem terenu, łącząc dzieło ludzkie z tworem natury. Nigdzie cienia brudu czy odmienności - pomyślałem, a potem wypowiedziałem to głośno.

- Nie sądzę, abym miał ochotę żyć w twoim mieście, skoro wciąż jeszcze pragnę żyć.

Może na starość, by znaleźć nie zmacony niczym spokój...

Zasmuciła się.

- Dziwne, ale wydaje mi się podobnie. Kiedyś uznałabym, że to bzdura, barbarzyńskie gadanie. Teraz...

Zacisnęła dłoń na energetycznej lancy. Chyba nieświadomie.

- Nabrałaś zamiłowania do przygody.

- Nasza mała odyseja ujawniła prawdziwe cechy mojej duszy, cechy, do których zawsze dotąd niechętnie się przyznawałam.

- I w ten sposób zgadzasz się ze mną - zaśmiałem się, klasnąwszy o kolano.

- To jest przyznanie się do atawizmów. Nie wiem, czy nadal mam ochotę być władczynią Asuliun.

- Wiesz, że nie odczuwasz potrzeby przyjmowania tego stanowiska - przyznałem sucho. - Co więcej, coraz bardziej mnie to niepokoi. Będziemy lądować?

- Dobrze. Proponuję, byśmy sprowadzili statek na ziemię pod osłoną tamtego lasku -

był to skrawek zieleni na wschód od głównej bramy miasta. - Wartownicy, chociaż nie nadmiernie pilni, mogą zostać poruszeni, jeśli zaprezentujemy tę kulę w bardziej otwarty sposób.

- A ty mogłabyś stracić element zaskoczenia tą niespodzianką, gdy nadejdzie pora osądzenia wyników poszukiwań.

- Fakty umykają twojej uwagi, Xarafie - spojrzała niewinnie. - To nie kula, a ty jesteś tu najbardziej zdumiewającym eksponatem.

Na moją myślową komendę bańka opadła i lekko jak piórka umieściła nas za laskiem.

Zmęczeni nieco i obszarpani czekaliśmy, aż otworzy się wyjście. Nic zabawnego nie przychodziło mi na myśl.

Potem pojawiło się różowe światło Słońca. Podmuch wiatru przyniósł woń ziemi, liści i kwiatów, zapachy, o których niemal zapomniałem.

Mury miasta ukryte były stąd w zieleni. Wiatr przynosił słabe echa ludzkiej krzątaniny. Nasze przybycie wyraźnie nie wywołało alarmu. Musiało przejść nie zauważone.

- Szkoda, że kula nie mogła zabrać naszych wierzchowców - stwierdziła Glade.

Pozostawienie zwierząt, tak wiernie służących nam na złych ziemiach, zasmuciło ją bardziej, niż mógłbym przypuszczać. Comhria znalazła dla nich hojnie zaopatrywane automatycznie w paszę stajnie, lecz z pewnością nie mogło to zastąpić im trawy, na którą tak zasługiwały. Lecz teraz myślała nie tyle o nich, co o ich zastosowaniu.

- Szkoda, że Vanden nie dostąpił przewozu, który mu się należy.

Pochyliłem grzbiet i pomogłem jej przenieść ciężką srebrną skrzynię.

- Nie sądzę, aby było to niestosowne - powiedziałem cicho - gdy zostanie przeniesiony na ramionach przyjaciół.

Opuściliśmy szkatułę z bańki na ziemię. Wyjście zamknęło się. Wypowiedziałem myślową komendę i natychmiast, bez powiewu wiatru, kula wzbiła się prosto i zniknęła z pola widzenia. Będzie czekać, czuwając na skraju czarnej przestrzeni kosmicznej, aż znów ją przywołam. Gdyby Darkbloom ujrzał mnie czyniącego te czary, pomyślałem, jego sceptycyzm doznałby pęknięć nie do załatania.

Kiedy ukazaliśmy się na szerokim, poznaczonym koleinami gościńcu, który wił się do głównej bramy miasta, nasze ramiona okryte były sińcami i pełne były bólu. Pot zalewał mi oczy, cichy i pogrążony w zadumie Alamogordo objął mi plecy, aż w końcu zatrzymałem się i ściągnąłem jego rzemienie.

Przed nami, przyjaźnie otwarte metalowe kraty bram miasta trzymały wysoko trzepoczące herby miasta i rodu Asuliun.

Ktoś podbiegł do nas.

- Witajcie, podróżnicy - krzyknął. - Powiedzcie łaskawie, co was sprowadza, i wchodźcie. - Pika, którą wywijają, była chyba dekoracją, a nie bronią. - Patrzcie! - mruknął

zaskoczony. - Ta handlarka Glade powróciła z poszukiwań! Powitać! Lecz gdzie jest twój bagaż? Gdzie rumak? Pozwól, pomogę ci z tą skrzynią, która z pewnością zawiera jakieś cudo, które zadziwi naszą władczynię.

Glade westchnęła ze znużeniem.

- Witaj, Bengsun. Bądź tak dobry, i sprowadź nam powóz. Żadna inna pomoc nie jest konieczna.

- Pani - wartownik odbiegł, a po paru krokach potknął się, zatrzymał i powrócił

nieśmiało. - Prawie zapomniałem. Księżna chce, byś stawiała się w pałacu zaraz po powrocie.

- Powóz, Bengsun. Poinformuj pałac o moim przybyciu, lecz przekaż moje wyrazy żalu. Obawiam się, że się spóźnię.

Wartownik spojrział ze strachem.

- Lecz moja pani...

Oczy Glade zamknęły się, potrwały zamknięte przez dłuższą chwilę, a gdy otworzyły się, przeszyły strażnika spojrzeniem.

- Kasetka, którą niesiemy, zawiera szczątki mego towarzysza Vandena Wrażliwego.

Idziemy teraz do majątku jego rodziny. Lady Aniera musi poczekać.

- Rozumiem, oczywiście - uspokojony w ten sposób wartownik pobiegł przodem i zniknął w bramie. Po chwili poszliśmy w jego ślady.

*

Czerwony żar Słońca chylił się dobrze ku zachodowi, gdy wspięliśmy się wreszcie na szerokie stopnie wiodące do Pałacu Asuliun. Dziwne cienie, miękkie i ostre, zwijały się, schylały i rozwijały, i znów zniżały przed nami. Różowe światło malowało sylwetki naszych oficjalnych szat.

Wbrew zwyczajowi zachowałem mój zgryźliwy miecz. Dwóch ze służby, każdy w liberii, zwróciło delikatnie uwagę na to naruszenie przepisów, lecz byłem nieugięty.

Jakie to dziwne, pomyślałem, krocząc ostrożnie, by uniknąć padnięcia na twarz. Co stało się z moim solennym ślubowaniem złożonym przed świątynią Bogów Życia i Ciemności, Światła i Śmierci, że trwam tak uporczywie przy posiadaniu morderczej broni? To było dziwne. Raz tylko odebrałem komuś życie, i to w innym świecie. Czułem jednak, że tutaj świat mnie odmienił.

Nie zabiłem ponownie, powiedziałem sobie, lecz to po prostu amok mnie opanował.

Szał. Machina, uzbrojona by działać na ślepo, poza kontrolą, jak Mathketh, była niewątpliwie zatruta apokaliptycznym pragnieniem niszczenia. Czekala tylko na słowo, które uwolniłoby ją z cytadeli. A kto uwięził mnie? Czyje słowo mogłoby mnie zwolnić? Moje poczucie winy zamarło. Niechętnie i nie wprost przyznawałem się do tego i nic nie mogłem zrobić, by temu zaradzić. Rada Darkblooma była osłabiona, odległa jak cały kosmos. Darkbloom nie mógł

zostać całkowicie wymazany, przecież to on zsyłał mi sny o tym świecie, o ukochanej Comhrii...

Lecz teraz był poza moim zasięgiem. Poczulem, że nie mniej jestem zniewolony, niż mój absurdalny, w gruncie rzeczy, miecz.

Weszliśmy do bogatej w skórę komnaty, którą ozdabiały liczne meble i boazerie wykonane z delikatnego w zarysie słoju drewna.

Z wysokiego, pięknie zdobionego krzesła podniósł się stary mężczyzna. Postąpił naprzód z wyciągniętymi ku Glade ramionami. Służący skłonili się i wrócili na swoje miejsca.

- Jak miło znów widzieć cię bezpieczną, Odporna. Jest rzeczą opatrnościową, zaiste, że przybywasz, chociaż towarzyszy temu wieść o tragedii. Pozwól mi złożyć ci kondolencje w imieniu Domu Królewskiego z powodu straty twego dzielnego towarzysza. - Uwolnił jej rękę, skłonił się krótko, i znów zwrócił się do Glade. - A teraz, jeśli przebaczysz mój niestosowny pośpiech. Lady Aniera pragnęłaby zobaczyć cię na prywatnej audiencji.

Zarządę, by ktoś młody pokazał twemu przyjacielowi ogrody.

- Sir, mam powód wierzyć, że Lord Xaraf także powinien zostać zaprezentowany podczas audiencji. Jest on wysłannikiem tych istot, które znamy z legendy jako Ostatni Naukowcy.

Nieopanowana emocja odbiła się w twarzy starego dystyngowanego mężczyzny.

Mogła to być tak irytacja ustępująca nieufności, jak i uroczе rozbawienie. A wszystkiemu towarzyszyło zimne niedowierzenie.

- Jestem zaszczycony sir - powiedział. - Imię moje brzmi Dzień Henedral (Dwudziestego Drugiego Miesiąca) Spokojny Po Czterokroć. Wiedz, że jestem biskupem Asulium, a obecnie i regentem mojej władczyni. Proszę za mną.

Kinkiety rzucały subtelny, wdzięczny blask na wijące się korytarze. Dostosowując swój krok do tempa marszu starego człowieka, mieliśmy dość czasu na refleksje.

Rodzina Vandena opowiedziała nam już o smętnych rezultatach poszukiwań.

Siedemnastu odpowiedziało początkowo na wezwanie. Glade nie była pierwszą, która wróciła, jak się spodziewaliśmy, lecz ostatnią. O trzech, nie licząc Vandena, wiedzieli, że zginęli. Pozostali wrócili do Asulium, zanim minęło dziesięć dni.

Coś było nie tak z duchem tego narodu. Takie trofea, jakie przyniesiono, były wprawdzie atrakcyjne dla mieszczan, lecz reprezentowały poza tym lichą jakość. Jakiś tańczący homunculus, rzeźba sekutnicy i złoto pochodzące z ery lotów gwiazdnych, mechanizm liczący w formie wodnego ptaka - marne nagromadzenie trywialności. Sam siebie spytałem - gdzie jest ich serce? Coś odpowiedziało mi mroźne i z urazą z wnętrza. Ich jedwabie, kamienne mieszkanie i wygodne życie, poinformowało mnie to coś, obrabowało ich z męstwa.

Był to głos mojego ojca, oczywiście. Mimo wszystko trudno było zaprzeczyć jego oskarżeniu.

Biskup zatrzymał się, otworzył drewniane drzwi wybite mosiężnymi ćwiekami i wprowadził nas do łagodnie oświetlonej komnaty obwieszanej brokatami.

- Handlarka i poszukiwaczka Miesiąc Glade (Dzień Piąty) Odporna Po Ośmiokroć i pozaświatowiec Lord Xaraf, moja pani.

Aniera Arina Argaet (której data urodzenia i cechy charakterystyczne były zatajone, co związane być musiało, jak pojąłem z jej wysokim stanowiskiem) pochyliła głowę i obejrzała się wyniośle. Nie osłabiło efektu nawet to, że siedziała na łóżku, głowę i plecy opierając o stos poduszek. Władczyni która rozwala się w łóżku? Dekadencja!

Potem ujrzałem z zaskoczeniem, że jej biała skóra i ściągnięte rysy oznaczały po prostu chorobliwą błądź, oznaczały chorobę, która trzymała tę kobietę na skraju śmierci.

Złapała boleśnie oddech.

- Tak - powiedziała. - Ostatnia z poszukiwaczy. Wejdźcie, proszę, rozgoście się - jej głos i sposób bycia sprawiły, iż zabrzmiało to nosowo i wyniośle.

- Moja pani! - Glade była wstrząśnięta. - Nie wiedziałam... Powinam była przybyć...

- To, co miałaś do dokonania, było ważniejsze, Odporna. Z przykrością usłyszałam o zgonie twojego towarzysza; pocieszyłaś już, jak wiem, jego rodzinę i przyłączyłaś się do nich w żałobie. Siadajcie, proszę. Chodź, Łagodny, podaj im krzesła.

Starszy pan wskazał nam siedziska u boków łóżka. Usiedliśmy, chociaż przeszkadzał mi w tym mocno Alamogordo.

Aniera Argaet skrzyżowała szczupłe ręce na okrywającym jej pierś lnianym płótnie.

- A teraz opowiedz mi szybko o twoich poszukiwaniach, gdyż moi lekarze upierają się nieustannie, że powinnam liczyć się z siłami.

Z klarowną zwięzłością Glade opowiedziała o swoim stawieniu się na żądanie Alamogordo, przypuszczalnego narzędzia Mocy; o naszym spotkaniu w Puszczy Ludu i o swoim udziale w wyciągnięciu mnie stamtąd (ani nie upiększając tych opowieści, ani niczego nie skracając); o sposobie, w jaki zostaliśmy doprowadzeni do Treet Hoown i o naszych w tym miejscu przygodach. Kiedy opisała statek, którym przybyliśmy do Asuliun, oczy władczyni rozbłysły płomieniem.

- Ta kula? Gdzie jest teraz?

- Xaraf jest jej panem. Planowałam, że przywoła ją tu podczas twego osądu wyników poszukiwań.

Rumieniec zadrgał na policzkach Aniercy.

- Powietrzny statek - powiedziała bez tchu. - Zagubione miasto, człowiek, możliwe, że z gwiazd, same legendarne Moce! Cudownie, Glade! Myślałam, że jestem otoczona przez kreatury z wodą miast krwi w żyłach. Być może, mimo wszystko, nie będę musiała umierać.

- Moja pani?

- Hernedral - powiedziała słabym głosem. - Czuję się gorzej. Powiedz im, o co chodzi.

Białowłosy Regent postąpił naprzód i usiadł ostrożnie obok Glade.

Zagrał z nimi w otwarte karty.

- Lady Aniera jest umierająca. Niszczy ją naprawdę groźna choroba i tylko siła woli utrzymuje ją jeszcze przy życiu. Jest to niezmiernie rzadka choroba i nie ma na nią żadnego konkretnego lekarstwa. Kiedyś, być może w dniach, kiedy ludzie podobni byli bogom, lekarstwo na nią było znane. Jeśli tak, to zaginęło, a wraz z nim wszelkie o nim informacje.

- Ach! Teraz rozumiem. To właśnie była przyczyna ogłoszenia poszukiwań.

- Pośrednio. Nasi antykwariusze znaleźli coś na temat leku na ową chorobę, a w każdym razie dowiedzieli się, że jest to możliwe. Kto jednak w Szarym Mieście był dość śmiały, by się zgłosić?

- Woda nie krew - szepnęła Aniera. Oczy miała zamknięte i oddychała ciężko, wyglądała jakby jej dosłownie brakowało owego płynu, którego niedostatek zauważyła u swego plemienia.

- Podaj mi te szczegóły, które znacie - ożywiła się Glade.

- Zadanie jest groźne, lecz możliwe, że wykonalne. Na południu, za górami, wiele tysięcy mil stąd, istnieje region znany w legendzie jako Źródło Odmłodzenia.

- Słyszałam o tym, o ile pamiętam... - Glade uśmiechnęła się słabo - ...bywało także nazywane Legowiskiem Potworów.

Hernedral potwierdził ten makabryczny fakt.

- Jest powiedziane, że mieszkają tam zarówno opiekujące się tym miejscem potwory, jak i pewna inna, niezwykła forma życia. Jest to istotna zdolna do symbiotycznego związku z ludzkim organizmem. Raz wszczepione, czerpie pożywienie z układów nosiciela. Chroni go od każdego rodzaju choroby łącznie, jak głosi legenda, z tym, co zwykle towarzyszy starości.

- To było marzenie Mistrza Wojny - odezwałem się po raz pierwszy.

- Najstarsze notatki dotyczące Legowiska Potworów mają z sześćdziesiąt tysięcy lat -

stwierdził Hernedral. - Aji-suki-takahikone spoczywał już w tym czasie w komie.

- Czy ten symbiont mógł zostać sprowadzony tutaj przez istotny z gwiazd? Jak Xaraf?

- Jeśli tak, to to nie była moja gwiazda - powiedziałem. - Nigdy nie słyszałem najmniejszej pogłoski o tych cudach. Powiedz mi jedno: jeśli znane jest w ogóle takie remedium na śmierć, to jak to się stało, że ziemia i niebiosa nie zostały poruszone, by je uzyskać?

- Widocznie ten region stał się siedliskiem symbiontu na długo po tym, gdy znikły wszelkie ułatwiające życie środki transportu.

- No dobrze, ale jak, wobec tej sprzeczności, wytłumaczyć powstanie opowieści?

- Wydaje mi się, że pochodzi od samego narodu gwiezdneho.

- Zostawili ten cud, by z nas szydzić?

- Może jako zachętę.

- Mało wobec tego efektywną - stwierdziłem.

- Woda nie krew - wymamrotała po raz trzeci władczyni.

- Z waszym latającym wehikułem - dorzucił Henedral - można by się pokusić o zdobycie tego daru.

Aniera uniosła ciężkie powieki.

- Ryzyko będzie wielkie, lecz tron Asuliun będzie czekał na ciebie, jeśli odniesiesz sukces. Usunę się jak zapowiedziałam. Dość zaznałam władzy, teraz pragnę jedynie odzyskania zdrowia i spokoju, by w nim upłynęły moje ostatnie pisane mi lata.

Glade podniosła się i zaczęła krążyć po pomieszczeniu.

- Nie sądzę, by problemem było skłonienie kuli do lotu gdzie trzeba. Co do ryzyka, to będzie można o nim mówić dopiero na miejscu.

Ja zaś pomyślałem o trudnościach, o których oni milczeli.

- Powiedz mi, panie, jak można przetransportować ten symbiont do Asuliun? Być może wymaga specyficznego środowiska.

- Jest tylko jeden sposób - Henedral zawahał się. - O ile nasze wiadomości są dokładne, to przenosić go można tylko we wnętrzu ciała ludzkiej istoty. Wysłanniczka Anieru będzie musiała przenieść symbiont w sobie i z niejakim wysiłkiem oddać go tutaj po powrocie.

Zakryłem oczy. No tak. Pokusa posiadania tego czegoś z obietnicą przeciągającej się młodości to było aż zbyt wiele. I Henedral też to rozumiał.

- Po pierwsze, musimy porozmawiać z antykwariuszami powiedziałem do Glade. - A potem z twoim zbrojmistrzem.

Dotknęła mego policzka.

- Xarafie, uczyniłeś więcej, niż musiałeś, przybywając ze mną do Asuliun. Nie mogę pozwolić, byś dalej ryzykował życiem.

Zaśmiałem się głośno.

- Po cóż by zatem Moce wzywały mnie, bym ratowała ci życie? - spytała.

- Z pewnością nie po to, bym mógł rozwalać się zadowolony, podczas gdy ty stawiać będziesz czoła nieznanym potworom. Myślę, że musimy przeprowadzić ich plan do końca.

Prócz tego... - i pozwoliłem, by mój uśmiech nabrał wyrazu - ...jest dostrojona do mego umysłu. Potrzebujesz mnie przy sobie, chociażby jako sternika.

. - Śmiało powiedziane - Glade wyraźnie się ucieszyła. Klasnęła w moją dłoń. Aniera wydała westchnienie; kiedy zwróciliśmy się do niej, leżała na poduszkach z bezkrwistą twarzą i wywróconymi oczami. Stary Regent natychmiast znalazł się przy niej, szarpiąc za ozdobiony chwostami sznur, by przywołać lekarzy.

- Poczekajcie, proszę, na zewnątrz. Wpadła w stan śpiączki. Jej choroba jest najwyraźniej bardziej zaawansowana, niż się obawiałem.

Drzwi otworzyły się na oścież. Lekarz, któremu towarzyszył uginający się pod ciężarem różnych fiolek aptekarz, pospieszył ku łóżu.

- Mają złagodzić jej ból - mruknęła do mnie Glade, gdy wyszliśmy. - Miejmy nadzieję, że potrafimy znaleźć to lekarstwo.

Jedna myśl brzęczała jak odległy grzmot w mojej głowie, lecz nie wypowiedziałem jej.

Rzecz w tym, że jeżeli rzeczywiście byłem wysłannikiem bogów, to wszystko było w porządku. To, czego mieliśmy szukać, było lekarstwem na wyniszczającą chorobę, lecz było równocześnie środkiem zapobiegania samej śmierci. Działanie z pewnością będące domeną sił nadprzyrodzonych.

Wspomniałem *Mysterium Coniunctionis*, wspomniałem realność umierania i zadrzałem z przerażenia.

Czarne masy chmur zaciemniły fiołkoworóżowe niebo. Nad oceanem rozpętała się burza.

Nasz statek leciał wysoko ponad rozległymi wodami.

Widziałem rzeki wezbrane od wiosennej odwilży powiedziałem spoglądając w dół.

- Kiedyś widziałem nawet Morze Wewnętrzne leżące na zachód od Nazarokh. Lecz ani razu nie śniłem o bezmiarze takim, jak ten.

Wszędzie wkoło porozkładane były mapy. Tu przyszpilone przez energetyczną lancę, tam przytrzymane przez garnek soczystych konfitur. Pośród nich Glade nakreślała naszą trasę.

- Mówią, że pewne narody znajdują środki utrzymania i zadowolenia, przemierzając oceany w kruchych statkach z drewna. Dla mnie jest to coś niepojętego - podsumowała Glade. - Mój własny lud równie stronił od morza jak twój.

- Morze ma w sobie niesamowite dostojeństwo - przyznałem poruszony, manifestując wielkość takiej furii, jaką był sztorm.

- I jest przerażająco jednostajne - westchnęła Glade. Uniosła jedną nieobutą stopę.

Uwolniona mapa zwinęła się zaraz w rulon. - Jeśli wykresy pozostają w jakimkolwiek związku z rzeczywistością, która mogła się zmienić przez pięćdziesiąt tysięcy lat, to na razie nie daje się to zauważyć.

- Mam nadzieję, że ta bańka jest mądrzejsza od nas.

- Moja wiara słabnie. Z pewnością powinniśmy byli dotrzeć już do wyspy Źródła.

Wskazałem na południowy wschód.

- Być może to tam. Widzisz?

- Hmm. Coś jakby piana.

Wbrew sceptycyzmowi poszukiwaczki bańka zaczęła natychmiast hamować swój lot.

Opuściliśmy się ku ciemnym wodom i wyspa wyłoniła się wprost przed nami. Stwierdziłem, że wygląda dość groźnie. Na wpół zatopione rafy strzegły brzegu. Fale rozбивały się na nich i kipiały, wyskakiwały ponad wyszczerbione urwiska.

- To naprawdę Legowisko Potworów. Nic dziwnego, że jest dziewicza. Tylko powietrzny statek może przybić tu bez rozbicia się o brzeg.

Bardziej już wprawiony w sterowaniu bańką skierowałem ją na bezpieczną wysokość.

Opadaliśmy ponad samą wyspą. Mało co było widać z właściwej powierzchni. Strone iglice i skały zagubione były w gęstym listowiu, które jakoś uchowało swój błękit i purpurę przed oceanicznym wichrem. Nie było widać żadnej polany, nie mówiąc już o budowli wzniesionej ludzką ręką.

Wyciągnąłem miecz. Przez chwilę mu się przyglądałem.

- Alamogordo - stwierdziłem - wbrew złudzeniu, które odniosłeś, nie doświadczyłeś wcale śmierci, tragedii, zarezerwowanej dla istot z ciała i krwi. Mimo wszystko, musi być dla ciebie interesującą wiadomość, że idziemy teraz na poszukiwanie nieśmiertelności.

Raz jeszcze usłyszałem jego głęboki i żalony jęk.

- Człowieku, nieśmiertelność interesuje tylko żyjących. Dla umarłego wzmianka o niej jest obrzydliwym szyderstwem.

- Mieczu, jak mógłbyś przemawiać do mnie, gdybyś był nieżywy? Coś nie tak u ciebie z logiką.

- Zostaw tę nieszczęsną rzecz w spokoju - rzekła Glade, patrząc na broń z politowaniem i odrazą. - Niczego nie osiągniesz szycząc z niego.

- Trafna rada - rzekł Alamogordo okropnym głosem. - Nie mów do mnie więcej, chyba że będzie trzeba kogoś zabić.

Wzruszyłem ramionami tak speszony, jak zirytowany i nakazałem bańce wylądować.

Z miejsca zaatakował nas straszliwy ryk - to rwały się fale spadające jak z nieba i wyjące na wysoką nutę, syczące, gdy opadały, by wystartować jeszcze raz. Do tego dochodził

jeszcze szum kołysanych wiatrem drzew, których każdy liść szemrał na własną nutę w całym tłumie zrzedliwych gaduś.

Ostrożnie zeszliliśmy na gąbczastą, podmokłą ziemię. Ciężkie, mięsiste liście nie dopuszczały wiele światła. Lepkie pnącza przywierały do gładkich pni drzew, ociekając wilgocią. Wilgotność w ogóle była wręcz groteskowa, nawet odzież zaczęła z miejsca kleić mi się do ciała.

Glade rozejrzała się wokoło zde gustowana.

- To miejsce musi chyba być siedzibą szaleńca.

- Z całą pewnością wolałbym już Kravaard.

- Taka odsłonięta wyspa nie ma prawa mieć bogatej gleby. Wiatr powinien dawno już ją zdmuchnąć. Gorąco, bujna roślinność... wszystko to zaprzecza naturze.

Kula sama wzbiła się.

- A zatem znaleźliśmy właściwą wyspę - stwierdziłem z uśmiechem. - Środowisko symbionta powinno chyba wyglądać nienaturalnie.

Coś zachrobotało na pobliskim drzewie. Mignęło mi w przelocie i poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła.

Mokre, splątane organy skręcały się w sinym worku i tyle ujrzałem, nim kształt zniknął między korzeniami. Wyspa zaczęła reagować na nasze wtargnięcie. Jakieś macki wystrzeliły, by złapać konar i coś katapultowało się w inne ukrycie i z pół tuzina drzew zaszumiało głośniejszym. Głęboka, hucząca wibracja wstrząsnęła ziemią, głębsza niż uderzenie oceanu. Pnącza zacisnęły swe pętle wokoło drzew. Następny łoskot wstrząsnął glebą. Straciłem równowagę, tak że mój prawy but zapadł się po kostkę w rozmiękle błoto. Zatrzymałem się i z zaskoczeniem spojrzałem na Glade.

- Ta cała wyspa jest żywa!

Przeraźliwy łomot i drgania gruntu zagłuszyły odpowiedź Glade. Jej twarz była śmiertelnie biała, gdy ukazała się w świetle błyskawicy - struga blasku podświetliła listowie na tle nieba. W chwilę później deszcz bębnił o poszycie i korony drzew. Wielkie krople moczyły wszystko w bardzo krótkim czasie swymi rozbryzgami.

- Z powrotem do bańki! - wrzasnęła Glade. - Mogę zaryzykować życiem, lecz nic mi nie przyjdzie z przemoknięcia!

Kula jednak, choć pojawiła się zaraz, nie chciała się otworzyć.

Powtórzyłem w myślach komendę. Zakrzywiona powierzchnia pozostała nienaruszona. Lśniła perłowo i nic. Ja zaś skręcałem się ze śmiechu; woda spływała mi po plecach, włosy mokrymi strąkami przykleiły się do szyi, opadły na oczy. Wrzaski uciechy były wręcz nieopanowane - chwyciłem Glade i odrzuciwszy głowę do tyłu wybuchnąłem rykiem. Gdy spojrzałem na nią, wygląd jej umoczonej furii tylko podwoił moją wesołość.

- Zdradzeni! - krzyknąłem. - Będziemy musieli popłynąć do domu!

- Głupek! - parsknęła Glade. - Szybko zatem. Musimy kontynuować naszą misję bez zwłoki, deszcz czy nie deszcz.

Uwolniła się szarpnięciem z moich osłabłych rąk i poszła zdecydowanie, wielkimi krokami ku ukrytemu pod roślinnością centrum wyspy.

Wiatr nasilił się. Deszcz chłostał nas swymi biczami. Grzmoty w niebiosach współzawodniczyły z hukiem fal atakujących skały wybrzeża.

Nie było jak rozmawiać, planować, czy chronić się przed ulewą. Poplątana roślinność, przez którą się przedzieraliśmy, dawała wprawdzie jakąś osłonę, ale sama stwarzała sobą irytujące przeszkody. Wkrótce opuścił mnie mój niestosowany brak powagi. Pnącza owijały się wokół pni, korzenie trzymały w uścisku błotnistą ziemię i usidlały nasze potykające się stopy; gałęzie smagały nas, liście rzucały się w ulewę. Sama ziemia wciąż się trzęsła i mruczała pod nami. Odpowiedź na nasze

wtargnięcie? Czy na burzę? Niemożliwe było to osądzić, kiedy tak brnęliśmy w mozole zdyszani i na wpół podtopieni.

Przynajmniej żywe stworzenia trzymały się poza zasięgiem wzroku, chociaż pewność miałem, że śledzą każdy nasz krok.

Liście zaczęły spadać oderwane od gałęzi, jak gdybyśmy w wędrowce napotkali nagle przyspieszoną jesień. Traciły kolor wpadając w żółć, brąz i leciały tak wilgotne i wielkie przylepiając się do twarzy, wirowały i zlepiały się na wietrze, który z kolei ciskał je w niebo i nad ocean. Wyglądało to na dokonywany z wielką zaciętością atak żywiołów, prawdziwy pejzaż zagłady podlegający nieustannej metamorfozie. Zakaszałem; tyle tylko wydobyło mi się z gardła miast skargi.

- Glade, drzewa niszczą same siebie!

Czerwone jak świeża krew żyłki występowały na błękitnych i fioletowych liściach, które pozostały jednak na drzewach. Rakowate narośle wybuchały z pni i łączyły się w szkarłatne sieci. Pokryta mchami gleba falowała pod nami od rytmicznych wstrząsów, z których każdy większy był od poprzedniego. Kolana ugiwały mi się, siła deszczu podwoiła się

- znikła osłona liści, które dotąd nieco nas chroniły, liście kurczyły się do pomarszczonych pęcherzyków, te z kolei zwijały się w twarde, małe supełki lśniącej gumy. Płyn sączył się z narośli na uschniętych już konarach, opierając się deszczowi, ciekł w dół powlekając pnie szorstką skorupą.

Byliśmy grzmoceni przez niczym nie krępowany deszcz. W kilka minut drzewa stały się lasem sterczących kolców, a my pchłami na grzbiecie jeżozwierza. Gąbczasta ziemia stwardniała formując lśniąca skórę na gładziźnie wyspy, zupełnie jak powłoka naszej powietrznej bańki. Spojrzałem z ukosa na ociekającą Glade i pomyślałem o Lesie Ludu, skąd rozpocząłem moje podróże po tym świecie. Tam właśnie znalazłem wodę pitną i natknąłem się na wielkiego kota, którego przyszło mi zabić, przez co zarobiłem na upokorzenia ze strony Dębu-Co-Wyrasta. Tutaj jedynym żywiołem, który występował w nadmiernej aż obfitości, była woda i znów Glade była u mego boku i znów przechodziliśmy próbę odwagi. Lecz z tej medytacji nie wynikała żadna mądrość. Ściągnąłem kurtkę i owinałem nią głowę, zatykając ogłuchłe uszy.

Biegliśmy razem przez szary potop, ślizgając się w strugach wody, która była teraz wszędzie i ściekała po nachyleniach gruntu. Hamowaliśmy jak się dało. Antykwariusze z Asuliun wyrazili na swój rozważny, pedantyczny sposób, że legendarny symbiont może znajdować się w centrum Źródła, Legowiska Potworów.

- Byliśmy zbyt ostrożni - ryknąłem. - Powinniśmy wylądować w centrum wyspy.

- Co!?

Powtórzyłem moją bezsensowną w tym kontekście uwagę.

- Myślałam, że dobrze będzie przeprowadzić rozpoznanie - wrzasnęła Glade. - Kto mógł przewidzieć, że zapomnisz, jak otworzyć bańkę?

- Zapomnisz? - oburzyłem się. - Ona odmówiła mi otwarcia się.

Glade wykrzywiła się złośliwie. Spojrzała ku niebu. Zaciekła ulewa uspokajała się.

Nie znalazłszy oparcia dla stóp, Glade potknęła się. Pomogłem jej wstać. Czuć ją było potem, błościem i przemoczoną skórą. Przytuliłem ją do siebie. Odepchnęła mnie, marszcząc brwi.

Uwolniłem ją. Bez słowa wyzęła włosy i rozejrzała się dokoła; i tak milczeliśmy przez chwilę, chociaż mnie zaczęła opanowywać melancholia.

- Przynajmniej zaoszczędziło nam to potworów - powiedziała. - Może w tym szczególe legenda rozmijała się z prawdą.

- Nie licz na to - moja odzież była przemoczona, wiatr przenikał mnie do kości. -

Stworzenie, które mignęło nam między konarami, było już wystarczającym potworem.

Przypuszczam, że są to pasożyty żyjące na roślinności, które teraz biorą udział w jej skamienieniu.

Glade wyduła wargi w namyśle.

- Wygląda na to, że całe życie na tej wyspie jest jednym gigantycznym łańcuchem symbiontów. Nastanie burzy było, jak myślę, całkiem dla nas szczęśliwe. Bez jej interwencji wrogość wyspy mogłaby zostać rozładowana na nas.

- Nie podoba mi się ten zbieg okoliczności. Czy to może być robota Mocy? Czy mogą one kierować naporem burz na morze?

Pomysł był z tych odbierających odwagę, mówił dość o dyspozycji pomiędzy możliwościami ludzi i bogów.

- A czemu nie? Jeśli mogą budować gwiazdki tak, by świeciły na niebie, to manipulowanie burzą z piorunami powinno być równie łatwe jak ruszenie małym palcem.

Zadumałem się nad tym, gdy ostrożnie schodziliśmy po mokrych skałach.

- Glade, przemiana, którą tu widzimy, może przynieść nam zgubę. Ten symbiont mógł ulec takiej samej zmianie. Jeśli tak, to będzie niedostępny.

Poszukiwaczka pokazała zęby. Jej nieładna twarz w czepku gładkich, czerwonych włosów budziła makabryczne skojarzenia.

- Wtedy poczekamy. Z końcem burzy przemiana powinna zajść w odwrotnym kierunku.

- I potwory zostaną rozbudzone.

- Wstydz się, Xarafie. Czy nie stawimy czoła potworom?

Uśmiechnąłem się szeroko. Ciepła fala podniecenia ożywiła moje zziębnięte ciało.

- Ufajmy, że Moce są w takim razie zadowolone z naszych wysiłków, Glade, i zrezygnują z odebrania nam bańki. W przeciwnym razie przez resztę życia skazani będziemy na stawianie czoła potworom.

*

Zstąpiliśmy w surrealistyczny las. Deszcz przestał padać. Wiatr zaczął się uspokajać.

Wysoko nad nami chmury gnały na zachód i fiołkoworóżowe niebo odzyskało nieco swego terenu. Spojrzałem przez ramię. Tam, gdzie kula osiadła między jednostajnie wyrastającymi kolcami, migotało coś pastelowo. Poza granią tłukło się morze i był to jedyny dźwięk w niesamowitej ciszy, która jak cień zaległa nad wyspą. Przeszliśmy wreszcie do najniższego punktu nierównej niecki. W przedzie leżała pobłyskująca oleiście łacha wolnej ziemi.

- Osobliwe - powiedziała Glade i urwała.

Przemieniony las był labiryntem wielorakich cieni; to Słońce ze swoim krwawym zachodem wymieszało swój blask z zapalającymi się sztucznymi słońcami.

- Nie widziałam tej polany z powietrza.

- Nie wygląda na obszerną. Być może górne gałęzie ją zasłoniły. Przyroda ma swoje prawa.

Wkroczyliśmy ostrożnie na otwartą przestrzeń. Umierające Słońce spoglądało na nas z góry. Pod naszymi stopami ziemia wibrowała jakbyśmy stąpali po napiętej skórze bębna.

- Membrana! - Glade ustawiła sztywno nogę. Fale pomarszczyły polanę. - Stoimy na powierzchni gigantycznego liścia! To coś wygięło się.

Zawyłem.

Metamorfoza zachodziła wkoło w odwrotnym kierunku.

Cała wyspa trzęsła się i stękała. Rozejrzałem się.

Skorupy kolczastych pni pękały wielkimi szczelinami. Łuski twardego tworzywa odpadały i bulgocząc wbijały się w glebę, pozostawiając pnie gładkie i wilgotne. Gałęzie pączkowały rozprzestrzeniając zaraz swe plugawe listowie.

Membrana pod nami miękła.

- Glade, to nas pochłonie!

Brzegi zadarły się, zamykając nas w kolosalnej mięsistej folii. Jądro membrany zapadło się

wysuwając w górę śluzowate, purpurowe guzki.

Uratował mnie refleks; refleks wpojony mi przez tysiące godzin ćwiczeń pod kierunkiem Darkblooma.

Padając waliłem wkoło nogami, złapałem Glade i młóćąc lewym ramieniem jak cepem, ująłem zdobiony klejnotami sztylet, skarb zbrojmistrza z Asuliun. Wszedł w membranę wepchnięty tam całą siłą. Membrana unosiła się nad nami jak zielona, żyjąca ściana. Teraz rozpruła się. Mleczna posoka trysnęła z krawędzi. Ostrze trzymało. Ciężarem naszych ciał pomogłem rozdarciu, omal nie wyważając sobie barku. Napięcie zelżało, a Glade sięgnęła po własny sztylet. Wisieliśmy teraz, było za mało światła, by coś widzieć -

monstrualna roślina zasłoniła niebo. Pod nami kipiały w oczekiwaniu na nasze mięso żrące soki.

Nie ośmieliłem się poruszyć. Najlżejszy wstrząs mógł z miejsca strącić nas w dół.

Lecz nie miałem wyboru. Przerzuciłem ciężar z prawej ręki na lewą. Liść zadrżał. Jednym ruchem sięgnąłem po rękojeść Alamogordo i wyciągnąłem miecz z pochwy. Poczułem, jak mięśnie barku i grzbietu wykręcają się boleśnie, zupełnie jakby dwa złe psy walczyły pod moją skórą. Jasne, ciężkie ostrze uniosło się nad moją głową i opadło w cięciu, które wyrąbało wielki połec zielonego ciała.

Zwierzę wrzasnęłoby. Ta rzecz była niema. Zwinęła się jednak jak zwierzę w konwulsji.

Znów dźwignąłem Alamogordo i uderzyłem, poszerzając otwór. Trysnął biały sok.

Oczy mnie zapiekły.

Cienie zawirowały. Gasnący blask nieba niemal mnie oślepił. Twór zadrżał. Brzeg odwinął się, poszukując jak wić. Glade przywarła dziko do mych nóg. Poczułem, że jestem od niej odrywany. Trzeci raz rąbnąłem w cielsko.

I nagle spadaliśmy, głowami w dół, po zewnętrznej powierzchni membrany.

Zraniona roślina była jeszcze wciąż cicha, lecz wkrótce niesamowite wycie rozdarło powietrze. Cała wyspa zdawała się wrzeszczeć, gdy liść miotał się w próbie ucieczki przed swymi dręczycielami.

Jakimś sposobem ponownie stanąłem. Lanca Glade wyleciała jej z rąk w chwili, gdy się zapaliła, a ja zatańczyłem na zboczu, gdy zaskwierczała koło mego ucha. Chwialiśmy się niepewnie na wysokości kilku metrów ponad gąbczastym gruntem. Skraj liścia zwinął się, cuchnąc jak zdechły węgorz, a przed nami otworzyła się ciemność jego krateru. Straciłem oparcie dla stóp. Alamogordo zawirował niebezpiecznie - wypuściłem go i ujrzałem jak leci poza skraj krateru. A potem wskoczyłem w to miejsce, gdzie roślina była zakorzeniona.

Z trudem łapiąc oddech, zachwiałem się. Byłem po pas w wodzie. Błoto wciągało moje buty. Spojrzałem w górę. Przenikało tu jedynie słabe, fioletowe światło. Zawiedziona liściasta membrana zasklepiła swoją ranę. Ogarnęła mnie klaustrofobia. Stwierdziłem, że woda podchodzi coraz wyżej, a głowa pochyla mi się na pierś. Woda wdarła się do ust.

Zakaszlałem i wyprostowałem się.

I poniekąd już wiedziałem, gdzie jestem.

*

- Każda rzecz na tym świecie ma swoje miejsce pośród wielu innych rzeczy, którymi jest - powiedział mi raz Darkbloom, kiedy łowiliśmy ryby w sadzawce utworzonej przez sezonowo wysychający strumień.

- Jak to możliwe? - jak zwykle zmieszany jego paradoksami. Pomyślałem, że może to jego kolejna prowokacja. - Nie ma rzeczy, która nie jest samą sobą.

By to udowodnić, podniosłem dwa głazy z brzegu, strumienia. Jeden był piękny, biały i gładki - kryształ górski, drugi ciemny, poślubiony i przecięty czerwoną smugą.

- Czy te kamienie nie są całkiem różne?

Darkbloom zaskoczył mnie, kiwając głową. W tej samej chwili ryba szarpnęła jego wędka. Wyciągnął ją. Jego życzliwość dla całego życia nie chroniła tego życia przed zjadaniem rzeczy martwych ani od szukania czegoś, co mogłoby się stać martwym. Nic nie było trudne dla mego mentora.

- Całkowicie różne - zgodził się. Po czym wpadł w zadumę, gdy kamienny nóż w jego rękach otworzył brzuch ryby i wyrzucił nitkowate wnętrzności, oskrobał łuski.

- Oto czemu oba nazywane są kamieniami.

Myślałem nad tym przez chwilę.

- Słowa nie są rzeczami - powiedziałem w końcu.

- One mogą być różnie stosowane.

- Prawda - Darkbloom rozpromienił się i objął moje ramię, które wtedy nawet było bardziej krzepkie niż jego. - Nasza pamięć jest krucha, a zdolności wymowy ograniczone. Co więcej, Xarafie, my potrzebujemy pozorów równoważności, by w ogóle pozwolić sobie na mówienie. Jeśli mielibyśmy oddzielne słowo dla każdego z tych przedmiotów, które nazywasz kamieniami, jak mógłbym opowiedzieć ci o kamieniach, które tylko mógłbym widzieć?

Znów zamyśliłem się w ciszy.

- A zatem przedtem miałaś na myśli, że za każdym słowem stoi wiele rzeczy?

- Och, nie - stwierdził Darkbloom. - Za słowem stoi mnogość rzeczy, a te z kolei sięgają jak korzenie drzew, by dotknąć jedna drugiej, by zmieszać się pod powierzchnią świata i stać się jedna drugą.

- Czym są w takim razie moje kamienie?

Darkbloom nie odpowiedział. Z powrotem zarzucił swoją wędkę i obserwował ową powierzchnię świata czy przynajmniej sadzawki, czekając na te pletwiaste stworzenia, by podплыnęły, capnęły i nadziały się. By mu dokuczyć, wrzuciłem moje kamienie, jeden po drugim, prosto w miejsce gdzie jego linka ginęła z pola widzenia.

- Twoje kamienie są jak krzyki ostrzeżenia dla mojej ryby - rzekł Darkbloom spokojnie. - Xarafie, czym jest ta sadzawka? Pomyśl o twoich snach.

Wypytywał mnie przez kilka miesięcy o szczegóły snów. Najpierw to zainteresowanie sprawiało mi przyjemność, bo nie ma rozkoszy tak pikantnej i trudnej do osiągnięcia, jak opowiadanie o swoich snach uległemu słuchaczowi wypełniającemu pozornie bezsensowne zdania i obrazy znaczeniem. Trudnym jest przywołać to, co przecieka przez palce, gdy próbuje się odtworzyć chwile słodczy, ośmieszenia, które dotyczy... kogo?... gdzie?... Teraz jednak doszedłem do wniosku, że jego inkwizytorskie praktyki są nudne i niestosowne wobec tych nieskładnych opowiadań.

- Ta sadzawka? Leżałem w niej i światło było czerwone, całe krwiste. Namiot upadł

na mnie i byłem zszokowany. Mój rumak przyszedł do mnie, lecz byłem bezpieczny. Nie wiem. Co to jest, chudy, stary człowieku?

- To jest wiele rzeczy, Xarafie. To słodka woda do picia. Dom dla tych świetnych ryb

- spojrzał z ukosa. - Łono twojej matki, oczywiście, gdzie leżałeś skulony przez trzy czwarte pierwszego roku twego życia, gdzie śniłeś nieustannie i gdzie we śnie powracasz i powracać będziesz w ucieczce przed niewygodami życia.

- Brudna, stara Świnio! - cofnąłem się, gdy zrozumiałem w końcu, co mówi. - Zostaw moją matkę z dala od tego, rozpustniku. Być może mój ojciec nie posunął się dostatecznie daleko, gdy pozbawił cię jaj, obleśny gaduło!

Darkbloom westchnął, jak często czynił to w wypadkach, gdy po przyjęciu jego nauk zbaczałem w boczne ścieżki, drapiąc przy tym i skomlać.

- Obleśny? Śmierdzący? Czy łono twojej matki jest dla ciebie aż tak straszliwe, chłopcze, że musisz je lżyć, a mnie przy okazji, tymi dziwnymi określeniami?

Tej nocy śniła mi się wysoka wieża z cegły, najeżona strzałami i mieczami, uwieńczona złotą czapą, i jama w lesie ze ścianami z mchu i miodu, gdzie płakałem, aż radość uspokoiła moje serce i obudziłem się wezbrany żądzą; początkowo tęsknie podniecony, potem, gdy pamięć wróciła, nagle zawstydzony, na końcu zaś rozbawiony; do głębi, z uszanowaniem, przekonany.

*

- Glade! - wrzasnąłem. - Glade, żyjesz?

Czarny kształt poruszył się niepewnie po mojej prawej stronie.

- O tyle, o ile - głos poszukiwaczki zabrzmiał echem stłumionym w ograniczonej przestrzeni łona.

Błysk światła zajaśniał nagle we wnętrzu. To Glade podniosła swój kryształ świetlny i uśmiechnęła się sardonicznie.

- Xarafie, szczęście nas nie opuszcza. O ile się nie mylę, stoimy teraz po pas w wodach Źródła Odmłodzenia.

Masywna łodyga membrany sterczała jak filar z jeziora. Grudki grzyba przywarły do jej powierzchni. Jak sploty wodnego zielska unosiły się na poziomie wody rozłogi, kruche nici drżące w naszym kierunku jak gdyby tęskniące, by nas uścisnąć, niewyobrażalnie przy tym piękne.

Złapałem oddech.

- One są piękne. Legendy z Asulium dobrze je opisują.

- Lekarstwo Aniery - wymruczała Glade. - Nie przybyliśmy na próżno - wstąpiła ostrożnie do wody wysoko nad sobą trzymając świetlny kryształ. Symbionty połyskiwały żółcią topazu. Ich kołyszące się pajęczne nitki lśniły jak pryzmaty. Po czterech chwiejnych krokach Glade zatrzymała się, zanurzona po pachy.

- Dno obniża się zatrważająco - mruknęła. - Będę musiała popłynąć.

- Zostaw mi kryształ. Poczekam tutaj. Pływanie jest sztuką, której nie mieliśmy szans uprawiać na pustyni.

Istotnie, była to jedyna zręczność zupełnie mi obca, nawet Darkbloom zaniechał

nauczenia mnie tej sztuki. Wędrowcy żywili jakąś od dawna zakorzenioną odrazę do wody i używali jej jedynie do pławienia podejrzanych o opętanie przez demony.

Poszukiwaczka przebrnęła z powrotem do mnie. Strząsnęła z siebie przemoczoną odzież, zzuła buty i wręczyła mi ociekające zawiniątko. Po czym bezgłośnie zanurzyła swe blade ciało z opaloną twarzą i ramionami w słonawą wodę i popłynęła długimi, równymi pociągnięciami ku centrum krateru. Obserwowałem ją z drżeniem. Ku memu zaskoczeniu stwierdziłem, że obietnica symbionta mogącego przedłużyć życie nie stanowi dla mnie pokusy.

Było coś niewymownie odrażającego w tej transakcji i gdy o niej pomyślałem, żołądek podszedł mi do gardła.

Głowa Glade podskakiwała wśród ciemnych fal. Była prawie nad kolonią błyszczących stworzeń. Zadrzałem.

Łodygę otaczała jakby półka - ze słabym pluskiem Glade wynurzyła się i na czworakach wylądowała na pomoście. Bez wahania sięgnęła po najbliższego symbionta i odkleiła go ostrożnie od łodygi.

Jazgot wyspy nie docierał do naszej cienistej jamy. Niemniej dotarł do mnie przenikliwy skowyt, gdy Glade uniosła zwierzątko do poziomu ust.

- Nie uśmiecha im się, że je niepokoję - zawołała Glade. Zaśmiała się niepewnie, jej wymuszona wesołość odebrała mi odwagę. - Ciekawa jestem, czy ten mały kolega zgodzi się być połknięty żywcem?

Moje ramię zadrzało, gdy to powiedziała, i posłało tańczące cienie z kryształu.

Czułem, jak wali mi serce.

Glade przechyliła uroczyście głowę i podniosła jasne stworzonko do ust, jak gdyby celebrując jakąś straszną, archaiczną ceremonię. Kiedy odjęła ręce od ust, dłonie były puste.

Potem, dławiąc się lekko, jak ktoś, kto nabrał za duży kęs, oparła się ciężko plecami o grubą, śluzowatą łodygę. Ujrzałem, jak wznoszą się i opadają jej piersi, jak opanowują ją nagle spazmy.

Osunęła się na kolanach w ciemną wodę.

- Glade! - parłem naprzód. Pochyłość opadała pod moimi obutymi stopniami. - Jesteś chora? Niedobrze ci?

Poszukiwaczka nie odpowiedziała, co samo w sobie było wystarczającą odpowiedzią.

Walila dokoła ramionami, co parę chwil usiłując szarpać klatkę piersiową. Chrapliwe jęki wydobywały się z jej gardła. W świetle, które było za słabe jak na tę odległość, jej oczy zdawały się drgać, wywracać jak białe globusy.

Krew trysnęła nagle z jej ust. Padła twarzą w dół w rozfalowaną wodę. Cisnąłem za siebie toból z jej odzieżą, wziąłem zimny kryształ między zęby i rzuciłem się w wodę.

Niezgrabnie młóciłem kończynami w imitacji zgrabnych ruchów Glade. Płynąłem jednak, nabierając ustami cuchnące łyki, których nie mogłem wypluć z powodu kryształu.

Pod nogami nie czułem nic, prócz wody. Przez chlupot nie słyszałem Glade. Moje myśli zatrzymały się, pozostała tylko wola dopłynięcia.

Darkbloom śpiewał ze mną dość często, intonując w kółko sylaby, które oddalają strach i niepożądane myśli. Szukałem teraz tej Jedności jego doktryny. Moje ociężałe, spętane mokrym ubraniem nogi przeciwstawiały się obcemu żywiołowi, który je wciągał i znalazły w końcu rytm podobny rytmowi mojej mantry. Zastała woda drażniła moje zmysły wydmuchnąłem ją i pozwoliłem głowie odwrócić się na bok odetchnąłem cuchnącym powietrzem, zużyte wypuściłem bąbelkami pod wodą, odwróciłem znów, odetchnąłem, podczas gdy światło wiło się w falujących smugach i zostałem wyniesiony w górę, moje członki ciągnęły mnie naprzód, a ja płynąłem bardziej jak ptak po niebie niż jak ryba w strumieniu, z gładką koordynacją, z wdziękiem. Potem stopy zaplątały mi się w szlamiaste korzenie. Niepewnie stanąłem na dnie.

Glade unosiła się w płytkiej wodzie. Złapałem ją za ramiona. Zakrzepła krew okrywała jej wargi. Brzuch jej był rozdęty i coś się w nim poruszało.

Zrozpaczony próbowałem przypomnieć sobie obrządki wyrzucania tego, co niepotrzebne, opisywane przez antykwariuszy z Asulium. Obnażony brzuch Glade falował.

Była umierająca. Widziałem kobiety w daleko zaawansowanej ciąży, ich ciała toczące się przed nimi, bez pępka pod fałdami skór, z piersiami wezbranymi mlekiem lecz to było inne.

Obrzydliwe.

Brzuch zaczął sinieć. Nie było czasu na delikatność. Przygotowałem ściśniętą pięść do uderzenia, które, gdy zadać je w serce lub w gardło, zabija. Podniosłem dłoń wysoko, i dźgnąłem w drgające wybrzuszenie.

Glade wrzasnęła.

Skurczyła się we dwoje, przyciskając żołądek, zwymiotowała gęstą papką.

Bez litości uderzyłem obok jej zaciskających się kurczowo rąk. Drugi cios w posiniały kopiec.

Umierająca kobieta upadła na bok. Jej usta rozwarły się. W potoku krwawej piany symbiont wyszedł z jej wnętrzości. Odkopnąłem go na bok. Pogrążył się w błocku, jak wspaniały naszyjnik splamiony cały czerwienią.

Spojrzałem w dół, skonsternowany. Ciekaw byłem, czy zamordowałem Glade, czy uratowałem jej życie.

Patrzała w górę w niemym bólu. Pociągnęła mnie słabo za ramię, kiedy pochyliłem się, by zmyć błoto i wymiociny z jej twarzy.

- Leż spokojnie - powiedziałem. - Możesz mieć krwawienie wewnętrzne.

- Nie - szepnęła, zmagając się ze mną, by usiąść. Słabnąc, osunęła się w moje ramiona, gdy przykucnąłem obok w lepkiej mazi. - Posłuchaj mnie.

- Muszę zabrać cię z powrotem do bańki - powiedziałem. Uniosłem świetlny kryształ i rozejrzałem się za czymś, czego można by użyć za most czy tratwę.

- Słuchaj, do cholery... symbionty... są... czujące...

- Glade zamknęła oczy, dysząc ciężko. - One... obserwowały nas... Ten... Mówił...

mówił do mnie... do moich myśli...

- Odszedł teraz - stwierdziłem. - Nie musisz się niczym martwić. Sprowadzę kulę i przewiozę cię do lekarzy.

Z pewnością Moce nie byłyby tak okrutne, by nie udostępnić mi kuli w dramatycznej potrzebie.

Glade krzyknęła gniewnie:

- Słuchaj, gdy mówię! - gardło jej krwawiło, obolałe. - One wiedziały... że moje ciało... jest nieodpowiednie. Próbowaly mnie... ostrzec. Lecz ty... Xarafie... on mi powiedział... ty jesteś właściwym żywicielem.

- Ja nie - powiedziałem natychmiast, odwracając się ze wstrętem.

Jej paznokcie wryły się w moje ramię.

- Musisz... przynieść... możesz... bez ryzyka. A Lady Aniera... jest umierająca... -

palce jej zwiotczały i opadły.

Przykucnąłem obok nieprzytomnej, strach wrócił, by mnie zdławić. To, co zaproponowała, było ohydne. Nie mogłem tego zrobić. Nie zrobię.

Rozłogi uniosły się w czarnej, chlupiącej wodzie, wici jasne jak pajęczyna.

Wyobraziłem sobie, jak szarpia moje wnętrzności i wysysają ze mnie krew.

- A co ja jestem winien Anierze Argaet? - krzyknąłem. - Nic. Co mi po tym, że będzie żyć, czy umrze? - wyobraziłem sobie jej szczupłą twarz na tle poduszek, ujrzałem naprawdę pobladałą twarz Glade i wiedziałem, że trzeba ryzykować życiem dla innych, i że nie chodzi tu już o koronę Asulium, lecz jest to sprawa współczucia dla samotnej dumy władczyni. Każdy jest związany z innymi, jak twierdził Darkbloom. Czy to po to posłały mnie tu Moce, o ile rzeczywiście one to uczyniły? Jęknąłem i zwróciłem się do pięknych zwierzątek błyszczących na tle swego roślinnego pana i żywiciela. Wepchnąłem między nie palce; zapiszczały.

Jak odnóża wielkich, włochatych pajaków nici wiły się pod moją dłońią. Drżąc, pociągnąłem delikatnie za jedno ze stworzeń. Przez chwilę ssawka przytrzymała je jeszcze na łodydze, potem puściło. Wiło się swobodnie w moich rękach. Zacisnąłem mocno oczy i przyjąłem je do wnętrza mego ciała.

*

Jaskrawa lanca szkarłatnego ognia spłynęła z moich zdrętwiałych szczęk do środka.

Żadnego powietrza. Dławiłem się, dusiłem. Moje płuca zdawały się kurczyć. Tysiąc wąsów rozcinało moje wnętrzności, osiedlało się tam i mordowało po kolei narządy.

Krzyknąłem, udręczony. Czerń, światło i cienie oddaliły się, cofnęły. Insekty obgryzały mój obnażony mózg. A potem ogień i skowyt przeminęły. Chmury słodkiej, aromatycznej piany uniosły mnie w ekstazie tak, jak płynąłem w transie po wodzie, rzuciły mnie nieważkiego w zmysłową niepamięć poza ból czy radość.

Jak śnieżny ptak uniosłem się nad polami oślepiającej bieli, pikowałem, opadałem na pochylone skrzydło, wspinałem się w zimne światło.

Miękkie podmuchy wiatru wygładziły pocałunkami moje płonące i pełne teraz zachwyty ciało, pociągnęły mnie słabnącego i wypełnionego rozkoszą poza granice fizycznego odczuwania.

Mój duch połączył się w triumfalnej wspólności z istotą wewnątrz mego ciała i wiedziałem... usłyszałem... My...

Glade jęknęła urażona. Otworzyłem oczy zdumiony. Poszukiwaczka wspierała się na łokciach i z zaciśniętymi zębami podciągała nogi.

Przykucnąłem chwiejnie obok niej.

- Możesz się ruszać?

- Sądzę, że tak. Pomóż mi wstać.

Wyprostowawszy się, Glade zachwiała się, lecz stała bez pomocy. Uśmiechnęła się blado.

- Xarafie, uratowałeś mi życie. Następnym razem mógłbyś jednak podejść do tego z mniejszą gorliwością.

Spojrzałem na nią czule. Symbiont spojrzał na nią również poprzez moje oczy. Ona spojrzała na nas; po chwili wzruszyła ramionami, wydymając wargi.

- Upojony jak głupiec. Uniesiony do Ósmej Sfery. Co, Xarafie?

- Doznanie jest... nie do opisanie, Glade.

- Tego jestem pewna. Takie było i moje. No, dobrze - spojrzała na czarną wodę i zachwiała się znów z nachmurzoną miną. - Membrana zapieczętowała nas. Teraz potwory muszą być na zewnątrz całkiem rozbudzone. Zgubiliśmy broń. Czy jesteś zbyt pijany, by się o to troszczyć?

- Nie złość się, Glade. To nie twoja wina.

- Nie, do cholery, lecz to było moje poszukiwanie i moje trofeum, i moje ciało, które mnie zdradziło, więc nie mam prawa być wściekła na ciebie, ale jestem, Xarafie, jestem tak wściekła, że mogłabym trzasnąć cię w tę piękną gębę - i usiadła w szlamowatym błocku i wybuchnęła łzami.

Kiedyś zapewne przygnębiłoby mnie to głęboko, ale teraz byłem zbyt oszołomiony.

Przykucnąłem przy niej ze współczuciem i czekałem, aż nie minie uczucie niedoli i żal, a kiedy uznałem, że pora jest właściwa, objąłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie, gdzie napiąwszy się z początku, zaraz się rozluźniła, zadrżała, aż w końcu zaśmiała się cicho, odciągając swoją oblepioną jeszcze brudem twarz i potrząsając głową, spoglądając na mnie, po czym szybko pocałowała mnie w usta i odepchnęła mnie od siebie. Wstała, strząsnęła z brwi mokre włosy, zacisnęła pięści, wstąpiła w błoto i zbadła ciemność.

- Perspektywa nie jest tak beznadziejna - powiedziała odprężonym już głosem, nie odwracając głowy. - Jeśli przyjmiemy, że twoja moc nad bańką została przywrócona, to możesz ją tu przywołać. Niewątpliwie membranę można pokonać.

- Przede wszystkim musimy powrócić na tamten brzeg wskazałem. A ja nie umiem pływać.

- Ale przecież jakoś tu dotarłeś.

- Sam nie wiem, jak. Konieczność mnie zmusiła.

Poszukiwaczka wzruszyła ramionami.

- Wobec tego nauczę cię. Nie jest to potrzeba pilna i nieodparta, lecz przyznaję, że jestem głodna - szok jeszcze mijał, zatrzęsło nią i usiadła na splątanych korzeniach. - Ufam, że jesteś zdolnym uczniem. Może będziesz musiał mnie holować.

Ściągając odzież, zbadałem swoje ciało. Twarde i płaskie mięśnie brzucha nie zdradzały ani znaku obcej, ukrytej tam istoty. Szukałem choć cienia tej osobliwej wspólnoty, która mnie opływała. Nie było odpowiedzi, symbiont włączył się w moje procesy życiowe i jego wrażliwość na bodźce była ukryta przed moim sondowaniem, jak ukryte są te części ducha, które sprowadzają na nas sny. Wśliznąłem się do wody.

Glade krzyknęła. Przestraszony, targnąłem głową - i omal nie utonąłem. Raz jeszcze, nie czując wcale dokonywanego wyboru, sunąłem przez głęboką wodę, kończyny uderzały z rytmiczną łatwością. Niedowierzając popłynąłem w kierunku migoczącego światła w rękę Glade i wywindowałem się z powrotem na szlamiastą półkę.

Z niejaką ponurą ironią Glade stwierdziła:

- Może miałbyś ochotę mnie nauczyć sztuki pływania? Nigdy nie widziałam nikogo, kto tak doskonale czułby się w tym żywiole.

Zdumiony, otrząsałem mokre włosy.

- Symbiont - gapiłem się na nią. - Widocznie on użyczył mi umiejętności, której nigdy się nie uczyłem. Jak to możliwe?

Glade zmrużyła w zamyśleniu oczy.

- Opanowałeś tę sztukę już przedtem, by mnie dosięgnąć. To stworzenie pomogło po prostu wrócić do tej chwili.

Odwróciła wzrok, jakbyśmy mówili o czymś, czego powinniśmy się wstydzić.

- Symbiont nie jest bez zalet. Może być trudno pożegnać się z nim.

Bez słowa opuściłem się z powrotem w wodę i pomogłem jej zejść z półki. Skoro tylko znalazła się w głębszej wodzie, zaczęła powoli płynąć na plecach.

- Jak mam ci pomóc?

- Podłóż dłoń pod moją szczękę i holuj mnie.

Woda podpłynęła jej do nosa. Zakaszła.

- Co z twoim ubraniem? Może mogłabym je przenieść, chociaż, jeśli mam trzymać światło...

- Zostaw je.

Posuwaliśmy się ostrożnie. Glade kołysała się, jej solidny podbródek naciskał na moją dłoń. Płynęliśmy jednak powoli w kierunku fioletowego obrzeża otaczającego membranę.

Światło drżało dziwnie, gdy kryształ w ręku Glade podnosił się i opadał.

Na pochyłym stoku krateru Glade stanęła pewniej, opierając się tylko na moim ramieniu. Przebrnęliśmy do płycizny. Glade myskowała na granicy między ścianą krateru a liściem. Gruba skorupa stwardniałego śluzu tworzyła nieprzepuszczalną zaporę.

- Przyłóż do tego ramię - rzekła Glade i uczyniła to sama. Napiąłem się i napałem, lecz błoto pod naszymi stopami ustąpiło, zrzucając nas na powrót do wody. Membrana ani drgnęła.

- Szkoda, że Alamogordo zginął - biadałem. - Mógłbym wyrąbać nim przejście na wolność.

- I nie mniejsza szkoda, że moja lanca spadła. Jej żar pohamowałby zapędy tej rośliny.

Potem strzeliła palcami i spojrzała na mnie z satysfakcją.

- Jest podobny, alternatywny sposób.

Przybliżając kryształ do moich zmrużonych oczu powiodła długim paznokciem kciuka wzdłuż jednej z krawędzi i coś przycisnęła. Urządzenie natychmiast rozszczepiło się na dwie nierówne części odsłaniając cienki gorejący węzeł.

- Przywołaj bańkę - rzekła z uśmiechem. - Może będziemy musieli opuszczać to miejsce w pośpiechu.

Skupiłem się na krótko na komendzie, lecz nie było sposobu, by sprawdzić, czy machina zareagowała.

- Jaki jest twój plan?

- Patrz i ucz się - oderwała fragment ostrego kryształu i zadrapała nim membranę.

Skóra była gruba, szklista i opierała się jej zabiegom. W końcu wycinek dał się oderwać.

- To mogłoby być niebezpieczne dla naszych oczu - ostrzegła i pstryknęła regulatorem osadzonym w rozłożonym kryształ, wcisnęła jasny węzeł w surową tkanę rośliny. Jej ręka targnęła się nagle z powrotem. Zaskowyczała z bólu.

Gorący kryształ wtopił się w membranę.

- Zakryj twarz, Xarafie!

Cała energia tego przedmiotu przeszła w liść w jednej, niewiarygodnej kropli płonącego światła.

Membrana zadrgała konwulsyjnie jak sparzone ogniem baluchitherium, oddzielając się z wolna od ściany krateru i pękając jak umierające drzewo. Z głębokiej szramy uniósł się oleisty dym.

Podskoczyłem wbijając paznokcie w gąbczastą glebę poza kraterem. Jedną ręką opierając się na ziemi, drugą sięgnąłem ku Glade. Złapałem jej ramię i szarpnięciem wyciągnąłem ją ze Źródła Odmłodzenia. Potoczyliśmy się, dysząc ciężko. W dole jak namiot membrana runęła z trzaskiem, zupełnie jak drewniany dach z dachówkami rozlatujący się podczas trzęsienia ziemi, jak umierający rumak padający na zrzuconego jeźdźca. Ziemia zadrżała. Rozejrzałem się dokoła, w ustach miałem pełno pyłu. Kula wisiała w odległości dziesięciu kroków, rozsiewając wkoło swój życzliwy blask.

Błękitne listowie zadrżało na ciemnych gałęziach, gdy zraniona membrana miotła się za nami, trzęsąc całą wyspą.

Przerzuciłem sobie Glade przez ramiona i pobiegłem, nagi i nieuzbrojony, świadom, jak podatni jesteśmy tu na ciosy i jak bardzo się na nie wystawiamy.

Cały las wziął udział w wysiłkach, by ulokować na naszej ścieżce zwierzyniec jak z delirycznego obłądu.

Szkaradztwa spadały z drzew, coś wiło się i chwiało, coś zmykało i żłobiło glebę szponami.

Ciała sztywne i mokre jak odarte ze skóry mięśnie wlokły swe worki wzdłuż naszych śladów w szlamie, klepiąc ziemię różowymi mackami. Legowisko Potworów nosiło nie bez racji swą nazwę. Mdlilo mnie, gdy wszystkie te rzeczy pomykały koszmarnym korowodem, by zablokować nam drogę do kuli. Biegłem, ponieważ poszycie i pnącza okręcały się wkoło nas i uderzały, tryskając kropelkami trucizny przypalającej skórę. Wrzask zakłócał mój zmysł

równowagi. Coś spadło na plecy Glade, owinęło nibynóżki wokół jej szyi i zaczęło dusić.

Zatoczyłem się i pozwoliłem, by jej tułów ześliznął się z mojego grzbietu.

Glade upadła wygięta na ziemię, krzycząc chrapliwie i sięgając histerycznie do gardła.

Odwróciłem ją i zdrapałem to coś. To coś wygięło się w łuk i wycelowało drgającą igłą długą jak ramię, w grzbiet podnoszonej przeze mnie Glade.

Zawyłem ze złości, złapałem to żądło, gdy uderzało, i targnąłem potężnie na bok.

Oderwało się krwawiące od ciała potwora. Jego własnym kościstym kolcem rozciąłem jego worek i oderwałem słabnące macki od gardła posiniałej Glade.

Znów zwymiotowała, tym razem ciemną żółcią. Gdy usiłowała wstać, nogi się pod nią ugięły.

Kula była o pięć kroków, lecz równie dobrze mogłaby być o pięć tysięcy metrów.

Rozejrzałem się w popłochu.

Dojrzałem sterczącą z ziemi rękojeść Alamoardo.

Cięły mnie jakieś szpony. Obce istoty zbliżały się do nas kręgiem. Przykucnąłem nago nad nieprzytomną przyjaciółką z długą, okrwawioną igłą w garści, i przygotowałem się na śmierć.

Ogień przypalił moje nerwy.

Zmysły zawirowały, nagle popędzone. Moc napłynęła we mnie jak huragan.

Odrzuciłem głowę do tyłu i zawyłem jak dzika bestia. Poruszałem się teraz szybciej, niż zwykle poruszać się może człowiek. Dotarłem do mego miecza, złapałem jego rękojeść i wyciągnąłem go z bagnistej, zasyłającej ziemi. Dźwignąłem go ponad głowę i zakręciłem rąbiąc i zabijając, zabijając, zabijając...

*

Po czarnej nieskończoności mijającego czasu miecz wypadł z mych posiniaczonych rąk. Słaniając się wywindowałem Glade na mój pokrwawiony grzbiet i brnąłem poprzez hałdy, grudy i strzępy porąbanego mięsa. Wejście do bańki otworzyło się bez oporów.

Wepchnąłem Glade do wnętrza, oparłem się na chwilę o opalizującą powłokę i spojrzałem na rzeź, jakiej dokonałem.

To mogliby być ludzie, pomyślałem.

Tak. Jestem w amoku. Beserker.

Wzdrygnąłem się ze wstrętu. Raz jeszcze odrzuciłem głowę do tyłu, ręce zacisnąłem na krawędzi wejścia do bańki i wykrzyczałem swój żal w długim, rozpaczliwym lamencie.

Alamoardo leżał jak niepotrzebny szpikulec w kantorku rzeźnika. Podeszedłem do niego i zataczając się schwyciłem go w ramiona słabe jak u dziecka. Moc uzyskana od symbionta wyczerpała się.

- Wypieram się ciebie - krzyknąłem. Mój głos był piskliwy, nieprzekonywający nawet dla mnie.

- Nie - rzekło mi ostrze przerażające jak bóstwo. - Jestem przeklęty, lecz ty jesteś w piekle ze mną. I nie jestem niczym więcej, jak twoją bronią. I kto jest zabójcą, Xarafie?

- Oni by mnie zabili.

- Przybyłeś tutaj, by ukraść ich skarb. Jesteś złodziejem i mordercą.

Kobieta przywiodła mnie do tego, złapałem się tej myśli; symbiont sam w sobie był

tym, który nadał im impuls; ty jesteś bronią, która uczyniła to możliwym. Lecz nie wypowiedziałem

żadnego z tych absurdów. Wziętem miecz byle jak w ręce i resztką sił

rozkołysałem go wkoło mej głowy, aż wrzasnął w powietrzu, a kiedy pomieścił w sobie całą pozostałą mi siłę, pozwoliłem, by poleciał wolno, więc zakręcił się jak krwawa, świecąca, półprzezroczysta sztaba i wpadł jak kamień w serce źródła, gdzie zniknął z mego widoku i z mego szalejącego, dręczącego się serca.

Potem wczołgałem się do bańki, a każde włókno mego ciała zdrętwiało było z bólu, i skierowałem wehikuł z powrotem do Asuliun.

Bańka wzniosła się w szkarłatne niebo i podążyła na północ, a ja pozwoliłem sobie w końcu popaść w nieświadomość.

Płyn spryskał moją twarz i spłynął swobodnie do mych warg i po szyi. Jęknąłem, podźwignąłem się na łokciu. Plama nade mną przesunęła się, a jej kontury wyostrzyły. Glade spoglądała na mnie z niepokojem i z otwartą manierką w ręku.

- Leżałeś tak cicho, Xarafie, że myślałam już, że nigdy się nie poruszysz.

Złapałem niezgrabnie za manierkę i chciwie łyknąłem jasnego płynu.

- Kiedy ostatni raz spojrzałem na ciebie - stwierdziłem - też przypominałaś raczej trupa. Gdzie jesteśmy? - mięśnie rąk miałem obrzmiałe. - Bogowie, po wrzawie w moim brzuchu można by sądzić, że nie jadłem od tygodnia.

Poszukiwaczka poszperała w kufierku przygotowanym dla nas przez personel pałacu.

Był to drugi bochenek chleba o chrupiącej skórce, parę sztuk dzielonego pieczonego drobiu, naczynie pełne solonych oliwek i inne smakołyki, których zapachy działały silnie na moje gruczoły ślinowe. Głód dał znać o sobie - złapałem się za te dania bez wyboru i jadłem z wściekłym apetytem, aż oczy wyłaziły mi na wierzch.

- Nie musisz zostawiać nic dla mnie - zaznaczyła Glade.

- Urmph - zaprotestowałem machając zatłuszczoną ręką. Nie ma co ukrywać, produkty znikają z zastraszającą szybkością.

Uśmiechnęła się.

- Naprawdę. Bóle brzucha zelżały dzięki lekarstwom, ale sama myśl o jedzeniu napełnia mnie obrzydzeniem. - Pukając w przednie wybrzuszenie powłoki, dodała: -

Zbliżamy się do Asulium, dlatego cię obudziłam. Nawiasem mówiąc... - pochyliła się znów do kufierka i wyciągnęła kawał pasiastego materiału, prześcieradło pewnie - wymagane są konkretne stroje w takiej sytuacji. - I rzeczywiście - na sobie miała taką właśnie zaimprovizowaną szatę owiniętą wysoko wkoło piersi i opadającą swobodnie jak toga. - Lecz powiedz mi, jak to się stało, że jesteś tym, który je, a nie tym, którego zjedzono?

Spodziewałam się, że w obecnej chwili będziemy w najlepszym razie na wpół strawieni przez tę horde diabłów.

Obliziałem palce do czysta, apetyt mi przeszedł. Ponuro opowiedziałem jej, co mogłem, w tym o eksplozji dzikości.

Glade uważnie pokiwała głową.

- Nic dziwnego, że jesteś wygłodzony i że leżałeś tak bez sił. Symbiont musiał

wyczerpać cały twój zapas energii.

Niechętnie skrzywiłem usta.

- Nie będę żałował, gdy uwolnię się od tej rzeczy. To jest jak być opętanym przez demona.

Bańka zwolniła i obniżyła lot. Pod nami rozciągało się zielonoszare Asuliun wśród purpurowych wałów.

Glade wydała raptownie chrapliwy okrzyk. Wskazała na skrócone perspektywą blanki pałacu. Na jego wysokim maszcie powiewał czarny proporzec.

- Królewska Flaga Żałoby!

- Lady Aniera?

Glade trzasnęła pięścią w substancję powłoki. Zobaczyłem, że szok jej jeszcze nie minął bez śladu, a teraz doszła do niego frustracja.

Biedna, wąż Aniera. Los oszukał ją w chwili wybawienia. Jej uparty duch poddał się o dzień za rychło.

Opadliśmy delikatnie na szeroki dziedziniec na froncie pałacu. Przestraszeni dygnitarze, cali w czerni, spozierali na nas z potępieniem lub odwracali wyniosłe spojrzenie od tych, którzy po grubiańsku wtargnęli w ich smutek. Obserwowałem ich, uroczyście wchodzących rzędem na szerokie stopnie, i pozwoliłem moim oczom unieść się z powrotem ku ponurej chorągwi łopoczącej nad blankami. Zdawało mi się, że mieszczanie nie rozumieli, co ta flaga dla nas znaczy.

- Glade - powiedziałem cicho. - Jeśli dobrze rozumiem warunki twego poszukiwania, to jesteś chyba teraz władczynią pałacu.

- To nie tak. Poszukiwanie jest teraz przeszłością, a wyniki nic nie znaczą. Henedral, nasz biskup, jest teraz Regentem i jego powinnością jest zarządzić loterię o objęcie tego stanowiska.

- Gracie w kości o koronę?

- Jesteśmy radykalnymi thaumatokratami - rzuciła Glade niedbale. - Losy mogą interweniować w wiele procesów, samo poszukiwanie jest tylko jedną z wielu metod, mile widzianą tylko w tych monotonicznych czasach.

Jasne i radosne wyobrażenie Comhrii Chtain zapłonęło w mym umyśle, jak gdyby stała ona obok mnie w promieniu błyszczącego światła słonecznego, słońca mego świata, a nie tego, nie tej przygnębiającej ruiny. Otoczyłem Glade ramionami. Spojrzałem w jej wystudiowane obojętną twarz.

- Przykro mi, Glade.

- To bez znaczenia.

- Moje zobowiązania, jak sądzę, są teraz wypełnione i myślę, że twoje również.

Poszukajmy bardziej oficjalnego stroju i złożmy hołd pamięci Lady Aniery.

Głos Glade był pełen smutku.

- Będziesz musiał powrócić niezwłocznie do Treet Hoown.

- Nie mogę zaprzeczyć.

Jej twarz wypełniła się pozbawionym wstydu strapieniem. Uwolniła się z moich ramion.

- Xarafie, nic mnie tu nie zatrzymuje Osiadły tryb życia w Asuliun pod jakimś przypadkowym władcą, jakimś sklepikarzem czy rzeźbiarzem... ta mnie zniszczy, Xarafie.

Pozwól, bym tobie towarzyszyła. Być może w mieście Mistrza pozostało dość ducha, by roziskrzyć ten zmęczony, stary świat i pchnąć go do ostatniej przygody, zanim Słońce zgaśnie.

Ogarnęła mnie niespodziewana radość i usłyszałem mój własny śmiech dzwoniący w bańce jak echo wielkiego dzwonu.

- Rzeczywiście, zrobimy tak, Glade! Ach, przyjaciółko, doprowadzimy świat do krzyku w jednym ostatnim, pijackim...

Urwałem. Było to tak, jakby najbardziej bezgwiezdna noc opadła na świat. Wirujące pastelowe kolory powłoki zniknęły zmieniając się w hebanową nieprzezroczystość. Byliśmy zamknięci w bańce lśniącej czerni. Po czym tuż przed nami trysnęła kaskada iskier. Nad naszymi głowami, parząc nasze ręce i stopy, szczypiąc w wargi i policzki, zawirowały iskierki, zatoczyły łuk.

Cuchnąca jak dziki kot, cała w pyłkach ognia, stanęła przed nami bestia o głowie orła.

Glade cofnęła się w przerażeniu. Ja stałem twardo, gdy rozproszone ruiny mej pamięci zebrały się razem, dobrze teraz uporządkowane i nieubłagane.

- Goldspur - powiedziałem ze znużeniem. - Jakie strapienie przybywasz tym razem zakomunikować?

Język gryfona poruszył się w dziobie.

- Witaj, Xarafie Firebridge. Przynoszę pozdrowienia od Mocy dla ciebie i dla Handlarki Glade - usiadł delikatnie na zadzie, strosząc zielono-złote pióra na złożonych skrzydłach.

- A więc przypuszczenie Mathketha było słuszne - rzekła cicho Glade i uroczyście uklękła przede mną na kolano. - Wiedziałam, Xarafie, że nie jesteś zwykłym mężczyzną, lecz nie domyślałam się, że podróżuję z wysłannikiem bogów tego świata.

Moja twarz zapłonęła rumieńcem.

- Glade, moja przyjaciółko, wstań.

Jej ton daleki był od zdziwienia.

- Moce wryły na twym mieczu mapę, a w takim razie to one zaprowadziły nas do Treet Hoown.

- A potem odebrały mi pamięć tego faktu - stwierdziłem z oburzeniem.

- Nie jestem w stanie zgłębić ich motywów, czemu odsunęły od ciebie świadomość prawdy, Xarafie
- jej oczy wciąż jeszcze płonęły. - Lecz któż ośmiela się pytać bogów o cokolwiek?

- Oni nie są moimi bogami! - krzyknąłem. - Ja czcuję Bogów Życia i Ciemności, Światła i Śmierci, a nie tych niedorzecznych rozniecaczy Słońca!

- Słońca! - głos Glade ożywił się jeszcze bardziej.

- Słońce umiera, Xarafie, i cały świat razem z nim. Czy to jest twoja misja? Czy to być może, że ty masz się przyczynić do jego ożywienia?

Moje przygnębienie narastało w miarę, jak ona się ożywiała. Już przedtem spekulowałem na ten temat z Alamoordo.

- Czy ona ma rację, Goldspur? Czy to nonsensowne brzemie ma spocząć na moich barkach?

- Nadal mnie zaskakujesz - rzekła bestia uprzejmie. - Odnoszę wrażenie, że przełamałeś hipnotyczną amnezję bez korzystania z mojej pomocy.

Westchnąłem.

- Gryfonie, nie jestem w nastroju do ulotnych dowcipów. Przekaż swoją wiadomość i pozwól nam pójść swoją drogą.

Żółte oczy, dzikie i dobrotliwe zarazem, spojrzały od jednego do drugiego.

- Przybywam, by sprowadzić cię do twierdzy Mocy, Xarafie.

Krew napłynęła mi do twarzy.

- A Comhria? - krzyknąłem, lecz Goldspur wcale się tym nie przejął.

- Twój okres szkolenia ma się ku końcowi. Moce sądzą, że jesteś już w pełni wyposażony, by stawić czoła niebezpieczeństwu zagrażającemu twemu własnemu światu i jego liniom energetycznym. Zostaniesz od razu przerzucony do przeszłości.

Wszystko starło się we mnie. Wydawało mi się dotąd, że całe moje życie nakierowane było na

spotkanie Comhrii. Ona była moim przeznaczeniem i miłością, moją drugą połową, moją prawdziwą żoną. Jednak mój ojciec i jego lud, Firebridge, Wędrowcy; lud ułomny, bojaźliwy, którym byli mieszkańcy Berb-Kisheh, a przecież oni dali nam moją matkę i czwartą część moich kuzynów; cały świat, jaki znałem, potrzebował mnie i siły mego ramienia. Mimo całej cynicznej obojętności, Moce rzeczywiście wyćwiczyły mnie doskonale do walki z czarodziejami i upiorami.

A przecież rzuciłem Alamogordo w głębiny. Nie chciałem więcej mordowania. Nauka Darkblooma była słuszna.

Wydałem jęk, odwróciłem się, by spojrzeć na moje odbicie w czarnej połyskliwej wklęsłości bańki.

Opanowując strach, Glade postąpiła naprzód.

- Przeszłość? Masz na myśli to, że świat Xarafia nie jest, mimo wszystko, zawieszony w niebie, lecz pogrzebany w naszej własnej, mrocznej historii?

- Jakże bystry jest twój umysł, handlarko - szpony gryfona błysnęły i cofnęły się w poduszki łap. - Świat Xarafa przez milion lat okrył się kurzem.

- Jak wobec tego ma on tam powrócić?

- Moi nieśmiertelni panowie przewyciężyli czas i przeprowadzili energię młodego Słońca do trzewi tej wyczerpanej gwiazdy, zapewniając jej ponowne rozniecenie. Moce nagięły strukturę czasu do swej woli. Xaraf pójdzie znów między namioty swego ludu.

- A ja? - teraz, gdy Glade ujrzała, co się święci, z minuty na minutę mniej było w niej instynktownego hołdu, a więcej zainteresowania własnym losem, które zwykle u niej podziwiałem.

Oparła dłonie na biodrach i pochyliła się do przodu, tak że przybliżyła nos o szerokość dłoni do dzioba gryfona.

- Co planują Panowie Wieczoru zrobić ze mną, skoro przecież pomogłam szkolić waszego agenta, chociaż, przyznaję, miało to miejsce wbrew jego woli?

Goldspur podniósł się; wspaniałe świetliste strzały ślizgały się po jego skrzydłach.

- Atawizmem jesteś, handlarko. Twoja dusza pożąda przygody w łagodnym świecie.

Moce oferują ci ryzyko takie, jakiego nie zaznał żaden człowiek od zarania Ziemi - bestia uśmiechnęła się odbierającym odwagę ziewnięciem rozwartego dzioba. - Jesteście wspaniałymi towarzyszami, wy dwoje. Każde uzupełnia i pomnaża talenty drugiego. Co powiesz wobec tego, Glade Odporna? Czy opuścisz nas teraz i poddasz się loterii? Czy też stawisz czoła przeszłości?

Usta Glade otworzyły się i pojawił się na nich szelmowski uśmiech. Zanim jednak zdążyła przemówić, gryfon odezwał się znowu.

- Powinnaś przypomnieć sobie, że nawet pojawienie się sztormów na morzu jest dla Mocy równie

łatwe jak stuknięcie paznokciem o paznokieć. A ty, jak wszyscy wiemy, byłaś tak naprawdę pełnoprawną zwyciężczynią w tym właśnie zakończonym konkursie poszukiwań. Mam jednak wątpliwość, czy urządzenie losujące wskaże właściwego kandydata do korony Asulium.

Glade przełknęła. Usłyszałem to wyraźnie, gdy tak stałem nachmurzony.

- Osobliwy wybór - powiedziała drżącym głosem.

- Tułaczka i przygoda lub władza uzyskana przez ingerencję sił nadprzyrodzonych -

zawahała się i spojrzała na mnie. - Xaraf, jednakże, ma swoje własne plany. Lady Comhria Chtain oczekuje go w Treet Hoown.

Powiniennem wygłosić moją własną listę zażaleń, zacząłem nawet, lecz stłumiłem pragnienie.

- Czy właśnie nie żaliłaś się, że życie w Asulium przytłoczyłoby cię? Czy zmieniłoby tak bardzo twoje życie, gdybyś stanęła na czele mieszczaństwa niewiele bardziej witalnego niż śpiochy z Treet Hoown?

- Nie wtedy, gdy umierające Słońce drga mi nad głową - przyznała splatając palce.

- A zatem dobrze - mruknąłem. - Udajmy się do twierdzy, Goldspur.

Nie tałem goryczy.

- Nie możemy opóźnić realizacji planów twoich Panów naszymi mało ważnymi wykrętami.

Gryfon wyciągnął szyję, jego spojrzenie złagodniało, a jedną futrzaną łapę położył łagodnie na moim przedramieniu.

- Moce nie są takie bez serca, Xarafie, jak sobie to wyobrażasz. Przedsięwzięcie, w którym tak niechętnie bierzesz udział, jest najwyższej wagi. Co mogłoby być istotniejsze, i to pragnę, by zrozumiała twoja przyjaciółka, ponad ożywienie umierającego Słońca Ziemi?

Gryfon opuścił łapę.

- To nie kaprys Mocy, lecz przeznaczenie dyktuje ci tę drogę.

Powłoka bańki straciła hebanowy połysk. Miałem chwilowy zawrót głowy. Umykając z placu żałobników unieśliśmy się ponad szare kamienie zatopione w purpurowej melancholii wieczoru. Garstka łazików gapiła się za nami jak wścibskie insekty.

- Zaufaj mi, śmiertelniku - powiedziała bestia. - Lady Comhria zrozumie wagę twego zadania. Jeśli przeżyjesz, niewątpliwie znajdziesz ją czekającą na ciebie. - Po czym zwrócił

się do Glade: - Z odnowionym Słońcem korona Asulium będzie nagrodą wartą posiadania.

Zaśmiałem się z niedowierzaniem.

- Jakże przebiegli są nieśmiertelni, Goldspur, i jakże łatwo ich przejrzeć! Oni zawsze organizują jakąś poruszającą pobudkę, by pchnąć do działania. No, dosyć. To i tak więcej, niż większość ludzi poznaje w ciągu swego całego życia. - Podniosłem, dumnie tak jakoś, głowę i otoczyłem Glade ramieniem. - Tak, zabierz nas do Mocy.

Cała perłowa powłoka zamigotała w deszczu ognistych iskier. Tańcząca sieć drobnych gwiazdek obrysowała Glade, mnie i gryfona. Ciemność przybyła i ogarnęła nas i cisnęła prosto przed czekających bogów.

Z wysokich tronów cztery istoty spoglądały w dół, na nas.

Noc była wszędzie całkowicie czarna i odległa pod kryształową kopułą naznaczoną bladymi punkcikami gwiazd.

Zapach kadzidła dopłynął do moich nozdrzy. Było ciepłe i orzeźwiające. Glade dotknęła lekko mego ramienia. Spojrzałem na Moce, stwierdzając przy tym, że Goldspur zniknął.

Jeden był młody, blady, piękny: Jesrilban Julix.

Jeden był twardy, krzepki jak wojownik: Ah Balmorg.

Jeden był kruchy, różowy i siwy ze starości: Eis Creid.

A czwarty był kobietą w średnim wieku, odprężoną i odzianą w szaty, które drapowały ją w lśniąca ciemność. Nigdy przedtem jej nie widziałem, ale poznałem ją natychmiast.

- Darkbloom - powiedziałem, zanim absurdalność tego stwierdzenia zdołała powstrzymać mój język.

- Kwiecie Wieczoru - poprawiła mnie łagodnie.

- Witaj, Xarafie. Jak miło widzieć cię w zdrowiu i bezpiecznym.

Glade odezwała się z napięciem:

- Co to jest? Brałam zawsze twego mentora za starego mężczyznę.

- Bo był takim - powiedziałem przez zaciśnięte gardło. Obląłem się zimnym potem. -

Jednak to jest Darkbloom, Glade. Wiem to.

- Chodźcie - rzekł Julix rozkazująco. - Zbliźcie się do nas. Mało jest czasu do stracenia na paplaninę.

- Spokojnie, Jesrilbanie - rzekła Kwiecie Wieczoru, kładąc rękę na jego nadgarstku. -

Ten chłopak jest moim podopiecznym i nie chcę, by mu dokuczano.

Pełen zdumienia poszedłem naprzód niepewnymi krokami.

- Ty jesteś Darkbloom.

- Byłam, Xarafie - wpatrzyła się we mnie przesywającym spojrzeniem, sięgając aż duszy. - Całe życie dokuczałeś mi pytaniami, chłopcze, i spędziłam z tobą sporo mego czasu wśród wędrowców. Pamiętaj, że nie ma już więcej czasu na pytania. Powstrzymaj swoją ciekawość. Zajmujemy się teraz tajemnicami czasu.

Zadrzałem, nadal nic nie pojmując, czując całym sobą, jak poważne było to ostrzeżenie.

- Darkbloom - powiedziałem jednak. - Trudziłaś się, by sprowadzić mnie tutaj. Musisz zatem życzyć sobie, bym oddał ci jakąś przysługę. Jeśli tak, to jak mogę ci służyć nie mogąc zapytać o twoją wolę?

- Masz zadanie. Poznasz je, gdy staniesz z nim twarzą w twarz, przygotowałam cię bowiem dobrze.

Coś we mnie zaryczało ze sprzeciwem.

- A jak przygotowałaś Comhrię do kochania mnie. Fałszywymi wspomnieniami?

- Czy były fałszywe? - Kwiecie Wieczoru drażniła się ze mną, a jej uśmiech był w tej chwili tak bardzo kobiecy, jak u Darkblooma zawsze był męski.

Świat zaczynał mi się rozsypywać. Sięgnąłem po rękę Glade i poczułem pot jej zimnej dłoni.

- Czy te sny nie były realne?

- Ale to ty zasadziłaś je w moim umyśle i w jej umyśle, i pożywiałaś je, by wzrastały.

- Wszystkie wspomnienia rosną w taki sposób, jeśli trochę to przemyślisz, sam do tego dojdiesz - i znów był to autentyczny, irytujący głos Darkblooma, siewcy paradoksów i chaosu.

- Mówiłaś o zadaniu - wtrąciła się Glade. Jej głos drżał. Zdałem sobie sprawę, jak przerażające musiało być dla niej to wszystko. Nigdy przecież nie kładła się na polecenie Darkblooma w zimnych popiołach ani nie zarzucała sobie wielkich kamieni na plecy, nie dyskutowała z nim.

- Mówiłam ci już, Glade, że możesz przyjąć to zadanie jak własne. Z przyjaźni do Xarafa lub z własnego zamiłowania przygody, czy też z jakiegokolwiek innego powodu, który zgadza się z twoim temperamentem. Możesz się też od tego powstrzymać, a my natychmiast odeślemy cię do twego miasta i jego loterii. Jedną rzeczą, której zrobić nie możesz, to pytać o szczegóły tego zadania.

- A jeśli się przy tym uprę? - kości policzkowe wystąpiły jej ze złości. - Prawem każdego jest działać po uprzednim oszacowaniu sytuacji.

Eis Creid zaśmiał się na te słowa.

- Oczywiście, pytać możesz, moja droga. Kwiecie Wieczoru mówi po prostu, że ze względu na naturę

sytuacji, na pewne pytania nie otrzymasz odpowiedzi.

Glade opuściła głowę z zaciśniętymi wargami i odwróciła twarz. Przeniosłem spojrzenie z niej na Darkbloom siedzącego na swym wysokim tronie.

- Kiedyś złożyłem ci ślub - powiedziałem. - I zламаłem go. Ku memu wielkiemu wstydowni. Teraz dajesz mi szansę odpokutowania za ten błąd. Byłeś moim najdroższym przyjacielem, Darkbloom - spostrzegłem, że stoję już u samych stóp jej tronu i patrzę w tę nieładną, odmienioną twarz. - Zrobię, jak mówisz. Lecz chciałbym cię prosić, by zaoszczędzić Glade tego ciężaru.

- Obrażasz ją tą prośbą - rzekł Balmorg huczającym basem.

Być może Glade była bliska upomnienia mnie; zamiast tego zwróciła się ostro do nieśmiertelnego:

- Tymi słowami Xaraf wyraża swą troskę i niepokój - powiedziała. - A to o wiele więcej, niż widzę w którymkolwiek z was. Czy jesteście tak potężni, tak wyniosli, by używać ludzkich istot jako narzędzi bez odrobiny nawet wyrzutów sumienia?

- To, co mówisz, nie jest pozbawione prawdy - przyznała Kwiecie Wieczoru.

Zmarszczyła brwi. - Wasze żywoty są dla nas tak przelotne, że przeważnie uważamy za niemal niemożliwe ocenić ich wartość - przerwała, by przyjrzeć się nam, pochyliła się do przodu. - Jednakże niekoniecznie musi tak być. Jak Xaraf może cię zapewnić, spędzałam część każdego niemal dnia w jego towarzystwie. Kocham go, Glade. Wierz mi lub nie, ale prawdopodobnie kocham go nawet bardziej niż ty.

Glade nachmurzyła się, unikając mego wzroku.

- Niech ci będzie.

Piękny ton gongu zabrzmiał we wnętrzu i rząd światel uniósł się z podłogi.

- Matryca jest gotowa - rzekł stanowczo Julix.

- Nie możemy dłużej zwlekać.

- Masz rację - Kwiecie Wieczoru wstała, zesza z tronu. Sięgnęła gdzieś, gdzie my nie mogliśmy zapuścić spojrzenia i wyciągnęła jakiś ciężki, jasny i wygrawerowany przedmiot. -

Za rychło zrezygnowałeś ze swego przyjaciela, Xarافية. Masz go, weź go z powrotem i trzymaj go przy sobie jak długo będzie potrzeba.

- Alamogordo - powiedziałem.

- Czy przybywasz, by raz jeszcze mnie objąć w swe władanie? - spytał grobowy głos.

- Reprezentujesz coś we mnie samym, coś, do czego ja się nie przyznaję i czego więcej już nie chcę

wzywać - powiedziałem. Potem zwróciłem się do Kwiecica Wieczoru, która trzymała miecz z wdziękiem bukietu kwiatów: - Nauczyłaś mnie niegdyś, że należy wyprzeć się gwałtu. Zganiłaś mnie, gdy przyłączyłem się do krewnych w ćwiczeniach z bronią. Dlaczego więc teraz mnie kusisz i wystawiasz na próbę?

- A jaki pożytek ze ślubu, jeśli nie możesz wystawić go na próbę?

- Stawiłem już jej czoła, i to więcej niż raz. Za każdym razem przegrywałem.

- A zatem teraz uchylasz się od pokusy? To nie jest droga do zwycięstwa, Xarafie.

Nagle, jak w napływie światła, ujrzałem to, o czym mówiła. Z westchnieniem, które poruszyło głęboko moją klatkę piersiową, sięgnąłem po miecz i wziąłem to mordercze narzędzie, jedną dłonią ujmując rękojeść, drugą delikatnie obejmując ostrze.

- Mam wrażenie, że wkrótce umrzesz - stwierdził Alamogordo - i dołączysz do mnie tutaj, w piekle.

- Może masz rację. Glade, czy chcesz uczynić to, o co proszą cię te istoty bez serca?

- Jeśli życzysz sobie mego towarzystwa, to pójdę z tobą.

Położyłem ostrze u stóp i wyciągnąłem do niej rękę.

- Dziękuję, Glade, przyjaciółko. Będę bardzo zadowolony z twego towarzystwa.

- Chodźmy zatem. Bez pytań i bez nadziei.

- Do widzenia, Xarafie Firebridge - rzekła Kwiecica Wieczoru. Podeszła i przychyliła swą głowę do mego czoła. Spokój i miłość spłynęły z jej rąk. - I tobie także dziękuję.

Goldspur zabrał nas do kąpieli, potem pozwolił nam się wyspać i najeść, na końcu ubrać. Później zaś zaprowadził nas w czarne miejsce, całe poznaczone runami - do Matrycy Czasu, i rzucił nas o milion lat do tyłu, w historię, która zależała (choć nie rozumieliśmy tej zależności) dokładnie od wyborów, przed którymi właśnie stanęliśmy.

Zdarzyło się kiedyś, że Darkbloom napełnił moje nozdrza płonącymi oparami, które wprawić miały mnie w trans oszołomienia. W najgorszej jednak chwili zawrotu głowy przyszło niespodziewane uspokojenie, a on instruował mnie, co z nim zrobić, gdy tak siedziałem, kiwając się.

- Wróc do łona matki - mówił mi. - Powróć do momentu narodzin. Przeżyj raz jeszcze te zmagania, bóle opuszczania wnętrza i nieokrzeseane radości noworodka. Zaczepnij raz jeszcze po raz pierwszy powietrza, krzycz, wyrzucając wilgoć z płuc. Zrób to Xarafie. Teraz -

i z każdą sylabą jego słów czułem pulsowanie w moim ciele, chwytalem zamglone błyski nikłego, czerwonego światła, w kierunku którego napręzałem się, jęczałem, gdy coś zgniatało mi głowę, ramiona, gdy coś szarpało mnie za brzuch, gdzie matka i ja byliśmy połączeni...

I teraz było tak samo - przepychano mnie przez czas ku moim początkom.

Glade, jak bliźniaczka, następowała mi na pięty i moje uszy rozbrzmiewały jej jękami.

Alamogordo płonął jak pochodnia na moim grzbiecie. Też lamentował, bardziej mamrocząc coś monotannie, niż mówiąc cokolwiek.

Trudno jest się rodzić.

- Nie ufam im - wydyszała Glade. - Mój szacunek do nich dziwnie osłabł. Dlaczego oni nam to robią?

Ku memu zdziwieniu miecz nie odpowiedział słowem, lecz myślą kierowaną wprost do mojego mózgu:

- To są narodziny. Rodzimy się na nowo. Może to jest sposób, by zostać oczyszczonym i uniknąć piekła.

Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że możemy rozmawiać. Teraz, w falującej czerwieni, poszukałem słów i spróbowałem ująć myśli, które słowa zbyt łatwo zaćmiwały.

- Myślę, że masz rację, Alamogordo. Trwaj przy tej myśli, a kiedy przebrniemy przez to, będziesz całkowicie wolny.

- Wielu rzeczy nam nie powiedziałeś - rzekła Glade z wyrzutem.

- Wielu rzeczy sam nie rozumiem - odparłem broniąc się. - Niejedno do niedawna było całkiem niewiadome.

- Teraz, gdy nie jest, mógłbyś przynajmniej coś powiedzieć.

Tak też uczyniłem. Brnąc z wysiłkiem przez rodzinowy kawał czasu, na wpół ślepy, zagubiony w

fantazjach noworodka, prawie szalony, opowiedziałem mojej przyjaciółce i mojej broni wszystko, co mogłem pamiętać o moim wychowaniu, o Darkbloomie i jego myślach, o mojej opętanej matce i jej poczynaniu sobie z okaleczonym kapłanem i w ogóle wszystko.

- Wiele uprzednio opuściłeś, Xarafie.

- Jasne - warknąłem ze złością. Wszędzie wokoło zalegała czerwona mgła. - Mam może jeszcze opowiedzieć o moim pierwszym kiju do kendo? O trzecim ślimaku, którego zjadłem? O ostatnim głównie z jakim miałem do czynienia...

- Dlaczego Kwiecie Wieczoru spędziła te wszystkie lata w waszym obozie?

- A gdzie indziej niby... - potknąłem się. Niewiarygodne, ale nigdy sam nie zadałem sobie tego pytania. To, co wiedziałem o moim własnym świecie było jakoś od tej kwestii oddzielone. I tak zacząłem w końcu wierzyć, że świat umierającego Słońca jest rządzony przez bogów lub kogoś w tym rodzaju. Mogłem dziwnie łatwo przyjąć nawet, że jedna z tych istot przebywała w moim świecie przez okres mego życia i, niewątpliwie, lata poprzedzające.

Nie przyszło mi do głowy połączyć tego wszystkiego i zadać sobie w końcu pytanie, które postawiła Glade.

Dlaczego Kwiecie Wieczoru trwoniła swoje lata pod maską okaleczonego szamana żyjącego w cieniu Czarnego Czasu i drżącego u stóp lodowca w małej, nie znaczącej dolinie na południu świata dziewięćset tysięcy lat przedtem, zanim przybyła do świata umierającego Słońca? Z pełną świadomością, iż brzmi to nieprzekonywająco, powiedziałem:

- Przypuszczam, że po to, by mnie uczyć.

- Czego! Otwartej Ręki, jak to nazywasz? Tchórzostwa na czas, gdy zagrożenie zbliża się, by pochłonąć twój świat?

- To była tylko część nauki Darkbloom - uraziło mnie to trochę. - I trudno nazwać tchórzostwem stanięcie twarzą w twarz z przeciwnikami bez broni w rękę, tylko z siłą i znajomością walki wręcz.

- A jednak zwróciła ci Alamoardo.

- Mógłbym odmówić użycia go.

- Metafizyczny bełkot - Glade była już tym zniecierpliwiona. - Język używany przez ludzi z Treet Hoown.

- Tym samym językiem posługiwały się Moce. Czemu niby, skoro w naszych światach nie brak urządzeń tłumaczących?

Zadumałem się nad tym i nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Znalazł ją jednak miecz.

- To jest po to, żebyś spotkawszy się twarzą w twarz z wrogiem, mógł się z nim rozmówić.

- Jakim wrogiem? Kto nim jest? - Glade aż podskoczyła. - Senne majaczenie, mieszanka mitologii i obłądu.

- Mój brat - powiedziałem. - Cóż niby jeszcze mogę dodać?

- Niech cię licho, Xarafie. Przemyśl to! Czyim synem jesteś?

Uniosłem się dumą.

- Jestem synem Golana Firebridge i tego nie kwestionuj!

- Jakże bym mogła! A czy nikt inny nie był zamieszany w ten... proces?

- Moja matka, oczywiście. Neeshyaya Yubka, szalona kobieta z Berb-Kisheh.

- niesprawiedliwie osądzasz swoją matkę. Wstydz się. Już przedtem to zauważyłam, że pomniejszasz ją i szydzisz z niej, lecz sądzę, że była ona jedyną w całym twoim plemienu osobą, która naprawdę cię kochała za to, że jesteś.

Spróbowałem odwrócić się, by uderzyć ją za impertynencję, ale nie mogłem. Ściany tunelu naciskały na mnie i zalewały moje oczy czerwienią. Wściekłość uderzyła mi do głowy i ślina pociekła spomiędzy zaciśniętych warg.

W końcu zdławiłem to w sobie i powiedziałem:

- Jej imię w starym języku znaczy „Spódniczka”. Była bezwartościową kreaturą, Glade, idiotką, a ja jestem kpina jako jej syn ograniczony obrzeżami obozu i zadowolony nawet z byle jakiego towarzystwa, którym był szaman Darkbloom - niemal się zasmarkalem.

- Oprzytomnij, głupku!

Jej ton smagnał mnie swoim barbarzyństwem. Otworzyłem nagle oczy, jak kiedyś, gdy zawołała mnie pod drzewem.

- Moja matka, no tak.

- Tak już lepiej. Tam był ktoś jeszcze, jak opowiadałeś.

- ...Darkbloom?

- Oczywiście.

Zobaczyłem to oczami duszy tak, jak kiedyś opowiadano mi to w plotkach: stary mężczyzna wierzący się na półnagim ciele Spódniczki; brzuch nabrzmiały ostatnim potomkiem Golana, ostatnim i najbardziej pogardzanym z jego dzieci. Okaleczenie Darkblooma poczynione tuż przed tym, jak dzik przebił lędźwie ojca, mamrotanie Darkblooma i jego ziola...

A potem przywołałem wspomnienie miejsca, które poprzedzało miejsce mojej nibyniewoli - łono, wirujące światło, głos Darkbloomu docierający do mnie poprzez wody i śpiewający, i mówiący, nieustannie powtarzający i powtarzający...

- Darkbloom był moim ojcem?

- W pewnym sensie tak.

- A zatem moim wrogiem jest inny mężczyzna ukształtowany w innym łonie przez tego okrutnego boga, który nie mógł opuścić nas bez tego, co Panowie Życia i Ciemności zapisali w gwiazdach...

- W gwiazdach nic nie jest zapisane, Xarafie. Tyle chyba już wiesz.

- Wydaje mi się, że wszystko zostało już przesądzone. Wszystko.

Potem zanurzyliśmy się jeszcze głębiej w tysiąclecia, które zmykały przed nami jak fale, przenosząc nas swymi skurczami coraz bliżej walki, której nie mogłem, to już wiedziałem, uniknąć.

*

W końcu Glade odezwała się ponownie.

- Myślę, że jesteś kurierem, moje biedactwo. Pojemnikiem.

Coś poruszyło się wewnątrz mnie. Zapomniałem o stworzeniu, które rozciągało swoje rzęski przez moje organy, oddychało ze mną, widziało i słyszało i użyło mojemu ramieniu morderczej siły. Dreszcz mnie przeszedł.

- Symbiont?

- To jest nieśmiertelność, Xarafie. Darkbloom był umierający. Myślę, że on wyćwiczył cię po to, byś mógł przynieść mu substancję życia.

Zastanowiłem się nad tym przypuszczeniem. Odpowiedź wezbrała we mnie, gdy ona ją wypowiedziała sama - chęć, by umrzeć dla swego nauczyciela będąca potwierdzeniem miłości tak głębokiej i przemożnej, że o mało nie straciłem wątku. Nieprzytomnie uniosłem ręce do twarzy i dotknąłem wilgotnych oczu.

- Jak to być może, Glade? Darkbloom jest już na powrót we własnym czasie.

Bogowie, nie mogę uporać się z tą gmatwaniną imion, płci i czarów...

- Kwiecie Wieczoru jest młoda. Odmłodzona. Ona jest Darkbloomem po twoim cudzie miłosierdzia - była w tym gorycz tak kłująca, że poczułem się jeszcze bardziej oszołomiony. Mój nauczyciel nie powinien przecież być spotwarzany.

- Glade, jeśli tak jest, to nie potrafię wyobrazić sobie szczęśliwszego obowiązku.

Wszystko co dobre w moim życiu zawdzięczam Darkbloomowi.

Milczała ona i miecz też milczał, i szliśmy dalej, jak gdyby odebrany został nam sen, a wraz z nim głód, pragnienie i żądza, i wszystko co ludzkie, prócz gniewu i miłości, wszechobecnej miłości.

*

Światło zapączkowało, rozkwitło, wybuchło, oślepiło mnie. Mroźny wiatr porwał spocone włosy z moich oczu. Krzyknąłem głośno z zimna i potknąłem się w śniegu.

Światło znikło jak zgaszony ogień. Odzyskawszy równowagę, czekałem przez chwilę z ręką na mieczu, zanim zmusiłem ją, by opadła wzdłuż mojego boku. Błady blask księżyca rozlewał się po chrzęszczącym śniegu wysokiej doliny ponad Rezot-Azer.

Jakaś postać okutana w derki i lamentująca żałobnie kołysała się nad leżącym na śniegu martwym kształtem.

Chrząknąłem ostrzegawczo i postąpiłem w kierunku postaci. Ta uniosła głowę, ale żalosne, samotne zawodzenie nie ustało.

Ten dźwięk mnie drażnił.

Za moimi plecami Glade włączyła kryształ. Cienie nabrały głębokiej czerni, a rysy twarzy stały się sztywne i wyolbrzymione.

Szare włosy kobiety były związane tak, jak u Wędrowców zwykły splatać warkocze wdowy, wraz z okryciem żałobnym wymaganym przez obrządki Firebridge. Zwróciła na mnie oczy, przekrwione w sinym świetle - stare oczy otoczone zmarszczkami i zmieszane, osadzone w twarzy steranej i schorowanej, chociaż przecież ta kobieta miała zaledwie połowę lat Glade.

- Co ty tu robisz, Matko? - spytałem tak łagodnie, jak tylko umiałem. Zaszlochała zgrzytliwie, lecz zaraz na powrót skryła się w powadze żałoby.

- On powiedział, że muszę tu czekać na ciebie.

Ścierpłem ze strachu. Ukląknęłem w twardym śniegu i sięgnąłem brutalnie do tobołu z martwym ciałem. Głowa była straszliwie skręcona. Krew zestaliła się w grube sople wkoło rany, na strzępach jego brody, rozlała się w dół piersi. Miecz lub topór, który to uczynił, niemal całkowicie odrąbał głowę od tułowia, tak że leżała przymocowana jedynie strzępkami skóry, ścięgnami i kośćmi kręgosłupa.

Zrobiłem głęboki wdech i krzyknąłem.

- Kto to zrobił?

- Twój brat Jopher, twój kuzyn Yharugh i inni mężczyźni, kapłani.

Obnażyłem zęby jak zwierzę.

Całe jego ciało było pocięte i porąbane okrutnymi, szalonymi ciosami, ramiona na wpół odłączone od barków, brzuch rozplątany, uda i łydki posiekane, całe ciało zaś połamane i czarne od krwi w miejscach, gdzie kopali go i bili pałkami. Prawdopodobnie ukamienowali go, a potem okaleczyli już przedtem wykastrowane zwłoki.

Mokry od łez podniosłem martwego Darkbloom i przytuliłem do siebie jego zimne ciało, mamrocząc przy tym i płacząc, nieświadom niczego, prócz smutku. Gniew uleciał na chwilę w wirującą czerń, która odeszła, gdy moja miłość wylała się, rozlała się, by ogrzać go i wrócić do życia.

Leżał bezwładny w moich ramionach i z wolna wracała mi świadomość świata, śniegu i miejsca, gdzie przykucnąłem. Glade przemawiała do mnie jasno i troskliwie, moja matka mówiła coś załamana, a obie radziły mi, co muszę uczynić.

- Jak oni wazyli się na to morderstwo?

- Czarownik, którego twój ojciec się obawiał, naszedł nas z ziem Północy. Przybył z ogniem i burzą. Oni obwinili za to cudzoziemca.

- Mój wróg - powiedziałem, ledwo kojarząc, co mam na myśli.

Odwrociłem się do niej jak wilk.

- Czy mój ojciec miał w tym jakiś udział?

Potrząsnęła głową.

- Xarafie, on powiedział, że przynosisz czar życia i śmierci, i powiedział, że musisz zatrzymać to, by pomóc sobie w walce z twoim bratem - pomyślałem przez chwilę, że mówi o moim ojcu, ale nie, wszystkie jej myśli skupione były na Darkbloomie. - Nie zatrzymuj tego, Xarafie, mój drogi synu, błagam cię, użyj tego teraz, w imię litości... błagała mnie matka. -

Jeśli tylko możesz sprowadzić go z powrotem, użyj tego.

- Ona ma rację - stwierdziła Glade. - Symbiont mógłby odwrócić nawet proces śmierci, a jeśli może być wprowadzony do zwłok, zanim nastąpi rozkład... Chłód jest zresztą sprzyjającą okolicznością - usłyszałem znów gorycz w jej głosie. - Oczywiście, wiemy już, że ten ratunek się powiódł. Jakże inaczej miałyby Kwiecie Wieczoru kierować tobą w poszukiwaniu rzeczy, którą przyniosłeś prosto na scenę tej melodramatycznej sztuki?

Na wpół oślepy od łez opuściłem z powrotem ciało mego mentora na lodowy katafalk i wstałem chwiejnie, wypierając ze swego serca narastające poświęcenie, które popychało mnie w kierunku trupa.

- Czy ty nic nie rozumiesz? - krzyknąłem ostrym tonem. - Muszę zostawić go umarłego albo wszystko

to na próżno!

- Nie możesz zostawić go umarłego, skoro widzieliśmy go żywym.

- Widzieliśmy? A skąd możemy wiedzieć, czy chwila, w której rozmawialiśmy z Kwieciem Wieczoru była późniejsza niż obecna? Może było odwrotnie? Czy nie ostrzegłaby nas, gdyby miało to leżeć w jej przyszłości?

A potem przemówił Alamoardo, po raz pierwszy odkąd opętało go szaleństwo komnaty Aji-sukitakahikone, swobodny i rozsądny.

- Xaraf ma rację, Glade. Od tej chwili zależy coś więcej niż życie jednego nieśmiertelnego. Weź pod uwagę: pytałaś, czemu Darkbloom spędził tak wiele lat w tym jałowym kraju. Jeśli nie posiadał symbionta, który by mu użyczył nieśmiertelności (a jak mogło się to zdarzyć, jeśli nie przez świadomą decyzję), to dlaczego po prostu nie powrócił

do swego własnego czasu i nie dostał ulgi wytchnienia od swej okresowej śmiertelności?

Czy odpowiedź nie jest oczywista?

Glade i ja milczeliśmy.

- On *nie mógł* wrócić - rzekł miecz bezlitośnie. - Jego droga była zamknięta.

- Nasza była wolna - zaprotestowałem.

- Dwie wielkie siły mogą neutralizować się nawzajem i nie mieć już nic siły, by oddziaływać na trzecią, która może przechylić szalę.

- Ja jestem tą trzecią siłą?

- Byłeś - stwierdził Alamoardo z naciskiem, w którym było więcej znaczenia niż w poprzedniej tyradzie. - Ale już nie jesteś.

- Ponieważ Darkbloom nie żyje - stwierdziła Glade ledwie słyszalnym szeptem.

- Tak. Przeciwna siła nie posiada teraz równoważnika i nic jej nie powstrzyma, gdy tu wyruszy, chyba że Xaraf zajmie w walce miejsce swego mentora.

- Musisz zaniechać tej walki - krzyknęła moja matka zrozpaczona. Szarpnęła mnie za ramię i przycisnęła do piersi. - On nie żyje, a ty możesz go wskrzesić. To jest wszystko, co ma jakieś znaczenie, synu. Zrób to, zapomnij o twojej głupiej rozmowie o walce. Twój ojciec strawił większość swego życia na nonsensownych walkach, a nie przyniosło nam to nic prócz niedoli. Sprowadź go z powrotem, Xarafie!

Spojrzała na mnie, o wiele silniejszego i roślejszego od niej i zmusiła mnie, bym spojrzeniem napotkał jej pełne łez oczy.

- A jeśli miłość nie jest wystarczającym motywem, to nie zapominaj przynajmniej o twoich długach!

- Muszę - powiedziałem i zostawiłem Neeshyayę Yubkę i mego prawdziwego ojca skulonych, tam, w zlodowaciałym śniegu, i poszedłem, z trudem trzymając się na nogach, z powrotem, z Glade stającąym śladem, do miejsca, gdzie miał rozkwitnąć biały ogień i skąd zanieiony miałem zostać do mego wroga.

*

Tym razem wstąpiłem w nieskończoną i pozbawioną światła pustkę. Kryształ Glade zamierał z każdym naszym krokiem, jak gdyby jego moc wyczerpywała się, aż w końcu zgasł. Byłem jak ślepy. Sto głosów mamrotało niewyraźnie, potem było ich tysiąc, a potem jakaś nieznaną, wielką liczbą.

- Glade - powiedziałem to, ale żaden dźwięk nie wydobył się z mego gardła.

Przyciągnąłem ją blisko siebie.

On, mój wróg, był gdzieś przede mną.

Wietrzyłem, jak przyuczony do tropienia śladów pies. Powietrze pełne było kurzu.

Lecz znalazłem i jego zapach, woń, którą znałem ze snu, zapach ziemi, wilgotnych grud wyrzucanych w górę przez kopyta baluchitherium, zapach słodki i mroczny. Odwróciłem się, by podążyć jego śladem, Glade za mną, a wszystkie głosy martwych i nie narodzonych mamrotały wciąż swoje w moich uszach.

*

Na niebie kłębiły się ogromne płachty i woale pastelowej poświaty, zupełnie jak pofałdowane chmury na tle głębokiego błękitu późnego zmierzchu.

Gorąca, białobłękitna iskra spłynęła na parującą glebę i trzask piorunu ogłuszył mnie na dłuższą chwilę. Ludzie, jakich nigdy nie widziałem, o skórze jak sadza i kręconych włosach, pierzchali jak kurczęta przed lisem.

Druga ogniasta strzała smagnęła zaraz za pierwszą, osmalając czerwień pulsującą w mych oczach.

Wokół nas wznosiły się drzewa, które kwitły. Zdziwiłem się - czyżbyśmy wrócili do Legowiska Potworów? Lecz to powietrze nie było wilgotne, nie było też słyhać grzmotu fal.

Tylko pioruny - trzeci strumień gorącego światła trzasnął między ziemią a niebiosami, i plecione kapelusze biegnących czarnych mężczyzn i kobiet wybuchły blaskiem. Dym i kłęby płonącego sitowia wystrzeliły w ciężkie powietrze, uniosły się i drewniane pale, i zmagazynowane zboże, i suszone mięso i cały dobytek wioski.

Usłyszałem dziecko wrzeszczące w ogniu i ujrzałem jak jego matka wbiegła w czerwony płomień.

- On ich zabija jak insekty - powiedziałem oburzony. Od dzieciństwa byłem wychowywany w powszechnej wierze w sens grabieży i zabijania, ale ta brutalność była zbyt barbarzyńska nawet dla wyobraźni bardów z Firebridge.

- I on nas widzi - krzyknęła Glade. Jej ramię wskazało wysoko, na jarzącą się zorzę.

Czarny i ogromny ptak o wielkości połowy baluchitherium rzucał się na nas właśnie z wyciągniętymi szponami i rozpostartymi skrzydłami.

Na jego pierzastym karku siedział mężczyzna okryty cały złotem i srebrem. Jego prawa ręka uniesiona była ponad szyją sokoła i wystrzeliwała właśnie palcami błyskawicę, oślepiającą kroplę światła, która upadła przed nim w sam środek pełzających wojowników, śpiewając w smrodzie rozgrzanego powietrza, wojownicy zaś skulili się bezbronni pod plecionymi tarczami.

Wyjąłem Alamo gordo z pochwy i bez zastanowienia uniosłem wysoko ostrze.

Światło zajaśniało wokół mojej broni. Jasne pulsowanie błękitu, by uderzyć sokoła w pierzaste lotki i w wyciągnięte łapy.

Usłyszałem wrzask ptaka i krzyk radości mężczyzny.

- Przybywasz! Przybywasz!

Ptak zachwiał się, spuścił skrzydła i głowę, by kasać swe płonące nogi.

Mój wróg stanął na swym siodle i odchylił się do tyłu na wietrze. Szarpnął brutalnie cugle uwiązane do dzioba wierzchowca. Spadał pięknie i straszliwie - kontrolował znów ptaka, który zawisł w powietrzu, bijąc gwałtownie skrzydłami.

- Wiedziałem, że przybędziesz, jeśli cię sprowokuję - zawołał, a głos miał jasny jak krzyk ptaka mówiącego językiem Mocy. - Dziękuję ci, teraz mogę zrezygnować z walki z tymi pokurczami i zmierzyć się z godnym mnie przeciwnikiem.

- Chodź, wobec tego! - odkrzyknąłem. Mój głos zadzwonił echem na płonącym polanie.

Nakrapiane, ogromne skrzydła znów uderzyły powietrze.

Opadli z niebios.

Czekałem na zapadnięcie nocy, bo uczyono mnie, że w tym tropikalnym kraju przychodzi ona nagle.

Jednak zmierzch trwał i trwał. W końcu ujrzałem, że światło pochodzi z tamtych błyszczących perłowo tworów falujących na niebie i wiedziałem, że były one jego dziełem.

Chciało mi się wymiotować ze strachu. Miałem ochotę odwrócić się plecami do mojego wroga i pobiec w kierunku lasu ciemnych drzew i zakopać się tam w jakiejś dziurze, by ukryć się przed jego gniewem. Nie zrobiłem jednak żadnej z tych rzeczy. Czekałem, aż zejdzie z wierzchowca, a potem w

przerażeniu i z niedowierzaniem patrzyłem, jak idzie w naszą stronę.

Jego głowa chroniona była hełmem ze złotych płyt, wyższy był ode mnie tak, jak ja wyższy jestem od dziecka; jego barki i pierś jarzyły się łagodnym światłem, a łuski zbroi chwyciły to światło i rzucały z powrotem; jego wielkie nogi stawiały gigantyczne kroki w nagolennikach całych z miedzi i brązu, a jego ogon (*jego ogon!*) smagał ziemię z tyłu jak ogon jaszczurki.

- Jaki cudowny. Nowy, ulepszony model - stwierdził oglądając mnie z satysfakcją.

Dopuściłem, by mój miecz opadł, pozwoliłem jego czubkowi zagrzebać się w piasku; oparłem obie dłonie na jego rękojeści i moje barki zgarbiły się, a mięśnie na ramionach napięły.

- Kim jesteś? - spytałem, lecz chyba i tak już wiedziałem.

W ustach mi zaschło, oczy rzucały szybkie spojrzenia, zimny pot wystąpił na całym ciele.

- Znasz mnie, Cieniu - rzekł mój brat. - Tyle to on cię nauczył, tego jestem pewien.

Zatrzymał się o rzut kamieniem od nas, nonszalancko układając dłonie z czterema palcami, każda na swej grubej talii. Przyłbica jego hełmu otworzyła się i zamknęła jak pysk zwierzęcia, jak dziób, język zadrgał jak u węża. Fala zimnej słabości przeszła mi po grzbiecie.

Ciemność przykryła moje oczy. Starłem mrok, lecz nie mogłem już dużej zaprzeczać tej zatrważającej prawdy, prawdzie tego, co ujrzałem. Mój wróg nie nosił zbroi. To było jego ciało: kryza na szyi, rękawice, napierśnik, naramienniki na barkach, płyty na udach i nagolenniki, szpony u stóp - całe ciało okryte łuską.

- Jesteś Smokiem! - powiedziałem i głos mi się załamał.

- Jestem Apepi, Wąż Nocy - powiedział potężnym, melodyjnym głosem. - Jestem pierwszym i ostatnim z rasy mężczyzn, którzy powinni rządzić tym światem, o ile twój i mój mistrz nie wypali Słońca w swej zachłanności. Jestem smokiem, jestem lung, jestem tatsu, jestem pierwszym synem Ziemi i ojcem świata, który nastanie, gdy wezmę cię, słaby, głupi człowieku, i złamię cię, i nakarmię twoim ścierwem mojego rumaka - opuścił lśniąca głowę i zaśmiał się patrząc na mnie oczami jak klejnoty. - Lecz wciąż jeszcze nie powiedziałem ci mego imienia, nieprawdaż? Możesz nazywać mnie Faustem, jeśli ci się to podoba. Lepiej jednak - dodał po chwili - gdy będziesz nazywał mnie Galahadem.

- Kłamco!

Pewien jestem, że moja zimna twarz była brudnobiała jak stary śnieg.

- Czyżby? - mój wróg podniósł jeden ze szponiastych palców do ust, jakby chciał obgryzać paznokiec.

- Czy przypuszczasz może, że to ty jesteś bohaterem? Czy rozproszyłem już twoje złudzenia?

- On posłał mnie, bym cię powstrzymał, dinozaurze. Jestem twoim panem. Posłuchaj tego ostrzeżenia, bo raz tylko je wypowiem.

- „Dinozaurze”. Przenikliwy jednak jesteś - po czym zmienił ton na jadowity. - Lub też jesteś ignorantem, że nawet to, co całkiem fantastyczne, wydaje ci się być normalne.

Myślę, że to jest najprawdopodobniejsze.

- Jesteś genetyczną rekonstrukcją z Czarnego Czasu. Ciemni czarownicy stworzyli wówczas dziwadła takie, jak ty dla swej rozrywki.

Odrzucił w tył uroczą głowę i zaniósł się śmiechem.

- Wspaniale! Dostarczysz mi nie kończącej się rozrywki. „Rekonstrukcja”?

Rzeczywiście. Gdybyś tylko mógł wiedzieć! Tysiąclecia, ery, mega-lecia, ty prostacki, przeklęty i zadufany głupcze!

- On zrobił cię aż tak dawno temu? - spytała Glade.

- Kreda - szydził smok. - Znasz ten okres, który naukowcy w swym żargonie określają jako kredę?

- Znam go dobrze. To było wtedy, gdy wyspa świata popękała z trzaskiem na części i większość stworzeń wyginęła, takie jak ty, między innymi. Jak ślimaki zgniecione butem.

Rzucił się do przodu tak szybko, że nie zdążyłem podnieść miecza, by go trafić.

Maczuga jego lewego ramienia przesunęła się po twarzy Glade, rozdzierając jej policzek do żywego mięsa i zostawiając cztery okropne szramy ze zwisającymi kawałkami skóry; początkowo bezkrwawe, po chwili zaczęły sączyć czerwonoszkarłatne kropelki. Glade prawie nie krzyknęła, zaszokowana.

- Zabij go! - wrzasnął Alamogordo, krzyk ten zaś wprawił w skurcze moje mięśnie i wy dobył ostrze z ziemi. - Zabij tę pierdoloną, plugawą, bękarcią potworność! - lecz on już się oddalił, trzaskając

ogonem ze złością i już sadowił się poza moim zasięgiem, nie zdradzając przy tym najmniejszej oznaki strachu, w pozie, jak mi się wydało, obronnej, znanej mi z nauk Darkbloom. Darkbloom uczył mnie tego, gdy miałem dziesięć lat i zadbał, by weszła mi w nawyk.

- Więc tak. Czy Kwiecie Wieczoru zmieniła ton? - spytał szyderczo. Zaniechał tej hipokryzji. - Gadania o Sposobie Użycia Siły, który polegał na nie używaniu siły? Jestem wstrząśnięty. Naprawdę. Nie spodziewałem się spotkać ucznia naszego stwórcy zaciskającego broń w Zaciśniętej Pięści.

Patrzyłem na niego ponuro i z zaciśniętymi ustami. U mego lewego ramienia stała Glade z laną płonąca i skwiercząca, wciąż jeszcze niema. On był straszliwym wielkim zwierzęciem o oczach mądrego człowieka. Wiedziałem, że to nie jest miejsce dobre do stawienia mu czoła, to było jego terytorium, okolica, którą pustoszył od miesięcy lub lat i musiał znać ją lepiej, niż mógł znać jakiś Wędrowiec z odległego kraju.

- Za mną - syknąłem do Glade i ruszyłem rakiem ku blaskowi białego światła.

- Ach, potyczka w korytarzach czasu! Rozkoszne. Lub też jest to polowanie? Zabawa w myszkę i smoka? - postąpił naprzód, napierając na nas, jak gdyby to był jego plan i to od samego początku. Uderzyła mnie nagle myśl, że obszary poza przestrzenią i czasem muszą być równie dobrze znane, jak ten tropikalny zmrok, lecz było już za późno, by wybierać inną drogę.

Światło zabłysło za naszymi plecami, odbijając się jak blask słońca od mego miecza.

Usłyszałem pomruk jego energii, wołanie syreny, które zwodziło mnie na lodowych polach Kravaardu, kiedy to natknąłem się pełen oburzenia i ignorancji na zagubioną bramę, i kiedy to głowa zamordowanego mężczyzny podskakiwała u mego pasa.

U granicy światła powietrze oziębiło się nagle i blask uległ subtelnej zmianie.

Okręciłem się na pięcie, ująłem ramię Glade, uniosłem wysoko miecz i wyskoczyłem na zewnątrz historii dziejów.

Mój wróg poszedł za nami - w zgrzycie łusek, w powolnych hipnotyzujących ruchach Otwartej Ręki, w syku oddechu, w jasnych punktach jarzących się w jego aroganckich oczach.

- Idź - powiedział szydząc ze mnie. - Idź, biegnij. Będę cię tropić z biegiem dni i nocy, z biegiem lat, aż zagram ci na trąbce z tajemnych blanków Wieczności.

Rozsierdziło mnie to gadanie, krew napłynęła do twarzy, poczułem, jak żyły mi nabrzmiwają, lecz nie mogłem zrobić nic prócz tego, co mi wskazał.

Z Glade depczącą mi po piętach, odwróciłem się i pobiegłem.

*

Byliśmy poza przestrzenią i poza czasem, i nie było to podobne wcale do gwałtownego biegu w pogoni za wrogiem między skały czy drzewa w lesie. Było to jak sen, jednak nie przypominało

żadnego ze snów, które zsyłał na mnie Darkbloom. Nie był to też koszmar nocny ani też pijaństwo. Wlecieliśmy w zawrót głowy, w noc, która nigdy się nie rozświetla, którą przenika lodowaty wichur.

On przybył tu za nami, mój brat-smok; z łatwością sadził susami. Śmiał się.

Lanca Glade rozbłysła jak rozżarzony węgiel, gdy wstąpiliśmy w tę ziemię szaloną, a błękitny płomień Alamogordo pełzał w mroku jak błędny ogień, bez wydzielania ciepła i nie oświetlając drogi. Nie znalazłem żadnych gwiazd, które podniosłyby mnie na duchu, nawet tych nieszczęsnych połamanych gwiazdozbiorów, które przyniosły mi taką ulgę w świetle Glade. W mroku mój umysł wypełniła twarz Comhrii - mojej miłości w złocie i brązach.

Wiedziałem już, że nigdy więcej jej nie zobaczę, że wypełnione kurzem katarakty i dziedzińce Treet Hoown są już dla mnie bardziej stracone, niż były dla świata przez sto tysięcy lat przez obłąd starego Mistrza, gdy trwały w niewidzialności. Teraz, uciekając od kreatury, która nie mogłaby się zrodzić nawet we śnie naukowców z Czarnego Czasu, pomyślałem, że moja miłość jest teraz wolna i jest stracona. Z goryczą mój mózg mozolił się w poszukiwaniu jakiegoś wybiegu, myślałem o moim twórcy, o Darkbloomie, Kwiecie Wieczoru, bogu, złodzieju słońca, pacyfistycznym szamanie i ojcu zabójców...

Z trzaskiem runęliśmy znikąd do...

Gwiazdy były jasnymi rybami pływającymi w północnych morzach, a my unosiliśmy się pośród nich w kryształowej bańce równej wielkością tej kopule, która kryła trony Mocy.

Tutaj, gdy tak kołysałem się i gapiłem, pomyślałem, że Słońce nie może być tylko drobnym, biało-żółtym krążkiem, nie może też być okaleczoną kupą żaru majaczącą na czwartej części nieba. Obiekt, który ujrzałem, był większy - kula przyćmionej czerwieni, która wypełniała sobą połowę kosmosu, prawie niewidzialna, emanująca, jak mi się zdawało, raczej ciepło niż światło, cała omotana przez woale i pasma czerwieni.

- Ono nie jest umierające - powiedział smok.

Stał niedaleko w jakiejś komnacie, za szklaną konsolę lśniącej własnym blaskiem maszyny. W jego tonie pojawiła się melancholia, była również satysfakcja, jakby bezosobowy triumf, świadczący nie tylko o arogancji, lecz o jakimś szlachetniejszym uczuciu, które w odróżnieniu od poprzedniego upokorzenia, przyniosło mi wzruszenie, rozbroiło mnie, kazało mi odwrócić wzrok od niego i raz jeszcze spojrzeć na płonącą kulę za nami.

- Tak, to Słońce - powiedział. - Lecz ono jeszcze się nie narodziło.

*

- Kwiat Brzasku - rzekła cicho Glade. Hełmiasta głowa poderwała się ostro. Po chwili złożył czteropalczone ręce w powolnych oklaskach.

- Trafnie! Przekonywające podobieństwo myśli, moja człowiecza damo. Jesteś przezabawna.

Brakowało mi tradycji Asulium, w której zawarte były pozostałości różnych nauk i nie udało mi się pojąć, o czym to właściwie rozmawiają. Ta kula gorących popiołów miałaby być Słońcem? Nawet tylko jego nasieniem?

- Gdzie to jest? - spytałem ochryple, zmęczony sytuacją. - Czy chcesz powiedzieć, że jesteśmy świadkami rozniecania Słońca?

- Dokładnie tak. Wisimy jak na haku w przenośniku linii energetycznej naszego Króla-Rybaka.

- Mów z sensem, Smoku.

- Czy mam przejść z twego powodu na dziecięcą paplaninę? Dobrze, zatem - postąpił

naprzód w całej swej grozie, która chwilowo do mnie nie przemawiała. Czekałem, aż zbliży się dość, bym mógł podjąć działanie kierowane przez mój miecz i symbionta, tak szybkie, by on nie zdołał rozpoznać groźby.

- Słońce, które ogrzewa nasz świat, jest wielkim paleniskiem płonącym dzięki zapadaniu się pod własnym ciężarem...

- Jeśli Słońce jest ogniem - przerwałem grając na zwłokę i obserwując wszystko wkoło niego - to dlaczego samo nie trawi się i nie umiera, jak dzieje się to z ogniskami?

- Och, dzieciaku, chcesz być mądrym dzieciakiem, he? Ponieważ jego ogień jest specjalnym ogniem, kretynie, który pali się w gwiazdach i pożarłby świat natychmiast, gdyby musnął go nawet skrajem płomienia.

- Jednak Moce wyciągnęły z niego siłę tego płomienia - powiedziałem, chociaż niewiele na ten temat pamiętałem. - A ty rościsz sobie prawo, by tak czynić?

Nie mogłem przeskoczyć luki między nami, a on nie zbliżył się bardziej, krążył tylko, stukając czubkami szponów.

- Powiem ci to prosto, głupcze, a ty i tak nie zrozumiesz, ponieważ twój umysł jest umysłem zdeprawowanego zwierzątka, które żyje tylko po to, by kaleczyć swój własny i każdy inny rodzaj.

Teraz głos smoka był ostrzejszy. Sprawilo mi przyjemność widzieć go sprowokowanym, nawet jeśli jego bliskość przyprawiała mnie o dreszcz wstrętu.

- Posłuchaj mnie: Pustka w tej dawnej epoce pełna jest pyłu i gazów, i młodsze gwiazdy, które płoną jak trzeszczące i eksplodujące gałązki, wysyłają swoje paroksyzmy w ten pył. Gorące cząstki pyłu zbliżają się do siebie przyciągane przez swą własną masę, wirują, ogrzewają i palą przez miliony lat.

Jego złote ramię zakołysało się, wskazując na ciało niebieskie poza sferą.

- Wkrótce ta masa gorącego wiatru i dymu zapragnie stać się źródłem bardziej szlachetnego gorąca i blasku, dzięki stłoczeniu swego pyłu doprowadzi do wybuchu płomienia, a potem ujrzymy już nowo

narodzoną, prawdziwą gwiazdę, chociaż zabierze jej to prawie cztery tysiące milionów lat, by osiągnąć dojrzałość.

- Gdzie jest ten świat z twojej bajeczki? - spytałem.

- Jak to, w tej chwili kręci się on w pierścieniu pyłu, który doń przywiera coraz grubszą warstwą. Wkrótce potoczy się jak kula śnieżna, skorupa mu się ustali i za parę milionów, na trochę więcej, lat pojawi się na nim życie; będzie czołgać się w jego mętnych wodach, potem wypełźnie, pojawią się i paprocie, i stworzenia płetwiaste, i pierzaste, i dinozaury; ach, tak, te urocze gady przez sto sześćdziesiąt milionów lat będą pojawiać się i odchodzić i przygotowywać miejsce dla mojego ludu, i idiotyczny bóg z zaszranego przyszłości sięgnie w tył swoją linią i wysysie ze Słońca światło i ciepło, i wszystko, by przeżyć aż do niestrawności, i wielka ciemność i chłód spadnie na świat, i umrzemy; żywność, którą jemy, zginie, i my umrzemy, i nikt nie będzie boleć nad naszym odejściem z całą naszą wiedzą i myślą, a oboma w równowadze, przekazanymi mi przez Kwiecie Wieczoru w łonie mojej zwierzęcej matki, której gatunek został w swej ignorancji oszukany na rzecz gatunku małych, morderczych i włochatych małą zmykających zwykle między nogami lepszych od nich.

Bogowie wyczerpują ciepło i światło, które pożywiały nasz świat, mój świat, świat moich nie narodzonych dzieci, których bym strzegł i które bym kochał, by dać je Ziemi, a Ziemię im oddać we władanie...

Krzyczał tak w żałości i chociaż rozumiałem tu piąte przez dziesiąte, to jego udręka dotarła do mnie i nie mogłem oderwać wzroku od jego sylwetki miotanej bólem. Nie poruszyłem się, nawet gdyby kopuła wokół nas pękła, wyrzucając nas w próżnię.

Ucichł w końcu. Usłyszałem szept Glade:

- Jakie to piękne! Xarafie, Słońce!

Oderwałem oczy od Smoka i spojrzałem w ciemność. I wstrzymałem oddech. Tam, gdzie przedtem wisiała mętna chmura, zółciła się teraz jasna kula otoczona pierścieniem wirującego światła, które rozszczepiało się na setki promieni opasujących nowe Słońce.

Blask musnął moje oczy jak gorąca igła. Cofnąłem się i zasłoniłem twarz.

- Słońce się roznieciło - rzekł Smok.

Mgiełka pyłu zniknęła zdmuchnięta jasnością.

Nasza bańka opadła w kierunku jednego z pierścieni wkoło gwiazdy. Kapitan tego niezwykłego statku stał teraz i patrzył na nasze zdziwienie, jak gdyby przywiódł nas tu jedynie po to, by oczarować nas pięknem.

- Czy to, na co patrzymy, dzieje się naprawdę właśnie teraz? - spytała Glade.

- Przechodzimy poprzez czas w przyspieszonym tempie - odpowiedział Smok. -

Ustaliłem proporcje jeden do dwustu milionów lat. To znaczy, tyle mija w naszą minutę.

- Czemu? Po co się trudzisz, skoro masz zamiar nas zabić?

- Niech spróbuje - mruknąłem do niej. Do niego zaś rzekłem: - Podejdź no bliżej, gadzie. Boisz się.

- Nie zabiję was, prostaczkowie. W przeciwieństwie do twego zdradzieckiego narodu, w przeciwieństwie do tego niewiernego syna naszego ojca, przysiągłem chronić życie i zamierzam dotrzymać mej przysięgi. O ile, oczywiście, on nie wymusi na mnie innego działania, na przykład w obronie własnej.

- Mało szacunku okazałeś dla życia, gdy leciałeś na swoim ptaku i posyłałeś błyskawice między twe ofiary.

- Ich istnienie jest złudzeniem. Wkrótce wszystko to będzie tylko mgłą.

Przerażony wzrok Glade dał mi do zrozumienia, iż uważa go ona za szaleńca.

- Dlaczego pokazujesz nam to... piękno?

- Ponieważ jestem jego nadzorcą. Ponieważ zostało mi oddane pod opiekę przez Kwiecie Wieczoru. Ponieważ chciałbym, żebyście zrozumieli przynajmniej trochę z jego perfidii i okrucieństwa, zanim on i jego świat znikną na zawsze.

- Xaraf i ja jesteśmy z jego świata. I ty zapewne także.

- W tym pojeździe znajdujemy się poza wszelkimi trywialnymi łańcuchami związków przyczynowo-skutkowych. Nie bójcie się, mali ludzie, żadna krzywda nie spotka was dwojga.

Mam zamiar uczynić z was moich ulubieńców, świadectwa słuszności mego działania.

Pierścień klejnotów przed nami rozpękł na spadające gwiazdy, które połączyły się w wirujące kule światła i ciemności, a te z hukiem łączyły się dalej, aż do chwili, gdy leżał

przed nami jeden, kompletny świat.

Oślepiął jak wielka perła, odbijając żółte światło Słońca identycznego już niemal z tym Słońcem, które znałem.

- Czy to jest właśnie nasz świat?

- Otulony jeszcze w obłoki i gorący. Nawet w tym tempie, w jakim pędzimy, upłynie jeszcze kilka minut, nim jego skorupa się zestali.

Krótki błysk oczyścił planetę z woali i pyłów i ujrzałem po raz pierwszy, że gwiazdy też się poruszają. Poza lśniącem dyskiem Ziemi, stałe gwiazdy pełzały przez czerń w rozmaitych kierunkach, jak robaki po płótnie namiotu.

Spróbowałem nadać sens temu, co on mi powiedział. Dwieście milionów lat minęło w jednej minucie? Takich liczb nie można było objąć wyobraźnią - przecież dotąd nie spotkałem się z liczbą lat większą niż milion - tyle właśnie lat oddzielało moją erę, od ery Glade, Comhrii i Darkblooma. Jeśli smok mówił prawdę, to obecnie milion lat mijało w mniej niż jedna trzecia sekundy.

Zwykłe fizyczne zagrożenie dziwnie straciło na znaczeniu, nie chciało mi się wierzyć, by wróg szykował nam po tym wszystkim jakiś naprawdę marny koniec. Niemniej trzymałem go na oku, ściskając cały czas rękojęść Alamogordo.

- Ach!

Brylantowy obłok maskujący powierzchnię świata usunął się jak od podmuchu.

Spojrzeliliśmy przez mroźną mgiełkę na błękit i brąz. Nic z tego nie rozumiałem, lecz Glade gapiła się zafascynowana.

- Nie widzę chmur.

- Złudzenie optyczne. Moje maszyny trzydzieści trzy razy na sekundę wykonują analizę spektralną. Obrazy pojawiają się co sto tysięcy lat. Formy chmur są efemeryczne, nam jawić się mogą tylko jako mgiełka. Masy lodu jednak widzicie...

Świat stał się nagle biały na biegunach. Mróz kontynentu został połknięty przez błyszczącą, błękitną biel. W kilka chwil później patrzyliśmy już na świat nie kończącej się zimy, skraj twardej bieli piał się coraz bliżej ku równikowi, a sam ląd pełzał przez oblicze świata. Nagle lód znikł.

- Och - Glade patrzyła zafascynowana, zupełnie jak spogląda się czasem w płomienie ogniska. - To robota Darkblooma!

Spojrzałem oszołomiony. Smok pokiwał głową.

- Linia energetyczna sięga w jądro Słońca przeciętnie raz na dwieście pięćdziesiąt milionów lat. Przez pięćdziesiąt lub sto milionów lat wyczerpuje jedną dziesiątą z energii konwencyjnej masy, i przekazuje ją wprost do jądra umierającego Słońca.

- I ta kradzież przynosi epoki lodowcowe?

- To zależy jeszcze od aktualnego rozmieszczenia kontynentów. One decydują o zasięgu zlodowacenia.

Glade potrząsnęła głową, śmiejąc się w wymuszony sposób.

- Trudno w to uwierzyć. To oznaczałoby, że Kwiecie Wieczoru jest twórcą całego życia na Ziemi!

Byłem zszokowany.

- Glade! To należy do Bogów Światła i Śmierci!

- Światła i Śmierci, rzeczywiście. Jeśli Darkbloom określa, ile energii słonecznej może dopłynąć do Ziemi, to on rządzi przebiegiem wielkich cykli powstawania gatunków i wymierania, podnoszenia się i upadku.

- Zaczynasz rozumieć, jak widzę! - krzyknął Smok.

Kontynenty świata przełamywały się znów na części.

Lód przyszedł i odszedł. Cztery kontynenty odczołgiwały się od swego lądu macierzystego i wygrzewały się w Słońcu.

- Moce sięgają w historię, która je uformowała poprzez przodków, przetwarzają wszystko wedle własnego gustu - powiedział nasz wróg. - W swej potwornej arogancji likwidują wszystkich konkurentów do życia. Jeżeli Ziemia jest Matką Życia, to oni są zawistnymi spadkobiercami, którzy mordują całe swe rodzeństwo.

Nowa wyspa uformowała się na skraju świata, oceany otoczyły ją jak bezzębne szczęki i zacisnęły się. Do tego czasu nauczyłem się już nieco, jak interpretować plamy zieleni, brązu, błękitu i bieli jak i błękit lodu.

- Pangea - rzekł Alamogordo.

- Co?

- Nie możemy być więcej niż dwieście czy trzysta milionów lat od domu - rzekł

miecz. - Ten gigantyczny kontynent to Pangea. Ziemia zdradziecka dla gatunków, które upodobały sobie wybrzeża i delty rzek. Teraz są zdruzgotane. Poczekaj jednak trochę.

Słuchałem tego głosu jak w transie.

- Widzisz? To południowy biegun rozpęka się na dwa kontynenty, zwane Laurasia i Gondwana.

Świat wisiał w próżni tańczących gwiazd i niósł na swym obliczu i góry i skały, i drzewa i płynące rzeki, i zwierzęta, i - o ile poznałem - ludzi.

- Teraz one zaczynają się rozszczepiać. Oto Afryka i Ameryka Południowa, połączone, uwalniają się od lądolodu Antarktydy. Ocean Atlantycki odłupuje Amerykę Północną od Eurazji - ton głosu miecza zmienił się, wkradła się weń jakby nutka radości. -

Nigdy nie spodziewałem się ujrzeć czegoś tak wspaniałego i uroczonego, jak to. Dziękuję - czy było to powiedziane do Smoka? Nie umiałem odgadnąć.

Usłyszałem okrzyk smutku mego wroga.

Słońce przygasło migocząc czerwono.

Jego ręka zabłysła na tle oświetlonych przyrządów, obraz na zewnątrz zamarł. Z

ogromną szybkością przysunął się do mnie i złapawszy, cisnął mną o ścianę.

- To on zrobił! Dla ciebie! Chciałbym móc cię teraz zabić, lecz złożyłem przysięgę i dotrzymam jej.

Roztrzęsiony czołgałem się przez podłogę. Alamogordo leżał niezbyt daleko ode mnie. Smok przykucnął z oczami przekrwionymi ze złości i pozwolił, bym złapał rękę i podniósł się na niepewnych nogach.

- Co mówisz? On to zrobił? On zgasił Słońce?

- To musi być okres kredy, Xarafie - wyjaśniła Glade. - I on stąd czerpie energię.

Smok uderzył pięścią w ścianę, która zadygotała dźwięcznie.

- Widzicie, jak wygląda Słońce. On nie zadowolił się splądrowaniem tych epok, które były wolne od życia. Sięgnął aż tutaj, wnikając przy tym do macicy mojej matki i konstruujać mnie. Potem przeniósł mnie tutaj, bym był świadkiem tego, co on robi z moim światem. Na końcu zgasił Słońce i czekał, podczas gdy wielkie gady wymierały. A kiedy się to dokonało, dał mi swoją nieśmiertelność i mechanizmy linii przesyłowej, i uczynił mnie swym regentem, swym ogrodnikiem, administratorem.

- Oddał ci swój symbiont? - spytała Glade niedowierzająco.

- To jest miara jego bezczelności, tego boga ssaków. Tak.

- Zdradziłeś go - pisałem.

- Zdradziłem? Stanałem na jego drodze i uderzyłem go. Posłałem go jak żebraka w zmienioną historię i zamknąłem przed nim bramę jego własnej twierdzy, zaś wykradzioną energię - zebrałem do zbiorników, które ja kontroluję, i czekałem, aż on zbuduje nowego wojownika - uśmiechnął się i strasznie było na to patrzeć. - Teraz ty przybyłeś, słaby, blady robaku, a ja raduję się przynajmniej, że będę miał cię obok, gdy przyglądać mi się przyjdzie jego śmierci. Będiesz świadkiem sprawiedliwości historii zawróconej na właściwą drogę.

- Twoje pragnienie jest nie do zrealizowania - stwierdziła Glade. - Darkbloom już nie żyje. Widzieliśmy jego zwłoki.

- Umarłego boga łatwo jest ożywić - zaśmiał się. - Ty niesiesz w sobie, robaku, wszystko co niezbędne, prawda?

Wyobraziłem sobie żalosne, krwawe szczątki i moją zwiniętą w kłębek przy nich matkę.

Gdybym jej posłuchał, to teraz Darkbloom spotykałby się z moim wrogiem.

Uśmiechnąłem się.

- Alamogordo - powiedziałem. - Czy ten statek ma umysł podobny do twojego?

- Naturalnie.

- I możesz z nim rozmawiać?

- Jest lojalny wobec swego pana i nic nie można z tym zrobić.

- Pogódź się z tym - rzekł Smok miękkiem głosem. Jesteście pod moją opieką, jesteście w mojej władzy - jego dłoń poruszyła się i gwiazdy odzyskały swój blask, tyle że teraz czas biegł w odwrotnym kierunku.

- Zabierasz nas znów do początku?

- Nie - ponownie coś zrobił i gwiazdy zamarły. Poza kopułą przepłynęła olbrzymia konstrukcja zbudowana z osadzonych na kratownicy olbrzymich winnych gron jak księżycy.

Mgiełka na obliczu świata skłębiła się w wiry i supły bieli. - Zmierzch dinozaurów -

rzekła Glade ponuro.

- Ich poranek - powiedział zaprzeczając. Podszedł do tafli kopuły i spojrzał na świat, który miał zamiar przerobić.

- Wyląduję między nimi jak bóg i wypracuję w nich zmiany, jakie ssak sam wypracował w swoich genach. Będę Ozyrysem, ucząc ich wszystkiego, a Set nie podniesie się, by przeszkodzić mi w moich rządach.

Uniosłem miecz do warg.

- Możesz dowiedzieć się, jak otworzyć kopułę? - szepnąłem.

- Powietrze uciekłoby zaraz. Glade zginęłaby - rzekł skonsternowany Alamogordo pełnym głosem.

- Zrób to - powiedziałem.

Wyraz poczucia zdrady na twarzy Glade ukłuł mnie w serce. Zadzwończyły nagle urządzenia alarmowe, zerwał się sykliwy wiatr. Smok odwrócił się i pobiegł ku migoczącym światłom. Ja także biegłem. Miecz przeciął powietrze, by uderzyć w bark Smoka, otworzył

go, krew trysnęła z mięsa takiego samego, jak u człowieka.

Odwrócił się, podniósł lewą nogę i walnął mnie w brzuch. Jego czteropalczysta ręka (jeden kciuk, trzy brutalne szpony) zamierzyła się znów na mechanizm kierujący statkiem.

Wiatr ucichł. Zbliżyłem się do niego znowu, a on odsunął się na bok równie szybko, jak zrobić mógł to Darkbloom i moje ostrze sięgnęło tylko jego przedramienia.

Z trudem uwierzyłem w to, co ujrzałem. Rana na jego ramieniu zamknęła się i zastrupiała. Zwrócił się znów ku szklanej bryle.

Raz jeszcze wycofałem się do boku Glade.

- Nie zaszkodziś memu ciału - powiedział z chłodną złością. - A jeśli upierasz się, by zostać bohaterem, to stańmy twarzą w twarz na polu odpowiednim dla rywali obdarzonych tym, co każdy z nas ukradł swemu stwórcy.

Linia błyszczącej purpury zakreśliła elipsę na kryształach po mojej prawej ręce. Inna powołana została do życia tuż za nim.

- Przechodź - powiedział odwracając ode mnie wzrok z pogardą. - Jeśli starcza ci śmiałości.

To było obłąkańcze wezwanie. Jak mogłem mu zaufać? Mógłbym przejść przez tę ścianę i znaleźć się w okowach próżni. Tak. Lecz on był moim bratem i moim wrogiem, a ta chwila była z pewnością ustalona od końca, jeśli nie od początku czasu.

- Dostarczę ci jego głowę, Glade - powiedziałem obejmując ją ramionami i całując w usta. - Teraz mi nie zaszkodzi.

- Przysięgłeś go nie zabijać, Xarafie.

- Jeśli go nie zabiję, Darkbloom umrze.

- A Comhria nigdy się nie narodzi - jej spojrzenie było łagodne i rozumiejące.

- Tak. I Firebridge, Ren i Hahn, i Vanden, całe Asuliun, i przekleństwo Czarnego Czasu, i każda z cząstek świata, który znaliśmy. Chyba nie chciałabyś zobaczyć, jak mijają bez zaistnienia?

- Chodź! - krzyknęła bestia. - Postępuj teraz naprzód, z bronią lub bez niej.

- Po twoją śmierć! - krzyknąłem takim samym głosem. - Po zwycięstwo naszego ojca!

*

Wyszedłem przez zamglony otwór, który ustąpił przede mną, i zamknął się na chwilę na mojej skórze, odzieży i włosach, przyczyniając mi niepokojowi wywołanego uczuciem lekkiego ssania. Spojrzałem w dół na świat, wirujący i omiatany obłokami.

Gwiazdy kołysały się lekko jak świetliki. Posunąłem się o krok, potem o drugi.

Wszystkie powierzchnie były nachylone wobec siebie, jednak zawsze, kiedy szedłem, wydawało mi się, że przybieram postawę pionową. Było to jak sen, jak lot we śnie, lecz bez strachu przed upadkiem w pustkę.

Podpory i belki maszynierii linii przesyłowej niknęły w dali - małe, ciemne kwadraty uwiązane w

kasetony. Miałem trudności ze znalezieniem oparcia dla stóp, lecz prześlizgiwałem się lekko.

W ręce trzymałem Alamogordo, jego jasne ostrze z wrytą mapą naszej minionej wędrówki do Treet Hoown, teraz dodatkowo ozdobione jak kwiatami małymi kropelkami czerwonej krwi. Kipiały już jednak w pustkę, przez którą szedłem nie oddychając, zaś moje ciało nie cierpiało dzięki działaniu symbionta, który zakuł mnie jakby w sztywną zbroję chroniącą przed chłodem i brakiem powietrza.

Para buchnęła w pustkę, zamarzła i zniknęła.

Mój wróg stał przede mną. Bez broni, chroniony tylko swymi złotymi i srebrnymi łuskami i przez symbionta, który zrósł się już dawno z jego ciałem.

Wówczas przypomniałem sobie sen z mego dzieciństwa: ogród, gdzie obcy, którego jednak znałem, użył grabi, by przeczesać gałęzie drzewa podobnego do mego własnego. W

tym śnie zapytałem, czy także drzewa można by przesadzić do mego ogrodu. On obstawał

przy tym, że wszem, i obiecał pokazać mi, jak taka uprawa była prowadzana w innym ogrodzie. Ujrzałem teraz, że on kłamał, bowiem owa uprawa była jego gadzim życiem w ogrodzie, który przygotowała Kwiecie Wieczoru, a jego roślinność wymagałaby uprzedniego wykorzenienia całego rodzaju ludzkiego.

Posunął się w moim kierunku, jak demon w pustce, na wpół oświetlony gorącym słońcem, na wpół w cieniu tak głębokim, jakby w ogóle go tam nie było.

Dlaczego Darkbloom zesłał na mnie ten sen?

Jeśli memu mentorowi pisana była śmierć, śmierć właściwa śmiertelnikom, i nigdy nie miał powrócić, to dlaczego ukazał mi kłamliwy sen? Dlaczego rzeczywiście wysłał mnie tu z mieczem, dlaczego zabronił mi go użyć? Mógł przecież po prostu nakazać mi włożyć symbionta w jego martwe usta i samemu uporać się, już po odrodzeniu, z tym drugim, buntowniczym swym synem.

Poczułem, jak szponiaste stopy smoka odbiły się od podpór. Na mgnienie oka ujrzałem czerwony błysk pazurzastej łapy ułożonej w gest Otwartej Ręki. Nie było tam między nami powietrza, by przeniosło propozycję poddania lub pokoju.

Nie było to dla mnie rozczarowaniem. Pragnąłem jedynie go zabić. Ujrzałem, jak jego usta i nozdrza pokryły się, dzięki symbiontowi, doskonale zabliznioną tkanką. Moje musiały wyglądać podobnie. Poruszał się jak ożywiona rzeźba. Bez żadnego ostrzeżenia rzuciłem się na niego całą siłą moich stóp. I leciałem na niego, jakby jego własny sokół zwrócił się przeciw niemu, a mój długi miecz leciał przede mną, by rozplatać go i otworzyć jego ciało na mrożące zimno.

Przykucnął. Nie mogłem zmienić toru lotu. Wyciągnął ręce w górę i uderzył mnie w bok ciosem tak szybkim, że aż zamarłem. Alamogordo zakręcił się, zawirował i znikł w czarnej pustce, i nawet straszny krzyk rozpacz, który wiem, że musiał wydać, uszedł w tych warunkach moim uszom. Nasze ciosy miały mieć wielkie następstwa.

Trzasnąłem głową o metal i straciłem wśród mdłości przytomność, a gdy ją odzyskałem w chwilę później, wiedziałem już na pewno, że moje życie jest całkowicie w jego rękach.

Wtedy Smok uniósł swe ręce wysoko ponad hełmiastą głowę. Obie dłonie były rozwarte.

Iskry posypały się z czubków jego palców, iskry ukradzionej energii słonecznej...

... i wysypały się pogardliwie w pusty bezmiar.

Zadrzałem i szarpnąłem się, by odzyskać panowanie nad moim ciałem. Upokorzył

mnie, jakby plunął mi w twarz, jakby mnie w twarz uderzył, i nie zechciał użyć swych umiejętności, by mnie zwyciężyć.

Nie było to potrzebne. Pokonał mnie zgodnie z prostymi regułami walki.

Skuliłem się, a on podniósł mnie, tak jak mężczyzna mógłby podnieść zmęczone dziecko, i razem poszliśmy z powrotem przez pofałdowane wejście do kryształowego statku i pierwszej kobiety, i przegranej bogów.

*

Tu, gdzie teraz jestem, boczą się na morderstwo. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, mam nadal wrażenie, że wędruję we śnie.

Oni nie aprobują zabijania innych dla zemsty, korzyści czy kaprysu. Swoje porachunki załatwiają metodami, które kiedyś, jak sądziłem, wynalazł mój stary nauczyciel.

Czy te klonowane dzieci mego wielkiego rywala będą w stanie żyć bez poczucia honoru i okaleczania?

Miałem zwyczaj prowokować Darkbloom'a mą pogardą. Teraz widzę, że miał rację, lecz wciąż jeszcze nie roszczę sobie pretensji do tego, by twierdzić, iż wszystko rozumiem.

Oni znają złość i żądzę, jak normalni mężczyźni i kobiety (a ich dzieci wiedzą, co to kpina) mego plemienia, mego własnego, na zawsze utraconego ludu. Jak oni dają sobie radę bez zabijania?

Oni panują nad sobą. Powstrzymują swoje języki. Nie roszczę wobec siebie pretensji.

Ofiarowują podarki tym, których lekceważą. Jakoś radzą sobie nawet z najpotężniejszymi impulsami i nie poddają się przy tym zgubnej nawałnicy.

Często wydają mi się być po prostu bez wyrazu.

Kiedy indziej znowu, gdy obserwuję ich zimną gadzią powściągliwość, jestem przerażony ich odwagą.

Przestępcy są i tutaj, jak wszędzie. Czy są nieskorzy do zabijania? Wydaje się, że tak.

Co zatrzymuje ich ręce, skoro ślubowanie złożone Darkbloomowi nigdy naprawdę nie zatrzymało mojej? Czy jest to po prostu strach przed karą? Nawet ujadające kundły są zatem bogatsze duchem (zresztą, tu nie ma psów).

Nawet jeśli tak jest, to z pewnością wymaga dzielności zaufać osobnikom, których się nie zna. Oni zaś bez skrępowań oddają się w ręce tych, których nazwiska są dla nich tajemnicą.

Jak można oszacować intencje kogoś, kogo myśli mogą być równie dobrze tak złowieszcze i niebezpieczne jak twoje własne odbicia w zdradzieckiej sadzawce. Oni lubią odwoływać się do zapisków, zanim uczynią cokolwiek nieodwołalnego.

Oto jacy oni są.

Dzieci Glade i moje wyzierają z otwartego więzienia, które mój wróg w swej nieśmiertelnej łaskawości dla nas przeznaczył i nie widzą w ogóle niczego dziwnego w tym, co nas otacza. Jest to ich świat, świat bez kociąt i bez baluchitherium, nie posiadający machin, które mówią, nie podzielony na plemiona, nie znający gniewu ani samochwalstwa.

Wyjątkiem jest jego gniew.

Nieustannie i żarliwie poszukuję jakiejś słabostki smoków, czegoś co naprawdę byłoby ich słabym miejscem i myślę, że być może to jest to. Ich bóg - cesarz, jest, po pierwsze i ostatnie, dzieckiem prawdziwego ludzkiego boga. On nigdy nie zerwie pępowiny, która wiąże go z Kwieciem Wieczoru.

Pewnego dnia ona pošle mu wezwanie z echem rozbrzmiewających pustek swego nieistnienia, a on odpowie na nie i wypełni, jak sądzi, swój z dawna odwlekany obowiązek.

A może łudzę się tak jedynie, może to tęskna głupota, która nie pozwala odejść mi od mego własnego obozowego ogniska, przy którym uczę me wnuki i ich dzieci, wykładam im sekrety, których nauczył mnie niegdyś Darkbloom: podstępu, tajemnicy, Otwartej Ręki i zawsze, bo przecież to oczywiste, pieśni (tyle że teraz nie ma już Glade, by płakała, gdy o tym opowiadam); pieśni o zagubionym Treet Hoown i jego uroczej pani, pani mego snu.